

George Bidwell
PIRAT
KRÓLOWEJ



GEORGE BIDWELL

PIRAT KRÓLOWEJ

Część pierwsza
KORSARZ

Rozdział 1

„CHCĘ ZOSTAĆ ŻEGLARZEM”

W pobliżu doków Chatham, w ujściu Tamizy, o jakieś pięćdziesiąt kilometrów na wschód od Londynu, bawiła się grupa chłopców. Była wiosna, rok 1554 - poprzedniego roku Maria, starsza córka króla Henryka VIII wstąpiła na tron angielski. Jej ojciec odrzucił supremację papieską, a za krótkiego panowania jego syna i bezpośredniego następcy, młodziutkiego Edwarda VI, wprowadzono do doktryn i praktyk religijnych, reformacją według Lutera. Maria postanowiła znieść reformację i oznajmiła o swoim zamiarze poślubienia katolika, króla Filipa hiszpańskiego. Protestanci oczywiście sprzeciwiali się gwałtownie temu mariażowi, a nawet katolicy niechętnie przyjęli projekt w obawie, aby Anglia nie stała się tylko mało ważnym przydatkiem obcego mocarstwa. Sir Thomas Wyatt wzniecił rebelię i z licznym wojskiem zwolenników pomaszerował aż pod bramy Londynu. Tu go odparto, jego wojsko rozgromiono, a jego samego pochwycono i ścięto. Wyatta obwołano bohaterem narodowym, a króla Filipa, który wkrótce potem przybył do Anglii na ceremonię zaślubin, nienawidzono powszechnie, chociaż po kryjomu.

W grupie bawiących się koło doków chłopców, przeważnie małych, nie wyżej dziesięciu lat, wyróżniał się jeden: starszy, wyższy i tęższy. Należał do rodziny katolickiej, bardzo teraz rozpanoszonej, inaczej niż za panowania dwóch poprzednich władców.

Chłopak, imieniem Howard, kazał swym towarzyszom zabawy, przeważnie z rodzin protestanckich, nazywać się Filipem - jak król.

Owego dnia Howard-Filip wyrwał jednemu z chłopców śniadanie: chleb z mięsem. Równie bezceremonialnie poodfcierał innym nożyk, jabłko, wyrzezaną z drewna figurkę. Malcy odsuwali się, czujni, przestraszeni, gotowi do ucieczki. Wszyscy prócz jednego, który pozostał w pobliżu ich dręczyciela, zabawiając się bąkiem. Filip sięgnął po zabawkę. Mały, szybszy od niego, zwinnie schował ją za plecami.

- Uciekaj, Francis! - krzyknął z daleka Któryś z kompanów. - Uciekaj, bo on cię zbije!

Francis zignorował wołanie. O głowę niższy od Filipa, był jednak silnie zbudowany, szeroki w ramionach. Patrzył bez drgnienia prosto w oczy dręczyciela.

- Daj mi bąka!

- Nie dam.

- Daj, bo zbiję cię na kwaśne jabłko!

- Spróbuj.

- A co więcej, będziesz musiał głośno powiedzieć: „Miłuję papieża”, ty przekłety mały heretyku!

- Nigdy!

Filip zamierzył się, mały uskoczył zręcznie. Filip sięgnął za daleko: pochylony, zamachał obu rękoma, by odzyskać równowagę. Francis kopnął z całej siły jego zachęcająco wypięty tyłek. Starszy chłopak poderwał się, odwrócił, aż się krztusił z pasji:

- ...wykończę ciebie...

Ale nawet pogrożki nie zdołał dokończyć. Francis, schyliwszy głowę jak młody byczek, rąbnął go z rozpędu w żołądek. Tamten chwycił oddech, ruszył naprzód. Francis, cofając się, zwinnie podstawił mu nogę. Gdy Filip upadł, mały chłopak skoczył mu na plecy, wepchnął twarz w brudny piasek, wołając do przyglądającej się gromadki chłopców, wśród których było jego dwóch braci, Thomas i John:

- Chodźcie mi pomóc! Chodźcie tutaj, wy tchórze!

Dwaj bracia i paru innych podbiegło, podnieconych ale jeszcze ostrożnych. Dwóch zostało na miejscu, jak przykutych, z oczyma szeroko otwartymi, wierzchem dłoni zakrywając usta. Thomas chwycił kawał liny, walającej się w pobliżu. Filip poderwał się, prawie że udało mu się strącić Francisza ze swych pleców. Teraz jednak tamci chłopcy rzucili się na niego, chwytali za nogi i ręce, okładali pięściami.

Filip mocował się nadaremno, wreszcie zaskomlał:

- Puszczajcie... nie chcę waszego głupiego bąka...

Francis zawiązał pętlę na linie, podniósł za włosy głowę Filipa, wsunął mu pętlę na szyję.

- Trzymajcie drugi koniec, a mocno! - krzyknął do braci. Wstał, pociągnięciem liny zmuszając Filipa do ukłęknięcia.

- Och, puśćcie mnie, puśćcie! - błagał Filip, przerażony. Podniósł błagalnie ręce. - Nigdy więcej was nie tknę! Przysięgam na mszę!

Francis stanął w pozie triumfującego zwycięzcy.

- A tak, nigdy więcej! Już my tego dopilnujemy! - wołał. A potem szyderczo: - Filip! Król Filip! Tak ciebie urządzimy, jakby Wyatt urządził twego imiennika, gdyby go dostał w swoje ręce! - Rozejrzawszy się szybko dookoła, krzyknął do kompanów: - To drzewo się nada!

Dwaj, którzy dotąd trzymali się z tyłu, podeszli nieśmiało bliżej.

- Ależ słuchaj, Francis... - powiedział jeden. - Nie możesz... przecież to by było morderstwo...

- Portkami trzęsą! - warknął Francis.

- Przykazawszy Thomasowi wciąż mocno trzymać jeden koniec liny, chłopcy zawlekli szarpiącego się i wrzeszczącego jeńca pod drzewo. Linę przerzucili przez

gałąź, pod nogi podstawili Filipowi drewniany kloc. Ośmiu chłopców w szeregu chwyciło za linę, jak przy zawodach.

- Kiedy kopnę ten kloc, trzymajcie mocno! - rozkazał Francis i zwrócił się do Filipa:

- Powtarzaj za mną: „Zanim umrę, wyrzekam się papieża...”

- Co wy tu wyprawiacie, łobuziaki?

Chłopcy, podnieceni, przejęci, zaledwie wiedząc - prócz jednego Francisca - co robią, nie spostrzegli biegnących ku nim dwóch ludzi: marynarza i dokera.

- Na duszę Lutra! - wykrzyknął marynarz. - Czy ten chłopak zmysły postradał?!

We dwóch z dokerem odegnali kuksańcami chłopców, trzymających linę i zdjęli pętlę z szyi Filipa. Niedoszły „skoczek z szubienicy” pojękiwał jeszcze, ale wziął nogi za pas i uciekł.

Marynarz chwycił Francisca za kark:

- Ty mały zabijako! Co ci do łba strzeliło?

- On powiada, że on jest król Filip. Chcieliśmy go powiesić - odparł Francis z zawziętym uporem.

- Będę musiał twemu ojcu o tym powiedzieć - rzekł doker. - Ty źle skończysz, smarkaczu, jak tak dalej będziesz sobie poczyniał! - Ale w jego głosie zabrzmiało coś na kształt hamowanego śmiechu.

\ - Czy źle skończę, czy dobrze, to w każdym razie na morzu -' odrzekł Francis. - I najpierw dam nauczkę prawdziwemu królowi Hiszpanii.

- Jeśli nie chcesz ściągnąć biedy na swoją rodzinę, to trzymaj język za zębami - upomniał go marynarz. - Co nie znaczy, żebym tego samego nie mówił, kiedy nikt nie słyszy. A teraz zmykaj do domu, byś nie dostał lania, na które zasłużyłeś.

Dwaj zbawcy Filipa odeszli, mruczając do siebie:

- Ten szczeniak napyta sobie biedy...

- Albo innym kłopotów przysporzy... Prosto mi w oczy patrzył, a tak mi się w rękę szarpał, jak walczący kogut...

Obaj mężczyźni wiedzieli dobrze, jak zresztą wszyscy mieszkańcy Chatham, o tragicznych okolicznościach dzieciństwa małego Francisca Drake'a. Urodził się w roku 1543. Jego ojciec, Edmund, pochodzący z zaściankowej szlachty, gospodarzył na skromnym mająteczku w okolicach Tavistock, na południowym zachodzie Anglii. Ród Drake'ow był liczny i bardzo rozgałęziony, a Edmund należał do najuboższych i najmniej się liczących. O matce Francisca niewiele wiadomo: w skąpych kronikach owego czasu nie zanotowano nawet jej panieńskiego nazwiska. Natomiast wiadomo, że urodziła małżonkowi dwunastu synów.

W okresie, kiedy się urodził Francis Drake, reformacja odcięła kościół angielski od Rzymu. Rozwiązano zakony. Jednakże wielu Anglików - zwłaszcza na zachodzie kraju, w okolicach odległych od głównych ognisk kontrowersji religijnych i politycznych - nie

wyłamało się spod wpływu miejscowych księży, pozostając przy dawnych wierzeniach. Oficjalnie nie narzucano jeszcze większych zmian w praktykach religijnych. Ale Edmund Drake nastawiony antyklerykalnie, zaczął śmiało głosić po wsiach i miasteczkach zasady reformacji.

W roku 1549 zaszła poważna zmiana. Z rozkazu regenta, sprawującego rządu w imieniu króla-chłopca Edwarda VI, wprowadzono w całym kraju nowy ceremoniał nabożeństwa zamiast mszy. Zabroniono umieszczania w kościołach obrazów świętych, zlikwidowano dawny tradycyjny rytuał, określany teraz jako zabobon. Wśród katolików rozgorzała nienawiść do reformacji. Życie protestantów znalazło się w niebezpieczeństwie. Najmożniejszy na południowym zachodzie magnat, lord Russell, który patronował reformatorskim kazaniom Edmunda Drake'a i trzymał do chrztu jego syna, małego Francisa, nie ośmielał się w ogóle wyjeżdżać ze swej siedziby w Tavistock.

A reformator i kaznodzieja, Edmund Drake, musiał pośpiesznie załadować niezbędne sprzęty na ręczny wózek i uciekać wraz z rodziną. Meble i cały dobytek, pozostawione we dworze, uległy rozgrabieniu.

- Dokąd idziemy? - dopytywał się Francis.

- Nie wiem, ale musimy się spieszyć - odpowiedziała matka.

- Czy to będzie wielka przygoda?

- Wolalabym jej nie zaznać.

- Dlaczego musimy się spieszyć?

- Bo źli ludzie mogliby nas pozabijać... w każdym razie zabiliby twego ojca.

Te słowa wypaliły się niezatartym piętnem w umyśle dziecka.

Rodzina Drake'ow szła pieszo, kierując się na południe. Edmund ciągnął wózek, jego żona i jedna sługa niosły każda po jednym niemowlęciu. Francis, jasnowłosy i niebieskooki, maszerował dzielnie, trzymając za rękę Thomasa. Plymouth leżało o dwadzieścia kilometrów na południe, gościniec był kamienisty, nierówny. Wyczerpani, potykając się ze zmęczenia, Drake'owie dotarli wreszcie do domu dawnego przyjaciela, Williama Hawkinsa, zamożnego armatora, właściciela kilku statków i wielu kamienic w portowym mieście Plymouth. Zaczny człowiek sam krył się teraz ze swoimi przekonaniem, ale znalazł dla Drake'ow łódź rybacką, którą dalej mogli uciekać. Francis od razu odzyskał dobry humor podczas krótkiej przeprawy w poprzek portu na wysepkę św. Mikołaja. Pierwszy raz w życiu zetknął się z morzem. Chciwie wciągał słonawy posmak, nurzał rękę w wodzie, pokazywał krążące nad ich głowami mewy, śmiał się radośnie i podskakiwał, gdy łódź ślizgała się po falach.

- Gdybyśmy mogli tak płynąć i płynąć, zawsze! - wykrzykiwał. Jego życzenia miały się rychło spełnić.

W rybackiej chacie na wysepce rodzina schroniła się na parę dni. Odpoczywali, a Hawkins na łodzi szykował mały statek żaglowy. Tym razem podróż miała być dłuższa: wzdłuż kanału La Manche i dookoła południowo-wschodniego wybrzeża, dokładnie tą samą trasą, którą w czterdzieści lat później pożegluje hiszpańska Wielka Armada. Francisa trudno było nakłonić do snu, do chwili choćby odpoczynku. Uganiał po pokładzie, wkradał się w łaski marynarzy, zasypywał ich pytaniami. Polubili go za jego niespożytą energię i ciekawość. Czasem _plątał się im pod nogami, przeszkadzał, zarobił kuksańca raz i drugi, ale nie sposób go było nie lubić.

- Tato! Chcę być marynarzem. Czy będę mógł zostać marynarzem, kiedy dorosnę?

- Może - mruknął Edmund. Był irytujący, jak zwykle rodzice. - Jak nadejdzie czas, to się zobaczy.

Reformator i kaznodzieja miał pod dostatkiem kłopotów na głowie. Musiał porzucić ojcowiznę. Z czego teraz utrzyma rodzinę? Jaka jest przyszłość protestantyzmu, któremu się poświęcił? To ostatnie zmartwienie trochę zelżało, gdy przyjechali do Chatham. Wschodnie prowincje Anglii opowiadały się twardo po stronie reformacji. Rebelia katolicka wydawała się z tej perspektywy odległa i mało ważna. W istocie, stłumiono ją łatwo.

Doki w Chatham powstały za króla Henryka VIII. Ten władca, rzeczywisty założyciel angielskiej potęgi na morzu, kazał budować wielką, do owej pory nieosiągalną ilość okrętów wojennych. Ale za panowania Marii doki opustoszały: stały milczące, nieruchome. Jej królewska mość miała inne strapienia, nie troszczyła się o budowę okrętów.

William Hawkins miał w Chatham wielu przyjaciół, armatorów i kupców, do których dał Edmundowi listy polecające. Ci przyjęli entuzjastę reformacji serdecznie, dali mu posadę pisarza w magazynach z wełną na eksport, znaleźli dom dla jego rodziny w starym wraku, przycumowanym u nabrzeża.

Francis wychowywał się odtąd wśród woni morza i smołowanego olinowania, z krzykiem mew w uszach od rana do wieczora. Czas wyznaczały mu przypływy i odpływy. Zasypiał i budził się słuchając plusku fal o burty wraku. Nauczył się wiosłować, żeglować na małych stateczkach, oceniać wiatry i prądy. Jego ręka nawykła do żagli i steru jak ręka rolnika do pługa i brony. Stał się prawdziwym żeglarzem, który czuje się bardziej w domu na wodzie, niż na łodzi i instynktownie wykorzystuje zwrot wiatru i przypływ morza dla własnej korzyści. Zadręczał ojca:

- Obiecay, że będę mógł iść na morze... kiedy trochę podrosnę... Edmund uśmiechał się na widok jego zapału, ale odpowiadał wciąż tak samo:

- Być może... jeszcze zobaczymy...

- Jeśli mi nie pozwolisz zostać marynarzem, ucieknę z domu na morze!

Edmunda groźba nie przestraszała. Większość małych chłopców przynajmniej raz w życiu planuje ucieczkę. Obowiązkiem ojca było dać wszystkim synom co najmniej podstawowe wykształcenie: nauczyć ich czytać i pisać. Francis uczył się łatwo, orientował szybko: zawsze tak będzie. Znacznie później nauczył się mówić biegle po hiszpańsku, bez pomocy podręcznika czy nauczyciela. Z pewnością posiadał „mało łaciny a jeszcze mniej greki”; ale to samo zarzucano innemu wielkiemu elżbietańczykowi, Williamowi Szekspirowi. A przyszłe losy miały prowadzić Francisę Drake’a do krain, gdzie po łacinie nie mówiono.

W Chatham Francis wysłuchiwał nieraz powtarzanej przyjaciółom opowieści o ucieczce całej rodziny przed napastliwą furią katolików. On sam opowiadał o tym kompanom zabaw, być może z upiększeniami, jak zwykle chłopcy. Pewne jest, że na zawsze utkwilo w jego pamięci wrażenie owego śmiertelnego strachu, z jakim jego rodzice spieszyli po gościńcu z Tavistock do Plymouth. U kolan matki uczył się nowych, protestanckich pacierzy, wzywających pomsty karzącej ręki Boga na papistów i antychrystów.

Król-chłopiec zmarł w roku 1533. Protestanckiego regenta, hrabiego Northumberland, katolicka królowa Maria kazała ściąć. Sir Thomas Wyatt wzniecił ową nieszczęsną rebelię. Wraz z nim zginęło wielu przyjaciół i krewniaków rodziny Drake’ów.

- Pamiętajcie zawsze, - mówił Edmund - że Sir Thomas i ci bliscy nam i drodzy ludzie zginęli dlatego, iż podnieśli rękę w obronie protestantyzmu, Anglii i wolności, a przeciw papizmowi, Hiszpanii i niewoli.

Wrak u nabrzeży Chatham stał się ośrodkiem spotkań protestantów, oficjalnie uznawanych za buntowników przeciw koronie. Przeprowadzone przez Henryka VIII zerwanie z Rzymem miało podłoże osobiste i polityczne, a klasę rządzącą przekupiono, by je popierała. Teraz wśród niższych sfer z wolna wschodziło i dojrzewało nasienie idei luteranckich. W przeszłości z ambon głoszone umiejętnie połączenie dogmatów religijnych i feudalizmu. Teraz wolność religii, głoszona przez reformatorów, wydawała się kluczem do innych wolności także. Wyznawcy nowej religii przychodzili do Edmunda po zapadnięciu zmroku, nie więcej niż po kilku naraz, by słuchać odczytywania zabronionej Biblii w języku angielskim. Przy koi Francisca znajdowała się wąska szpara w przepierzeniu, oddzielającym kabinę chłopców od izby, w której odbywały się spotkania, czytanie Biblii a później rozmowy, kiedy to gromy leciały na królową i na Hiszpanię. Francis, z uchem przy szparze, wysłuchiwał wciąż na nowo powtarzanych słów:

- Papizm jest wrogiem duchowym, Hiszpania wrogiem fizycznym...

- Papizm chce wzbronić Anglikom swobody myśli i słowa, podporządkować ich klechom, zabronić im studiowania Biblii w rodzinnym języku, interpretowania jej

według własnego sumienia... papizm chce nas oddzielić od własnego, osobistego stosunku do Boga...

- Katolicka Hiszpania podbiła Nowy Świat, a teraz chciałaby zakuć w kajdany Europę, a zwłaszcza kraje, w których rozwija się luteranizm: najpierw Niderlandy, później Anglię...

Słuszne czy nie, takie były podówczas przekonania większości Anglików. W umyśle Francisa protestantyzm i patriotyzm połączyły się w nierozdzielną jedność, a wróg miał dwa oblicza: duchowe reprezentowali księża, a doczesne - potęga króla Filipa.

Zasiane ziarno wschodziło i rozwijało się, rozgrzewane bujną wyobraźnią chłopca, młodzieńczą żądzą przygody, wrodzonym umiłowaniem morza, gdzie wszechwładzę potężnych galeonów króla Filipa wyzywali jedynie piraci. Pierwszym owocem tego ziarna była zabawa, która mogła się skończyć tragicznie dla chłopca o niefortunnym przezwisku. Doker ze śmiechem zrelacjonował wydarzenie Edmundowi. Zgodnie z purytańskimi zasadami wychowawczymi, ojciec sprawił synowi lanie. Zakazał mu też surowo głośnej buntowniczej gadaniny, która, gdyby doszła niepożądanych uszu, sprowadziłaby klęskę na całą rodzinę. Francis zniósł chłostę po męsku, ale w duchu wytłumaczył ją sobie strachem ojca przed papistami i hiszpańskim królem.

- Nigdy nie będę się bał ani papistów ani Hiszpanów - powiedział wyzywająco do Thomasa. - Będę z nimi walczył...

- Jak?

- Jeszcze nie wiem. Ale Hiszpanię tylko na morzu można osiągnąć. Już ja znajdę sposoby...

Francis był dzieckiem swojej epoki. Z pragnienia religijnej i narodowej niezależności rodził się wtedy w Anglii indywidualizm, tylko z lekka powściągany purytańskimi cechami pracowitości i odpowiedzialności.

Królowa Maria poślubiła, jak tego pragnęła tak bardzo, Filipa hiszpańskiego. Przywróciła mszę, dawny rytuał religijny, ceremoniał katolicki, obrazy w kościołach. Kazała spalić na stosach ponad trzystu protestanckich pastorów i wielu innych heretyków. Rodzice Drake'a uniknęli prześladowań, ale żyli w codziennej trwodze, nie przestając jednak szerzyć buntowniczych idei religijnych i politycznych.

Rodzina się powiększała, na wraku było coraz tłoczniej i coraz więcej dzieciarni trzeba było nakarmić z tej samej skromnej pensyjki Edmunda. Starszych chłopców musiano wyprawić z domu na zarobek. A prócz tego, Francisa roznosił nadmiar żywotności i dobrze by było jego energię jakoś ukierunkować, by nie doszło do następnego incydentu jak ten, który nieomal zakończyłby się prawdziwą tragedią.

Edmund pewnego dnia przyprowadził z sobą na wrak nieznanego gościa. Był to mężczyzna wzrostu dość niskiego, ale szerokiej piersi i potężnych mięśni, o włosach i brodzie barwy rudawej, o dziwnym wzroku, jakby nie widział najbliższego

otoczenia, ale wpatrywał się w odległy horyzont. Miewają takie spojrzenia żeglarze. Z kabiny wyproszono wszystkich, prócz Francisa.

- To właśnie jest ten mój chłopak, kapitanie Taggart - rzekł kaznodzieja.

- Żeglarz powiedział z uśmiechem:

- Podejdź tu do mnie, niech ci się przypatrzę!

Pomacał mięśnie ramion i ud Francisa, któremu przez myśl przemknęło wrażenie:..."jakby cielaka kupował!" Taggart odstąpił o krok.

- Wydaje się silny na swoje lata. Cóż, nie najgorszy z niego szczeniak. Lubisz morze, chłopcze?

- Więcej, niż... wszystko na świecie, szanowny panie!

- Tylko tam nie będzie tak, jak tu, przy ujściu - zauważył David Taggart. - Zanim mój statek wejdzie do portu na kontynencie, musi pokonać niejedną wysoką falę, burzę i wichurę. Jak myślisz, czy będziesz chorował?

- Na pewno nie będę, szanowny panie!

- Zobaczymy. Jeśli się przechorujesz, to ci później przejdzie. Każdy z nas tak zaczynał... Chcesz żeglować ze mną?

- Bardzo chcę!

- To mi się podoba! - rzekł Taggart. - Lubię taką ochotę! Więc cóż, Edmundzie, myślę, że wezmę go na próbę. Do Francji, może do Holandii, ładunek już na statku. Czy możesz go jutro przysłać do mnie?

Tu Francis się wmieszał:

- Oczywiście, proszę pana, oczywiście! Nawet dzisiaj, jeśli szanowny pan każe.

Kapitan poklepał chłopca po ramieniu.

- No, przekonamy się, co z ciebie wyrośnie. Powinieneś być krzepkim zuchem. Z dobrej rodziny się wywodzisz. Takiej, co to: „Górami protestantyzm, precz z królem hiszpańskim"! Co? - Jeszcze dorzucił, zwracając się do Edmunda: - Jeśli w tej podróży będzie się dobrze spisywał, to go zarejestruję jako ucznia po powrocie do domu. Jutro świeżym rankiem, chłopcze. Znasz z pewnością „Nancy”. Stoi przy tamtym nabrzeżu. Na tej łajbie się wykołyszysz!

Tak więc na wraku opróżniono jedną koję, i o jedną głodną gębę było mniej do nakarmienia. Niespożyta energia Francisa okiełznano, skierowano do użytecznych celów. A Edmund Drake przysłużył się swej ojczyźnie lepiej, niż mógł sobie wyobrazić. Towarzysze zabaw jego syna pierwsi obwołali wiadomość, którą w niewiele lat później co pewien czas będzie powtarzać każdy Anglik:

- Drake wychodzi na morze!

Rozdział 2

„NIE BĘDĘ ŻYŁ W NĘDZY”

Plymouth - piękna, naturalna przystań w zatoce wewnątrz południowo-zachodniego krańca Anglii, wydłużonego na kształt stopy. W drugiej połowie szesnastego wieku port ten stał się jednym z głównych ośrodków marynarki wojennej i handlowej. Tuż nad cieśniną, zwaną Soundem, na wyniosłej skarpie strzyżono i wałowano rozległą murawę, aż utworzyła równiutki zielony kort, na którym co zamożniejsi mieszkańcy zabawiali się grą w kule.

Przy najgłębszej zatoce, Sutton Pool, osłoniętej skrętami prowadzącego do niej kanału, mieściło się nabrzeże Hawkinsów, założone przez Williama Hawkinsa, tego samego, który był przyjacielem rodziny Dra-ke'ów i otoczył ich opieką w roku 1549, a zmarł w cztery lata później. Nieco cofnięte od przystani wznosiły się długie budynki magazynów, mocne i trwałe, zbudowane z kamienia. Tam, w skromnie urządzonej kantorku, siedzieli pewnego dnia w roku 1563 dwaj synowie starego armatora, starszy nazwany po ojcu Williamem i młodszy, John. Obaj liczyli już wówczas ponad trzydziestkę; William zarządzał całym przedsiębiorstwem, John osobiście prowadził dalekie wyprawy. Razem z nimi usiadł za stołem mężczyzna o dobrych paręnaście lat od nich młodszy, barczysty i krępy, o przenikliwych niebieskich oczach, jasnym wąsie i wesołym, energicznym wyrazie na ogorzalej od wiatrów twarzy żeglarza.

- Więc jesteś synem Edmunda - mówił William. - Już to samo starcza za najlepszą rekomendację. I ja, i John, pamiętamy twego ojca bardzo dobrze. W tych stronach ceniono go i lubiano. Co porabia teraz twoja rodzina, Francis?

- Lepiej im się wiedzie i czują się bezpieczniejsi, od kiedy panuje nam najmiłościwsza królowa Elżbieta - odrzekł młody mężczyzna. - Po przywróceniu praw naszej religii wyświęcono mego ojca na pastora, chociaż już był w podeszłym wieku. Ma teraz niedużą parafię. Oczywiście, nadal tam w domu nie przelewa się, ale ojciec czuje się szczęśliwy wśród swoich parafian, którzy go kochają.

Wokół Elżbiety, córki Henryka VIII i Anny Boleyn, za panowania jej siostry zogniskowało się nielegalne stronnictwo protestanckie. Chociaż, jak tysiące Anglików, Elżbieta aż do śmierci Marii pozornie stosowała się do rytuału katolickiego, jednakże wychowano ją od wczesnego dzieciństwa w duchu reformacji. Co więcej, jej główny doradca William Cecil, urzędnik z zawodu, człowiek skromnego pochodzenia, przekonał ją, że luteranizm utrwalony jako religia państwowa wzmocni jej tron, będzie dobrodziejstwem dla kraju i pozwoli Anglii stanąć na czele protestantów europejskich. Tak więc to, w co mieli wierzyć lojalni obywatele, zostało określone prawem świeckim i wbrew dość zresztą słabej opozycji katolików, religijny zapal, społeczny obowiązek i

przywiązanie do suwerena - stopniowo stapiały się w jedną całość. Przez wiele lat nikt nie był uważany za patriotę, jeśli nie był żarliwym protestantem, a nikt nie mógł być dobrym protestantem, jeśli nie był patriotą.

- A co z twoimi braćmi? - rozpytywał John Hawkins.

- Starsi pływają na różnych handlowych statkach przybrzeżnych. - Z uśmiechem Francis dorzucił: - Od czasów Chatham wszyscy mamy przyprawę soli morskiej w naszej krwi.

- To świetnie! - powiedział wesoło William. - Morze da wam profesję piękną, a przy odrobinie szczęścia i rozumu także zyskowną w naszych czasach! - I mrugnął do Johna.

Familii Hawkinsów morze przynosiło rzeczywiście nie lada zyski. Szkutnictwo było już przemysłem narodowym, choć jeszcze na skromną skalę. Stary William wysyłał statki na wschodnie wybrzeża Ameryki Południowej, jego synowie od niedawna organizowali wyprawy z niewolnikami z wybrzeży afrykańskich na Karaiby. Krajowcy na wyspach Indii Zachodnich nie chcieli nagiąć się do pracy dla hiszpańskich kolonizatorów, więc ich w większej części wytępiono. Jednakże Hiszpanie potrzebowali rąk do pracy na zakładanych plantacjach trzciny cukrowej i korzeni; zaczęli więc kupować Murzynów afrykańskich, przewożonych statkami do Nowego Świata. Król Filip usiłował ustanowić monopol na ten handel żywym towarem, ale nie był w stanie zaspokoić potrzeb plantatorów. Toteż John Hawkins, a także wielu francuskich i holenderskich korsarzy, podejmowało się ryzyka, związanego z zaspokajaniem tych potrzeb.

Niewolnictwo istniało od najdawniejszych czasów. Biskupi w Indiach Zachodnich należeli do najmożniejszych właścicieli niewolników. W przyszłości humaniści potępiają handel niewolnikami, ale w wieku szesnastym mało kto się nad tym zastanawiał. Powszechnie w Europie panował pogląd, że ludzie kolorowych, silnych fizycznie a umysłowo słabo rozwiniętych, Pan Bóg stworzył po to, by ludzie biali mieli się kim posługiwać. Chrześcijanie, zarówno katolicy jak i protestanci twierdzili, że zabierając Murzynów z pogańskiego środowiska i sprzedając do krajów, gdzie misjonarze mogli ich nauczać „wiecznej prawdy”, prowadzili dzieło miłosierdzia, zbawiając dusze od ognia piekielnego. Czy monarchowie, politycy i kupcy troszczyliby się o te dusze, gdyby im to nie przynosiło olbrzymich zysków - to już inna sprawa. - Opowiedz mi coś o sobie - zachęcał Francis John Hawkins. - Słyszeliśmy, że jesteś już doświadczonym żeglarzem, z własnym statkiem.

- Trochę doświadczenia zyskałem, ale tylko na płytkich morzach. Przez ostatnie trzy lata żeglowałem na moim własnym statku. Kiedy miałem trzynaście lat, chciałem nade wszystko ruszyć na morze, a to odpowiadało memu ojcu. Zaokrętował mnie jako

chłopca okrętowego u szypra, Dawida Taggarta, prowadzącego handel wzdłuż wybrzeży, a czasem zaglądnącego do portów Francji i Niderlandów...

- Co to był za statek?

- Mały, dwadzieścia pięć ton wyporności, ale dobrze zbudowany, a Taggart utrzymywał go w doskonałym stanie. Najzacniejszy to był człowiek, tylko bez ambicji. Po naszej pierwszej podróży odprawił takiego dość gburowatego marynarza, który pomagał na „Nancy” i odtąd radziliśmy sobie we dwóch. A wprędce żeglowanie mnie pozostawił. Taggart lubił smacznie zjeść i sam wybornie gotował. Większość pieniędzy wydawał na kupowanie przypraw i prowiantu i wciąż nowe potrawy wymyślał...

- Tym lepiej dla ciebie - zaśmiał się William. - Dobrze się odżywiałeś i zarazem uczyłeś się samodzielności w prowadzeniu statku. To ci odpowiadało, co?

- To było to, czego najbardziej chciałem - odrzekł Francis. - Jeszcze zanim wyszedłem w morze wiedziałem, że to jest życie dla mnie, a później się w tej pewności utwierdziłem. Tylko mi snu brakowało, bo kiedyśmy byli na morzu, mało kiedy mogłem oczy zamknąć. Taggart zwykł mawiać: „Zacny statek, mierne morze i przychylny wiatr - cóż więcej człowiekowi potrzeba?” Z początku zgadzałem się z nim, ale później mi do głowy przychodziło, że jednak chciałbym więcej.

- Szkół to chyba niewiele liznałeś?, co? - pytał William. - Chciałeś się uczyć?

- Właściwie mówiąc, nie. Do książek mnie nie ciągnie. Wystarczało mi uczyć się na morzu, na statku, radzić sobie z przeciwnymi żywiołami. A Taggart niemało mi naopowiadał o historii i sprawach morskich, o budowie statków. On dawniej pływał na wielkich jednostkach, wzdłuż brzegów Hiszpanii i Portugalii, dużo wiedział, dużo umiał. Gadał tak sobie, dorywkowo, ale ja się z jego opowiadań niejednego dowiedziałem.

- Jakim sposobem mogłeś mieć własny statek? Chyba nie odłożyłeś dosyć pieniędzy na kupno?

- Och, nie. Taggart umarł na jakąś infekcyjną chorobę, której się nabawił we francuskim porcie. Był starym kawalerem, więc „Nancy” mnie zostawił. Dobrałem sobie kumpla, o parę lat ode mnie młodszego, i pływaliśmy dalej.

- Jak na twój wiek dobrze ci się powiodło i miałeś dobre widoki na przyszłość. Czemu rzuciłeś to wszystko?

- Powodów było kilka. „Nancy” żywiła mnie, ale nic ponadto. Nawet niewiele mogłem pomagać rodzinie. Przywoziłem różne tam podarunki z kontynentu, ale z gotówką było krucho. Taggart naopowiadał mi o dalekich lądach, gdzie, jak mówił, złoto płynęło rzekami, a drogie kamienie leżały na ziemi, tylko podnieść. Jestem młody, panie Hawkins. Zapragnąłem przygód. I to sobie zapowiedziałem, że całego życia nie przepędzę w biedzie, jak mój ojciec. Ufam, że jestem dobrym protestantem, wierzę w Boga i odmawiam pacierze, ale to nie znaczy, że muszę tylko Biblię odczytywać, kiedy

na szerokim świecie są skarby, a ja mógłbym sobie coś z nich uszczknąć. I wtedy właśnie Hiszpania, jak wiecie, zamknęła swoje porty dla statków angielskich, za to, co ich król nazywa pirackimi wyczynami w jego dominiach. I zagarnięto wiele angielskich statków, stojących podówczas w hiszpańskich portach, a marynarzy z załóg ogłoszono heretykami i zesłano na galery, jeżeli od razu nie wymordowano. To mnie ostatecznie przekonało...

Tym razem z kolei John mrugnął na brata.

- Więc chcąc się wzbogacić, czemu przywędrowałeś tu, na zachód? Przecież Londyn jest największym z naszych portów, stamtąd odchodzą statki na Morze Śródziemne i dokoła Przylądka Dobrej Nadziei, a także na północ, do Rosji.

- Pan sobie żartuje, panie Hawkins. Trawa jest zieleńsza, jak powiadają, po tamtej stronie góry. A ta góra, to Atlantyck. Cała Anglia wie, że statki Hawkinsów tam żeglują, a pan sam nie tak dawno temu wróciłeś z wyprawy na Karaiby z wielkimi zyskami dla tych, którzy dzielili koszty i niebezpieczeństwa.

- Tak, tak, młody człowieku, myśmy już sami odgadli, o co ci chodzi - mruknął William. - Mówiąc krótko, „chcesz się zaokrętować na któryś z naszych statków.

- Okazywaliście zawsze wiele przychylności naszej rodzinie, panie Hawkins. A ja ośmielałem się zapewnić, że będę wam służył dobrze i że nie pożałujecie tego*..

- Nie mam powdțiilor wątpić o tym. Ale akurat teraz nie przygotowujemy żadnych wypraw na tamtą stronę Atlantyku. Poza tym, chociaż wierzymy we wszystko, co mówisz, jednak będziemy musieli cię wypróbować.

- Oczywiście, wszędzie, w każdej podróży, na każdym statku - entuzjastycznie zapewniał Drake. - Nie dostałem tak dużo za sprzedaż „Nancy” i większą część z tego oddałem ojcu. Potrzebne mu były pieniądze. Teraz muszę zarobkować.

Francis Drake znalazł się wkrótce w charakterze trzeciego oficera na dużym statku handlowym Hawkinsów, „Avonie”. Dzięki dyplomatycznym przetargom zniesiono w Hiszpanii embargo na statki angielskie, więc „Avon” pożegłował na Zatokę Biskajską. Podróż, podczas której Drake poduczył się niezłe hiszpańskiego, nie obfitowała w przygody. Ale jedno wydarzenie pogłębiło nienawiść młodzika do króla Filipa i jego tyranii.

Kiedy „Avon” stał w porcie San Sebastian, wypuszczono tam właśnie z więzienia załogę angielskiego statku, zagarniętego zgodnie z poprzednim edyktem króla Filipa. Na wpół żywi, zagłodzeni, w łachmanach, marynarze wlekli się do nabrzeża, silniejsi podpierali tych, którzy już zupełnie nie mogli się utrzymać na nogach. Ludzie z „Avonu” rzucili się na pomoc wnieśli i wciągnęli nieszczęśników na pokład. W portach Zelandii, dokąd żegłował swoim małym stateczkiem, Francis nieraz słyszał przerażające opowieści o nieludzkim traktowaniu protestantów w Niderlandach, które właściwie były pod okupacją hiszpańską. Teraz sam widział ofiary hiszpańskiego

okrucieństwa. Twarze porozbijane, członki powykręcane, zmiażdżone palce. Podczas powrotnej żeglugi do kraju, karmieni i pielęgnowani szorstkimi, ale przyjaznymi rękoma, wyrwawszy się z rąk inkwizycji, angielscy więźniowie opowiadali urywkami swoje przeżycia Francisowi, który gdy nie był na wachcie, wciąż przesiadywał między nimi.

- Chcieli nas nawrócić, kazali się wyprzeć naszej wiary...

- Zabrali nam odzież... zostawili nagich...

- Zgniłe lochy, nawet słomy nie dali... szczyry... ani kubła, nasze potrzeby załatwialiśmy na tej podłodze, na której leżeliśmy...

- Przesłuchiwali... brali na spytki... przeklinali nasz Kościół, naszą królową... torturowali...

- ...prawie że bez jedzenia... i tylko jeden kubek wody na dzień...;

- ...upał... zaduch... głód... pić się chciało...

- ...i spać nie sposób... kiedy czasem po prostu z wyczerpania któryś z nas przysnął na chwilę, zaraz wszystkich znowu na spytki ciągnęli, na tortury...

- ...a kiedy nie chcieliśmy zaprzeczyć się naszej wiary, zarzucali nam szpiegostwo... i biczowali...

- ...komu fortuna sprzyjała, ten umierał... najsilniejszych zsyłano na galery, na powolne konanie przy wiosłach...

Niekiedy jakiś nieszczęśnik, pozbawiony słów torturami, wybuchał obłąkanymi krzykami, przeklinał Boga i ludzi, albo tarzał się po kamieniach celi z pianą na ustach.

Może Francis nie wiedział, a może wołał nie pamiętać, że tortury w różnej formie nie były nieznane w angielskich więzieniach. Jezuici, trudniący się potajemnym nawracaniem, bywali skazywani na tortury; chociaż można stwierdzić, jeżeli to jest okolicznością łagodzącą, że nie porywano takich przypadkowych ofiar, jak ci nieszczęśliwi marynarze, chwyceni w sieć chwilowych politycznych nakazów.

Chwilami Drake nie mógł słuchać dłużej. Wypadał na pokład i zaklinał się przed każdym, kto go słyszał, że pomści męki rodaków. Tłąca w jego sercu jgnienawiść do Hiszpanii rozpałała się ogniem.

Kiedy „Avon” zawinął do Plymouth, Drake w kantorku braci Ilawkinsów wybuchnął lawiną oskarżeń, żądając, by go posłano tam, gdzie mógłby najprędzej zadawać ciosy Hiszpanii. William i John byli realistami, interesowali się przede wszystkim statkami i ładunkami, jako środkami zarabiania pieniędzy. Ich wyprawy na Karaiby nie tyle były zwrócone przeciwko Hiszpanii, ile organizowane wbrew jej potędze. Ale spodobał się im gniewny zapał, mniemali zresztą, że z latami i z większym doświadczeniem młody żeglarz trochę się utemperuje. Prócz tego, kapitan statku „Avon” bardzo chwalił zdolności i oddanie swego trzeciego oficera. Więc William łagodził:

- Dobrze, dobrze. Będziesz miał twoją upragnioną sposobność. Następną atlantycka wyprawa...

Francis Drake mało czytał. Nawet na tematy, które go żywo interesowały - morza i oceany, zajmujące umysły zarówno romantycznych łowców przygód jak i awanturników w poszukiwaniu fortuny - mało do tej pory ksiąg przestudiował. Istniała już angielska wersja dzieła Martina Corteza pt. „Krótkie kompendium świata” („Brief Compendium of the Sphere”); natomiast słynna mapa świata Mercatora, podająca żeglarzom możliwość brania kursu według kompasu z jednego punktu do drugiego nie ukazała się przed rokiem 1569. Ale Francis umiał słuchać. A w kręgach ludzi z otoczenia Hawkinsów można było niemało usłyszeć: o złocie i perłach na kontynencie amerykańskim, o cieśninie łączącej Atlantyk z Pacyfikiem, którą odkrył i którą się przeprawił Ferdynand Magellan, i o bajecznym lądzie południowym, zwanym Terra Australis Incognita, który jak przypuszczano, rozciągał się gdzieś w bezkres dalej, za Ameryką Południową.

Toteż Drake aż palił się z niecierpliwości, gdy z początkiem roku 1564 William Hawkins przygotowywał nową wyprawę po niewolników. Wyposażono trzy małe statki. Kupcy londyńscy dopomogli w finansowaniu przedsięwzięcia, na którego czele postawiono jednego ze starych zaufanych kapitanów braci Hawkinsów, Johna Lovella. Drake'a mianowano jego zastępcą.

W pobliżu Wysp Zielonego Przylądka, koło wybrzeży Gwinei afrykańskiej Anglicy natknęli się na statki portugalskie.

- Założyłbym się, że mają ładunek niewolników - powiedział Lovell. - Moglibyśmy zaoszczędzić im trudu przewiezienia ich na tamtą stronę Atlantyku.

- Chciałbym, żeby się bronili! - rzekł Francis. - To by była moja pierwsza bitwa morska!

Portugalczycy go zawiedli. Zwinęli na żądanie żagle. Pod wodzą Drake'a grupa jego ludzi dokonała abordażu, dla postrachu wrzeszcząc i groźnie wywijając kordelasami.

Zdobywszy w ten łatwy sposób niewolników na sprzedaż, przy sprzyjającym północno-wschodnim wietrze, angielska ekspedycja wyruszyła przez Atlantyk. Słońce wstawało rankami nad pustym ogromem morza za sterem, a wieczorami zanurzało się w horyzoncie przed dziobami statków. Wiatr wypełniał płótna, liny skrzypiały w blokach, gdy wachta stawiała żagle. Nocami niebo było jak ciemna misa, błyszcząca gwiazdami. Z rzadka kłębiły się chmury. Drake jeszcze wiele musiał się nauczyć, jeśli chodziło o żeglugę oceaniczną. Przed zaśnięciem wsłuchiwał się w potężny szum i wspominał lekkie muśnięcia fal o wrak stojący w Chatham. Jeśli mu sen umykał, przypominał sobie wszystko, czego się dowiedział jeszcze od Taggarta, ale głównie co usłyszał w otoczeniu braci Hawkinsów o przeprawach przez Atlantyk i o Nowym Świecie.

W piętnastym wieku szlak do Indii wokół Przylądka Dobrej Nadziei był pilnie strzeżony przez Portugalczyków, pierwszych, którzy nim się posłużyli, by przywozić do kraju klejnoty i wysoko cenione przyprawy korzenne. Toteż inne kraje Europy zwróciły wzrok na zachód, spodziewając się, że ląd, do którego tam ewentualnie dotrą, będzie wschodnim wybrzeżem Indii. Kiedy Genuńczyk finansowany przez Hiszpanię, Krzysztof Kolumb, natknął się na ląd, wierzył, iż jest to kontynent azjatycki. Stąd krajowców nazwał Indianami, a nazwa ta oparła się wszelkim próbom filologów, którzy chcieli ją zmienić, na przykład na Amerendów.

Diego Velasquez podbił Wenezuelę i Kubę w roku 1511, a w parę lat później Fernando Cortez zdobył Meksyk. Niebawem dołączono do korony hiszpańskiej Florydę, Ekwador, Boliwię, Peru i Chile. Krajowców wycinano w krwawych rzeziach, pozostałych przy życiu zmuszano do przyjmowania chrześcijaństwa i do pracy w kopalniach srebra. Skarby z tych krain, głównie z Meksyku i z Peru, wywożono statkami do Hiszpanii. Król Filip wyjednał sobie w Rzymie bullę papieską przyznającą mu wyłączne prawa handlowania z Nowym Światem. O tym Drake powiedział do Johna Hawkinsa:

- Nie akceptujemy papieskich decyzji w sprawach religii i nie wiem, czemu mielibyśmy się do nich stosować w sprawach świeckich.

Angielscy kupcy w szesnastym wieku zakładali filie albo umieszczali członków swej rodziny w Kadyksie; różnymi czasy wyprawiali się z Hiszpanami na Karaiby i do Meksyku. Reformacja przysporzyła im kłopotów. Musieli ukrywać swe przekonania religijne, by uniknąć szponów inkwizycji. Kronikarz Richard Hakluyt pisał o tych kupcach, iż „w Anglii pobożnie uczęszczali na protestanckie nabożeństwa, a w Hiszpanii posyłali swych synów na mszę”.

Hiszpańska biurokracja zarządzała Nowym Światem niezwykle. .prawnie. Czuwał nad wszystkim od godziny wstąpienia na tron by-btrooki król Filip, który, chociaż nigdy własnymi oczami nie oglądał swych kolonialnych posiadłości, zarządzał z za swego biurka w Esku-rialu każdym szczegółem, otrzymywał regularne sprawozdania od wicekrólów i gubernatorów, odpowiadał im rzeczową krytyką i precyzyjnymi instrukcjami, a zignorowanie ich oznaczało bezzwłoczną dymisję.

Królowa Elżbieta nie uznała pretensji Filipa do władania wszystkimi lądami i całym bogactwem Ameryki. Twierdziła, że władać można tylko tymi ziemiami, które się faktycznie posiada - a Hiszpania podówczas zajmowała stosunkowo wąskie skrawki przybrzeżne. Gdy to królowej odpowiadało, potrafiła i tę maksymę odrzucić. Jednocześnie wołała uniknąć otwartego konfliktu z Hiszpanią. Tylko więc po kryjomu inwestowała w przedsięwzięcia prywatnych kupców, w wyprawy handlowe na Karaiby i do hiszpańskich dominiów zaatlantyckich - i dzieliła zyski z tych wypraw.

Wczesnym rankiem pewnego dnia Francisa obudziły podniecone głosy.. Pośpieszył na pokład, gdzie przed chwilą właśnie z bocianiego gniazda obwołano: „Łąd!” Stał, wpatrując się w horyzont, a statek przybliżał się do Wysp Zawietrznych i Podwietrznych, zakreślonych ogromnym łukiem od północnego zachodu na południe poprzez wejście na Morze Karaibskie: Antigua, Gwadelupa, Martynika, Barbados, Granada. Mało jeszcze kto z Europejczyków penetrował te wyspy. Krajowcy okazali się niegościnni, wrogo wobec białych usposobieni, i Hiszpanie na razie dali im spokój. Statki Lovella żeglowały między wyspami. Oslaniając oczy przed tropikalnym słońcem, Drake przyglądał się drzewom, zgiętym ku zachodowi z powodu przeważających wiatrów, wierzchołkom gór wulkanicznego pochodzenia, zmywanym potężnymi falami skałom wybrzeża. Rzekłszy prawdę, piękno przyrody mało go interesowało. Później będzie opowiadał swemu bratankowi i chrześniakowi:

- Mijałem te wyspy, jakbym przechodził przez wrota, prowadzące mnie do fortuny, do sposobności pomszczenia cierpień i hańby, zadawanych angielskim marynarzom.

John Hawkins zlecił Lovellowi sprzedać niewolników w Rio de la Hacha, na wybrzeżach Kolumbii. Wydawało się początkowo, że to łatwo pójdzie. Hiszpańscy plantatorzy wysłali łódź z wiadomością, że jeżeli Lovell ma niewolników na sprzedaż, to niechaj ich wysadzi na ląd w pewnej odległości od miasta. Lovell z Francisem stojącym obok niego, rozpytywał Hiszpana:

- Czy ci, którzy cię wysłali, chcą kupować i mają pieniądze?

- Niewolników bardzo potrzebują - brzmiała odpowiedź. - Ale trzeba zachować przeczność. Gubernator, don Miguel de Castellanos, otrzymał niedawno ponowne, bardzo surowe rozkazy, wzbraniające handlowania z kimkolwiek, prócz naszych rodaków.

- Czy więc będzie interweniować? - pytał Lovell.

- Sam jest plantatorem - odrzekł Hiszpan. - Pilno mu dostać niewolnika, jak i innym. Będzie się trzymał z dala od wszystkiego, a jeden z plantatorów zakupi czarny towar w jego imieniu.

W jednej ze swoich wypraw, w innym mieście hiszpańskich dominiów, John Hawkins zawarł pewnego razu pakt z gubernatorem. Umówiono się, że początkowo gubernator odmówi pozwolenia na wyładowanie niewolników. Wówczas Hawkins upozorował najazd na miasto, a gubernator, który dysponował niewielu żołnierzami a jeszcze mniejszą liczbą dział, mógł oznajmić, że handlował tylko po to, by ocalić miasto i mieszkańców od rzezi. Drake znał tę historię, a sam wierzył porzekadłu, że odważnym szczęście sprzyja. Powiedział jednak do Lovella, gdy łódź odbiła od burty statku:

- Wiesz, ja tu węszę zdradę. Radziłbym ci tak zrobić, jak John Hawkins kiedyś. Każ, by chłopcy puścili parę salw z armat na miasto, a potem ląduj z tyłu zbrojnymi, ilu

możesz pozbierać!

Ale bojaźliwy Lovell odrzekł:

- Hawkinsowie są w dobrych stosunkach z rządem i z samą królową, toteż im uszło na sucho. Nas nikt nie zna. Za taką awanturę w hiszpańskich dominiach królowa głowy nam pościnać każe!

- O ile osiągniemy sukces, to królowa wszystko puści w niepamięć, a sukces mamy w zasięgu ręki! - odparł Drake.

Lovell ryzyka nie lubił. Załadował na pinasy dziewięćdziesięciu dwóch niewolników i paru marynarzy, by ich zaganiali, i wylądował na wybrzeżu w punkcie, który posłaniec wskazał. Swego wojowniczego zastępcę przezornie zostawił na statku. Jak się okazało, Francis był przenikliwszy od swego kapitana. Skoro tylko wysadzono na brzeg niewolników, de Castellanos z owym Hiszpanem, który przyplłynął łodzią i z małym oddziałem hiszpańskich żołnierzy, wypadli zza kępy drzew, gdzie się ukrywali.

- W imieniu mego pana zapytuję, co wy tu robicie na terytoriach hiszpańskich? - zapytał groźnie.

- Przybywamy jako spokojni kupcy, żeby handlować - odpowiedział Lovell.

- Przywileje handlowe mają tu jedynie nasi kupcy. Znacie rozkazy króla Filipa równie dobrze, jak i ja. Jesteście piratami, a wasi niewolnicy, to kontrabanda. Konfiskuję ich.

Żołnierze de Castellanos ruszyli naprzód. Lovell miał przy sobie za mało ludzi, by próbować oporu. Wrócił więc, upokorzony i wściekły, na statek, bez niewolników, nie uzyskawszy w zamian ani pieniędzy, ani towarów. Drake nie okazywał sympatii.

- Bezczelne szachrajstwo - mrucał. - Gdybyś przynajmniej wziął ze sobą silniejszy oddział, ten przeklęty papista może by dobił interesu. A tak, zwyczajnie zagarnął, co mu było potrzebne, a nam - figa. John Hawkins nie będzie z nas rad.

Jeszcze teraz Francis nalegał, by ostrzelać Rio de la Hacha z dział okrętowych, albo też porwać de Castellanos i trzymać go w niewoli dopóki by nie zapłacił za niewolników. Gdzie tylko się ruszył, zewsząd młody żeglarz spotykał się ze strony Hiszpanów z oszustwami i gwałtami. De Castellanos utrzymywał - i tak doniósł w relacji do króla - że całe zajście spowodowali sami Anglicy. Ale Drake nie zwykł rozważać spraw z innego punktu widzenia, prócz swego własnego. Gdy wystrychnięci na dudków żeglarze wychodzili znowu na morze, Drake ze statku wygrażał pięścią mieszkańcom Rio de la Hacha, którzy stali na nabrzeżach i śmieli się z konfuzji niefortunnych Anglików.

- Don Miguelu - wołał - zrobiłeś sobie wroga, który nigdy nie zapomina. Będę tu jeszcze raz i wtedy wyrównam rachunki!

Rozdział 3

NAJCZARNIEJSZA ZDRADA

Pod koniec września, w parę tygodni po powrocie statków Lovella, Francis Drake spędził pracowity dzień na przygotowaniach do nowej ekspedycji, którą tym razem miał dowodzić John Hawkins. Wieczorem młody żeglarz wybrał się konno za miasto, do fermy Harry'ego Newmana, towarzysza okrętowego z ostatniej wyprawy. Drake zaglądał ostatnio dość często na fermę. Kobięcą stroną gospodarki zajmowała się - od czasu śmierci ich matki - siostra Harry'ego, Mary.

- Harry pojechał z ojcem po cieleta, które nam pan Wilkinson sprzedał - powiedziała Mary. - To za tamtym wzgórzem. Nie wiem, jak długo będą, bo z pewnością popróbują nowego jablecznika pana Wilkinsona...

Ładna, czarnowłosa, ciemnooka, o figurze już pełnej ale nie nad miarę - słowem, hoża wiejska dziewczoja. Francis, który nigdy nie czuł się tak swobodnie z dziewczętami, jak w kompanii mężczyzn, szurał w sieni nogami, niespokojnie popatrywał na wypchane ptaki i łby lisów, ozdabiające ściany. Poprzednio Harry zawsze swoją wesołością i humorem wprowadzał dobry nastrój, wciągał do rozmowy zarówno przyjaciela, jak i siostrę. Teraz po raz pierwszy byli sami.

- Muszę pójść do obory, krowom trochę siana zadać - jękała się Mary. - Na łąkach za mało już mają... głodne są...

- Pomogę ci! - zaproponował Francis, rad, że uniknie obowiązku rozmowy.

Mary spuściła na chwilę powieki, uśmiechnęła się, przyjęła pomoc. Posłała Francisa na strych, by zrzucił siano na dół.

- Czy posprzątałeś tam po sobie porządnie? Żeby po resztkach siana nie deptać!

- No, może tu nie całkiem jak na okrętowym pokładzie...

- Domyślałam się tego...

Wspięła się zręcznie na strych i zaczęła widłami zgarniać rozrzucone siano. Ciepło tu było, a woń siana odurzała. Mary wspięła się wyżej, by, jak mówiła, przyklepać po wierzchu. Francis podniósł wzrok w ślad za nią i przed oczyma zamigotały mu bardzo podniecające błyski.

Wdrapał się na górę. Przypadkiem czy też celowo zderzyli się, przewrócili ze śmiechem na ogarniające ich w swe objęcia siano. Francis całował usta dziewczyny i z zachwytem odkrył, że mu odpowiadają wzajemnością. A długa, fałdzista spódniczka Mary gdzieś się wysoko zawinęła... Francis dobierał się do dziewczyny - trochę niezręcznie, trochę po omacku...

- Nie, nie rób tego... ojciec i Harry mogą zaraz... wrócić...

Jej głos rozplynął się w niewyraźnym szepcie, jej ramiona objęły jego szyję. Już żadne z nich nie mogło się pohamować. Otrzeprawwszy się i ogarnąwszy, Mary zauważyła:

- Zabolało. Ale powiadają, że pierwszy raz to tak zawsze... Nie powinniśmy byli... nieprawdaż?

Sumienie, niegdyś kształcone ojcowskimi kazaniami, ocknęło się w młodym żeglarzu, chociaż nieco spóźnione:

- Może... my się pobrać, Mary - wykrztusił. Jeżeli zechcesz.

- Tak. I wtedy wszystko by było w porządku, prawda? Nawet w oczach Boga...

Kiedy wyszli ze stodoły, Mary jeszcze strzepała resztki siana z włosów i ujęła Francisca za rękę:

- Lepiej odejść teraz, zanim oni wrócą. Odgadliby po naszych twarzach... - Położyła mu ręce na ramionach, pocałowała go w usta i dodała: - Kochałam cię od pierwszego dnia, kiedy tu przyszedłeś.

Francis odrzekł z galanterią, chociaż może niezupełnie zgodnie z prawdą:

- Ja też.

- Prędko przyjedziesz znowu?

- Oczywiście. Muszę poprosić twego ojca...

Jadąc z powrotem do Plymouth, Francis zaczął się zastanawiać. Czy kochał ją naprawdę? Sam nie wiedział. Pociągała go, tak. I mówiła, że go kocha. Może to i dosyć. Ale małżeństwo? Francis nigdy naprawdę nie myślał o małżeństwie. Zresztą przewidywał, że niewiele czasu będzie spędzał w domowych pieleszach. Odsunął te myśli, jakby sam się ich trochę wstydził...

Minie ponad rok, nim Mary zobaczy znowu swego Francisca. W ciągu dwóch następnych dni po owej pamiętnej bytności w gospodarce Newmanów, młody żeglarz, zapracowany, uwijał się od świtu do nocy. A może tylko wmówił sobie, że nie może się wyrwać ze statku ani na moment? Wiatr się zmienił na północno-wschodni. Gdyby trwał, pozwoliłoby to Johnowi Hawkinsowi i jego sześciu statkom wyjść z przystani Sutton Pool i pożegłować na nową wyprawę. Wiatr sprzyjał nadal i dnia drugiego października mała flotylla wyruszyła.

Kapitan Lovell zdając relację Hawkinsowi, powiedział, że Francis Drake jest doskonałym i entuzjastycznym żeglarzem, ale ma usposobienie nadto awanturnicze i skłonne do wyzywającej zuchwałości w obliczu Hiszpanów.

- Mnie taka awanturniczość odpowiada - rzekł John Hawkins. - Jeśliby chciał się zapuścić za daleko, potrafię go utemperować.

I zabrał młodego żeglarza na pokład statku, którym miał osobiście dowodzić.

Stosunki angielsko-hiszpańskie pogorszyły się ostatnio. Poseł króla Filipa w Londynie, Diego Guzman de Silva, mieszał się do kłowań przeciwko królowej

Elżbiecie, na rzecz pretendentki do angielskiego tronu Marii Stuart. Był też poinformowany o planach kupców angielskich w związku z hiszpańskim handlem zamorskim i przewożeniem skarbów z hiszpańskich dominiów. Na dworskich balach królowa i ambasador tańczyli, uśmiechali się do siebie, skrywali wzajemny antagonizm. Aż zdarzył się pewien incydent.

Siedem statków króla Filipa weszło do Plymouth bez oddania sygnału kurtuazyjnego - opuszczenia flag - co było tradycyjnie przyjętym zwyczajem, gdy flota wchodziła do obcego portu z pokojowymi intencjami. Statki Johna Hawkinsa miały już działa wciągnięte i osadzone na pokładach. A on sam nie należał do ludzi, którzy by potulnie przyjmowali bezczelną arogancję ze strony Hiszpanów.

- Nasi hiszpańscy przyjaciele chcieliby nas zatopić, zanim wyruszymy - warknął.

- Mamy odpowiedź na to - podjudzał Francis.

- A tak! - A tak! I odpowiemy, jeśli tylko wejdą do wewnętrznego portu na odległość salwy z naszych dział!

Hiszpanie weszli i spotkali się z paroma salwami armatnimi, po których natychmiast zawrócili i stanęli na zewnątrz portu. Hawkins nie miał żadnego upoważnienia, działał bez rozkazów i jego postępek wydał się nazbyt porywczy. Dowódca intruzów wysłał oficera - by się poskarżył. Zanim poseł zdołał usta otworzyć, Hawkins nawymyślał mu z taką gwałtownością, że Hiszpan opuścił pokład, nie wypełniwszy swojej misji. Wynikł z tego zatarg dyplomatyczny. William Cecil, pierwszy minister królowej, wysłał ostrą naganę do Hawkinsa - kopię do de Silvy. Tego samego dnia drugi posłaniec dotarł do Plymouth z osobistym listem od Elżbiety - bez kopii do ambasadora - wyrażającym aprobatę natychmiastowej reakcji Hawkinsa, ale z przezornym dodatkiem:

„...zrozumiesz z pewnością, że wasz suweren nie może brać odpowiedzialności za taki postępek, ani za to, co może uczynisz w przyszłości...”

Metoda działania charakterystyczna dla królowej i jej pierwszego ministra. Elżbieta aprobowała śmiałą odwagę, a nie była ani pierwszą, ani ostatnią z monarchów, którzy posługiwali się dwulicowymi wybiegami, jako główną bronią w dyplomacji. Elżbieta i Cecil byli w bardzo trudnej sytuacji i postępowali ostrożnie, jak linoskoczek balansujący po linie. Anglia nie miała dość sił, by jawnie wyzwać potężną Hiszpanię. Ale mogła użyć swych żeglarzy do napaści, szarpiących wroga - a potem się ich wypierać. Ludzie tacy, jak bracia Hawkmsowie, znali zasady tej gry i z góry je akceptowali.

Żeglarzy, którzy dnia drugiego października wyszli na morze z Hawkinsem i Drakiem, werbowano oficjalnie na wyprawę do wybrzeży Gwinei w Afryce, uważanych powszechnie za sferę zainteresowań handlowych i kolonialnych Portugalii raczej, niż Hiszpanii. Rzeczywisty cel utrzymywano w tajemnicy, dopóki flota nie wyszła na

morze, ponieważ nawet sama królowa dołączyła do wyprawy własne dwa statki, „Jesusa” o siedmiuset tonach wyporności i trzystutonowego „Miniona”. Z tej inwestycji Elżbieta spodziewała się ładnego zysku w złotych dukatach. A gdy Hawkins dotarł do hiszpańskich dominiów za Atlantykiem, królowa mogła udawać gniew, iż przekroczył otrzymane instrukcje.

Razem z „Jesusem” i „Minionem” szły cztery inne statki, wszystkie należące do przedsięwzięcia Hawkinsów: „William and John”, „Angel”, „Swallow” i „Judith”. W skład ekspedycji, dobrze uzbrojonej, wchodził prócz marynarzy również żołnierze. Początek nie zapowiadał się pomyślnie. W cztery dni po wyjściu z Plymouth potężny sztorm na Atlantyku rozproszył flotyllę. A „Jesus”, wbrew wspaniałym pozorom, ogromnemu forkasztelowi i wznoszącej się jak wieża rufówce, źle się spisał. Drewno okazało się zmurszałe, przeciekał fatalnie. Nadbudowa w pewnej chwili groziła w ogóle oderwaniem się od kadłuba. Wydaje się dziwnym, że człowiek o doświadczeniu Hawkinsa wziął w długą podróż oceaniczną statek, kupiony przed dwudziestu laty przez króla Henryka VIII od Niemców, i nawet wtedy już nienowoty. Przez całą dobę pracowano przy pompach i ostatecznie uratowano fałszywego olbrzyma od zatonięcia, a na Wyspach Kanaryjskich, gdzie zebrała się rozproszona flota, cieśle naprawili najgorsze szkody.

Później, w utarczkach przy wybrzeżu afrykańskim, kapitana „Judith” zraniono zatrutymi strzałami. Niebawem zmarł. Hawkins powierzył komendę jego stu pięćdziesięciotonowego statku młodemu Francisowi Drake. Wdzięczny, że mu okazano takie zaufanie, dwudziestoczteroletni żeglarz był podwójnie rad, ponieważ na „Judith” nie było niewolników, tylko towary handlowe. Stwierdzenie, że Drake potępiał handel niewolnikami, byłoby zapewne próbą niezasłużonego wybielania. Jednakże podczas wyprawy z Lovellem przepędził wiele czasu z Murzynami i dręczyła go ich niedola. Współczuł ich cierpieniom.

Ekspedycja, załadowawszy około pięciuset niewolników, w lutym 1568 roku wzięła kurs do Indii Zachodnich. Tam, według osobistej relacji Johna Hawkinsa:

„Zawijaliśmy do jednego portu za drugim... handel szedł pomyślnie, przyjmowano nas dość gościnnie. Nie zdarzyło się nic godnego zanotowania, dopóki nie przybiliśmy do Rio de la Hacha, gdzie gubernator wznosił fortyfikacje i zwerbował ponad stu arkebuzjerów...”

Sama nazwa Rio de la Hacha budziła wściekłość Francisa. Był przeto uszczęśliwiony, gdy zawinąwszy z całą flotą do przystani na wyspie Curacao, Hawkins kazał Drake’owi wziąć dwa statki, „Judith” i „Angel”, i udać się na rekonesans.

- Masz podejść blisko, - wydawał instrukcje John - poprosić o pozwolenie napełnienia beczulek wodą i zawiadomić, że Anglicy pod moim dowództwem przybyli w celach handlowych.

Francis przyjął instrukcję z cichą radością, ale zdziwił się niepo-mału. Czy Hawkins wysłał go celowo, dobrze przecież wiedząc o jego chęci pomsty na gubernatorze de Castellanos - tego można się tylko domyślać.

Dwa statki żeglowały przezornie. Drake, nie schodząc prawie z kapitańskiego mostku, wypatrywał mętnych plam na morzu, zdradzających podwodne mielizny lub rafy. Mniej groźnym widokiem były ogromne żółwie, sennie wygrzewające się na powierzchni, latające ryby, które wyskakiwały chwilami w górę, aż słońce odbłyскиowało w ich stalowej barwy łuskach. Rekiny szły w ślad za statkami, wyczekując wyrzucanych za burtę resztek żywności.

„Judith” i „Angel”, stateczki o płytkim zanurzeniu, można było wprowadzić do wewnętrznego portu tuż przy mieście Rio. Dla ostrożności, Drake nakazał kanonierom stanąć przy działach, gotowych do strzału. Następnie posłał na ląd pinas z małą grupą marynarzy. W chwili, gdy przybili do brzegu, kule z trzech dział na fortyfikacjach miejskich poleciały w wodę tuż przed dziobami statków.

- Na świętego Jerzego! Toż to mordercy! - wykrzyknął Drake. Dostrzegł oddział arkebuzjerów, ruszający do ataku na jego ludzi.

- Wycelować działa na ten długi biały budynek! - zawołał.

I w chwilę później: - Ognia!

Trafiono celnie. Jedna z kul wpadła przez okno do pokoju w białym budynku, siedzibie gubernatora.

- Dobra robota, chłopcy! Jeszcze go raz!

Dowiedziano się później, że gubernator własną osobą przebywał w owym pokoju, wydając rozkazy. Kula roztrzaskała stół, a de Castellanos spadł z krzesła.

Z ludzi, którzy wylądowali, jednego raniono, ale towarzysze zabrali go z powrotem do łodzi i powiosłowali z całych sił do statku. Działa okrętowe wyrządziły trochę szkód w budynkach miasta, ale i kanonierzy na murach zaczęli się wstrzeliwać w cel. Drake kazał więc wybić kotwice i wyprowadził statki, jednak niedaleko, bo tylko do zewnętrznego portu, gdzie się rozgościł z całą bezczelnością.

- Tu nas ich działa nie dosięgną - powiedział do kapitana „Angela”. - Postoimy, dopóki Hawkins nie nadciągnie.

De Castellanos nie miał okrętów wojennych, a nie chciał ryzykować żołnierzy do abordażu.

Po wysłaniu przodem Drake’a, Hawkins jeszcze przez dwa dni stał w Curacao, a później nie spieszył się z żegluga. Trzeciego dnia oczekiwania do portu w Rio wszedł, niczego nie podejrzewając, mały stateczek wiozący pocztę i prowianty z pobliskich wysp.

- Skróci nam nudę czekania! - burknął Drake.

Sam skoczył do pinasa, przywiązanego za rufę i zwołał tuzin marynarzy. Nowo przybyły, stateczek spieszył co tchu do przystani. Arkebuzjerzy z lądu usiłowali osłonić go strzelaniną. Ale ludzie Drake'a byli szybsi a zarazem lekceważyli ogień z muszkietów. Doścignęli stateczek, wzięli go abordażem i trzymając załogę pod ostrzami kordelasów, zagarnęli prowiant, a paczki wyrzucili za burtę. Potem Drake odesłał załogę na brzeg z posłaniem do gubernatora:

„Jeśli nie zechcesz z nami handlować, to my, którzyśmy ci wybili okno, połamiemy ci wszystkie gnaty”.

Przyzeglował w końcu Hawkins i też posłał list do gubernatora, na który otrzymał wyzywającą odpowiedź:

„Jeśli sprzedawanie Murzynów jest jedynym sposobem, by Anglicy mogli zdobyć pieniądze na opłacenie swoich załóg, to niech im lepiej wcale nie płacą... Reprezentuję tutaj króla Hiszpanii i wypełnię jego wolę... Kto bądź by próbował lądować, zostanie odparty przez Hiszpanów, równie odważnych i dobrze uzbrojonych, jak Anglicy”.

Hawkins zauważył sucho:

- Przezorność Lovella wbiła Castellanos w pychę. Francis, weźmiesz dwustu ludzi i wylądujesz z nimi w pewnej odległości od miasta. My tymczasem będziemy bombardować ich fortyfikacje z dział okrętowych. Sam wybierzesz chwilę odpowiednią do ataku.

Żaden rozkaz nie przypadłby Drake'owi bardziej do gustu.

- Już my pokażemy Castellanosowi, że jego Hiszpanie nie mogą równać się z naszymi chłopcami z Devonu!

- Tylko uważaj! - pohamował go Hawkins. - Nie chcę zabitych po żadnej stronie.

Drake się zgodził. Handlować, o ile się da, a jeśli nie - grabić. Ale był przeciwny zbędnemu przelewowi krwi. Później, w ciągu całej swojej kariery, ilekroć brał jeńców, puszczał ich wolno.

- Dobra, dobra! Devonskie pięści wystarczą - odrzekł.

Nie było potrzeby posłużyć się nawet pięściami. Arkebuzjerzy, wysłani przeciw niemu, oddali jedną salwę z odległości zbyt dużej, by mogła być skuteczna i zwrócili się do ucieczki widząc, że napastnicy są liczniejsi od nich. Uciekli bez walki również jeźdźcy - okoliczni plantatorzy których de Castellanos posłał na odsiecz arkebuzjerom. Natomiast drugi oddział, który Hawkins wysadził na brzeg po przeciwnej stronie od miasta, mniej miał szczęścia. Dwóch Anglików zabito.

Żołnierze wycofali się z miasta: wyjechało również sporo co zamożniejszych mieszkańców. Ale de Castellanos wysłał jeszcze jeden wyzywający list:

„...choćbyście całe Indie podpalili, nie udzielę wam licencji na handlowanie!”

Anglicy obrabowali prywatne domy, kościoły, otoczyli kobiety i dzieci. Gubernator nie ustępował. Ale zdezerterował jeden z jego niewolników i w zamian za wolność

ofiarował się Hawkinsowi wskazać mu miejsce, gdzie schowano skarbiec miasta. Poprowadził Anglików do namiotów, ukrytych wśród drzew. Tu znaleźli skrzynie opasane żelaznymi obręczami, pełne sortowanych pereł, złotego proszku, szmaragdów, złotych i srebrnych monet. Drake wpadł w zachwyt:

- Zabierzmy to wszystko i odpłynijmy stąd! - nalegał. - Niewolników możemy sprzedać w Cartagenie. Pamiętaj, że Castellanos ukradł niewolników Lovellowi.

- To jeszcze nie powód, żebyśmy naśladowali jego metody - odparł Hawkins.

- Nie będziemy jego metod naśladowali, tylko mu odpłacimy wet za wet!

Jednakże Hawkins patrzył dalej w przyszłość i nie miał ochoty przekreślać szans późniejszych wypraw. Do gubernatora wysłano gońca pod flagą pokoju:

„Jeżeli nie dasz nam przywileju handlowego, wasz skarbiec znajdzie się na naszym okręcie, a miasto zostanie podpalone. Ale jeżeli zakupisz naszych Murzynów - wszystko ci zwrócimy”.

Na taką zapowiedź plantatorzy i zamożniejsi mieszczanie zwrócili się przeciwko de Castellanosowi: gubernator musi skapitulować, by ocalić ich domy, dobytek i kobiety. Niebawem wynikła z tego bardzo dziwna scena: najważniejszy z Hiszpanów i najważniejszy z Anglików czule się uściskali. Drake zgadzał się na zwrot łupów, zagrabionych w prywatnych domach i kościołach, ale konieczność oddania skarbcza miejskiego - którego piąta część, zgodnie ze zwyczajem”, była prywatną własnością gubernatora - drażniła go niepomierne.

Niewolników ze statków wysadzono na ląd. W pierwszej chwili uszczęśliwiła ich ziemia pod stopami, świeże powietrze w płucach, słońce nad głową. Wszelkie wysiłki Drake'a, Hawkinsa i ich marynarzy tylko w nieznacznym stopniu ulżyły niedoli tych nieszczęśników, zamkniętych w ciasnych pomieszczeniach pod pokładem w ciągu długiej podróży przez ocean, a później po Karaibach, w tropikalnym upale. Nawet dobrze żywionych Murzynów wycieńczył brak ruchu i powietrza. A jednak w parę tygodni później życzyli sobie znaleźć się z powrotem na statkach Hawkinsa. Hiszpanie zmuszali ich do harówki od świtu do zmierzchu, karmili cuchnącymi rybami, poganiali chłostą, a za najłżejsze przewinienie, niechęć wobec przyjęcia religii chrześcijańskiej, powolność w robocie - przywiązywali ich w pełnym słońcu do słupa, z miską wody tuż poza zasięgiem ręki.

Handel kwitł. Sprzedawano niewolników i inne towary, kupowano żywność. Grupa marynarzy przez ten czas zabawiała się polowaniem na aligatory - na przynętę użyto schwytanego na przedmieściu włóczącego się kundla - a siedmiometrowej długości aligatora wypchano i przywieziono jako trofeum do Plymouth. Murzynów sprzedano za dobrą cenę. Statki zaopatrzone w prowiant, za który skrupulatnie płacono. Francis nadal mniemał, że Hawkins nadto jest wspaniałomyślny, ale trzymał język za zębami. Kiedy on sam będzie dowodził wyprawą, rozmyślał, wycisnie co się tylko da z tych

najmitów hiszpańskiego króla, przywiezie wielkie zyski - sobie, królowej i innym armatorom.

Pomieszczenia pod pokładem „Jesusa” wypełniono złotymi i srebrnymi monetami, perłami i klejnotami. Na inne statki załadowano cenne ziemiopłody tropikalnych krain. Kupcy z Rio też dostali, czego im było potrzeba. Przymuszono ich do nieposłuszeństwa suwerenowi, ale żaden z nich nie uważał takiej transakcji za naganną - oprócz króla i rządu w Hiszpanii. By ułagodzić władze, de Castellanos odpowiednio ubarwił relację, wysłaną do Eskurialu.

„Niewolnicy, których ci heretycy tu wysadzili - pisał - byli starzy, najwięcej kobiet i dzieci, umierali piratom w rękę, więc oddali ich nam za darmo, by się ich pozbyć i zaoszczędzić sobie wyrzucania ciał za burtę...”

W rzeczywistości zapłacono za stu pięćdziesięciu Murzynów. Gubernator sam kupił dwudziestu za tysiąc pesetów. Przyjął również w darze od Hawkinsa aksamitny płaszcz ze złocistymi guzami. Nawzajem ofiarował „heretyckiemu piratowi” przepaskę, obszytą w całości perłami. O tych detalach, oczywiście, króla nie informował.

Hawkins zabrał na pokład Murzyna, który zdradził miejsce ukrycia skarbcza miejskiego. Statki wzięły kurs wokół zachodniego przylądka Kuby, na wody Golfstromu i do Anglii. Ale powrót nie okazał się tak łatwy, jak oczekiwano. Gwałtowny huragan zaatakował flotyllę. „William and John” odbił się od innych, a później samotnie dopłynął do kraju. Pięć pozostałych statków wichura zagnała do Zatoki Meksykańskiej. Ten olbrzym na glinianych nogach, „Jesus”, był w tak oplakany stanie, przecieki - jak pisał później jeden z członków załogi - „przez szpary grubości mojego ramienia”, że Hawkins nie odważył się na przeprawę przez Atlantyk, dopóki by nie znalazł przystani, gdzie mógł dokonać solidnej naprawy. Jedyнным odpowiednim do tego portem był San Juan de Ulua, skąd wywożono do Hiszpanii mineralne bogactwa Meksyku, dobywane niewolniczą pracą.

Redę osłaniała wyspa. Tę Hawkins od razu zajął, nie napotykając sprzeciwu i na wszelki wypadek osadził na wysokiej skarpie działa ze swego statku. Następnie zapewnił miejscowego gubernatora, iż przybył w zamiarach pokojowych, życząc sobie jedynie naprawić szkody wyrządzone jego flotylli przez huragan. Zapłaci normalną cenę za wszelki prowiant i materiały, jakich by potrzebował. Podczas pertraktacji, jeżdżąc do portu i z powrotem, Anglicy się dowiedzieli, że w San Juan de Ulua oczekiwano z godziny na godzinę przybycia wielkiej floty transportowej, która miała zabrać nagromadzone w magazynach skarby. Z flotą miał przybyć nowy wicekról Meksyku, don Martin Enriquez.

- To złe wiadomości - mruzczał Hawkins. - Temu don Martinowi na pewno się nie spodoba, że tu jesteśmy, a on będzie miał ze sobą pod dostatkiem zbrojnych

oddziałów!

Drake był zawsze sobą.

- Nie pozwól wicekrólowi wejść do portu - powiedział. - Mając nasze działa wyrzuczone na wyspie, możemy go w ogóle nie wpuścić.

- Dwa z naszych statków są własnością królowej - przypomniał Hawkins. - To, co proponujesz, byłoby aktem wojny. Jeśli ich wpuścimy, to Hiszpanie zaczną działania wojenne - argumentował Drake.

- To już trudno. Musimy zaryzykować - zdecydował Hawkins.

Po wielu pertraktacjach, kiedy to szalupy pędziły tam i z powrotem między wyspą a flotą wicekróla, uzgodniono, że Hawkins może zostać tak długo, ile mu będzie potrzeba do ukończenia naprawy statków, i że żaden zbrojny Hiszpan przez ten czas nie wylądowuje na wyspie. Każda strona dała po dziesięciu zakładników na zabezpieczenie paktu, podpisanego według wszelkich formalności przez don Martina Enriqueza, a w imieniu królowej Anglii przez Johna Hawkirjsa.

- Dawaj baczenie, strzeż się zdrady - ostrzegwał Drake. - Ja bym nigdy nie ufał Hiszpanowi.

- Ani ja, jeśli już o to chodzi - przyznał Hawkins. - Ale tym razem musimy zaryzykować. I czuwać.

Sytuacja w Europie była podówczas równie napięta i niebezpieczna, jak sytuacja Hawkinsa. Beczką z prochem, każdej chwili gotowa wybuchnąć, był konflikt protestancko-katolicki. Francuscy hugenoci chwycili za broń, ich kaprowie na morzu atakowali i zagarniali statki zarówno hiszpańskie, jak i francuskie. Gubernator króla Filipa w Niderlandach władał przy pomocy tortur, prześladowań i płonących stosów. Nie przejawiając dyplomatycznego taktu, angielski ambasador w Madrycie publicznie nazwał papieża Piusa V, świątobliwego dominikanina, „klasztornym oszustem”. Król Filip odesłał go do kraju, a Elżbieta zdecydowała uznać to za osobistą zniewagę jej majestatu. Niespodziewanie nadarzyła się sposobność okazania swej urazy.

Pod koniec roku 1568 król Filip wysłał sto tysięcy funtów (kilka milionów według dzisiejszego kursu szterlinga) na zapłacenie żołdu żołnierzom księcia Alby w Niderlandach. Hiszpańskie okręty szły kanałem La Manche: hugenoci zapędzili je do angielskiego portu. W tym samym czasie rozeszły się pogłoski, że Hawkins został zdradziecko zaatakowany w San Juan de Ulua, a cała jego flota doszczętnie zniszczona. Elżbieta kazała zasekwestrować pieniądze - chociaż obiecała je później zwrócić - z okrętów, które się schroniły w jej portach twierdząc, iż ma powody przypuszczać, że te pieniądze przeznaczone na wykupienie najazdu na Anglię.

Jako odwet, Filip „zamroził” wszelkie angielskie majątki w Niderlandach. Minister William Cecil w odpowiedzi zagarnął majątek Hiszpanów w Anglii, a ich ambasadora umieścił w domowym areszcie. Sytuację między Anglią a Hiszpanią, jaka

się wytworzyła dnia 20 stycznia 1569 roku, można by nazwać według dzisiejszego słownictwa „zimnowojenną”.

Jeżeli wierzyć źródłom historycznym, tegoż dnia w małym kościółku przy nabrzeżu w Plymouth, pastor nazwiskiem Francis Fletcher odprawiał ceremonię ślubną i zapytywał pannę młodą:

- Czy ty, Mary Newman, chcesz wziąć tego oto Charlesa Jonathana Eddy za swego prawnie poślubionego...

Huk, trzask! Rozbite szkło poleciało na głowy zebranych. Kula armatnia padła pod nogi młodej pary, pomiędzy nimi a pastorem, nikomu szkody nie wyrządzając. Równocześnie otwarły się gwałtownie drzwi i do kościoła wpadł młody człowiek, krzycząc:

- Francis Drake wrócił!

Uświęconym tradycją zwyczajem statki, powracające z dalekiej podróży, oznajmiały swoje przybycie wystrzałem armatnim. Celowano w morze. Tym razem nazbyt entuzjastyczny kanonier naśladował widocznie przykład sławetnego strzału w Rio de la Hacha, kiedy to trafiono w okno gubernatorskiego domu.

Mary Newman nie udzieliła pastorowi odpowiedzi. Zebrała w jedną rękę białe tiule i fałdy spódnicy, uniosła je nieco i odwracając się od niedoszłego małżonka, pobiegła tak szybko, jak tylko jej zwinne nogi zdołały ją unieść, wzdłuż nawy, na nabrzeże, wołając:

- Francis żyje! Nikogo innego nie poślubię!

Wierni wybiegli za nią z kościoła, wszyscy krzycząc w podnieceniu.

Po wyjeździe Francisa, Mary opowiedziała ojcu o swoich matrymonialnych intencjach, a brat ją poparł. Ale stary Newman nie chciał mieć za zięcia tego żeglarza, awanturnika bez grosza przy duszy. Życzył sobie, żeby jego córka poślubiła młodego Eddy, którego ojciec był właścicielem prosperującej flotylli rybackiej. Mary opierała się wytrwale, dopóki nie rozeszły się pogłoski o katastrofie, jaka spotkała ekspedycję Hawkinsa. Wówczas uległa. Ale chociaż Charles Jonathan Eddy był dorodnym młodym mężczyzną, wciąż prześladowało ją wspomnienie Francisa i owego wieczoru w sianie na strychu nad oborą.

Mary wpadła na nabrzeże akurat w momencie, gdy Francis Drake - o twarzy zarośniętej i wychudłej, w połatanej odzieży - zszedł na ląd. Rzuciła się na niego, objęła ramionami za szyję. Zaskoczony, wydawało się, że chce się cofnąć, o wiele mniej spragniony od tej młodej kobiety, która się do niego tuliła. Ucałowała go w usta i odstąpiła o krok, mówiąc zdyszczanym głosem:

- Najdroższy! Jak twoja wyprawa? Nam tu mówiono, żeście wszyscy zginęli!

- Wszystkich nas spotkała katastrofa - odrzekł Francis. - Ale cóż to za strój? Weselny?

Już ich otoczył tłum, krzyczący, witający, dopytujący się o pozostałe statki. William Hawkins przepchnął się, uściskał młodego żeglarza.

- Dziękuję Bogu, żeś wrócił. Gdzie John? I reszta? Ale chodź ze mną, tu nie miejsce na rozmowy.

Pociągnął Francisca za ramię. Ciżba się rozstała, dwaj mężczyźni poszli spieszenie, w milczeniu, do kantoru Hawkinsów. William zamknął za sobą drzwi. Mary biegła za nimi, zaciśniętymi pięściami biła w drzwi. Hawkins krzyknął do niej, by sobie poszła:

- Babskie sprawy muszą poczekać!

Znowu odebrano Mary jej ukochanego, ale tym razem już tylko na parę dni. Relacja, nawet pobieżna, o wyprawie do Indii Zachodnich, zajęła Francisowi bite dwie godziny. Gdy wreszcie skończył, William, ze łzami płynącymi po ogorzałej twarzy, zmienionej strapieniem, powiedział:

- Teraz kładź się spać. Jutro skoro świt pojedziesz do Londynu, by powiadomić Williama Cecila o tych okropnych wydarzeniach. Przygotuję konie i dam ci dwóch ludzi, by ci towarzyszyli. Będziecie zmieniać wierzchowce w gospodach przy londyńskim gościńcu, a na powrotnej drodze znowu je wymienicie...

List od Hawkinsa ułatwił Drake'owi natychmiastowy dostęp do Williama Cecila. Pierwszy minister był drobnej budowy ciała, o dużej głowie, przenikliwym spojrzeniu i stanowczych, zaciśniętych wargach. Królowa ceniła go i polegała na jego radach, ale wielu spośród jej dworzan, ludzi mniejszego rozumu, natomiast wyższego urodzenia, szydziło z Cecila za jego plecami, jako z plebejusza i intrygowało - zawsze bezskutecznie - przeciw niemu, zarazem schlebując mu w oczy.

Z dramatu, który miał relacjonować, Drake opowiedział tylko ostatnie sceny. Cecil zabrał go od razu do królowej. Młody żeglarz mógłby czuć się onieśmielony w obecności monarchini, ale nie na darmo był Francisem Drake. Przyklęknął, ucałował wyciągniętą ku niemu piękną rękę i śmiało podniósł wzrok. Ujrzał przed sobą kobietę trzydziestokilkuletnią, dość wysoką, niezwyklej urody, o włosach złocisto-rudych, olśniewającej cerze, pięknych oczach. Jej strój oszałamiał wspaniałością: suknia cała naszywana perłami, z wysoką białą kryzą przy szyi.

- Opowiedz wszystko, ale mów zwięźle - rzekła królowa.

- ...uzgodniono, najjaśniejsza pani, że pozostaniemy na wyspie przed portem San Juan de Ulua, dopóki nie naprawimy statków. Układ ten został spisany i podpisany... I nagle nas zaatakowano! Zdrada najczarniejsza! Zniszczyliśmy cztery statki hiszpańskie i położyliśmy trupem wielu żołnierzy, ale straciliśmy „Angela” i „Swallow”... A „Jesus” w takim był stanie, że musieliśmy go opuścić. Z tymi z załogi, których nie zabito albo nie wzięto do niewoli, kapitan Hawkins przeniósł się na drugi statek najjaśniejszej pani, „Minion”. Udało mu się też zabrać, przynajmniej w części, złoto, srebro i perły, któreśmy zyskali poprzednio z utargów handlowych...

Elżbieta pozwoliła sobie na westchnienie ulgi, nim spytała:

- A co z kapitanem Hawkinsem?

- Nie wiem, najjaśniejsza pani. Bardzo się trwożę o jego los... ale ufam, że jeszcze się wszystko dobrze skończy. Rozkazał mi wyprowadzić „Judith” z portu przed „Minionem”. Uczyniłem tak, rzuciłem kotwicę i czekałem. Nastąpiła noc. „Minion” się nie pokazywał. Rozszalała się wielka burza. Mogło mnie rozbić o skały przybrzeżne, więc wyszedłem na pełne morze. Tam wszędzie dużo drobnych wysepek. Miałem nadzieję, że kapitan Hawkins schronił się za jedną z nich. Ale nadszedł ranek, a „Miniona” nigdzie nie było widać. Nic dobrego nie mogłem osiągnąć czekając, więc wziąłem kurs na Anglię.

- Słusznie zrobiłeś - powiedziała królowa.

Nawet w Madrycie sporo głosów podniosło się przeciw aktowi zdrady, dokonanemu przez don Martina Enriqueza. A kiedy wieść rozeszła się po Anglii, powszechne wzburzenie ogarnęło cały kraj. Chociaż Hawkins przed opuszczeniem „Jesusa” nie tknął ani włosa na głowie zakładników ani też wziętych w walce jeńców i odesłał ich na ląd, Anglików, wziętych nawzajem jako zakładników przez Hiszpanów, poddano torturom inkwizycji. Paru, którym udało się uciec, opowiadało o towarzyszach „wieszanych za ręce na wysokich słupach, aż im krew tryskała z palców”. Wymierzano po dwieście razów chłosty jako karę za protestantyzm, zsyłano na pewną śmierć na galerach. Innych duszono, jeszcze innych wysyłano do Hiszpanii, gdzie ich spalono na stosie w wielkim „auto da fe” na placu w Sewilli.

Takie potraktowanie jeńców usprawiedliwiałoby wypowiedzenie wojny. Ale Elżbieta nie mogła sobie na jawną wojnę pozwolić. Miała statki i marynarzy, nie miała wszakże wojska, które by mogło zmierzyć się z najliczniejszą i najlepiej wyćwiczoną w Europie siłą zbrojną. A król Filip nie tracił nadziei, że zyska Anglię dla Watykanu przez intronizację Marii Stuart. Mając ten cel na oku, księża obiecywali pełną absolucję każdemu z poddanych Elżbiety, któremu by się udało ją zamordować.

Wprawdzie Anglia i Hiszpania nie mogły czy nie chciały wojować otwarcie, ale zajścia w San Juan de Ulua odsłoniły oczom Anglików bestialskie okrucieństwo, ukrywane pod gładką oliwkową skórą hiszpańskich grandów, a w sercach ludzi pokroju Francisca Drake przekształciły chętkę przygody w pragnienie pomsty. Zarazem kazały im tym rygorystyczniej, przestrzegać kanonów postępowania, zbliżonych do średniowiecznej rycerskości.

- Jeśli kiedyś będzie mi dane spotkać znowu don Martina Enriqueza, najjaśniejsza pani, to nauczę go, jak należy dotrzymywać danego słowa - przyrzekł Drake swojej monarchini.

Los nie dał mu tej sposobności. Ale wszystkim Hiszpanom, czy to na Półwyspie Iberyjskim czy też w dominiach hiszpańskich za oceanem, Francis Drake miał być

znany pod przewiskiem „Smoka” - Ei Draque.

Rozdział 4

PO SKARBY ŚWIATA

- Twoje dwa statki razem nie mają nawet stu ton - mówił John Hawkins. - Nie załadujszże żadnej wartej zachodu liczby niewolników czy innego towaru.

- Nie zamierzam handlować - odrzekł Drake. - Moje statki przywiozą do kraju, jeśli wszystko dobrze pójdzie, coś, co zajmie mniej miejsca: uszczknę nieco bogactw hiszpańskim dominiom: złota, klejnotów i pereł.

Hawkins jeszcze się nie zorientował.

- Musisz przecież mieć coś w zamian, by dostać złoto!

Zadając kłam wszelkim obawom i niepokojom, wkrótce po przybyciu Drake'a, Hawkins również zawiął do macierzystego portu na mocno uszkodzonym „Minionie” z garstką pozostałych przy życiu marynarzy.

- Bóg stworzył wszystko, co na tym świecie, a człowiekowi dał swobodę, by sobie brał swoją część - objaśnił Drake. - W Biblii ani słowa nie ma o specjalnych dyspensach dla Hiszpanów. Oni rabują Me-ksykanów i Indian. Ja zamierzam rabować ich.

- Planujesz świadome piractwo, nawet bez pozorów handlu?

- Nazywaj to sobie, jak chcesz. Co zdobędę, będzie ze szkodą dla Hiszpanii. Handel, a zwłaszcza handel niewolnikami, wcale Hiszpanii nie szkodzi. Nawet odwrotnie, umacnia siłę jej kolonii. Mój sposób będzie zadawał bezpośrednie ciosy potędze Hiszpanii. No, i zbiję fortunę o wiele szybciej, niż na handlu - zbiję fortunę dla siebie, dla każdego, kto w moją wyprawę zainwestuje jakąś sumę, a także udział dla każdego, kto ze mną pozełguje i będzie dzielił niebezpieczeństwa.

Afera w San Juan de Ulua wyznaczyła dwie odrębne, ale przybliżające się orbity ledwo na razie widocznej gwiazdzie i wspaniałej królewskiej komecie, o ogonie bez ustanku błyskającym iskrami. Na rozum wzięwszy, kolizja między nimi musiała zgasić słabsze światło. Tylko, że gwiazda nie była zwyczajną, mrugającą świeczką. Drake liczył dwadzieścia dziewięć lat. Wzrostu był ledwie średniego, ale jego podniesiona głowa, energiczny zarys szczęki, potężne bary i muskularne uda świadczyły o niespożytej sile i zawziętości, o pogardzie dla wszelkich przeciwności czy przeszkód, o zażartym uporze. Mógł robić wrażenie porywczego, ale obliczał i planował każdą akcję z rozumną dalekowzrocznością. Jego cele były ustalone i proste, plany ramowe, nie sztywne. Badał teren, na którym chciał działać, ale pozwalał okolicznościom dyktować szczegóły jego posunięć.

Rozmowa z Johnem Hawkinsem odbywała się w dwa lata mniej więcej po katastrofie pod San Juan de Ulua. W ciągu tych dwóch lat Drake wyprawiał się dwukrotnie, jednym małym stateczkiem, dwu-dziestopięcotonowym „Swanem”, na

Przesmyk Panamski w celach zwiadowczych. By opłacić koszty tych wypraw, porywał po piracku mniejsze statki hiszpańskie, obrabowywał je ze wszelkich towarów, jakie wiozły, a rozpytawszy marynarzy o różne szczegóły, dotyczące regularnego transportu złota do Hiszpanii, puszczał ich wolno na ląd, często nawet z podarunkami. Na Przesmyku żyli Cimaroni, zbiegli niewolnicy, którzy pojawiwszy za żony miejscowe kobiety, utworzyli społeczność nękającą hiszpańskich plantatorów, a wymykającą się wszelkim próbom zniszczenia ich i wykorzenia. Drake zaprzyjaźnił się z nimi i od nich uzyskiwał potrzebne mu informacje.

Wszystkie skarby z Peru zwożono statkami wzdłuż wybrzeży Pacyfiku do miasta Panama. Stamtąd karawanami mułów transportowano je do Nombre de Dios na wybrzeżu atlantyckim, portu, do którego zawijały wielkie hiszpańskie statki transoceaniczne. Na połowie drogi między Panamą a Nombre de Dios wybudowano obronną stanicę z załogą wojskową, nazwaną Venta Cruces. Trakt wiódł przez kraj górzysty, porosły podzwrotnikową puszcza o olbrzymich drzewach, gęstym poszyciu, licznych strumieniach. Tu właśnie osiedlili się Cimaroni - potomkowie zbiegłych z plantacji murzyńskich niewolników i indiańskich kobiet. Oni to narysowali dla Drake'a na piaszczystej plaży cały plan miasta Nombre de Dios, ulica po ulicy. Oni też mu powiedzieli, że Hiszpanów na Przesmyku jest niewielu, zaledwie tylu, by obsadzić trzy garnizony.

Drake wyszukał małą naturalną przystań przy wybrzeżach Przesmyku i oznaczył ją szczegółowo na swoich mapach pod nazwą Port Pheasant. Po powrocie do Plymouth, zakupił drugi statek, siedem-dziesięcotonowy „Pasco” i ujawnił swe plany braciom Hawkinsom.

- Miał słuszość Lovell - zauważył John. - Awanturnik z ciebie, palisz się do walki. Narazisz się nie tylko królowi Hiszpanii, ale także najjaśniejszej pani i Cecilowi. Królowa i jej pierwszy minister przytykają oczy, gdy chodzi o nielegalny handel, ale nie zgodzą się na piractwo. Co ci przyjdzie z fortuny, gdy ci głowę utną na pieńku?

- Ja sobie tak kalkuluję, że miłościwej pani bardzo by się spodobało, gdybym parę piórek urwał królowi Filipowi - odparł Drake. - Co więcej, potrzeba jej pieniędzy, i rządowi także. Worek złota albo pereł, a niejeden przywiozę, jeśli mi się uda, tak samo powabnie się przedstawia oczom miłościwej pani, jak i naszym. W każdym razie zaryzykuję. W ciągu roku, to znaczy, nim powrócę, jeszcze się niejedno może zdarzyć w stosunkach między Anglią a Hiszpanią.

Bracia Hawkinsowie, którym też nie brakło odwagi ani przedsiębiorczości, nie zdolali się oprzeć awanturniczemu pokusom młodego zapaleńca. Wyłożyli pieniądze potrzebne na wyplacony z góry żołd dla marynarzy, na zakup broni i prowiantu.

Szpiedzy hiszpańscy nie spuszczała oka z Johna Hawkinsa, którego podejrzewali o chęć pomszczenia porażki i upokorzeń z rąk don Martina Enriqueza. Tracili czas

nadaremnie. Stosunki między Madrytem a Londynem były bardzo napięte, więc Elżbieta trzymała swego pierwszego żeglarza na uwięzi. Wysłała do Johna list, wyraźnie zabraniający mu opuszczania kraju. Ani hiszpańscy agenci, ani rząd angielski nie zwracali większej uwagi na działalność nikomu nie znanego, młodego żeglarza w Plymouth. Co złego lub dobrego - zależnie od punktu widzenia - mogły potędze Hiszpanii zrobić dwa stateczki o łącznej wyporności poniżej stu ton?

Werbunkowe kłopoty Drake'a nie polegały na znalezieniu wystarczającej liczby ochotników, a raczej na wyborze odpowiedniejszych spośród setek, jacy się zgłaszali. Perspektywa wielkiej przygody i ujrzenia bajecznych nowych lądów podniecała młodzików. A prócz tego w całym kraju wrzał gniew z powodu zagrożenia życia młodej królowej, już wtedy romantycznej postaci, cieszącej się wielką popularnością poddanych. Drake nie był odosobniony w chęci zadawania dotkliwych ciosów tym, którzy nastawiali na jej życie, knuli spiski, by ją zdetronizować. Młody żeglarz wziął sobie do pomocy swego brata, Johna Drake'a i powierzył mu komendę „Swana”. Do wyprawy przyłączył się Harry Newman i jeszcze jeden dawny druh, nazwiskiem Oxenham: jasnowłosy olbrzym o ogorzalej od morskich wiatrów twarzy.

Innych ochotników Drake osobiście badał i rozpytywał, siedząc dzień po dniu w kantorze braci Hawkinsów. Starał się wybadać dokładnie ich charakter, zalety fizyczne, doświadczenie, wytrzymałość, motywacje.

- Gotów jesteś na hazardy? - pytał. - Nie boisz się przedwczesnej śmierci, która łatwo może spotkać ciebie, albo mnie? Czy poddasz się surowej dyscyplinie, bo to będzie: „rób, co ci każą, albo zawisniesz na rei?” Czy bardzo lubisz dziewczyny? Bo nie zaznasz tego tam, gdzie my się wyprawiamy. Nie zezwolę nikomu na molestowanie miejscowych kobiet... Czy dużo trunków używasz?

By wypróbować wątpliwych kandydatów, Drake nasyłał swego brata i Oxenhama, by ich kusili do pijackich burd. Kto uległ, ten spotkał się z rozczarowaniem, bo go odsyłano, aby gdzie indziej szukał sobie kompanii.

- Jakie masz żeglarskie doświadczenie?

Francis chciał tylko, by marynarz był obeznany z obsługą żagli i kochał morze. Brak doświadczenia w dalekich podróżach po oceanach nie był przeszkodą. Prawdę rzekłszy, Drake nawet wolał marynarzy, którzy się jeszcze nie przeprawiali przez Atlantyk, nie nauczyli się metod innych kapitanów, często odmiennych od jego własnych.

Ostatecznie wybrano siedemdziesięciu trzech, wszystkich prócz jednego poniżej trzydziestu lat. Drake przewidywał w swoich planach częste posługiwanie się pinasami i szalupami, potrzebne mu więc były młode, silne ramiona do wiosłowania - może w ciągu wielu godzin. Jedynym wyjątkiem był pięćdziesięcioletni Tom Moone, wyborny cieśla, polecony przez Hawkinsów, a tak silny i żwawy, jak każdy młodzik.

- Tom dwakroć ze mną żeglował po niewolników - mówił John. - Możesz polegać na nim w każdej potrzebie, i to nie tylko w znaczeniu siły fizycznej.

Odtąd przez wiele lat, na lądzie i na morzu, Tom Moone będzie zawsze u boku Francis Drake, do którego się przywiąże ojcowskim afektem.

Każdy marynarz podpisywał umowę, określając warunki i udział w ewentualnych łupach z wyprawy. Nikt, kto wiernie służył Drake'owi, nie miał powodu narzekać. Był on wyjątkowo hojny przy podziale zdobyczy. Jednocześnie nikomu nie pozwalano rabować na własną rękę. Wszystko, co zagarnięto, szło do wspólnego kotła.

Załadowano na statki prowiant oraz odzież na jeden rok, razem z działami, bronią, amunicją, narzędziami. Wzięto również części trzech szalup, gotowe do złożenia przez Toma Moone i pomocników. Nie zamierzając ograniczać się do działań na morzu, Drake oprócz muszkietów zabrał również łuki i strzały. Ludzie z Devonu byli wyborowymi łucznikami, wypraktykowanymi w strzelaniu do tarczy a niejeden także w kłusownictwie. Ta broń miała się okazać nieoceniona, bo bezszelestna, nie ostrzegała głównych oddziałów hiszpańskich żołnierzy o zasadzkach na patrole.

Kiedy przygotowania były jeszcze w toku, Harry Newman pewnego dnia powiedział do Drake'a:

- Słuchaj, Francis... Moja siostra ciągle mnie ponagla, żebym ci przypomniał o ślubie...

- Tak, tak... ja pamiętam... - odrzekł Drake. Nie spojrzął w oczy przyjacielowi, lecz nadal sprawdzał spis ekwipunku.

- Powtarzasz to od dwóch lat, i więcej - mruknął Harry. - Ona by chciała, zanim odpłyniemy...

- Wiesz, to by nie było przyzwoicie - wykręcał się Francis. - Z takiej wyprawy, jak nasza, to nigdy nie wiadomo, kto wróci... Czy w ogóle powróci...

- Po tej wyprawie będzie następna wyprawa, o ile cię znam - upierał się Harry. - Czy zawsze będziesz powtarzał to samo? Mary zerwała z Charlesem Eddym, bo ciebie kocha i chce być twoją żoną.

Wie równie dobrze, jak ja i ty, na co się narażają żeglarze. Prócz tego, już o was dwojgu plotkują... jeśli to dojdzie uszu ojca...

- Jeśli moich uszu dojdzie, to kości połamię! - oznajmił Francis, nadal z głową pochyloną nad papierami.

- Ty nic nie usłyszysz, ale Mary słyszy...

W okresach między zwiadowczymi wyprawami Francis widywał się często z Mary, traktował ją jako narzeczoną. Nie pomijał też sposobności podobnych do owej pierwszej, na strychu nad oborą. Ale wciąż odwlekał termin ślubu, zbywając półobietnicą: „Po następnej podróży”. Tego rodzaju taktyki trafiały się nierzadko marynarzom, ale Mary, jak mówiła bratu, nie chciała się na to zgadzać. Kochała

Francisa całym sercem, bolała ją to odwlekanie, próbowała wszelkich sposobów, byle go tylko przy sobie zatrzymać. Spodziewała się nawet, że może zajdzie w ciążę po ukradkowych uściskach i tym go zmusi do małżeństwa. Ale te nadzieje się nie ziściły.

Harry odwrócił się gniewnie, mówiąc:

- Nie zachowujesz się wobec niej uczciwie!

Francis nie chciał się wiązać z żadną kobietą, jednakże słowa przyjaciela poruszyły jego sumienie. Pojmował, że ich spotkania, nie mówiąc już o sławetnej kuli armatniej w kościele - „niech diabli porwą tego durnia kanoniera, gdyby nie on, Mary byłaby żoną Eddy’ego!” - nakładają na niego nieuniknione obowiązki. Tak więc, na kilka dni przed wyprawą, Drake stanął przed ołtarzem małego kościółka przy nabrzeżu w Plymouth Hoe i tym razem nic nie przeszkodziło Mary w odpowiedzi. Pan młody pocieszał się myślą, że niewiele będzie przebywał w domu.

Nie chodziło mu o swobodę w znaczeniu stosunków z innymi kobietami. Mary rozbudziła jego męskość, ale do rozpusty nigdy nie miał skłonności. Nigdzie w jego biografii, w relacjach jemu współczesnych, w żadnych dokumentach nie ma nawet sugestii libertynizmu. Przeciwnie, wiadomo, że odznaczał się wielką rycerskością w stosunku do kobiet i nalegał, by marynarze szli za jego przykładem. Jeśli chodzi o kobiety w portach, zależało mu też na tym, by ustrzec swoich ludzi od ewentualności zarażenia się. Gdy w późniejszych latach zdobywał i zajmował dla okupu miasta w dominiach hiszpańskich, osobiście szedł do domów publicznych i wyganiał z nich swoich marynarzy.

Mary zdawała sobie sprawę, że zajmuje drugie miejsce w sercu swego męża. Dzięki przeżyciom wczesnej młodości i politycznemu klimatowi epoki, Drake był poślubiony morzu. I dzieje nie znają chyba przykładu, by kochanka wywdzięczyła się swemu umiłowanemu większymi nagrodami, satysfakcją i fortuną. Mary spodziewała się, że gdy ukradkowa miłość zawiodła, to małżeńskie uściski, pobłogosławione przez duchownego w kościele, przyniosą jej upragnione dziecko, które przypieczętuje ich związek. Jednakże spotkało ją rozczarowanie.

W dzień Zielonych Świątek roku 1572 wstał przychylny wiatr. Na nabrzeżu Hoe i na ulicach Plymouth rozległy się okrzyki:

- Drake wychodzi na morze!

Pośpieszne ucałowania płaczącej Mary, serdeczne uściski dłoni z braćmi Hawkinsami. „Pasco” i „Swan” wyszły z portu. Tym razem nie skręciły na południe, do wybrzeży Hiszpanii i Afryki; wzięły kurs na południowy zachód, na szerokie wody Atlantyku. Posługując się przy nawigacji jedynie kwadrantem, astrolabium i jednym z tych kompasów, które współczesny pamiętnikarz określił jako „liche i zawodne”, Drake przeprawił się do Gwadelupy w dwadzieścia pięć dni. Odkrytą przez Kolumba w roku

1493, wyspę tę, należącą do archipelagu Antyli, zamieszkiwali w przeciwieństwie do sąsiednich, przyjaźnie usposobieni krajowcy.

Na wybrzeżach Gwadelupy, pod błękitnym niebem, po którym wiatr, zwany „wiatrem kupców” przeganiał chwilami brzemienne deszczem obłoki, statki naprawiono i oskrobano, nabrano wody, a angielscy marynarze - wielu z nich po raz pierwszy - opalali blade ciała w słońcu tropików i zażywali kąpeli w ciepłym, jakby nagrzanym morzu o barwie kobaltu.

I dalej, na Karaiby. W połowie lipca Francis i John Drake wsuwali dzioby statków między okryte bujną zielenią brzegi wąskiego wejścia do Portu Pheasant w zatoce Darien. Ta dobrze ukryta przystań była niezbyt daleko od pierwszego celu wyprawy Drake'a - NombYe de Dios. Jeden dzień na odpoczynek i już Francis wołał:

- Do roboty, chłopcy! Musimy tu wybudować porządną palisadę, by się obronić na wypadek, gdyby Hiszpanie albo wrogo usposobieni piraci odnaleźli naszą kryjówkę!

Na tych morzach roiło się od piratów - angielskich, francuskich, portugalskich - którzy na małych żaglowcach, bazujących w przystaniach na nie zamieszkałych wysepkach, napadali na statki handlowe. Trudno się dziwić, że Hiszpanie zaliczali do tej samej kategorii samo-zwańczego mściciela protestantyzmu, prześladowającego ich okręty i miasta, chociażby on sam uważał się za kogoś zupełnie innego.

Tom Moone kierował budową palisady, od ścinania drzew począwszy. Wzniesiono ją na wysokość dziesięciu metrów, z jedną tylko bramą, umieszczoną od strony lądu, zamykaną na noc i dodatkowo barykadowaną trzema poprzecznymi palami. Moone zajął się także składaniem w całość przywiezionych części pinasów.

Dokończywszy tych robót - palisadę wybudowano z myślą o przyszłości raczej, niż dla bieżących potrzeb - oba statki, „Pasco” i „Swan” wyszły znowu na morze i pożeglowały wzdłuż brzegów do wyspy Pines, blisko Nombre de Dios. Gdy już się zbliżali, Moone zauważył:

- Kapitanie, na wyspie są ludzie!

Okazało się, że byli to Murzyni, wysłani po drzewo przez swych właścicieli z Przesmyku Panamskiego. Z zapalem dopomogli komuś, kto planował zagrozić ich ciemieżcom. W łamanej hiszpańszczyźnie, zrozumiałej dla Toma Moone, Francis i tych, którzy już poprzednio żeglowali po tych morzach, Murzyni udzielili cennych, chociaż mało pocieszających, wiadomości. Miasto Nombre de Dios niedawno odparło atak Cimaronów.

- Spłoszyli Hiszpanów - zauważył zawsze przezorny Harry Newmarv. - Czy nie powinniśmy odczekać, aż się wszystko uspokoi i w mieście przestaną się mieć na baczności?

Ale Drake na wyprawie po łupy nie był tym samym chwiejnym, niezdecydowanym mężczyzną, który uległ namowom do żeniaczki.

- Żadnego zwlekania! - oznajmił. - Gubernator pewnie posłał do Panamy po posiłki dla wzmocnienia załogi. Musimy się uwinąć, zanim nadciągną.

Murzynów hojnie wynagrodzono i wysadzono na ląd w takiej odległości od miasta, by nie mogli tam dotrzeć przed atakiem i ujawnić, chociażby mimowolnie, obecności Anglików. Była to zresztą zbyteczna ostrożność, bo niewolnicy skorzystali ze sposobności i poszli się przyłączyć do Cimaronów.

Wyznaczono ludzi, którzy mieli zostać na wyspie Pines i pilnować statków. Mocno niezadowoleni, że ich ominie udział w planowanej napaści, nauczyli się już jednak podczas podróży, że rozkazów kapitana lepiej nie kwestionować. Tuż przed zmrokiem około pięćdziesięciu marynarzy wsiadło do pinasów, które mogły podejść do lądu nie zwracając niczyjej uwagi i przybić do samego brzegu.

Była trzecia nad ranem, kiedy wioślarze wprowadzili pinasy do małej przystani.

- Mamy jeszcze prawie godzinę, zanim będzie świtać - powiedział Drake. - Idziemy prosto do ataku.

W tej samej chwili dostrzegł statek, wielkości mniej więcej takiej, jak „Pasco”, blisko przy brzegu. Wybijano kotwicę i szykowano się do wyjścia. Hiszpanie pilnowali czujnie. Spuścili łódź, która skierowała się prosto do brzegu.

Drake krzyknął do wioślarzy w swoim pinasie:

- Do wiosła, chłopcy, mocniej, mocniej! Musimy ich wyprzedzić! Muskularne ramiona wyprężyły się w wysiłku. Pinasy skoczyły naprzód.

- Prędej, prędzej! Ile sił! - krzyczał Drake, stojąc na dziobie. Wiosła zanurzały się rytmicznie, coraz szybciej, w spokojne wody zatoki. Pinasa zyskiwała. Hiszpanie dotarli do płyčizny nieco wcześniej, wyskoczyli na brzeg, nurzając się po pas. Drake i jego ludzie dopadli ich, pochwytali i powiązali.

Francis znał z rozmów z Cimaronami podczas wypraw zwiadowczych plan miasta Nombre de Dios. I parokrotnie rysował go i objaśniał swoim ludziom. Teraz zostawił dwunastu do pilnowania jeńców i pinasów, do reszty zawołał:

- Najpierw do dział! Za mną!

Bateria dział strzegła portu. Jedyne wartownik uciekł na widok podbiegających Anglików.

- Działa przez mur i strąć na dół!

Krzepkie ramiona uniosły sześć dział z brązu przez niski mur, wyrzuciły je na płaskie wybrzeże daleko w dole. Drake zwrócił się do brata i do Oxenhama:

- Weźcie tuzin ludzi, okrążyć miasto, a cicho iść! Zaatakujcie od tamtej strony. A my tutaj pójdziemy prosto, jak strzelił, na rynek, czyniąc jak najwięcej hałasu.

Zapalono pochodnie, zagrzmiały trąby, zawarczały bębny i Drake poprowadził przez ulice około trzydziestu dziko wrzeszczących mężczyzn. W mieście wybuchła panika. Przypuszczano, że to znowu napaść Cimaronów. A ci nie znali pardonu,

mordowali mężczyzn, gwałcili kobiety, młodsze zabierali do swych górskich schronisk. Teraz więc całe rodziny uciekały z miasta, albo barykadowały się w piwnicach. Do zamieszania i hałasu, czynionego przez napastników, dołączyło się jeszcze bicie w dzwon na trwogę.

Jeden z podkomendnych Drake'a, John Barrow, taką później spisał relację:

„Nasz kapitan posłał po paru ludzi, by uciszyli owo dzwonienie na alarm, ale kościół zawarto, a jako że był bardzo mocno zbudowany, więc nie można się było dostać na dzwonnice, chyba żeby go podpalić, a tego kapitan surowo wzbronił...”

Francis Drake wpadł na rynek. Oddział żołnierzy hiszpańskich zaczął strzelać, zaraz w pierwszej salwie zabijając młodziutkiego trębacza. Odpowiedziano mu chmurą strzał z luków. W tej samej chwili boczną ulicą nadciągnęli Oxenham i John Drake: żołnierze uciekli.

Dwóch mieszczan pod groźbą wymierzonych rapierów przymuszono, by poprowadzili napastników do domu gubernatora, gdzie według słów Johna Barrow znaleziono:

„...Pięknego wierzchowca w gotowości, osiodłanego, drzwi otwarte, a na schodach palącą się świecę; w jej świetle ujrzeliśmy wielką moc srebra: na podłodze jednej z parterowych komnat sztaby złożone pod ścianą w stos, na oko liczący siedemdziesiąt stóp długości, dziesięć szerokości i dwanaście wysokości. Każda sztaba musiała ważyć około czterdziestu funtów...”

Na ten widok, przewyższający ich najśmielsze oczekiwania, chłopcy z Devonu rzucili się ku błyszczącym sztabom.

- Stać! - rozkazał ostro Drake. - Nie odkładać broni. Nasze pinasy niewiele tego srebra uniosą, a i na statki dużo więcej nie załadujemy.

Cimaroni zdradzili mu miejsce, gdzie magazynowano złoto i perły w oczekiwaniu nadejścia floty skarbowej, która je zabierała do Hiszpanii.

- Pokażę Wam - mówił dalej Drake - skarby dziesięciokrotnie cenniejsze od tego srebra, a mniejsze w rozmiarach i wadze. Zaprowadzę was do skarbcza świata. To będzie dopiero cenny łup! Za mną chłopcy!

Rozdział 5

PIRAT PRZY ROBOCIE

Jesienią roku 1572 hiszpański pałac królewski, Eskurial, był wybudowany zaledwie w połowie. Jednakże wykończono już apartamenty królewskie, w których zainstalował się monarcha z całą rodziną. Dworzanie i urzędnicy wkrótce znienawidzili nową siedzibę, położoną wśród pustynnych gór Guadarrama, tysiąc metrów nad poziomem morza, a o pięćdziesiąt kilometrów od Madrytu, skąd musieli dojeżdżać konno lub powozami. Miejsce wybrał osobiście król Filip, by sobie zaoszczędzić kosztów przewozu głównego materiału budowlanego, ciosanego w pobliskich kamieniołomach. Do przetransportowania każdego z większych bloków skalnych trzeba było użyć pięćdziesiąt par wołów. Oszczędzanie pieniędzy, pracy i czasu było charakterystyczne dla monarchy, którego dochody, płynące z niewyczerpalnych, jak na razie, bogactw Nowego Świata, przewyższały wszystko, o czym mogli zamarzyć inni europejscy władcy.

Eskurial, nazwany od imienia sąsiedniej wioski schowanej wśród gór, świadczył nie tylko o oszczędnym gospodarowaniu jej założyciela. Zwycięstwo, odniesione przez wojska hiszpańskie nad Francuzami w dzień świętego Wawrzyńca roku 1557, zobowiązało Filipa do wypełnienia ślubów, złożonych na intencję szczęśliwego wyniku bitwy, odpowiedniego uczczenia tego świętego. W rok później zmarł jego ojciec Karol V, rozkazując w ostatniej woli wznieść odpowiedni grobowiec, by złożyć jego doczesne szczątki. Toteż fundamenty Eskurialu położono w kształcie różna, takiego, na jakim święty Wawrzyniec poniósł męczeńską śmierć: budowla miała być zarówno pałacem dla żywych, jak i mauzoleum dla zmarłych królów i królowych Hiszpanii. Ale ponieważ pałac nie wydawał się odpowiednią wotywą dla uczczenia świętego, który głosił ubóstwo najwyższą cnotą, dobudowano jeszcze świątynię na imponującą skalę. Tak król Filip wywiązał się ze swego ślubowania i wszem i wobec oznajmiał o pobożnym respekcie dla ostatniej woli swego ojca i o własnym, głębokim przywiązaniu do wiary katolickiej.

Wkrótce po przeprowadzce do Eskurialu, pewnego dnia król Filip siedział za obszernym biurkiem w swym gabinecie, wyłożonym boazerią i zawieszonym makatami. Chociaż na zewnątrz wrześnie słońce paliło niemiłosiernymi promieniami skaliste zbocza, jednakże mury pałacowe tak były grube, a zielone okiennice tak szczelnie osłaniały okna, że w komnacie panował chłodny półmrok. Wysokie czoło króla namarszczyło się gniewnie, pełne wargi zacisnęły, długa, wąska szczęka wysunęła się ku przodowi. Przybrany jak zawsze w czerń, zaledwie

rozjaśnioną białą kryzą i mankietami jego majestat czytał i znowu odczytywał raport nadesłany świeżo przez dowódcę wojsk na Przesmyku Panamskim:

„Awanturnik angielski, Smokiem przezywany, z kamratami swoimi, których naliczono pięćdziesięciu splądrować zamierzył gmach skarbowy w Nombre de Dios... Wszelako zanim budynków dopadli, Bóg Wszechmogący tknął palcem wrogów Waszej Królewskiej Mości i pokarał tych, co by chcieli zaszkodzić najjaśniejszemu majestatowi...”

W chwili, gdy Drake krzyknął: „Za mną!” gwałtowna tropikalna ulewa spadła z nieba. Ciężkiy przemokły, łuki stały się bezużyteczne. Anglicy skryli się przed potokami deszczu, a Drake, w obawie, aby zwłoka i bezczynność nie zrodziły tchórzostwa, kazał im zająć się naprawianiem broni. Ledwie *ulewa pofolgowała*, wystąpił naprzód; ale nim wydał rozkaz, Oxenham nagle zakrzyknął:

- Francis! Francis! - wskazując miejsce, na którym Drake stał przed chwilą.

I w obliczu całego oddziału kapitan nagle padł twarzą na ziemię w ciężkim omdleniu. Krew napelniła mu wysokie buty, przelała się na bruk. Raniono go w nogę pierwszą salwą, tą samą, od której poległ miody trębacz. W obawie, że bez niego ludzie nie pójda do ataku, Drake zacisnął zęby i nic po sobie nie pokazał - aż zemdlał z upływu krwi.

Chlupnięto mu wodą w twarz i Drake ocknął się.

- Czemu tu stoicie? - zapytał. - Skarbiec...?

- Skarbiec nie ucieknie - odparł John. - Musimy cię stąd zabrać.

Drake, osłabiony i oszołomiony wpływem krwi, pojął jednak, że John zamierza odstąpić od ataku.

- Nie bądź głupcem. Gdy nadejdą posiłki z Panamy, sposobność minie...

- A jeśli ty, nasz kapitan, wykrwawisz się na śmierć, to nie będziemy mieć żadnej sposobności, teraz czy później - odparł Oxenham.

Drake znowu stracił przytomność. Oxenham, najwybitniejsza indywidualność po Drake'u, objął komendę. Rozciął nogawkę spodni i but kapitana, obandażował ranę, a John wlał trochę; rumu między wybladłe warą. Bez jednego głosu sprzeciwu, marynarze zapytani przez Oxenhama uchwalili, że należy odnieść kapitana w bezpieczne miejsce, do pinasów. Biografowie zazwyczaj przypisują tę decyzję wyłącznie wzniosłym motywom. „Życie Drake'a było dla nich cenniejsze od wszystkich skarbów Indii”. John Drake, Oxenham, Harry Newman i paru innych mogło rzeczywiście spontanicznie ratować kapitana. Ale zapewne byli i tacy, którzy oglądali się przez ramię, oczekując każdej chwili ataku Hiszpanów. A inni wierzyli, że tylko pod wodzą tak doświadczonego żeglarza jak Drake zdołają bezpiecznie wrócić do kraju. A jeszcze inni również odnieśli nieznaczne rany i skaleczenia. Jeśli te motywy mniej były

wzniosłe, to jednak nie było w nich nic nieszlachetnego. Dowodziły po prostu zdrowego rozsądku.

Zaniesiono Drake'a na jeden z pinasów i powiosłowano na wysepkę tuż za przystanią. Marynarze z pozostałych dwóch pinasów wdarli się na statek, którego załoga usiłowała zaalarmować miasto, opanowali go i z satysfakcją stwierdzili, że jest dobrze zaopatrzony w prowiant, poholowali za sobą. Kiedy już wszyscy znaleźli się na wysepce, Oxenham oznajmił:

- Tu nikt nie odważy się nas molestować. Moglibyśmy się bronić nawet przez miesiąc, gdyby zaszła potrzeba i jeszcze byśmy wielu atakujących pozabijali.

Chociaż Drake krwawił obficie, rana okazała się niezbyt głęboka. Musiał jednak, zagryzając wargi i zaciskając pięści, przetrzymać bolesne wydobywanie kuli muszkietowej, która utkwiała w mięśniach. Tymczasem marynarze wymościли dla niego legowisko z liści w jednym z opuszczonych szałasów, znalezionych na wysepce. Widocznie przebywali tu niekiedy drwale i inni, zbierający leśne runo.

Francis był młody, zdrowy, o wielkiej sile witalnej. Jego rana zagoiła się szybko: pogoły się też skaleczenia innych marynarzy. Natomiast wszyscy podupadli na duchu, stracili na bojowości. Staranne, wielomiesięczne przygotowania, plany i praca nie przyniosły spodziewanego skarbu: spełzły na niczym. Paru nawet szemrało na kapitana, że zabronił im przydzwigać przynajmniej trochę tych sztab srebra, złożonych w stosy w gubernatorskim domu. Oficerowie z trudem i oporami przekonywali marynarzy, że w hiszpańskich dominacjach i na Przesmyku Panamskim zbiorą jeszcze obiecane żniwo.

W parę dni po nieudanej napaści Drake był już na nogach, chociaż kulejąc i wspierając się na mocnym kiju.

- Łódź jakaś się zbliża! Wywiesili białą flagę! - obwołał Harry Newman z wachty.

Drake przykuśtykał do brzegu w kompanii swoich głównych oficerów. Reszta marynarzy zebrała się w pewnej odległości z muszkietami i łukami w ręku, na wypadek jakiegoś podstępu. Ale nic takiego się nie zdarzyło. Szlachcic hiszpański, bogato przybrany, zszedł na brzeg w towarzystwie jednego arkebuzjera. Pół tuzina ludzi w łodzi czekało przy wiosłach.

- Wysłał mnie gubernator miasta Nombre de Dios - oznajmił Hiszpan - abym się zapytał o pańskie zdrowie, kapitanie. Rozeszły się wieści, że jest pan ranny. Nazywam się Alonso de Vargas, don Alonso de Vargas.

- Dziękuję panu za tak kurtuazyjną wizytę - odrzekł z uśmiechem Drake - a gubernatorowi za troskliwe zainteresowanie. - Trudno o szczerłość w tej wymianie komplementów. Drake nie łudził się wcale, doskonale wiedział, że Hiszpan przybył na przeszeptę. - Proszę przyjąć gościnę w moim skromnym schronisku - mówił dalej.

- Wasza ekscelencja nie potrzebuje się niczego obawiać. Białą flagę poselską my respektujemy.

Odwrócił się i kazał angielskim marynarzom rozejść się, a jednocześnie zadysponował, by z jak największym pośpiechem przyrządzono i podano posiłek. Gdy syn protestanckiego pastora podejmował swego arystokratycznego papistowskiego gościa, ten zapytał:

- Powiedz mi, proszę... czy jesteś tym samym Francisem Drake, o którym niekiedy dochodzą nas wieści, iż zagląda na nasze wybrzeża i ponoć nigdy nie zatapia jeńców, wziętych ze statkami?

- Ten sam Drake. Inne traktowanie jeńców zasługiwałoby na wzgardę. Nie wojuję z nimi, nic złego im nie życzę. Ale te strony świata szczególnie mnie pociągają.

- Odgaduję to - rzekł wesoło de Vargas. - Widzę, że wraca pan do zdrowia, co mnie cieszy. Gubernator zlecił mi powiedzieć, że gdyby trzeba było, z chęcią przyśle lekarza.

Nie wszyscy przedstawiciele króla Filipa byli tak gruboskórni, jak de Castellanos. Zgodnie z ówczesnymi obyczajami często się zdarzało, że dwaj przeciwnicy prawili sobie rycerskie komplementy w przerwach między walkami.

- Z łaski Boga i ja, i moi ludzie mamy się dobrze - odrzekł Drake. - Lekarskiej opieki nie potrzebujemy.

Szybko podany obfity posiłek świadczył, że piratom nie zbywało na niczym, nawet na smakołykach. Drake i jego gość gawędzili z pozorną przyjacielskością.

- Nie sposób nie podziwiać pańskiej śmiałości - mówił Hiszpan.

- Choć musi pan wybaczyć mnie, a także oczywiście jego ekscelencji, gubernatorowi, iż sprawił nam satysfakcję pański brak sukcesu tym razem. Ale proszę mi powiedzieć: wasze strzały, czy nie są zatrute? Kilku z naszych ludzi zostało ranionych. Jak mamy ich leczyć?

- Na świętego Jerzego! - wykrzyknął Drake. - My, Anglicy, nie mamy zwyczaju zatruci strzał, tak jak nie krzywdzimy jeńców. Lubimy walczyć czysto i uczciwie. Rany waszych ludzi, jeśli nie ciężkie, zagoją się prędko bez żadnych specjalnych leków.

Na pozór kordialna atmosfera była jednak naładowana ukrytym napięciem. Na pożegnanie, gdy Hiszpan oznajmił, że musi wracać do Nombre de Dios, Drake ofiarował mu w podarunku złoty łańcuch - bez wątpienia zagrabiony jakimś innemu Hiszpanowi - ze słowami:

- W dowód, iż nie żywię ani wobec pana, ani jego ekscelencji gubernatora żadnej osobistej animozji.

- Bardzo pan łaskaw, zaiste - odrzekł wysłannik. - Przyznam otwarcie, że nie oczekiwałem takiej gościnności...

Ale gdy łódź hiszpańskiego granda zepchnięto już na wody kanału między wysepką a lądem, Drake, złożwszy ręce przy ustach, zawołał donośnym głosem - po części z

chępliwości, a po części, by dodać ducha swoim ludziom:

- A powiedzcie tam waszemu gubernatorowi, by oczy miał otwarte! Bo zanim stąd odjadę, to jeśli Bóg pozwoli, urwę co nieco z waszego żniwa, które zbieracie z tej ziemi i wysyłacie do Hiszpanii, by przyczyniać kłopotów całemu światu!

Gdy wczesnym rankiem następnego dnia mieszkańcy Nombre de Dios spoglądali poprzez kanał, dostrzegli, że Anglików już nie było. Następna napaść na budynek skarbcza miejskiego nie miałaby żadnych szans. Posiłki z Panamy nadciągnęły, mieszkańcy mieli się na baczności. A ponieważ gubernator już wiedział, jak niewielkimi siłami napastnicy dysponowali, więc im prędzej się oddalili od Nombre de Dios, tym lepiej. Wrócili na wyspę Pines. Tom Moone, któremu tam powierzono opiekę nad statkami, oskrobał je i oczyścił, dokonał potrzebnych napraw. Witał kapitana z otwartymi ramionami. Pinasy długo nie wracały, i stary cieśla niepokoił się już o los współtowarzyszy. Potrząsał głową, słuchając relacji o porażce;

- Teraz już nic z tego nie będzie. Musimy po prostu wracać do domu.

Inni byli tego samego zdania, ale nie Drake. Odzyskawszy w pełni zdrowie, promieniował energią i ufnością we własne siły:

- Mielibyśmy wracać z pustymi rękoma? - pytał. - Za nic! Wyprawiliśmy się po złoto i perły. Jeszcze zdobędziemy i złoto, i perły. Tyle samo skarbów wędruje gościńcem do Nombre de Dios, ile złożono w skarbcu. A my staniemy na ich drodze! - Co miał na myśli, wiedzieli tylko jego brat i Oxenham, z którymi wspólnie na nocnych naradach układał plany. - Tymczasem trochę żeglowania po Karaibach poprawi nam zdrowie i humor. A być może zdarzy się też okazja uszczknąć coś watrościowego.

Nikt na Przesmyku Panamskim nie wiedział, w jakim kierunku udały się angielskie statki. Ale w niecały miesiąc po otrzymaniu raportu o próbie napaści na Nombre de Dios, król Filip w Eskurialu wezwał swego wielkiego wezyra, don Rodrigo de Sikolli. Rzucając na stół dokumenty zapytał:

- Czytałeś tę relację z Cartageny?

- Tak jest, najjaśniejszy panie. Tego heretyka Drake'a słusznie przezywają smokiem. El Draque!

- Chyba mu sam diabeł dopomaga! - wykrzyknął król. - Zjawia się, znika i znowu się zjawia, jak zły duch!

- Jednak jest człowiekiem z ciała i kości - odrzekł wezyr. - Trzeba go schwytać i powiesić. Taka jest kara dla piratów, „uznawana” przez prawo morskie wszystkich narodów.

- Prawo to rzecz jedna - powiedział król - a wykonanie go, to inna sprawa, o wiele trudniejsza. Ten wcielony szatan potrafi się wymykać, a ryzyka się nie boi. Co robić?

- Drake musi prędzej czy później powrócić do kraju. Należy zmusić królową Anglii, by wypełniła swój obowiązek wobec pirata.

- Jak ją zmusić? Ona równie dobrze potrafi się wykręcać, jak ten jej pirat. Nie możemy w tej chwili zaczynać jawnej wojny z Anglią. Nasze siły są zajęte tłumieniem rewolty w Niderlandach. Moglibyśmy zerwać stosunki handlowe, zagarnąć angielskie statki w naszych portach. Ale oni pobudują sobie nowe statki, a straty nadrobią w napaściach na dominia.

- Najjaśniejszy panie, należy wzmocnić garnizony w portach Nowego Świata, posłać tam więcej wojennych okrętów.

Król wiedział, że nawet i to wymaga czasu. Administrowana z górskiej ustroniów górach Guadarramy, skrępowana więzami biurokracji, pośredniczącej między królem a wojskowymi dowódcami, hiszpańska machina wojenna poruszała się powoli. Podróże przez Atlantycką Ocean trwały tygodniami. Jakiej nowej bezczelności dopuści się przez ten czas Drake? Król wziął z powrotem do ręki raport z Cartageny i odprawił wielkiego wezyra słowami:

- Muszę to jeszcze przemyśleć. Odczytywał znowu:

„Statek pocztowy, zawinąwszy przed niedawnym czasem do naszego portu, ostrzegł nas, że niejaki El Draque, znany pirat i heretyk, pojawił się w okolicy i nawet napaść się ośmielił, chwalić Boga bezskutecznie, na Nombre de Dios. W porcie Cartageny nie było okrętów wojennych waszej królewskiej mości, prócz jednej małej fregaty. W dwadzieścia cztery godziny później dwa obce żaglowce pojawiły się opodal brzegu. Nie zrażone ogniem naszych kanonierów, trzy pirackie pinasy wślizgnęły się pod osłoną nocy do przystani. Piraci odcięli liny przycumowanego dużego statku handlowego, dokonali abordażu i odholowali statek na pełne morze z załogą zamkniętą pod pokładem, a po przeniesieniu ładunku na własny żaglowiec odesłali nasz statek z całą i zdrową załogą. El Draque osobiście powiedział ponoć jeńcom, że zamierza z powrotem przepłynąć przez Atlantycką Ocean. O czym pokorny sługa waszej królewskiej mości zawiadomił wszystkich hiszpańskich gubernatorów i komendantów w tych okolicach specjalnie wysłanym szybkim żaglowcem...”

Najazd Drake'a na wybrzeża Kolumbii był rzeczywiście bezczelnością. Podszedł do lądu w pobliżu Cartageny w parę dni po opuszczeniu wyspy Pines i zostawiwszy, jak to miał w zwyczaju, „Pasco” i „Swana” poza zasięgiem salw armatnich, jawnie, za dnia, przy akompaniamencie bicia w dzwony i nieskutecznej strzelaniny z muszkietów, podprowadził pinasy do wyspy, zwanej Terra Bomba, strzegącej wejścia do portu. Kanał po północnej stronie wyspy dochodził do portu wewnętrznego, po południowej - do portu zewnętrznego. Drake wybrał kanał południowy, jako bardziej oddalony od baterii dział na brzegu. W zewnętrznym porcie zastał fregatę na kotwicy pod strażą jednego jedyne wartownika, który zakomunikował, że cała reszta załogi zeszła na ląd „w poszukiwaniu trunków i kobiet.” Anglicy zabrali go na pokład „Pasco”, gdzie Drake wypytywał go szczegółowo, ale z początku całkiem po przyjacielsku.

- Tak, w porcie wewnętrznym są statki handlowe - mówił jeniec. - Ale chronią ją działa na zamku. Podejść tam to pewna śmierć.

- Wszystkie statki handlowe osłania zasięg dział? - badał Drake. Wartownik zawahał się na moment, nim odpowiedział:

- Wszystkie, kapitanie!

Wahanie jeńca obudziło w Drake'u podejrzliwość. Zmienił ton przesłuchania.

- Kłamiesz! - krzyknął groźnie. - I zwracając się do swoich marynarzy rozkazał: - Założyć mu powróż na szyję! - A gdy jego rozkaz wykonano, rzekł do jeńca: - Teraz gadaj prawdę, albo zginiesz!

Jeniec oczekiwał, że go powieszają tak czy siak, ale nie chciał umierać z kłamstwem na sumieniu. Padł na kolana i błagając o darowanie mu życia wyznał:

- ...jeden duży statek stoi zaraz za przylądkiem - w porcie zewnętrznym...

- Po stronie północnej od kanału?

- ...tak, tak, kapitanie...

- Pusty czy z ładunkiem?

- Z ładunkiem.

- Jakim?

- Prowiant i wina, ale mają też trochę skór...

Ku zdumieniu jeńca, zdjęto mu powróż z szyi, zabrano pod pokład i dano jeść i pić. Drake odczekał, aż zapadnie noc. Histrioniczny, jak zawsze, kazał dwudziestu marynarzom poprzebierać się tak, jak według powszechnego wyobrażenia powinni wyglądać krwawi piraci: jaskrawe chustki zawiązane na głowach, czarna opaska na zupełnie zdrowym oku, zatknięte za kolorowe pasy mordercze sztylety i noże. Znów pinasy minęły Terra Bomba. Na wielkim statku handlowym załoga znajdowała się w większości pod pokładem. Tam też ich zamknięto, a kilku wartowników obezwładniono i powiązano.

„Tymczasem w mieście - opisywał później te wydarzenia John Barrow - strażnicy portowi dostrzegli nas i obwołali alarm: uderzono w dzwony, oddano salwy z trzydziestu dział, oddziały piechoty i jazdy zajęły stanowiska na nabrzeżach...”

Ludzie Drake'a już odcięli liny cumownicze i chociaż statek miał dwieście ton, devonskie ramiona sprostały zadaniu. Odholowano go na morze, przeładowano na pokład „Pasco” wszystko, co było użyteczne lub cenne. O świcie Drake z oddziałem marynarzy kazał wypuścić Hiszpanów na pokład i zwrócił się do ich kapitana:

- Jesteś pan wolny, możesz zabrać swój statek, jego załogę, a także tego wartownika z powrotem do portu. I jak najmocniej przepraszamy za zakłócenie waszego nocnego spoczynku, ale my mamy nasze sprawy do załatwienia tak samo, jak wy macie wasze. Działa na naszych statkach są wycelowane prosto w was, a kanonierzy stoją w gotowości, więc nie radzę próbować jakowejś zdrady, gdy już opuścimy wasz pokład,

bo was zatopimy. Powtórzcie ode mnie waszemu gubernatorowi, że może odtąd sypiać spokojnie. Bo za parę godzin nasze statki będą w drodze do kraju...

Porwany poprzednio z fregaty wartownik obracał w palcach srebrny kubek, który mu ofiarowali angielscy piraci. A Drake oczywiście jeszcze nie zamierzał wracać do Anglii: chciał tylko, by w to uwierzyli Hiszpanie.

Pomimo ostentacyjnych rycerskich gestów, Drake w tej wyprawie postępował, jak to podkreślił wielki wezyr króla Filipa, wbrew prawom i zwyczajom morskim. Te prawa uznawały działalność korsarzy, potępiając zarazem piratów. Kapitan statku korsarskiego miał upoważnienie od swego suwerena, czyli list kaperski, na mocy którego prowadził wojnę własnymi środkami i dla własnych zysków przeciw wrogom swego kraju. Drake na wyprawie w latach 1572-73 nie otrzymał listu kaperskiego od królowej Elżbiety. Nie miał nawet jej milczącej zgody. Wprawdzie twierdził, że jego stosunkowo mało ważne rabunki były mu nakazywane od Boga, jednakże nie na wiele więcej mu się to przydawało, niż gdy król Filip dowodził, że jego na o wiele większą miarę zakrojone grabieże cieszyły się specjalnym boskim błogosławieństwem. Faktem pozostaje, że poczynania Drake'a miały charakter piracki.

Eskapady Drake'a w innym świetle widział Anglik, w innym - Hiszpan. Prawdą jest też, że w szesnastym wieku większość Europy traktowała piractwo w Nowym Świecie jako złe przewinienie od piractwa u wybrzeży Starego Świata. Ale i tak próby wybielania pierwszej większej wyprawy Drake'a argumentami, że był on wielkim patriotą i gorącym zwolennikiem zreformowanej religii, byłyby równie jezuicką hipokryzją jak wybielanie Krzyżaków, ponieważ zamierzali nawrócić Litwę na wiarę chrześcijańską. Pierwszym celem Drake'a był rabunek, zdobycie bogactw bez oglądania się na ludzkie życie. A gdy później się przeobraził z pirata w korsarza, w kapra, rycerza, wreszcie admirała - stało się to raczej w wyniku rozwoju sytuacji politycznej niż z powodu zasadniczych przemian w nim samym. Może chciał też udowodnić ludziom, gardzącym nim jako parweniuszem, iż jest im równy, albo i lepszy. Domatorzy i żądni przygód awanturnicy jednakowo skłonni są raczej otaczać romantyczną aureolą zdobywanie fortuny bez względu na sposoby, aniżeli chwalić posłuch wobec prawa i obyczaju. Toteż Drake stał się w oczach swoich współczesnych, a później w oczach przyszłych pokoleń - postacią wspaniale romantyczną, genialnym żeglarzem, który zaczynając jako pirat zdobył sobie bogactwa, sławę i łaskę największej w dziejach Anglii królowej.

Gdy „Paseo” i „Swan” szły z Cartageny po kursie północno-zachodnim, Drake zamknął się w swojej kajucie z Tomem Moone.

- Przenoszę cię na „Swana” - oznajmił kapitan.

- Och, nie... - zaprotestował stary cieśla. Drake mu przerwał.

- Czekał.-Chcę cię prosić o przysługę. I będziesz musiał w tej sprawie zachować absolutną tajemnicę, przynajmniej do czasu, gdy znajdziemy się znów w Anglii.

- Wiesz dobrze, że możesz na mnie zawsze polegać, kapitanie, ale ile mi jest z dala od ciebie.

Drake znał przywiązanie Toma Moone. Położył mu rękę na ramieniu i mówił dalej:

- To nie na długo. Oto co musisz zrobić. Zejdiesz na sam dół „Swana”, - na pokład studniowy, nocą, podczas drugiej wachty, żeby nikt ciebie nie zobaczył. Dużym świdrem wyborujesz kilka sporych dziur i pozatykasz je tak, by woda przeciekała bez chłupotu, ciszkiem...

- Ty, kapitanie, chcesz zatopić jeden z własnych statków, a twój brat szyprem, a statek zdrów i cały?!

- Słuchaj, Tom. Wyprawiliśmy się po skarby. I zanim odpłyniemy, będziemy mieć skarby, warte dziesiątki tysięcy funtów. Ale coraz nam trudniej obsłużyć statki. Straciliśmy ludzi w walkach i z powodu chorób. Mamy tylu tylko, by żeglować jednym statkiem, no' i jeszcze do wiosel przy pinasach. Więc musisz zrobić, co ci mówię...

Tom Moone potrząsnął głową.

- Twój brat kocha ten statek - mrucał.

- Wiem. I dlatego właśnie, dla dobra całej wyprawy, musimy go trochę oszukać.

- Jeśli twój brat i załoga „Swana” odkryją, co robię, to zabiją mnie.

- To drugi ważny powód, dla którego nikt się nie może o tym dowiedzieć.

Następnego ranka Francis podpłynął pinasem do „Swana” i zaproponował bratu, by się z nim wybrał na ryby.

- Świetna myśl! - zgodził się John. - Tylko manatki zabiorę i płynę z tobą!

Gdy wrócił na pokład, Francis zawołał z dołu:

- Twój statek zanurza się bardzo głęboko. Czy jesteś pewien, że wszystko w porządku? Lepiej poślij kogoś na dół, niech sprawdzi!

Wysłany marynarz wrócił przemoczony po pas.

- W ładowni jest sześć stóp wody, kapitanie - raportował. - Ledwie się wyratowałem od zupełnego spławienia.

- Chryste! Co się mogło stać? - wykrzyknął John.

Drake i Moone też udawali wielkie zdumienie. Wzywając całą swą załogą do pomp, John popędził po schodni w dół.

Całymi godzinami wszyscy, włącznie z Johnem, Francisem i Tomem, harowali na zmianę przy pompach. Ale woda stale przybierała.

- Od tygodni nie potrzebowaliśmy wcale pompować - biadał John. - Co się mogło stać?

- Kiepska sprawa - mówił bardzo posępnie Francis. - Chyba nic innego ci nie pozostaje, jak opuścić statek.

- Nigdy! Patrzeć, jak tonie - rozpacział John. - Już bym go wolał spalić!

- Bardzo słuszna myśl - zgodził się Francis.

Jeśli ktoś na morzu znajdzie wypalony do linii zanurzenia wrak statku, tym prędzej Hiszpanie uwierzą, że Anglicy pożeglowali do kraju.

- Ciężko ci, John - mówił dalej Francis. - Ale obejmiesz komendę na „Pasco”. A ja z częścią ludzi popłynę na pinasie. Parę nocy pod gołym niebem nie zaszkodzi mi.

John nigdy się nie dowiedział, że jego statek celowo uszkodzono.

Gdy gubernator Cartageny pisał swój raport do Hiszpanii i dołączał wiadomość, że według wszelkich oznak heretyccy piraci opuścili już prawie na pewno Karaiby, „Pasco” żeglował sprawnie i szybko z powrotem do zatoki Darien ku Przesmykowi Panamskiemu. Tam losy wyznaczyły im wielką fortunę i wielkie strapienie.

Rozdział 6

KRZYŻOWA DROGA

Wyskakując z łodzi na brzeg, Drake i Oxenham ujrzeli posępny wyraz na twarzy Toma Moone, jak złowrogi sygnał.

- Co się stało? - pytał Drake. - Gdy mnie nie było... co się stało? - Nie wiem, jak powiedzieć, kapitanie... ja...

- Musisz wszystko powiedzieć. Lepiej się pośpiesz.

Z Cartageny wyprawa wróciła do Portu Pheasant. Tam zastali palisadę rozwaloną, zapasy prowiantu zrabowane. Nadeszli Cimaroni, którzy wiedzieli o wszystkim, co działo się na całym Przesmyku, a ich wódz Pedro doniósł, że hiszpański okręt wojenny odszukał kryjówkę.

- W takim razie im prędzej stąd odpłyniemy, tym lepiej - rzekł Drake.

- Mogę wam pokazać dobre miejsce - ofiarował się Pedro. - To znaczy, jeżeli nam ufacie...

- Oczywiście, że wam ufamy. Czyż nie mamy wspólnego wroga? Francis Drake posiadał cechy urodzonego przywódcy. Chociaż był wymagający i surowy, gdy chodziło o dyscyplinę, nie tylko strach przed nim kazał marynarzom go słuchać. Chętniej chwalił niż ganił, a przy porywczym usposobieniu troszczył się jednak o każdego, kto mu dobrze służył, macierzyńską prawie troskliwością. Dbał o załogę, dzielił ich niewygody i trudy, szedł pierwszy na niebezpieczne pozycje. Jak wielu innych wybitnych ludzi, Drake łaknął sławy, kochał się w ostentacji i przepychu, chciwie łykał pochlebstwa i zachowywał się arogancko wobec tych, którzy uważali się za lepszych od niego urodzeniem. Natomiast z prostymi ludźmi, z marynarzami, był naturalny i potrafił oczarować każdego, nawet półdzikich Cimaronów. Rozumiał ich, a oni mu się wyplacali nieomal psim przywiązaniem.

Pedro rozmawiał przez chwilę na stronie z Murzynem ze swojej drużyny, po czym wrócił do Drake'a i powiedział:

- To jest Diego. Można na nim polegać. Weźcie go na pokład waszego statku, a zaprowadzi was do małej przystani, lepiej ukrytej od tej.

Diego był wspaniale zbudowanym mężczyzną o lśniącej czarnej skórze, pod którą przesuwały się potężne mięśnie. Opowiedział, że go przywieziono jako niewolnika z Afryki, ale uciekł wkrótce po wylądowaniu w Nowym Świecie.

- Więc nie nienawidzisz wszystkich białych ludzi? - pytał Drake.

- Nienawidzę wszystkich złych ludzi - odparł Diego łamaną hiszpańszczyzną. - Bywają źli czarni ludzie tak samo, jak źli biali ludzie. Na moją wioskę napadli wojownicy z sąsiedniego plemienia. Zagarnęli i popędzili mężczyzn, kobiety i dzieci.

Bili, gwałcili, sprzedali nas Portugalczykom... Kapitan walczy z Hiszpanami, a jego ludzie mówią, że jest dobrym człowiekiem. Będę mu służył wiernie.

Diego wprowadził „Pasco” do dobrze ukrytej wśród puszczy przystani, daleko w głębi Zatoki Darien, przy małej polanie, osłoniętej wysokimi drzewami. Pierwotną ciszę puszczy wkrótce przerwały szorstkie ludzkie głosy, dźwięk młotów na kowadłach, sapanie miechów, rytmiczny zgrzyt pił. Drake nazwał przystań Portem Dostatku - Port Plenty. Pościnano leśne olbrzymy, wzniesiono szałas pokryte wielkimi liśćmi. Tom Moone z pomocnikami wybudował palisadę i dok do czyszczenia i oskrobania „Pasco”, a także do naprawy ciężko pracujących pinasów. Diego został z nimi jako łącznik z Cimaronami. Niebawem przywiązał się szczerze do białego kapitana, który mu ufał, uczył go angielskiego, żartował z nim i pod każdym względem traktował tak samo, jak swoich marynarzy. A Murzyn nawzajem uczył Anglików różnych umiejętności, cennych w warunkach ich obecnego bytowania.

Nadeszła pora dżdżysta, ale nie popsowała humorów. Praca fizyczna sprzyjała dobremu samopoczuciu marynarzy; grali też w kule, rzucali pierścieniem do celu, wprawiali się w strzelaniu z luków. A Drake przez ten czas układał nowy, śmiały plan, związany z traktem lądowym, którym przewożono skarby z miasta Panamy do Nombre de Dios. Jednakże z jego wykonaniem trzeba było czekać. Cimaroni, gotowi i chętni do współdziałania, poinformowali, że podczas pory deszczowej Hiszpanie nie transportowali złota ani innych cennych ładunków przez Przesmyk Panamski. Parę miesięcy musi upłynąć, nim można będzie zrealizować śmiałe zamiary.

- Więc tymczasem musimy poszukać innych przedsięwzięć - powiedział Francis Drake do Johna i Oxenhama. - Inaczej beczynność i wilgotny klimat zmarnują nam ludzi. Wezmę parę pinasów i będę szarpał statki, kursujące do Cartageny. A marynarzy, którzy mi będą towarzyszyli, musimy zmieniać co parę tygodni, by nikt się nie zasiedziało, ani nie narażało na wilgoć dżdżystej pory roku na lądzie. Wy dwaj, na zmianę, będziecie dowodzić drugim pinasem, idącym za mną.

- Ale takie napaści na morzu zdradzą Hiszpanom, że wciąż tu jesteśmy - zaprotestował John.

- To już trudno. I tak musimy brać przyzy co pewien czas, by się zaopatrzyć w prowiant i wino. Nasza kryjówka tutaj będzie bezpieczniejsza, jeżeli skłonimy Hiszpanów do szukania nas na pełnym morzu. A nasze pinasy zawsze prześcigną ich powolne łajby.

Drake lubował się w okazywaniu lekceważącej wzgardy swemu przeciwnikowi. W licznych śmiałych najazdach lądował na ziemiach hiszpańskich dominiów; odcinał liny cumownicze i porywał stateczki prowiantowe pod nosem dział portowych; dzięki sprytowi i zręczności wymykał się wszelkim próbom schwytania.

Za powrotem z dłuższego, trzytygodniowego okresu na morzu przywitał Drake'a i Oxenhama grymas strapienia na wyrazistej twarzy Toma Moone. Stary cieśla odwracał głowę i unikał wzroku swego kapitana. Pod nieobecność Drake'a John objął komendę w Porcie Plenty, z Moon'em jako zastępcą. Stary cieśla poprowadził teraz Drake'a poza ogrodzenie i poza wybudowane szalasy. Tam, na starannie oczyszczonym kawałku ziemi wznosiły się dwa kopczyki, obłożone tropikalnymi kwiatami i uwieńczone wyciosanymi z drzewa krzyżami, na których wyrzezano nazwiska, daty i duże litery: „R.I.P.”

Żeglarze, często szlacheckiego pochodzenia, którzy prowadzili diariusze, a później publikowali pamiętniki z podróży, wspominają mimochodem, czasem z beztroską nonszalancją, o towarzyszach zmarłych w chorobie lub od muszkietowej kuli. Łowcy fortuny wiedzieli na jakie ryzyko się narażają. A w owej epoce zatargi na tle religijnym, a właściwie wojna domowa tocząca się między papistami a reformatorami, oswoiła ludzi z myślą o gwałtownej śmierci na stosie, na szubienicy, na galerach. Egzekucje w większości krajów europejskich odbywały się publicznie. Wbrew temu, więzy krwi i przyjaźni zawsze żyły w sercach ludzkich. Głowa Drake'a opadła na piersi, lzy napęliły mu oczy. Przygryzł wargi. Po dłuższej chwili powiedział, raczej do siebie niż do starego Moone'a:

- Poszedł za mną... na mój głos... walczyć przeciw królowi Hiszpanii... Jego nie ma, a ja jestem... I inni poginęli, ich rodziny będą się martwić, gdy ja... Wola boska...

Marynarze zgromadzili się w pełnym szacunku oddaleniu. Moone szepnął:

- Odwagi, kapitanie... Umarł śmiercią szlachetną. Nie należał do tych, którzy by chcieli skończyć swe życie w łóżku...

- Masz słuszość - odrzekł Francis, - Życie toczy się dalej. Wyprawa trwa. Musimy udowodnić, że John i tamci nie zginęli daremnie. Muszę okazać siłę, aby naszych kompanów nie naszedł strach, który jest o wiele niebezpieczniejszy od tysiąca Hiszpanów.

Moone rozpoczął swoją opowieść:

- Powtarzam, kapitanie, że twój brat zginął dobrą śmiercią. Wyszedł z kilku ludźmi pinasem na morze. Ja zostałem na brzegu. Oni wypatrzyli statek handlowy. Ludzie palili się do bitki, nalegali na Johna, by zaatakował...

Wtrącił się Harry Newman:

- Byłem tam, Francis. John mówił, że jest nas za mało i żeśmy za słabo uzbrojeni do takiego ataku. Poparłem go. Ale inni, wszyscy rwali się, krzyczeli... John uległ... Mogę ci powtórzyć dokładnie jego słowa: „Jeżeli chcecie walki, nikt nie powie, że ja kryłem się po kątach i nikt nie doniesie memu bratu, żeście stracili sposobność zdobyczy przez moje tchórzostwo”. Spróbowaliśmy abordażu, ale na pokładzie hiszpana był cały

oddział żołnierzy. Nie mieliśmy szansy. Musieliśmy się wycofać, a kiedy pinas już się oderwał od boku statku, salwa z pokładu dosięgła Johna i tego tu Abła Smitha.

Posępne żale przerwał Diego, który dostał wieści od Cimaronów, że do Nombre de Dios zawinęła duża flota. Karawana mułów niebawem miała wyjść z Panamy, by się przeprawić przez Przesmyk i dostarczyć ładunek skarbów do wysyłki do Hiszpanii. Wyprawiono zaraz Oxenhama, by sprawdził wiadomość. Wrócił z małym statkiem prowiantowym, którego załoga potwierdziła informacje Cimaronów. Nadeszła odpowiednia chwila do wykonania planów Drake'a.

Z siedemdziesięciu trzech marynarzy, którzy się zaokrętowali w Devonie, tylko czterdziestu czterech przeżyło choroby i kule Hiszpanów. A i z tych sporo ledwie się na nogach trzymało, wymęczonych febrą i trzeba było do opieki nad nimi zostawić w Porcie Plenty jeszcze paru zdrowych pod dowództwem Newmana.

- Trzeba też zatrzymać tu na razie załogę i pasażerów tego stateczku prowiantowego - zdecydował Drake. - Nie możemy pozwolić, by donieśli o naszej tu obecności.

- Każ ich dobrze pilnować, kapitanie - przestrzegął Diego. Inaczej Cimaroni ich dopadną i wszystkich pozabijają.

- I pamiętaj - upominał jeszcze Newmana na odchodnym kapitan - nie pozwalaj na żadne molestowanie kobiet.

Ostatecznie tylko osiemnastu Anglików mogło się wyprawić na to najważniejsze ze wszystkich przedsięwzięć. Na szczęście dołączyło się do nich trzydziestu Cimaronów. Najpierw ekspedycja, prowadzona przez Cimaronów, udała się do ich ufortyfikowanej osady, wysoko w górach. Tam oszołomiono żeglarzy gościnnością. W niewoli, na plantacjach, z których puciekali, dawni niewolnicy nabyli pewnej znajomości obyczajów chrześcijańskich. Ale Drake'a zgorszył widok, iż krzyż, który umieścili pośrodku osady, czcili jakby to był pogański totem, tańcząc wokół niego. Zanim więc opuścił fortyfikacje, nauczył Cimaronów modlitwy pańskiej i próbował im zaszczepić niektóre z maksym, głoszonych przez jego ojca.

- Jak tylko sobie stąd pójdziemy, wrócą do dawnych obyczajów - zauważył realistycznie Tom Moone.

- Pewno masz słuszość - przyznał Drake. - Ale mamy nasz obowiązek wobec Boga, a jeśli choćby w paru umysłach zaświta blask prawdy, to już coś osiągnęliśmy.

Marynarze i zbiegowie uklękli razem, a Drake głośną modlitwą prosił Boga, by zechciał pobłogosławić ich przedsięwzięcie. Po modlitwie wyruszyli. Był luty roku 1573. Cimaroni ich prowadzili, idąc sobie tylko znanymi ścieżynkami przez dżunglę porastającą Przesmyk. Wbrew chorobom i śmierci wielu towarzyszy, powodzenie w napaściach na prowiantowe statki i uniknięcie czujności Hiszpanów dodało ducha

Anglikom nieomal aż do euforii, którą jak nadmuchany balon często przekłuwa złośliwość losu.

Piraci i zbiegli niewolnicy musieli przedzierać się przez gęstce, wyrąbywać sobie przejście przez gęste, czepiające się, raniące zarośla pod wysokimi drzewami. Szli naprzód pomału. Po kilku dniach dotarli do wysokiego wzgórza, ukoronowanego drzewami, z których jedno górowało nad pozostałymi.

- Chodź ze mną, kapitanie - powiedział Diego. - Coś ci pokażę.

W potężnym pniu tego króla drzew wyrąbano stopnie, a u szczytu korony umocowano platformę. Tam wspiął się Murzyn, a Drake za nim. Na platformie, gdzie ledwo było miejsce dla dwóch mężczyzn, Diego rzekł:

- Spójrz za siebie, kapitanie.

Jak daleko okiem sięgnąć w tropikalnym słońcu błękitniało Morze Karaibskie, wysunięte ramię Atlantyku, ozdobione wyspami.

- A teraz odwróć się i patrz tam!

Diego rozsunął drobne, pokryte młodą zielenią gałązki i Drake ujrzał - drugie morze, ogromne, ciągnące się bez kresu, na zachód, na północ i południe. Po raz pierwszy własnymi oczyma zobaczył Wielkie Morze Południowe, dobrze już znane Hiszpanom, którzy żeglowali tam w ślad za Magellanem, a jego wschodnie wybrzeża ograbiali z bogactw. Pacyfik! Drake na chwilę zamarł. Jakie lądy, jakie żniwa, jakie skarby, o których się jeszcze jego rodakom nie śniło, jakie perspektywy handlowe leżą poza tym zamglonym, a jednak błyszczącym horyzontem? Jakie wyzwanie dla żądnego przygód żeglarza! Przykląkł i modlił się w głos:

- O, Boże wszystkich lądów i wszystkich mórz, pozwól Twemu pokornemu słudze „żeglować po tym bezkresnym oceanie, zbadać różne jego wybrzeża i zawieźć nieco jego bogactw do domu, do Anglii. - Przerwał i w końcu wymówił uroczyście: - Przysięgam, że z łaską boską, wszystkiego tego dokonam!

Kiedy Drake zszedł z drzewa, wciąż jeszcze ze zdumieniem w oczach, wzruszeniem w sercu, z mocnym postanowieniem zaciskającym mu wargi - inni z żeglarskiej drużyny wspinali się kolejno, by mogli po powrocie do kraju opowiadać rodzinie i przyjaciołom, że należeli do pierwszych Anglików, jacy własnymi oczyma widzieli Pacyfik. Oxenham ślubował, podobnie jak jego kapitan, żeglować po tym oceanie.

Radośnie podnieceni, piraci i Cimaroni przedzierali się dalej przez gęste podszycie dżungli, zaledwie zauważając kolce, rozdzierające im odzież a często i ciało. Nagle las się skończył, weszli na pampasy, już blisko miasta Panamy. Pochyleni, kryjąc się, dotarli do zagajnika na pagórku, skąd, jak opisywał później Barrow: „rozciągał się widok na bardzo piękne miasto, o szerokiej ulicy, biegnącej prosto od morza w stronę lądu... o wielkiej wieży katedralnej... porcie tłocznym od masztów...”

Diego, leżąc u boku Drake'a, szepnął:

- Poślij mnie do miasta, kapitanie. Wybadam, kiedy ma ruszyć karawana mułów.

Drake potrząsnął głową.

- Niebezpieczne dla ciebie. Gdyby cię złapali... Ale Diego nalegał:

- Na ulicach pełno kolorowych. Uda mi się! Chcę to zrobić dla ciebie, kapitanie.

Murzyn zręcznymi ruchami poczołgał się naprzód. Potem podniósł się i spokojnie okrążył podmiejskie domostwa bogatych kupców, budowane z cegły duże wille, o jaskrawych w słońcu dachówkach i starannie utrzymanych ogrodach, mieniących się wszystkimi barwami tropikalnego kwiecia. Wkrótce szedł po czystych, brukowanych ulicach, gdzie spacerowali zakonnicy w habitach, ze spuszczonej oczyma i kręciło się wielu niewolników, czarnoskórych i brunatnoskórych, głównie kupujących dla swych panów żywność i różne towary od przekupniów, głośno obwołujących swój towar. W bocznych, węższych uliczkach na górnych piętrach mieściły się wysunięte do przodu werandy, rzucając cień na rozgrzane kamienie bruku, a ciemnookie kobiety zza balustrad zerkały na ruch uliczny. Na rynku zaprzęgano muły i bez większego trudu Diego dowiedział się od poganiaczy, że karawana ze skarbami, wyjątkowo cennymi, ma tej jeszcze nocy wyruszyć do Venta Cruces i dalej do Nombre de Dios.

Cimaroni poprowadzili Drake'a i jego ludzi na tak zwany Złoty Trakt, którym szły konwoje ze skarbami. Był to wąski gościniec, częściowo wykładany gładzi, wijący się poprzez dżunglę, gdzie często konary drzew i lian łączyły się w górze, tworząc jakby dach z zieleni. Serpentykami trakt wznosił się po górskich zboczach, potem wzdłuż brzegu rzeki Chargres, podczas suchej pory roku nędznego strumyka, ledwie ciekącego dnem wąwozu i siejącego febrę z mokradel, a w porze deszczowej grzmiącego nurtu, wyrrywającego drzewa z korzeniami i występującego z brzegów. Wzdłuż Złotego Traktu, zwanego czasem również Traktem Królewskim, widniało pod dostatkiem dowodów lekceważenia ludzkiego życia w tym przenoszeniu zagrabionych bogactw znad Pacyfiku do Atlantyku: zbielełe w słońcu szkielety ludzi i mułów. Niektórzy zginęli podczas ataków Cimaronów i Indian, ale więcej, dużo więcej - zarówno bogatych kupców, podróżujących lektykami, jak i nędznych poganiaczy mułów albo hiszpańskich żołnierzy - zmarło od febry, wszystkich równającej. Złoty Trakt, Królewski Trakt, Trakt Śmierci. „W wizjach piekiel Dantego - pisał Sir Frederick Treves - nigdy nie było okropniejszej drogi”. Do grozy tego gościńca pasowały kosztowne ładunki, dźwigane na grzbietach mułów. Bo ładunki te wydobywano w Peru czy w Meksyku torturami i niewolnictwem, morderstwem, okrucieństwem i chciwością. Krew, cierpienia i śmierć znaczyły każdą perłę, każdy złoty dukat. Na takiej scenie Drake gotował się zdobyć bogactwo dla siebie i swoich towarzyszy. I te splamione już krwią skarby gotów był zagrabić, jeśli zajdzie potrzeba, dalszym przelewem krwi, dalszymi gwałtami i poświęceniem życia.

O zmroku cała grupa zatrzymała się na skraju Złotego Traktu, o jakieś dziesięć kilometrów od Panamy. Wszyscy powkładali białe koszule na wierzch, by móc się rozpoznać w walce po ciemku. Anglicy i Cimaroni ukryli się w wysokiej trawie. Wydano najsurowsze rozkazy, by nikt się nie ruszał z miejsca aż do chwili, kiedy Drake gwizdem da sygnał do ataku. Czekali więc w podnieceniu, w radosnej nadziei, z napiętymi nerwami. Ciemności zapadły szybko. Diego dotknął ramienia Drake'a, drugą dłoń przyłożył do ucha: ciszę dżungli przerwał daleki brzęk dzwonek na uprzęży mułów...

Cimaroni opowiedzieli, w jakim porządku wędrowały karawany mułów: najpierw jechał oddział hiszpańskich żołnierzy, następnie zwierzęta z ładunkiem, mniej cennym na przedzie, dalej ze srebrem, później ze złotem i klejnotami, wreszcie drugi oddział żołnierzy. Bez wytchnienia, bez przystanków, naprzód, wciąż naprzód. Poganiacze mułów pilnowali poganiacze niewolników. Każdy, kto zwolnił, kto się potknął czy zawahał - otrzymywał chłaśnięcie biczem po nagich, pociętych przez moskity plecach, podrywał się, szedł z wysiłkiem jeszcze kawałek: znowu potknięcie, znowu świst bicia: jeszcze potknięcie i już na ziemi, kopyta mułów tratują nieubłaganie, karawana idzie naprzód, wciąż naprzód, zostawiając na pastwę sępów i mrówek ciała ofiar Złotego Traktu. Bywało, że i żołnierz w nagłym ataku febry zsuwał się z wierzchowca: jego także karawana tratowała na śmierć.

...Uszu Drake'a i jego ludzi dobiegł jeszcze inny odgłos prócz brzęczenia dzwonek na uprzęży. Od strony Venta Cruces - stukot kopyt pojedynczego wierzchowca. Samotny jeździec. Nic groźnego. A jednak...

Jeden z Anglików, Robert Pike, skracał sobie czas czekania i dodawał odwagi pociągając często gęsto z flaszki, ukrytej na piersi. Nagle wstał. Jego biała koszula załopotowała w mroku jak sygnałowe ognisko. Cimaroni obok pochwycili go, ściągnęli w dół, przydusili. Jeździec dodał ostrogi. Wydawało się, że nic złego się nie stało. Wreszcie dzwoneki brzękły wyraźniej i karawana ukazała się na gościńcu. Drake zdążył tylko zauważyć, że nie było żołnierzy na czele. Zagwizdał przeraźliwie. Marynarze wydali potężny wrzask: - „Święty Jerzy i Anglia!” - a Cimaroni swój okrzyk wojenny: „Yo-pe-ho!” - i skoczyli na trakt. Nikt nie stawiał im oporu. Mulnicy i poganiacze padli na kolana, wołając o litość. Piraci nie dbając o nich, rzucili się ściągać worki z grzbietów mułów, rozcinali je, wysypywali zawartość.

- To podstęp!
- Oszustwo!
- Jesteśmy zgubieni...
- Ci przekłęci Hiszpanie!
- Gdzie złoto, klejnoty, perły?

Gościńiec zasłały kłęby wełny i suszonych owoców. Francis pochwycił najbliższego poganiacza, który natychmiast upuścił swój bicz. Pociągnął go za kołnierz, postawił na nogi.

- Gadaj. Gdzie skarby? Co się stało?

Poganiacz, dygocząc ze strachu, pewny, że nadeszła jego ostatnia godzina, wymamrotał:

- ...Z powrotem... wasza ekscelencjo... do Panamy...

- Jak? Dlaczego?

- Hiszpański szlachcic, konno... spotkał nas... powiedział naszemu dowódcy, że na gościńcu... czeka zasadzka... nas posłali... wasza ekscelencjo... dla niepoznaki... a reszta karawany... ze skarbami i oddziałem żołnierzy... zawróciła...

Marynarze chcieli wyładować bezsilną wściekłość na mulnikach. Cimaroni im przeszkodzili.

- Zabierzemy ich ze sobą - powiedział przywódca Cimaronów. - Nie będą więcej cierpieli w hiszpańskiej niewoli. A poganiacze nauczą się inaczej obchodzić z ludźmi.

Hiszpański szlachcic oddał owego dnia dobrą przysługę swemu królowi i gubernatorowi Panamy. A pijaństwo Roberta Pike pozbawiło jego towarzyszy łupu wartości dziesiątków tysięcy funtów. Marynarze zwrócili się teraz ku niemu, wściekli, groźni. Drake wystąpił przed nich.

- Dyscyplina jest sprawą kapitana - rzekł. Twarz miał rozczzerwienioną, oczy mu pały. Choć ledwie średniego wzrostu, rozłożył ogromnego Roberta jednym uderzeniem pięści. - Gdy wrócimy na statek, porachujemy się z tobą - zapowiedział. I do pozostałych:

- A teraz w drogę, jeśli nam życie miłe!

Rozdział 7

„NIGDY NIE BYŁO PIRATA O TAK CZUŁYM SERCU”

- Przeprowadzimy was z powrotem przez dżunglę w góry - zaproponował Pedro. - Hiszpanie nie ośmielą się tam zapuszczać.

Oxenham i Newman zgodzili się, że chyba nie ma innej alternatywy, prócz tej tak przygnębiającej. Z Panamy na pewno wnet powrócą żołnierze, by szukać napastników, przed którymi leżało Venta Cruces i dalsze oddziały wojska. Tom Moone się nie odzywał. Lepiej od innych rozumiał swego kapitana i czekał na jego decyzję.

- Wasza propozycja ratuje nam życie - powiedział Drake. - Ale tu chodzi o jeszcze inną stawkę. Do porażki i rozczarowania dołączy się poczucie, że jesteśmy ścigani. Cała wyprawa może się rozpaść podczas takiego pochodu, ludzie mogą się buntować, żądać powrotu do domu. O ile potrafimy odzyskać bojowego ducha, nic jeszcze nie stracone. W Venta Cruces nie wiedzą o naszej obecności. Tam więc udamy się najszybszym możliwie marszem, zabierając ze sobą muły. A puste worki też weźmiemy. Mogą się przydać.

Rozkazy wykonano natychmiast. Nie dano nikomu czasu na narzekanie. Wszystkich pośpiesznie ustawiono w szyku i ruszono w pochód. Cimaroni, idący w przedzie na zwiadach, dali znać, że gościńcem zbliża się hiszpański patrol. Żołnierze oczekiwali nadejścia zapowiedzianej karawany mułów ze skarbami. Zaskoczeni, zdumieni, prawie nie stawiali oporu, lecz zawrócili i uciekli z powrotem przez otwarte bramy do miasta. Ich panika była zaraźliwa. Ulegli jej także żołnierze garnizonu, chroniąc się za mury potężnie zbudowanego klasztoru. Tam przyłączyli się do nich co zamożniejsi mieszkańcy.

Hiszpańscy żołnierze, uważani w szesnastym wieku w Europie za najlepszych, o wiele gorzej się sprawiali na dalekich placówkach imperium króla Filipa. Jak inni, późniejsi dowódcy w państwach kolonialnych, generałowie hiszpańscy chętnie pozbywali się kiepskich podkomendnych, wysyłając ich za morze. Ci ludzie mogli się wyćwiczyć na wartościowych żołnierzach tylko pod kierunkiem dobrych, doświadczonych zwierzchników. A w hiszpańskich dominiach rzadko się trafiali tacy oficerowie, bo ciągnęły ich tam przeważnie perspektywy szybkiego zdobycia bogactwa. Dla samych żołnierzów szanse powrotu do kraju były odległe, warunki służby surowe, życie wciąż w niebezpieczeństwie z powodu żółtej febrы i zasadzek Cimaronów. W obliczu zdecydowanego ataku, Hiszpanie - o ile nie byli w przygniatająco większej liczbie - zachowywali się często jak tchórze: nie wdawali się w walkę wręcz, cofali się pośpiesznie pod osłonę murów i fortów, a jeśli tylko to było możliwe, do jeszcze pewniejszych sanktuariów.

Drake puścił swych ludzi na grabież miasta, tylko jak zawsze surowo przypominając, by nie molestowali kobiet. Wszystek łup mieli znosić na rynek i składać na wspólny stos. Nie rozdzielano zdobyczy, aż po powrocie do Anglii.

- I ostrzegam: biada każdemu, kto ukryje przy sobie jakiś cenny łup!

Pedro postawił patrol Cimaronów przed miastem, od strony Panamy, by mogli w porę donieść o oczekiwanym zbliżaniu się oddziałów wojsk. Nie znaleziono miejskiego skarbcza, ale z domów i składów towarowych zniesiono sporo zdobyczy. Oxenham przyszedł do Drake'a z informacją, że znalazł szpital położniczy prowadzony przez zakonnice.

- Kobiety są w śmiertelnym strachu - powiedział. - Zakonnice mówią mi, że to może mieć fatalne skutki i dla matek i dla ich jeszcze nie urodzonych niemowląt.

Drake zaraz poszedł sam do szpitala i powitawszy z kurtuazją matkę przełożoną, zapewnił ją, że żadna krzywda nie spotka nikogo w szpitalu.

- Musisz im to osobiście powiedzieć - zażądała matka przełożona. - Jeżeli ja powiem, to mi nie uwierzą. I nie tyle się boją was, Anglików, ile Cimaronów...

Zaprowadziła go na salę, gdzie leżało z tuzin kobiet, kryjących się pod prześcieradłami, płaczących żałośnie. Drake przeszedł między łózkami, kłaniając się i uśmiechając.

- Moje miłościwe panie, ja nie wojuję z wami, ani z nikim waszej płci, dla której żywię najgłębszy respekt. Przysięgam na naszego wspólnego Stwórcę, że dopóki jestem w mieście, będziecie równie bezpieczne, jak gdybyście były w Madrycie. Zaklinani was, uspokójcie się, dla dobra tych niemowląt, które będziecie wnet szczęśliwie kołysać w waszych ramionach.

Poskutkowało. Głowy powysuwały się spod prześcieradeł. Szeroko otwarte oczy spoglądały na tego nadzwyczajnego pirata o uprzejmym głosie. Matka przełożona z wdzięczności chciała paść na kolana, ale Drake podniósł ją, mówiąc:

- Jesteśmy protestantami, pani, i nieprzyjaciółmi waszego króla. Ale nie jesteśmy barbarzyńcami.

Gdy wychodził z budynku, podbiegł Newman z doniesieniem, że Cimaroni odparli oddział jazdy w przedniej straży wojsk, nadciągających z Panamy. Oxenham zwołał wszystkich zajętych grabieżą na rynek. Zarzucono worki z łupem na plecy i wyruszono do lasu. Ale jeszcze przedtem Drake przesłał matce przełożonej złoty krucyfiks wysadzany rubinami, wyobrażającymi krople krwi, a poprzednio zrabowany, oczywiście, z hiszpańskiego statku. Składając później relację przełożonemu swego zakonu w Hiszpanii, zacna kobieta pisała:

„Z pewnością nigdy nie było pirata o tak czułym sercu...”

Rzeczywiście, jest zadziwiające, że tryb życia Drake'a nie zbrutalizował jego natury. Co prawdą, świadomie i celowo chciał wywierać wrażenie swą rycerskością,

chciał rozpowszechnić pogląd, że tylko ci, którzy mu się opierają, są narażeni na ryzyko. Nie robiło mu różnicy, gdy rozpowiadano o jego ścieżkach, walkach, rabunkach - ale nikt nie mógł zarzucić mu okrucieństwa. Może postępował tak we własnym, dobrze pojętym interesie, jednakże to zadziwiało w owych czasach. „Nigdy nie było pirata o tak czułym sercu” - ani też o takiej inteligencji.

Tym niemniej, relacja matki przełożonej kosztowała ją słono. Zdjęto ją ze stanowiska i kazano wracać do Hiszpanii, surowo upominając:

„Powinnaś wiedzieć, że tak zwana kurtuazja, o której pisałaś, jest tylko podstępem szatana, by kusić sługi boże.”

Odmienne punkty widzenia powodują odmienne oceny.

Po powrocie do Portu Plenty, Robert Pike poniósł zapowiedzianą karę za ujawnienie zasadzki na karawanę ze skarbami. Związano go i przeciągnięto pod kilem „Pasco”. Wydobyto na pokład na wpół utopionego, ale wyleczonego z picia na służbie.

Do tej pory ekspedycja przynosiła nieustanne zawody. Nie brakło wprawdzie eskapad hałaśliwych, jak barwne ognie sztuczne. Żadna inna banda piratów nie siała tyle popłochu i paniki, nie spowodowała tak żałosnych skarg, słanych przez gubernatorów:

„Porywa nasze statki handlowe, ląduje gdzie mu się podoba, zabiera, czego mu potrzeba i wymyka się wszelkim pościgom.”

I z niczyjego powodu nie wysłano z Madrytu tak imperatywnych rozkazów:

„...schwytać lub zatopić za wszelką cenę...”

Ale z dawna układane plany rzeczywistego celu wyprawy - załadowania statku złotem - spełzyły na niczym, nie rozświetliły błyskawicą horyzontu Nowego Świata, nie wpisały nazwiska Francisca Drake'a między gwiazdami. I dlatego - nic nie mogło zachwiać determinacji Drake'a.

- Nie wracamy do domu bez jednego przynajmniej wielkiego sukcesu!

I już nikt z jego podwładnych nie szemrał. Bezczelna napaść na Venta Cruces, ucieczka hiszpańskich żołnierzy, szczęśliwe wycofanie się i powrót na statek - wszystko to podnieciło drapieźców. Nikt nie zastanawiał się, że teraz zaalarmowano całe dominium, że wszędzie na lądzie wypatrywano Anglików, że każdy okręt, port i ośrodek handlowy miały się na baczności.

- Kapitan przechytrzył ich raz, to i drugi raz ich przechytrzy! - - Tymi słowami można podsumować treść wieczornych rozmów piratów.

Cimaroni chwilowo powrócili do swych górskich schronisk, by nie umniejszać zapasów żywności żeglarzy. Drake omawiał następne posunięcia z Oxenhamem, Newmanem i Tomem Moone:

- Znamy teraz dokładnie szlak karawan, przewożących skarby. Wiemy o nich wszystko. To na pewno najlepsza sposobność wielkiego-sukcesu. Ale najpierw musimy

utwierdzić Hiszpanów w ich przypuszczeniach: że zaniechaliśmy naszych projektów i powróciliśmy do napaści na morzach.

- Będziemy żeglować na „Pasco”? - zapytał Newman.

- Nie, na pinasach. Statek musi tu zostać.

- Mało ludzi mamy - rozważał Oxenham. - Trzeba pilnować jeńców. Nie wolno im pozwolić uciec, bo by zdradzili miejsce naszej kryjówki.

- Na to wystarczy paru marynarzy - odparł Drake. - Mają tylko pilnować, żeby jeńcy nie ukradli „Pasco”. Cimaroni dopilnują” żeby Hiszpanie nie podeszli od strony lądu. A właśnie z powodu Cima-ronów nikt z jeńców nie próbuje uciekać przez dżunglę. Jeden z tych hiszpańskich kapitanów wydaje mi się całkiem przyzwoitym człowiekiem. Ma poczucie humoru i powiada, że mu przypada do gustu nasza śmiałość. Swoich marynarzy trzyma mocno w klubach. Paru pasażerów narzeka, oczywiście, ale on ich uspokoi. Ufa nam w pewnej mierze, ale nie jest pewien, czy nie zlikwidujemy jeńców, jeśli będą przyczyniać kłopotów.

Oxenham i Newman obaj zaofiarowali się zostać w Porcie Plenty.

- Newman zostanie - zdecydował Drake. - Oxenham obejmie komendę nad jednym pinasem, ja nad drugim i będziemy działali każdy na własną rękę. W ten sposób Hiszpanom trudniej przyjdzie się zorientować, gdzie jesteśmy i jakie mamy intencje.

Rankiem Oxenham wyruszył z rozkazem wzięcia jakiegoś statku z prowiantem, bo żywność się kończyła. Drake udał się w przeciwnym kierunku. Zdobył statek j: niewielką ilością złota na pokładzie, a Oxenham znalazł i przyprowadził do Portu Plenty zgrabny, szybki żaglowiec, załadowany prowiantem różnego rodzaju. Drake wyruszył ponownie i dostrzegłszy statek na horyzoncie, puścił się w pościg. Ale okazało s-ię, że nie był to statek hiszpański, lecz korsarz hugonocki: siedemdziesiąt osób załogi, pod dowództwem kapitana Guillaume’a Le Testu.

Francuzi uradowali się z przybycia Anglików, bo byli prawie bez-żywności i wypili ostatnie kubki wody. Le Testu tym chętniej więc zgodził się na propozycję Drake’a, by połączyć siły i działać wspólnie.

- Nam brak ludzi, a wam brak prowiantu - mówił Drake. - Zamierzam zaatakować karawanę mułów na Przesmyku Panamskim. Przyłączcie się do nas, a podzielimy się łupem.

- Z chęcią przyłączę się do każdej napaści na papistów - odrzekł Le Testu. - Zawsze byli naszymi wrogami, a teraz po stokroć więcej. Słyszeliście już chyba o masakrze?

- Nie. Jakiej masakrze? Gdzie? Kiedy?

- W Paryżu, w noc świętego Bartłomieja, zeszłego roku. Katarzyna Medycejska namówiła króla, swego syna, by podjudzić tłumy przeciwko hugenotom. Wmieszani w to byli książę andegaweński, Henryk Gwizjusz i inni magnaci. Hugenotów włączono

po ulicach... gwałty, grabież... wymordowano mężczyzn, kobiety, dzieci. Masakra objęła też inne miasta. Szerzyła się jak zaraza... zginęło dziesiątki tysięcy współwyznawców. Niektórym udało się uciec. Schronili się w Anglii, w Holandii...

Drake aż zaklął ze współczucia. Gdy tylko wysiedli na ląd razem z Francuzami, zwołał swoich ludzi i opowiedział im okropne nowiny:

- ...nie trzeba nam podnieć do walki przeciwko Hiszpanii, ale teraz tym bardziej wiemy i czujemy, że nasza wojna jest wojną przeciwko nietolerancji, uciskowi, krwawym gwałtom i wszelkiemu złu.

Nie Hiszpanie, ale Francuzi dokonali masakry w noc świętego Bartłomieja. Jednakże nie tylko ręce Katarzyny Medycejskiej zbrukały się krwią pięćdziesięciu tysięcy męczenników. Gdy w Paryżu tłuszcza wyła i mordowała, ambasador hiszpański pisał do Eskurialu:

„Niechaj będzie błogosławiony Bóg, który obrócił ku naszej sprawie serca książąt. Oby tak dalej!”.

Papież Grzegorz pogratulował francuskiej królowej-wdowie zlikr widowania tak wielu heretyków, rozkazał w całej Europie rozpałać ogniska dziękczynne i upamiętnił zdarzenie wybiciem specjalnego medalu. A Filip II zatarł ręce z satysfakcji, mówiąc do swego wielkiego wezyra:

- To nam ułatwi podbicie tych kalwinistów o sztywnych karkach w Niderlandach.

Niektórzy z podkomendnych korsarza Le Testu, a i niejeden z Anglików także, chcieli wyrzucić pomstę na jeńcach, trzymanyh w Porcie Plenty. Drake i francuski kapitan najsurowiej tego zabronili. Gdy nowi przybysze nareszcie się najedli, napili, pozwolono im na parę dni odpoczynku. Tymczasem przywódcy układali plan działania. Drake skopiował prymitywny, zrobiony przez Pedra szkic Przesmyku Panamskiego, potem sporządził drugą mapę, o wiele dokładniejszą, na podstawie własnej znajomości wschodniego wybrzeża, jego przystani i zatok. Nad tymi mapami pochylały się teraz dwie twarze białe, spalone na brąz wichrami i jedna czarna. Drake pokazał Francuzowi, gdzie dokonano nieudanego ataku na karawanę mułów.

- Tym razem urządzimy zasadzkę w tym miejscu - zaproponował, wskazując na mapie punkt odległy nie więcej, jak dwa kilometry na zachód od Nombre de Dios.

- Dobry wybór - zgodził się Pedro. - Wynurzymy się z dżungli wprost na Złoty Trakt. A tak blisko miasta karawana nie będzie się już strzegła. Będą zapewne uważali, że wszelkie niebezpieczeństwo minęło.

- Weźmiemy ten zgrabny mały statek, który Oxenham zdobył i oczywiście dwa pinasy. Tu wylądujemy! - Palec Drake'a wskazał ujście małej rzeczki, Rio Francisco, która wpadała do morza o jakieś dziesięć kilometrów od Nombre de Dios.

- Nie mam zastrzeżeń - rzekł Le Testu. - Ty, kapitanie, i Pedro znacie okolice lepiej ode mnie.

Pedro sprowadził około trzydziestu Cimaronów. Nie brakowało teraz ludzi do żadnego z zadań. Do napaści wyznaczono Cimaronów, dwudziestu Francuzów i piętnastu „chłopców z Devonu”. Oxenham, Newman i Tom Moone - wszyscy wzięli udział w przedsięwzięciu: do pilnowania Portu Plenty wyznaczono jednego z oficerów Le Testu.

Przed wyruszeniem Drake wezwał kapitanów zagarniętych statków.

- Wyjeżdżam na krótko - powiedział im. - Ufam, że na bardzo krótko. Polegam na was, byście trzymali w ryzach swoich ludzi. W waszym własnym interesie. Cimaroni są w pobliżu. Jeśli narobicie tu kłopotów albo popróbowacie uciekać, pozabijają was co do jednego. Natomiast jeżeli będziecie się zachowywać przykładowie, po moim powrocie wysadzę was na ląd w pobliżu Nombre de Dios.

- Traktowałeś nas po ludzku i żywiłeś dobrze - odparł ów bardziej tolerancyjny z kapitanów. - Nawet dość tu wygodnie. Z pewnością mogę również w imieniu mych przyjaciół przyrzec, że wierzymy twojemu słowu i będziemy spokojnie oczekiwać twego powrotu. - Uśmiechnął się i dodał: - Odgaduję zresztą cel wyprawy. Gdyby twój sukces nie oznaczał zarazem straty dla mego kraju, powiedziałbym, że życzę powodzenia nieprzyjacielowi tak kurtuazyjnemu i tak śmiałowemu.

W ujściu rzeki Rio Francisco znaleziono dobrą kryjówkę dla statku i zostawiono go tam pod opieką Toma Moone. Pinasy udały się w górę rzeki. Wiosłowano zawzięcie, dopóki Pedro nie orzekł, że już można zagłębić się w dżunglę. Ludziom, pod których pieczę zostawiono pinasy, Drake zlecił:

- Zabierzcie je na morze i ukryjcie gdzieś przy brzegu. Macie stawić się po nas w tym samym miejscu dokładnie za cztery dni.

Gdyby Hiszpanie natknęli się na pinasy, czekające na rzece, te łodzie nie zdołałyby się wymknąć. Natomiast statek można było łatwo wyprowadzić z ujścia rzeki na pełne morze.

Napastnicy rozpoczęli żmudne przedzieranie się przez dżunglę do Złotego Traktu. Upatrzone na zasadzkę miejsce znajdowało się w połowie wzgórza nad Nombre de Dios, a tak blisko portu, że gdy nadszedł dzień, mogli słyszeć dźwięk młotów i zgrzyt pił w dokach. Ludzi porozmieszczano wzdłuż traktu w wysokiej trawie i kolczastych krzakach. Nauczony poprzednim doświadczeniem, Drake kazał każdego przeszukać, czy nie ma przy sobie schowanych flaszek z trunkami i zapowiedział:

- Jeśli któryś będzie takim durniem, że zechce naśladować Roberta Pike'a i ruszy choćby jedną nogą zanim usłyszy *mój* gwizdek, najbliższy jego sąsiad ma prawo bez wahania zasztyletować go lub rąbnąć w łeb, co szybsze!

Przez wiele godzin czekali nieruchomo, w napięciu, bez słowa. W końcu przyczołgali się Cimaroni, wysłani na zwiady:

- Wielka karawana mułów, kapitanie! Ze dwie setki zwierząt. O niecałą milę.

Ledwie umilkł szept, gdy uszu czekających doleciał dźwięk dzwonek na uprząży mułów, wspinających się na szczyt wzgórza. Tym razem zgodnie z planem: świst, chmura strzał, „Bóg i święty Jerzy!” „Yo-pe-ho!” Żołnierze i mulnicy zaskoczeni, oszołomieni... krótka utarczka... Hiszpańscy żołnierze, zostawiwszy dwóch towarzyszy bez życia na Żłotym Trakcie, uciekli w dół do miasta... skórzane torby, wory i paki naładowane, napchane złotem i srebrem, więcej, niż piraci zdołaliby unieść...

- Srebro zakopać - rozkazał Drake. - Każdy zabiera tyle złota, ile uniesie...

Jednego Cimaroną w utarczce zabito, raniono jednego marynarza francuskiego i jednego z Devonu. Le Testu przyklął obok gościńca, schylony, rękoma trzymając się za brzuch. Drake podbiegł do niego.

- Zostawcie mnie w lesie - wykrztusił Francuz.

- Ależ to niemożliwe! - zawołał Drake.

- Tak być musi... losy moich ludzi i twoich, ich fortuny... nie wolno tego zmarnować...

Gdy piraci i Cimaroni krzatali się wokół skarbów, francuskiego kapitana zaniesiono do dżungli, gdzie zaopiekowało się nim dwóch jego podwładnych marynarzy, którzy się zgłosili na ochotnika, by przy nim zostać. Pewny znak, że był zwierchnikiem ludzkim, budzącym przywiązanie.

- Wrócimy tu po ciebie - pocieszał go Drake. Le Testu zmusił się do uśmiechu:

- Nie wątpię... ale uważaj na siebie... wiem, jak cenne jest twoje życie dla sprawy protestanckiej...

Od strony Nombre de Dios: stukot końskich kopyt, rytmiczny tupot żołnierskich nóg po kamieniach gościńca. Ale gdy Hiszpanie dotarli do miejsca zasadzki, znaleźli tylko trochę pustych worków, pasące się obojętnie muły i dwóch zabitych własnych rodaków. Mulnicy, unosząc ze sobą paru rannych towarzyszy, skorzystali ze sposobności i przyłączyli się do Cimaronów.

Piratom, gdy ułożyli się do snu w gąszczu dżungli wydawało się, że tym razem wszystko poszło dobrze. Ale...

Diego, którego wysłano przodem do Rio Francisco powrócił biegiem. W ich zatoce leżało siedem hiszpańskich łodzi, raportował zdyszany. I ani śladu pinasów, należących do wyprawy, chociaż właśnie mijały cztery dni: umówiony termin.

- A nasz statek? - pytał Drake.

- Z wysokiego wybrzeża, gdzie byłem, powinienem był zobaczyć jego maszty, kapitanie, ale...

- Z pewnością go zdobyli i nasze pinasy także - powiedział Newman, zawsze skłonny myśleć, co najgorsze.

Drake miał inne usposobienie, jak przystało urodzonemu wodzowi.

- Głupstwa gadasz - rzekł ostro. - W nocy była wichura. Założę się, że dla bezpieczeństwa przed burzą Tom Moone wyprowadził statek na pełne morze. I ta sama wichura, która zagnała hiszpańskie łodzie do zatoki, przeszkodziła naszym pinasom przybyć tu z powrotem na czas.

Jednak marynarze, Francuzi i Anglicy, upadli na duchu. Wystraszeni, posępni, szeptali między sobą:

- Ktoś urok rzucił na tę naszą wyprawę...

- Stracimy wszystko, cośmy zyskali... - Może i życie...

- Jak się stąd wydostaniemy w ogóle? Pinasy nie - mogą wrócić, dopóki ci przekłęci Hiszpanie stoją w naszej zatoce...

- A może już nasze załogi zagarnięto, a pod torturami zdradzą kryjówkę Portu Plenty...

- Hiszpańscy żołnierze wszędzie nas szukają...

Drake zignorował szemrania i trwogi. Wiadomo, ludzie mieli przyczyny do niepokoju o własną skórę.

Jeżeli pinasy nie mogą dotrzeć do nas, my się dostaniemy do nich - powiedział energicznie. - Tratwa! Drzewa tu pod dostatkiem, nawet wielkie bale widziałem leżące w dole rzeki. Do roboty, chłopcy!

- Do powiązania pni razem zrobimy mocne liny z lian - dodał Pedro, a Cimaroni natychmiast pobiegli wykonać jego polecenie.

Oxenham już rozdzierał worki, by z nich zrobić żagiel.

Desperacka to była szansa. Ale ludzie chwycili się roboty. Wyciosano dwa prymitywne wiosła do sterowania. Tratwę spuszczone na wodę.

- Ja popłynę, kapitanie... - powiedział Oxenham.

- Wiem, żeś gotów - odparł z uśmiechem Drake. - Ale to moje zadanie.

Wybrał jednego z własnych ludzi i dwóch Francuzów, którzy zdjęli buty i boso wskoczyli na tratwę. Z chwiejnego pokładu Drake jeszcze zawołał do tych, którzy zostali na brzegu:

- Jeśli Bóg pozwoli, bym znowu postawił stopę na statku Toma Moone, to wydobędę was stąd, z boską pomocą, a wbrew wszystkim Hiszpanom w Zachodnich Indiach!

Ale pierwszym jego celem nie był statek. Czterej mężczyźni ostrożnie wymanewrowali tratwę z prądem rzeki. Gdy podpłynęli do ujścia, dostrzegli, że fortuna im sprzyja: hiszpańskie łodzie odchodziły w stronę Nombre de Dios - pewna oznaka, że Hiszpanie nic nie wiedzieli o napaści piratów. Na pełnym morzu tylko bardzo doświadczony żeglarz mógł manewrować prymitywną tratwą. Ale Drake dawał sobie radę. Niebezpieczeństwo podniecało go, dodawało jeszcze sił i energii. Tratwę wciąż zalewała woda. Czterej śmiałkowie byli w nieustannym niebezpieczeństwie, że

silniejsza fala strąci ich do morza. Ich skórę paliło niemiłosiernie słońce, piekła słona woda. Po sześciu godzinach wyminęli przylądek i zobaczyli pinasy, przebijające się w ich kierunku pod wiatr. W chwilę później skręciły do brzegu, zapewne by schronić się na noc.

- No, tym razem nas staruszek Neptun nie dostanie! - rzekł Drake.

Z trudem skierował tratwę ku lądowi, przybił do płaskiego wybrzeża i wyskoczył na piasek. Poprzednia noc minęła bezsennie. Po utarczce z Hiszpanami maszerowali przez dżunglę z ładunkami. - Drake, oczywiście, niósł równie ciężki ładunek, jak każdy inny - a potem niebezpieczne, wyczerpujące godziny na zmywanej słoną wodą, pod palącym słońcem tratwie. Mimo to, wszyscy czterej zaczęli biec, a Drake na czele. Wysoka skarpa zasłaniała przed nimi zatokę, do której zmierzały pinasy.

Zmęczenie nie przytłumiło triumfalnego nastroju Drake'a, ani jego zamiłowania do żartów, często nawet grubych. Pędem zbiegł ze skarpy w dół na wybrzeże, gdzie stały pinasy, wołając do ludzi. Ci patrzyli z przerażeniem. Czyżby ze wszystkich, którzy się wyprawili na karawanę ze skarbami, ocalało tylko czterech? Obszarpanych, półnagich, przemoczonych? Drake, dobiegając do pinasów, zrobił ponurą minę i niby udawał stoicką nonszalancję:

- Źle poszło, kapitanie?

- Nie, nie. Dobrze - odrzekł, ale twarz odwracał, spoglądał na morze.

Wszyscy wiedzieli, że zwykle w taki sposób ich kapitan reagował na porażkę.

- Gdzie statek, kapitanie?

- Nie wiem. Ale co z wami się stało?

Potwierdzili jego poprzednie domysły: opóźniła ich wichura. Więc uznawszy, że dość już biedaków naoszukiwał, Drake wybuchnął hałaśliwym śmiechem i krzyknął:

- Wszystko poszło wspaniale! Naprawdę wspaniale! - wyjął z kieszeni wielki złoty pierścień. - Dziękować Bogu, wyprawa się udała. Reszta naszych ludzi czeka nad rzeką z worami napchanymi tym oto!

Odtąd fortuna sprzyjała im niezmiennie. Gdy pinasy zwróciły się do ujścia Rio Francisco, dostrzeżono zakotwiczony tam statek Toma Moone. Skarb przetransportowano na pokład. Drake, wracając z pina-sami, kazał przyholować również tratwę.

- Tratwę zabierzemy do kraju - powiedział. - To cenne trofeum: dowód, że Bóg nam błogosławił!

W Porcie Plenty wszystko zastali w porządku. Jeńcy nie sprawili żadnych kłopotów. Przeładowano znowu cenny łup, a Drake oznajmił:

- Honor wymaga od nas dopełnienia jeszcze jednego obowiązku. Nie możemy zostawić biednego Testu na łaskę Hiszpanów.

Francuski porucznik chciał stanąć na czele oddziału, spieszącego na ratunek jego kapitanowi, ale mu to wyperswadowano. Lepiej posłać ludzi już obeznanych z okolicą. Przy ujściu Rio Francisco ludzie Drake'a kategorycznie odmówili zgody na to, by ich kapitan osobiście udał się na tę niebezpieczną misję - jak niegdyś nie zgodzili się zostawić go rannego w ataku na skarbiec.

- Dość już się naraziłeś na tej nieprawdopodobnej tratwie - powiedział Oxenham. - Nie przeciągaj struny. Zwiążemy cię raczej, niżbyśmy mieli pozwolić ci iść.

Drake śmiał się, rad z przywiązania, jakie mu jego podwładni okazywali. Oxenham i Pedro wzięli z pół tuzina marynarzy i drugie tyle Cimaronów i poszli. Ale w okolicy miejsca zasadzki nie było ani Le Testu ani jego dwóch wiernych towarzyszy. Zakopane sztaby srebra znaleziono i zabrano. Oxenham ze smutkiem nakazał odwrót na statek.

We właściwym czasie rozdzielono skarby między Anglików, Francuzów i Cimaronów. Drake ofiarował wodzowi Cimaronów, Pedro, szablę wielkiej wartości, którą sam dostał poprzednio w podarunku od Le Tesu, a ten miał ją od słynnego admirała hugenockiego, Coligny, zamordowanego z rozkazu księcia de Guise. Zagarnięte statki hiszpańskie zniszczono. Trzeba było również zniszczyć „Pasco”: stoczony przez robaki, cieknący, „Pasco” nie nadawał się teraz do przeprawy przez Atlantyk. Statek, który Oxenham zdobył, był w dobrym stanie, ale nie większy od dawnego „Swana”, nie mógłby pomieścić pozostałych przy życiu „chłopców z Devonu” wraz z ich łupami. Potrzebny był drugi.

Tak więc, już po odpłynięciu Francuzów, Drake raz jeszcze sam wyprawił się na pinasie do Cartageny i tuż przed portem, rojnym od statków handlowych i hiszpańskich okrętów wojennych, z jawną bezczelnością napadł na fregatę „załadowaną świeżym prowiantem, drobiem, wieprzkami i miodem” - dokonał abordażu i wprowadził ją ze sobą.

Razem z Cimaronami, bez których współdziałania akcje na lądzie nie były do pomyslenia, wyprawiono wielką pożegnalną ucztę wokół ogniska obozowego. Zaproszono również jeńców, którzy przyłączyli się z równą wesołością, jak i ich strażnicy. Mieli do wesołości powody. Drake obiecał im nazajutrz wysadzić ich na ląd w pobliżu Nombre de Dios. Winem, zrabowanym z ich własnych statków, Hiszpanie pili za zdrowie wodza angielskich piratów.

- Nikt nie lubi niewoli - mówił hiszpański kapitan - ale El Draque, iż go nazwę imieniem, pod którym jest znany w tych stronach, a on z pewnością zrozumie, że to piękny komplement - traktował nas lepiej, niżby to uczynił hiszpański szlachcic!

Kiedy indziej Anglik może by poczuł się dotknięty porównaniem. Ale w tym wypadku wiedział, że to było zamierzone jako wyraz największego uznania.

- Zrobiliśmy, co było możliwe - odpowiedział - by wasza niewola nie była ciężka. Za niewygody, których się nie dało uniknąć, przyjmijcie przeprosiny.

Gdy Cimaroni odchodzili, Diego został już na zawsze ze swym kapitanem, do którego tak się przywiązał.

Podróż powrotna odbyła się szybko i bez przeszkód. Przywódca udanej wyprawy miał pod dostatkiem czasu do rozmyślań. Żaden z dwóch statków, które wraz z załogami wyszły z Plymouth, nie wracał z nim. Z siedemdziesięciu trzech ludzi, którzy wypłynęli przed osiemnastu miesiącami, połowa - wśród nich jego brat John - straciła życie gdzieś na Karaibach. Wysoka cena. Drake, Oxenham, Newman, Moone i reszta pocieszali się i będą próbowali pocieszać osierocone rodziny argumentem, że położono w ofierze życia, zadając dotkliwie ciosy w obronie protestantyzmu. Prawda, ale nie cała. Druga część prawdy, jak będzie wiedziała każda strapiona matka, kochanka, żona - kryła się w ładowniach dwóch małych statków. Dość skarbów, by żeglarze dobrze się mieli aż do śmierci po najdłuższym życiu: dość, by Drake stał się jednym z najbogatszych ludzi na zachodzie Anglii.

Czas miał ukazać jeszcze jedną prawdę, na razie nieznaną: wyprawa do Nombre de Dios rozwinęła talenty człowieka, który miał się stać Dawidem królowej Elżbiety w przyszłej walce jej narodu z hiszpańskim Goliatem.

Część druga
ŻEGLARZ

Rozdział 8

„HANIEBNA SPRAWA”

- Nie potrafię opowiedzieć: nie możesz sobie nawet wyobrazić, jak potężne wrażenie to na mnie wywarło. Na wierzchołku tego drzewa w Panamie, gdy popatrzyłem na Wielkie Południowe Morze; mówię ci, że mi dech zapało w piersiach...

Tak mówił Francis Drake w Belfaście w roku 1575 do Thomasa Doughty, nowego znajomego. Opowiedział, jak postanowił żeglować po wodach Pacyfiku, spustoszyć najważniejsze złotodajne źródła Hiszpanii, a później śladami Magellana - opłynąć dookoła glob. Doughty odrzekł:

- Wielki plan! Naprawdę wielki. Zdobędziesz sławę i bogactwa dla siebie i wszystkich, którzy ci dopomogą. Pozwól mi uczynić wszystko, co w mojej mocy, by przyspieszyć jego realizację...

Stwardniała, opalona ręka Drake'a pochwyliła w uścisku miękką, trochę wilgotną dłoń Doughy'ego. Właśnie w nadziei pozyskania sobie takiego poparcia Drake rozdmuchiwał niedawną znajomość w pozorną przyjaźń. Przerwał mu:

- Potrzebna będzie zgoda królowej; gdyby miłościwa pani zechciała zainwestować...

- W tym ci się mogę przydać - zaproponował Doughty. - Jak wiesz, posiadam pewne... jakby to powiedzieć... możliwości. Cenią mnie w kręgach dość wysoko postawionych. Jestem blisko z hrabią Essexem, a także z hrabią Leicesterem, z Williamem Cecilem, z sekretarzem królowej, Francisem Walsinghamem. Moim dobrym znajomym jest również Christopher Hatton, kapitan gwardii osobistej Gloriany i - tu Doughty podniósł znacząco jedną brew - jej najświeższy faworyt, jeden z tych, których ona zwodzi obietnicami' intymności bez najmniejszej intencji dopuszczenia do finalnej łaski.

Ignorując złośliwość plotek, Drake powiedział:

- Byłbym ci wielce wdzięczny, gdybyś zechciał zatroszczyć się o moją sprawę.

- Tylko - zastrzegł się Doughty - chcę: „quid pro quo”...

- Wymień twój warunek...

- Że włączysz moją osobę do twojej wielkiej wyprawy.

- Ależ nie jesteś żeglarzem. A ja przewiduję trudy i niebezpieczeństwa.

- Nie boję się trudów, a nikt nie jest żeglarzem, dopóki nie pójdzie na morze - odparł Doughty.

Istotnie, wielu młodzieńców, zwykle młodych szlachciców, synów bogatych inwestorów, przyłączało się do wypraw handlowych i pirackich, nie mając żadnego żeglarskiego doświadczenia.

Drake skapitulował.

- Oczywiście, rad będę z twojej kompanii, jeśli zechcesz pożeglować ze mną.

Co prawda, wcale tego nie był pewien. Ale - krok za krokiem, po kolei. Poparcie na dworze było użyteczne, mogło być nawet decydujące. Dalsze problemy trzeba rozwiązywać w miarę, jak się będą nasuwały.

Kiedy w sierpniu roku 1573 Francis Drake powrócił z Karaibów, była niedziela i pastor Fletcher właśnie wygłaszał kazanie w kościele na nabrzeżu Plymuoth Hoe. Ze współczesnego diariusza:

„Nowina o powrocie kapitana od razu rozeszła się po całym kościele, i mało kto z pastorem został, a wszyscy pośpieszyli ujrzeć na własne oczy łaskę boską i błogosławieństwo w postaci przywiezionych przez naszego kapitana owoców jego zwycięstw i pracy...”

Wydaje się, że ten pośpiech musiał być miarą zaufania mieszczan do ich młodego współrodaka.

Na czele tłumu biegła Mary Drake, stęskniona za objęciami Francisca, marząc że teraz przynajmniej przez jakiś czas będzie miała męża przy sobie. Nie wiadomo, jak dalece Drake podzielał jej pragnienia, ale w każdym razie ich radość trwała krótko.

Anglo-hiszpańskie stosunki na pozór dobrze się układały. Wojska Filipa nadal walczyły w Niderlandach, z trudem zmagając się z rebeliantami; nawet jednego regimentu nie można byłoby odwołać na wojnę przeciw Anglii. Prócz tego, chociaż wygnana ze Szkocji Maria Stuart schroniła się pod opiekę swej kuzynki, która uwięziła ją w angielskim zamku, nadal król Hiszpanii miał nadzieję, że zdobędzie wyspiarskie królestwo zamachem na Elżbietę i osadzeniem na tronie katolickiej królowej Szkotów. Ze swej strony Elżbieta również wolała unikać, jak zawsze, jawnego konfliktu, popierać rozwój handlu, dzięki czemu kupcy byli zadowoleni i gotowi do udzielania jej pożyczek, a kraj obrastał w dostatki.

W takiej sytuacji wieści o powrocie Drake'a z ładunkiem skarbów, zrabowanych w dominium króla Filipa, przyjęto na dworze z zaam-barasowaniem. Królowa w pierwszej chwili nie mogła ukryć podziwu i aprobaty.

- Dobra robota! - mówiła. - Od kiedy go tylko zobaczyłam, wiedziałam, że ten mały pirat prędzej czy później zatrząsie połową świata! - Potrząsnęła głową, wzruszyła ramionami i dodała: - Ale, co za wiele, to niezdrowo!

Gubernator Panamy, wysyłając do Eskurialu raport o napadzie na karawanę mułów, pisał:

„To zdarzenie jasno świadczy o lekceważeniu przez protestanckich Anglików wszelkich praw boskich i ludzkich... El Draque nabrał apetytu do grabieży i w przyszłości on sam i jego kompatrioci mogą przyczynić nie lada kłopotów w dominium waszej królewskiej mości w Nowym Świecie... Jednakże Bóg Wszechmogący z

pewnością nie zezwoli, by uszedł bezkarnie taki piracki napad na przedsięwzięcia Waszego Majestatu, wybranego narzędzia dla wykorzenienia herezji i heretyków.”

Król. Filip wyrażał swoje emocje raczej w modłach i pokornej skrusze, niż w wybuchach złości i przekleństw. Tym razem posunął się tak daleko, iż odrzucił z irytacją raport, mrużąc:

- A mój majestat nie zezwoli, by głupota tego gubernatora uszła bezkarnie. Zwolnię go ze stanowiska. Jego wielomowność nie ukryje przede mną jego niedołęstwa.

Hiszpańskiemu posłowi w Londynie polecono złożyć ostry protest i zażądać, by Francis Drake poniósł karę, zawsze wymierzaną piratom. Tak więc zaraz po powrocie do Plymouth, ledwie Drake miał czas rozdzielić łup pomiędzy żeglarzy i inwestorów, ledwie Mary zaznała słodczy małżeńskich objęć - a już na ręce Johna Hawkinsa specjalny goniec przyniósł zwięzłą radę ze dworu, by postrach hiszpańskich dominiów lepiej na jakiś czas zniknął z oczu.

W parę godzin Hawkins przysposobił fregatę „Falcon” z pełną załogą. Drake z Tomem Moone i Murzynem Diego pospiesznie wyszli w morze. Zawsze niespokojna Irlandia była zwykłym schronieniem rozbójników, bankrutów, uwodzicieli dziewcząt w tarapatach z powodu gniewu rodziców i w ogóle wszystkich, którym z racji politycznych lub religijnych śnił się cień straszliwej wieży: Tower of London..Falcon” wziął kurs na Queenstown (dzisiaj Cobh) na południowych wybrzeżach Irlandii i w tym porcie stał, jak mysz pod miotłą, przez blisko rok.

W roku 1573 Walter Devereux, pierwszy hrabia Essex - ojciec drugiego hrabiego Essex, któremu było przeznaczone stać się najbardziej krnąbrnym ze wszystkich faworytów i półkochanków królowej. - wyprawił się do Ulsteru z żądaniem poskromienia irlandzkich rebeliantów, wspomaganych tam przez imigrantów ze Szkocji. Hrabia wyekwipował ekspedycję częściowo własnym sumptem i obiecano mu, że otrzyma na własność ziemie, które by zdobył mieczem lub dyplomatycznymi traktatami. Elżbieta lubiła załatwiać swoje sprawy tanim-kosztom.

Posłyszawszy, że Drake jest w Queenstown, Essex zaproponował mu, by przyjechał na północ i objął komendę nad jego statkami. Widząc sposobność odzyskania łask królowej, Drake natychmiast pożegłował do Belfastu. Otrzymał od hrabiego tak zwany list zlecający i został oficerem w służbie swego suwerena.

Wokół ludzi, kręcących się przy osobie hrabiego Essexu był Thomas Doughty, ponoć szlachetnego urodzenia, posiadający grekę i łacinę, dobry mówca, rzekomo pobożny. Gładkie maniere i niewątpliwe zdolności w pewnych kierunkach pozwoliły mu poprzednio wkraść się w łaski Essexu, ale w kłótni, jaka wybuchła między jego patronem a hrabią Leicesterem, gdy posłużono się Thomasem Doughty jako pośrednikiem, okazało się, że ten, udając poparcie dla każdej ze stron, w końcu stracił

przychylność obu magnatów. O tym jeszcze Drake nie wiedział: nie znał też listu który po pogodzeniu Essex napisał do Leicester a:

„...widzę jak niebezpieczne jest ufać słowom sługi... nie zamierzam nigdy więcej używać tego człowieka do żadnych zadań...”

Według określenia jednego z biografów Drake'a, Ernie Bradforda, Doughty należał do „ludzi nowego pokroju, Anglików epoki renesansu, z powodu których zrodziło się w Rzymie powiedzenie: Zitalianizowany Anglik jest wcielonym diabłem”. Do słabości Drake'a trzeba zaliczyć jego ślepy respekt dla szlachty i ludzi wykształconych. Prócz tego, był łasy na pochlebstwa, a Doughty szybko się w tym zorientował. Ale przede wszystkim Francis szukał każdego możliwego poparcia na dworze dla swego projektu wyprawy na Pacyfik.

Na morzach irlandzkich roilo się od piratów, napastujących statki handlowe, a w myśl zasady: „złodzieja najprędzej schwyta drugi złodziej”, Drake świetnie się nadawał do rozprawienia się z nimi. Abordáže, napady, zażarta walka wręcz, podpalanie statków - to był jego żywioł. Ale w tym właśnie okresie splamił swoje dobre imię, przedtem i później słynące rycerskością, udziałem w jednej z najciemniejszych zbrodni w całej ciemnej historii angielskich stosunków z Irlandią.

Z pomocą zbuntowanym Irlandczykom przybyło paruset Szkotów, przezywanych „Rudonogimi” z powodu koloru owijaczy, jakie nosili. Ci przysporzyli mnóstwo kłopotów Essexowi wojną podjazdową: kryli się w pobliżu jego wojsk, zabijali maruderów, urządzali nocne zasadzki i napady, nawet wdawali się w otwarte, krótkie utarczki. Rozzłoszczony Essex zdecydował się na haniebny odwet. U północno-wschodnich wybrzeży leżała wyspa Rathlin, na której Rudonodzy umieścili swoje rodziny.

- Należy wszystkich wymieść z tej wyspy - powiedział Drake Tomowi Moone. - John Norreys dowodzi wysłanymi w tym celu oddziałami, a my mamy ich przewieźć na wyspę i wspomagać.

- Ależ, kapitanie - wzdragał się stary cieśla. - To nie robota dla ciebie. Kobiety i dzieci...

- Jesteśmy pod rozkazami hrabiego - odparł Drake szorstko.

- W takim razie z całym należnym szacunkiem uważam, że powinniśmy jak najszybciej porzucić taką służbę i takiego dowódcę.

- Rozkazy hrabiego są rozkazami królowej - warknął Drake. Moone wzruszył ramionami, potrząsnął głową:

- Ja zawsze będę z tobą, kapitanie. Ale nie podoba mi się taki rozkaz.

Jako lądowo-morska operacja wojskowa, zdobycie wyspy Rathlin było łatwym zadaniem - zbyt łatwym. Drake wylądował na ląd ciężkie działa z okrętów. Sam objął nad nimi komendę. Tak wielkie szkody w zabitych i rannych poczyniły pierwsze salwy

armatnie, że garstka Rudonogich na wyspie od razu musiała skapitulować. Ale to nie ocaliło ich rodzin, ani ich samych. John Norreys poszczuł swych ludzi do mordów, jak krwawe psy, spuszczone z uwięzi. Polowali po zakamarkach, jaskiniach i kryjówkach zamiatanej sztormami wyspy Rathlin, wywlekali swe ofiary, szydząc z ich błagań o miłosierdzie. Wymordowali ponad sześćset kobiet, dzieci i starców.

- Okropność! - lamentował Moone. - To haniebną sprawą... Rzeczywiście. Dlaczego Drake dał się wciągnąć? „Nigdy nie było pirata o tak czułym sercu!” A nie był człowiekiem, którego by łatwo było zastraszyć. Nie powinien się lękać odmówienia rozkazu, o którym wiedział, że ściągnie hańbę na wszystkich najętych wykonawców. Niektórzy biografowie po prostu omijają całą aferę, w ogóle o niej nie wspominając; inni gośloślnie twierdzą, nie przytaczając żadnych dowodów, że nie można Drake'a obwiniać; jeszcze inni powątpiewają, czy masakra w ogóle się zdarzyła. Niestety, owa tragedia jest aż nadto dokładnie udokumentowana. Norreys, znany pod przezwiskiem Czarnego Johna, podjął się jej - co pasowało do jego reputacji. A Drake mu pomagał - co wcale do jego reputacji nie pasowało.

Więc dlaczego? Odpowiedź jest chyba prosta. W dominiach hiszpańskich opinia rycerskości dobrze mu służyła. Łagodziła ewentualne wyrzuty sumienia w sprawie piractwa, jakie by mogli odczuwać jego rodacy, a nawet Hiszpanie, których obrabowywał, żywili respekt dla niego. Ale chociaż jego patriotyzm i protestancki zapał były szczere, jednakże głównym motywem jego działań, zwłaszcza w początkowym okresie, była ambicja, pożądanie sławy i zaszczytów zarówno, jak fortuny. Teraz zaplanował wyprawę na Pacyfik. Do tego musiał mieć zgodę królowej, a trudno się było spodziewać takiej zgody, jeżeliby Drake, jako oficer na królewskim żołdzie, odmówił wypełnienia rozkazu dowódcy, reprezentującego królową w Irlandii.

Toteż Drake odwracał oczy od załamującego ręce Toma Moone i utkwiał wzrok w przyszłość. Wszystko, wszystko - nawet życie sześciuset nieszczęsnych ofiar - trzeba poświęcić, byle tylko postawić następny krok na drodze do upragnionej kariery. I wkrótce otrzymał spodziewaną nagrodę.

Hrabia Essex, nie przeprowadziwszy, pomimo gwałtów i nie-ludzkości, do końca swej misji w Ulsterze, powrócił do Anglii. Relacjonował z wielkim uznaniem sekretarzowi stanu, Sir Francisowi Walsinghamowi, usługi oddane przez Drake'a. Walsingham był fanatycznym antypapistą, człowiekiem skromnego pochodzenia lecz wielkich zdolności, odkrytym i protegowanym przez Cecila. Jego przyrodzoną wojowniczość Cecil poskramiał, a królowa nieraz karciała ze zwykłymi sobie barwnymi wymysłami. Ale Walsingham założył najlepszą siatkę szpiegowską w Europie.

Okoliczności zaczęły się więc znowu układać dla Drake'a pomyślnie. Don Juan austriacki popierał pretensje uwięzionej Marii Stuart do tronu angielskiego. Angielscy jezuici wzniecali zamieszki, rozdmuchiwali tłące tu i ówdzie niezadowolenie.

Walsingham prowadził negocjacje z rebeliantami niderlandzkimi, dążąc do zawarcia przymierza. Kupcy londyńscy, zwykle nalegający na utrzymanie pokoju, zarazili się antyhiszpańską gorączką, gdy w styczniu roku 1576 wielki angielski statek handlowy, własność Sir Thomasa Osborne, człowieka niezmiernie bogatego i wpływowego, został zagarnięty w hiszpańskim porcie, a jego załoga wydana w ręce inkwizycji. W całej Anglii wybuchnęło oburzenie. Elżbieta zwymyślała od ostatnich hiszpańskiego posła przy swoim dworze.

John Oxenham wyprawił się na ekspedycję finansowaną z prywatnych funduszy, bez królewskiej aprobaty. Zamierzał zająć Przesmyk Panamski na stałe i w ten sposób odciąć Hiszpanię od dopływu skarbów z Peru. Martin Frobisher, szlachcic odnoszący się z pogardą do „tej pirackiej hołoty”, dostał pieniądze od ministrów i bogatych kupców na podróż w celu odkrycia tak zwanego Szlaku Północno-Zachodniego. Geografowie ówczesni twierdzili, że musi istnieć żeglowny szlak z Atlantyku na Pacyfik na północ od Ameryki, a stamtąd do wybrzeży Syberii, gdzie właśnie angielska kompania handlowa miała kłopoty z transportowaniem towarów lądem przez kraje nie zawsze przyjazne.

William Cecil, od niedawna obdarzony tytułem Lorda Burleigh. trwał w bezwzględny oporze wobec wszystkiego, co by mogło rozgniewać króla Filipa i skłonić go do podjęcia ostrej akcji przeciwko Anglii. „Królestwo zyskuje więcej w ciągu jednego roku pokoju - mawiał - niż w ciągu dziesięciu lat wojny”. William Cecil, lord Burleigh był mężczyzną niskiego wzrostu, o niespokojnych, nerwowych ruchach, o bladych jakby wypłowiałych oczach. Nie brak mu było humoru ani elokwencji, chociaż powiadano o nim, że - zawsze czujny i ostrożny - nigdy nie wymówił słowa bez potrzeby. W służbie królewskiej zebrał niemałą fortunę, ale żył skromnie, rozdawał hojne jałmużny ubogim, uczęszczał na protestanckie nabożeństwa codziennie rano i wieczorem. Co prawda, za panowania krwawej Marii uznał za właściwe stosować się do rytuału katolickiego by ocalić swoją głowę i stanowisko, podówczas jeszcze o małym znaczeniu. Wytrwale, często metodami podstępными strzegł interesów królowej, nawet wtedy, gdy poglądami różnił się od niej. Współczesny pamiętnikarz notuje:

„Celem życia Cecila jest wzbogacenie zarówno królowej jak i jej ludu”. Cel godny pochwały, rzadko kiedy tak bez zastrzeżeń realizowany przez późniejszych angielskich mężów stanu. Królowa miała innych faworytów, nawet bardzo wielu* Nierzadko też sprzeciwiała się swemu pierwszemu ministrowi lub próbowała go przechytrzyć. Ale wbrew zmiennym nastrojom i kaprysom, wbrew często dość dziwacznym faworytom, jakich wybierała, Elżbieta zawsze i stale, aż do chwili jej śmierci, polegała na lordzie Burleigh.

Kiedy zatargi angielsko-hiszpańskie doszły do krytycznego punktu, a Walsingham nalegał na królową, by zainicjowała jakiś atak na jedną z odleglejszych

hiszpańskich kolonii, Elżbieta, która jak większość jej współczesnych i wbrew swemu praktycznemu realizmowi była przesądna, najpierw zasięgnęła porady astrologa. Wybrany przez nią prorokiem był John Dee. Z jego przepowiedni wielu sobie pokpiwało, ale był on jednym z najwybitniejszych w ówczesnej Anglii matematyków i geografów, wynalazcą nowych przyrządów nawigacyjnych i nowych metod pomiarów. Bardzo pragnął, aby Anglia nawiązała ściśle kontakty z Dalekim Wschodem, gdzie, jak wierzył, zgłębiono tajniki filozofii i przyrody lepiej, niż w Europie. Doradzał więc królowej, by na przekór Hiszpanii wyekwipowała ekspedycję, która by pożeglowała na Pacyfik.

Godzina wybiła, właściwy człowiek był pod ręką. Francis Drake wrócił z Irlandii w otoczeniu Essexu i nareszcie mógł w Plymouth uładować trochę fortunę, którą przywiózł z Panamy. Ufał, nie on pierwszy i nie ostatni, że sława i majątek zrównoważą brak szlacheckiego urodzenia i klasycznej edukacji, więc szukał wejścia do ekskluzywnych kół towarzyskich Devonu. Spotkał się z te wzgardliwą rekiną ze strony wszystkich, prócz tych kilku, którzy zamierzali inwestować i ciągnąć zyski z jego przyszłych przedsięwzięć. A nawet ci nie ryzykowali zapraszania go do swych domów z innymi gośćmi, lecz traktowali go z łaskawą wyniosłością, tak mniej więcej, jak traktowali pastorów i medyków.

Przebywając w domu, Francis okazywał Mary serdeczność i hojność, obsypywał też pieniędzmi całą jej rodzinę. Nie ma dowodów na to, iżby się trapił tym, że Mary nie dała mu dzieci. Nie był człowiekiem o rozwiniętych instynktach rodzinnych. Najważniejszy w jego życiu był związek z morzem.

Walsingham, Christopher Hatton, hrabia Leicester - który kiedyś aspirował do ręki królowej, a któremu ona zaproponowała poślubienie Marii Stuart - wszyscy oni, do spółki z Johnem Dee, namawiali Elżbietę do jakiegoś przedsięwzięcia, skierowanego przeciwko królowi Hiszpanii, wszelako takiego, którego by się nie dało interpretować jako jawnego wypowiedzenia wojny. Ich perswazje zgadzały się z osobistymi nastrojami królowej, więc chociaż lord Burleigh oponował, Elżbieta nakłaniała ucha i w końcu dała się przekonać.

Thomas Doughty przebywał w Londynie, w charakterze sekretarza Christophera Hattona. Zabiegał o zaufanie ministrów, pytał, słuchał.

„Powinieneś przyjechać do stolicy - napisał do Drake'a. - Szykują się tu sprawy, które mogą otworzyć ci możliwości, jakich sobie życzysz...”

Nie trzeba mu było tego dwa razy powtarzać. Powiedziawszy Mary tyle tylko, że wyjeżdża w interesach, Drake zamieszkał w Londynie. Tam, pewnego późnego wieczoru, zjawił się w jego kwaterze Walsingham, który od razu przystąpił do rzeczy. Rozwinął mapy i bez ogródek powiedział:

- Jej królewska mość życzy sobie, byś zechciał wskazać i opisać ze szczegółami, w jakich okolicznościach, według twojej opinii, można by zadać najdotkliwsze ciosy królowi Hiszpanii.

Drake potrząsnął głową. Może nie miał wykształcenia, ale głupcem nie był z pewnością. Ostrzegł go już John Hawkins, teraz w Londynie jako skarbnik królewskiej marynarki, aby był czujny i dyskretny.

- Panie sekretarzu - odrzekł. - Powiadają, że masz pan oczy, które dostrzegą wrogów królowej w najciemniejszych zakątkach, gdzie się kryją. Ale Hiszpania i Francja, i Watykan też mają ludzi o dobrym wzroku i słuchu. Niczego nie wskażę nikomu, tylko osobiście samej królowej, a i to nie na piśmie. Nasza monarchini jest śmiertelnym człowiekiem i niejedno niebezpieczeństwo jej życiu zagraża. Gdyby spodobało się Bogu powołać ją do siebie, może się zdarzyć, że na tron wstąpi ktoś - wszyscy wiemy kto - w przymierzu z królem Hiszpanii. A wtedy moja własna ręka świadczyłaby przeciwko mnie.

Gdy sekretarz stanu zaniósł tę odpowiedź królowej - wybuchnęła śmiechem:

- Podoba mi się ten pirat! Rzadko bywa, by przezorność szła w parze z zuchwałością. Przyprawdźcie go do mnie, bo on mi się przysłuży.

Po raz drugi Drake, zostawiwszy Diego przed drzwiami, znalazł się w obecności swojej monarchini. Z tysiąca sukien, jakie posiadała w garderobie, Elżbieta wybrała na ten ranek - na pewno nie bez zwykłych wymysłów i pogroźek „skrócenia o głowę” swoich dam dworu, doradzających co innego - strój z białego jedwabiu, zahartowany perłami wielkości fasoli i płaszcz z jedwabiu czarnego, przesywany srebrną nicią. Na głębokim dekolcie mienił się bezcennymi klejnotami naszyjnik, na pięknych białych palcach lśniła cała fortuna w pierścieniach, a złotorude włosy wieńczył kosztowny „diadem.

Drake, oczywiście, włożył nieodpowiedni strój. John Hawkins ubierał się w Londynie w nienaganną czerń, rozjaśnioną tylko białą koronkową kryzą. Natomiast Drake, z natury kogut i fanfaron, paradował po stolicy na swoich krótkich nogach w jaskrawych jedwabkach, i zawsze w kompanii ogromnego, idącego tuż za nim Murzyna

Diego, przybranego w liberię czerwono-błękitno-białą, ze złotym szamerowaniem na piersi. Królową bawiła postać tego ogorzałego a nazbyt wystrojonego żeglarza, który, gdy nie napadał ze szpadą w ręku na hiszpańskie statki, albo nie rabował karawan ze skarbami i hiszpańskich miast w Nowym Świecie, robił z siebie pośmiewisko w oczach złotej młodzieży stolicy.

- Och, niech się bawi w kolorowego kogucika, jeśli ma na to ochotę - powiedziała do damy dworu, która po audiencji wyśmiewała się z aparycji Drake'a. - Mam dość wytwornych dworaków wokół mnie. Francis Bacon wciąż mnie błaga o prezent w postaci łóżka, w którym spałam, a Sir Walter Raleigh odkurza koronkową chusteczką

każde krzesło, zanim na nim usiądzie. Ten kogucik wie, kiedy odrzucić barwne piórka, i zaatakować dziobem i skrzydłami głowy moich wrogów.

Oczom Drake'a marzącego o wyprawach i odkryciach, o nowych ziemiach, które by dołączył do dominiów królestwa, o ciosach, zadawanych papizmowi - ta, którą jej poddani przezwali z serdeczną czułością Glorianą, wydawała się jak średniowieczna dama, ofiarująca różę rycerzowi, by ją nosił na sercu, gdy na ognistym rumaku zwycięży w turnieju przeciwnika.

Gdy jej poddany, jeszcze na klęczkach formułował niezbyt zręczne komplementy i wyrazy lojalnego przywiązania, Elżbieta przerwała mu:

- Kapitanie Drake, niechaj szewc się trzyma swego kopyta. To dobre angielskie przysłowie. Zostaw pochlebstwa dworakom, którzy są lepiej wypraktykowani w sztuce schlebiania. Ja mam z tobą o ważnych sprawach pomówić. Chciałabym zemścić się na królu Hiszpanii za rozliczne zniewagi, jakich od niego zaznałam.

Fanfaron, kogucik w jednej chwili znalazł się na nogach i wbrew jasnym piórkom jakby się przeobraził: przed królową stał człowiek czynu, energii, z głową pełną konkretnych planów. Walsingham, za krzesłem królowej, trzymał w ręku mapę: ale to Drake rozwinął plany i mapy nad którymi pochylili się trzy głowy.

- Wedrzeć się na to prywatne morze Hiszpanów - mówił. - Pacyfik! Tam atakować ich okręty ze skarbami, za pomocą których król Filip uciska protestantów, gdzie tylko ich znajdzie!

Królowa wyprostowała się i uśmiechnęła:

- To twój plan, mój piracie, a czym mniej o nim wiem, tym lepiej. Moje pisemne instrukcje - a sekretarz stanu dopilnuje, by odpowiednią drogą do wiadomości posła hiszpańskiego dotarły - będą zawierały polecenie, byś żeglował na poszukiwanie Terra Australis i nawiązał stosunki z władcami tej ziemi, jeśli takich znajdziesz. Nawet lord Burleigh nie może się temu sprzeciwić. Ale co do reszty, nie wolno mu wiedzieć o niczym więcej. Kto go powiadomi, straci głowę!

- Nie dowie się ode mnie, na to przysięgam waszej królewskiej mości! - odrzekł Drake. - Tym, których zaokrętuje na tę wyprawę, nie powiem o jej właściwym celu, tak długo, aż już dłużej nie będzie można trzymać ich w nieświadomości. A wówczas tysiące mil oceanu będą strzegły sekretu.

Lord Burleigh uchodził za człowieka honoru. Ale i on, jak setki wielkich i sławnych we wszystkich epokach, uważał za pożądane posługiwanie się dla swych celów ludźmi podlejszego kalibru. Drake złożył swą przysięgę królowej z całą uczciwością. Ale przecenił uczciwość człowieka, któremu przed miesiącami opowiadał w Belfaście o niezapomnianym widoku z wierzchołka drzewa na Przesmyku Pa-Ramsldm. Thomas Doughty, szlachcic, człowiek nauki i uznanej pobożności, nie dał się wziąć na lep opowiadań o Terra Australis. A niejednego wieczoru, po zapadnięciu ciemności,

można by go zauważyć wchodzącego ukradkiem, ogrodową furtką, do londyńskiego domu pierwszego ministra królowej.

Rozdział 9

BUNTOWNIK W ZAŁODZE

- Wszystko załatwione! - wołał Drake z entuzjazmem i wybaczną przesadą do Johna Hawkinsa. - Miłościwa pani jesi naprawdę taka, jak o niej powiadają: stanowcza, zdecydowana, wspaniała!

- Czy masz od niej zlecenie na piśmie? - pytał Hawkins, przekorny i doświadczony.

- Nie. Ale mi przyrzekła. Wyprawa na poszukiwanie Terra Australis.

- Dopóki nie masz zlecenia na piśmie, nic nie jest zdecydowane - przestrzegał Hawkins. - Królowa jest wspaniała, i owszem. Jest także kapryśna, lubi zmieniać zdanie, a naprawdę decyduje się wtedy gdy nie ma innego wyjścia. I pewno słusznie tak postępuje, bo jest otoczona niebezpieczeństwami, kroczy ścieżką wśród zastawionych pułapek, między Hiszpanami, papistami, zwolennikami królowej Szkotów. Przygotuj wszystko do ostatniego szczegółu tak, abyś mógł, gdy otrzymasz jej pisemne zlecenie, jeżeli je w ogóle otrzymasz, wyruszyć natychmiast na morze. Natychmiast, bo inaczej, nawet z jej pisemnym zleceniem, może się okazać, że twoja wyprawa jest odwołana zanim wyjdiesz z Plymouth na pełne morze.

Drake w duchu uważał, że Hawkins niepotrzebnie kracze, ale zdawał sobie sprawę z praktyczności jego rady.

- Jak ma zostać sfinansowana twoja ekspedycja? - rozpytywał Hawkins.

- Mam własnych pieniędzy dosyć. A prócz tego paru davonskich szlachciców wyraziło chęć zainwestowania w moją następną wyprawę, gdzie bym jej nie poprowadził.

- Szlachta z Devonu... to brzmi pięknie - mruknął Hawkins. - Ale ich udział wcale ci nie pomoże w uzyskaniu podpisu miłościwej pani na potrzebnym dokumencie. A na tego rodzaju ekspedycję nie możesz się wyprawić bez listu kaperskiego. Kat z toporem w rękę czekałby twego powrotu. Potrzeba ci paru znacznych nazwisk.

Walsingham chętnie wyłożył fundusze. Podobnie hrabia Leicester - Hawkins przedstawił mu Drake'a - i Christopher Hatton, obaj ocze-kując pięknych zysków z takiej inwestycji. Sir William Wynter, podówczas pierwszy admirał marynarki wojennej Elżbiety, gorąco poparł Drake'a, i jednocześnie poprosił, by jego syn mógł się przyłączyć do wyprawy.

- Teraz będziesz miał jakieś szanse - powiedział Hawkins. - Oni wszyscy mają dostęp do królowej i we własnym interesie będą twój projekt popierać.

Kilku młodych prawników z bogatych rodzin, znudziwszy się wałęsaniem po londyńskich sądach, gdzie nikt im żadnej sprawy nie powierzał, zapragnęło wziąć osobiście udział w podróży Drake'a, w której gotowi byli zaryzykować odziedziczone

kapitały. Istotnie, brak funduszy nie był przeszkodą. Podniecony, pewny swego, rozpromieniony żeglarz pośpieszył z powrotem do Plymouth, by wyekwipować ekspedycję bez żadnych ograniczeń finansowych.

Na okręt flagowy zakupiono „Pelicana”: sto ton, osiemnaście dział. W skład wyprawy weszły też: „Marigold”, trzydzieści ton, szesnaście dział; oraz pięćdziesięciotonowy statek prowiantowy, który przez sentyment Drake nazwał „Swan”. Tymi dwoma dowodzili ochotnicy, szlachcice z hrabstwa Devonu: John Thomas i John Chester. Admirał Wynter dotrzymał słowa. Przesłał swego syna, również Johna, na czele pięknego, nowego, osiemdziesięciotonowego statku „Elizabeth” a dodatkowo jeszcze małej „piętnastki”, nazwanej „Benedict”.

Minęły już te czasy, kiedy żeglarze wywodzili się tylko z nadmorskich okolic. Niejedno miasto w głębi lądu nawiązało stosunki handlowe z portami. Młodzieńcy praktykowali u armatorów i eksporterów. Powróciwszy z podróży z kimś takim, jak Hawkins czy Frobisher, ci młodzi marynarze szerzyli wiedzę o nowych lądach, podniecali do marzeń o przygodach i fortunach, czekających na śmiałków. Znajomość z pierwszej ręki kuli ziemskiej, jej zasobów i ludów, zaczynała wypierać - chociaż jeszcze przez wiek nie wyprze ich w zupełności - fantastyczne baśnie o tajemniczych wirach, które wciągały choćby i największe okręty do Hadesu, o wyspach zamieszkałych przez demony, lub przez ludzi z ogonami i głowami wyrastającymi im pośrodku piersi.

Toteż werbowanie załóg nie przysparzało Drake’owi trudności. Nawet nazwa „Terra Australis” nie była otwarcie wymieniana. Puszczono pogłoskę, że ekspedycja miała żeglować na Morze Śródziemne, aby tam w imieniu królowej nawiązać stosunki handlowe i zawrzeć traktat z sułtanem Turcji. Wszystko jedno, dokąd - i tak ludzie hurmem zbiegali się z całej Anglii, by się zaokrętować na nową wyprawę Drake’a. Mało kto wierzył, że te pięć statków wybierze się tylko z misją handlową. Ale wtajemniczeni na królewskim dworze pilnowali sekretu - wszyscy prócz jednego - bo tu chodziło o zainwestowane przez nich kapitały, a także - o ich głowy.

Wybrano stu sześćdziesięciu młodych mężczyzn i chłopców. Brat Drake’a, Thomas, objął komendę na „Marigold”. Jak się wydaje, był on jedynym pozostałym przy życiu z tej jedenastki rodzeństwa, która niegdyś tłoczyła się na wraku w Chatham i przyłączyła do zabawy, nieomal tragicznej, na portowym nabrzeżu. Resztę spotkała wczesna śmierć od chorób lub na morzu. Tom Moone otrzymał „Benedicta”, mało co większego od pinasa. Do podnieconej ciżby rekrutów włączył się syn Williama Hawkinsa, noszący imię ojca, a także bratanek Francisa Drake’a, John, który miał później spisać dzieje życia swego sławnego stryja. Nawet pastor Fletcher poprosił, by go zabrano na wielką wyprawę i uzyskał zgodę.

- Nieraz z mego powodu uciekali mu wszyscy wierni z nabożeństwa - śmiał się Drake. - Wywdzięczę się takimi nabożeństwami, z których wierni nie będą mogli w żaden sposób uciec, chyba, że zechcą do morza skoczyć!

Diego, oczywiście, był nadal osobistym sługą, strażnikiem i przyr jacielem swego patrona. Thomas Doughty zjawił się w Plymouth, nie zaproszony, by przypomnieć o dawnej obietnicy, że i on będzie mógł wziąć udział w wyprawie.

- Jesteś osobistością poważną - wykręcał się Drake. - Nie wiem, jakie stanowisko mógłbym ci dać, żeby się zgadzało z twoją pozycją.

Nierad był z tej wizyty. Szanował wykształcenie Thomasa Doughty, ale zdawał sobie sprawę, że tego pokroju człowiek nie będzie użyteczny w ciągu tej z pewnością bardzo trudnej podróży. Jednak może to Doughty właśnie poparł jego sprawę na dworze, a w każdym razie on zawezwał Drake'a do Londynu w odpowiedniej chwili.

- Och, to drobnostka - powiedział niedbałym tonem Doughty. - Nazwij mnie dowódcą oddziałów wojskowych. Nie znam się co prawda wcale na sprawach militarnych, ale gdy czas nadejdzie, znajdą się inni, którzy poprowadzą.

Ostatecznie, było to rozwiązanie do przyjęcia, a Drake nie miał wyboru: musiał się zgodzić.

Jak Hawkins przewidywał, królowa zwlekała z wysłaniem listu kaperskiego. Natomiast Walsingham, Hatton i Leicester, każdy oddzielnie, pisali i zapewniali Drake'a, że zlecenie od królowej na pewno w końcu nadejdzie.

„Miłościwa pani rozważa każdy projekt dokładnie, nawet już po tym, kiedy na pozór podjęła decyzję - tłumaczył Walsingham, nieświadomie potwierdzając słowa Hawkinsa. - Zastanawia się nad nim, odkłada, poleca przynieść sobie znowu za miesiąc. Lord Burleigh sprzeciwia się nawet temu, co mu w zaufaniu powiedziano: Terra Australis. Twierdzi, że nie tyle mu się plan nie podoba, ile że nie sposób sobie wyobrazić Drake'a na czele ekspedycji bez narażenia na szwank dyplomatycznych stosunków z Hiszpanią...”

- Ech! - zawołał Drake. - Jedyna dyplomacja, jaką król Filip zrozumie, to boczna salwa dział okrętowych, albo utrata miliona funtów szterlingów!

Pilił i ponaglał wszelkie przygotowania. Tylko Mary rada była ze zwłoki. Radośnie witała każdy dzień, kiedy jej mąż był przy niej.

O celu wyprawy wiedziała nie więcej, niż świeżo zwerbowani marynarze, ale znając dobrze fanatyczną nienawiść Francisa do Hiszpanii i papizmu, nie wierzyła, by kierował swoją wyprawę na Bliski Wschód. A gdy już go straci z oczu, kto wie, kiedy do niej powróci... i czy w ogóle wróci?

Załadowano na statki cztery pinasy, rozłożone na części, jak również znaczne ilości arkebuzów, pistoletów, naboji różnego kalibru, między innymi naboji łańcuchowych do rozdzierania żagli i takielunku nieprzyjaciela, a także prymitywne miotacze ognia.

Każdy statek był uzbrojony po zęby. Najtępszy nawet z załogi czy ochotników mógł wywnioskować, że ta wyprawa będzie czymś więcej, niż mówiono.

Ponieważ Drake sam ulegał oszołomieniu w obliczu ostentacyjnego przepychu, więc zakładał, zapewne słusznie, że obcy goście na jego statkach, jeńcy a nawet Cimaroni, również oceniają znaczenie człowiek;! według zewnętrznych oznak wspaniałości. Toteż współczesny kronikarz tak opisuje wyposażenie „Pelicana”:

„Dla ozdoby i rozkoszy... wyborni muzykanci, bogato zdobione meble (wszystkie naczynia stołowe, a nawet niektóre kuchenne były z czystego srebra), wyroby najwyborniejszego kunsztu rękodzielniczego... aby bogactwo i wspaniałość jego ojczystego kraju tym bardziej była podziwiana przez wszelkie narody, gdzie by nie zawitał...”

Wreszcie królowa powzięła decyzję. Jak to często z nią bywało, nie namowy i argumenty, ale wydarzenia ją do tego nakłoniły. Don Juan z Austrii otrzymał od króla Filipa naczelne dowództwo nad wojskami hiszpańskimi w Niderlandach, więc katolicy emigranci z Anglii gromadzili się wokół niego w nadziei, że wezmą udział w najeździe na Anglię i znajdą się pod ręką, gdy Maria Stuart będzie rozdzielala nagrody i urzędy. Przejęto korespondencję między królem hiszpańskim, jego agentem w Londynie i królową Szkotów - korespondencje dowodzącą, że planowano zamach na tron i życie Elżbiety. Ajenta wtrącono do Tower, a królowa podpisała list kaperski i zlecenia dla Drake's; zresztą niewinnie wyglądające zlecenie. Tym razem Drake miał żeglować nie jako pirat, lecz kaper; forma korsarstwa, uznawana legalnie jeszcze przez trzysta lat.

I tak Walsingham uprzedzał królową:

- Ten list kaperski nie ochroni sługi waszej królewskiej mości od różnych skutków, jakie mogłyby wyniknąć z podróży.

Elżbieta, z rozmachem kreśląc ozdoby pod „E” i nad „b” swego kanciastego podpisu, odparła ostro:

- To wszystko, co dostanie, a i przeciw temu milord Burleigh protestuje.- I uchyliła przyłbicy, zdradzając politykę, jaką prowadziła nawet w stosunku do najwierniejszych jej sług, o ile to odpowiadało temu, co uważała za interes kraju: - I niech nie narzeka jeżeli się go wyprę.

Klimat anglo-hiszpańskich stosunków w chwili powrotu Drake'a z wyprawy miał zdecydować o tym, jak królowa będzie go witała. Ale

Elżbieta była nie tylko zręczną dyplomatką; była również chciwa. Czynnikiem nie mniej ważnym będzie to, co Drake z wyprawy przywiezie. Rzymskie matrony wysyłały synów na wojnę z nakazem: „Wracaj z tarczą, lub na tarczy!” Elżbieta wysyłała swoje „wilki morskie” z ostrzeżeniem: „Wracaj z ładunkiem skarbów, albo pilnuj własnej głowy!”

Dnia trzynastego grudnia 1577 roku flotylla z wolna wychodziła z portu Plymouth. Praktycznie biorąc, każdy mieszkaniec miasta znajdował się na nabrzeżu, by wiwatować i życzyć powodzenia śmiałkom. Skarbnik Królewskiej Marynarki, John Hawkins, przyjechał z Londynu, i przekazał życzenia od królowej. Obok niego stała zapłakana Mary: jej palce darły na strzępy koronkową chusteczkę.

- Drake wychodzi na morze!

Było na statkach kilkunastu takich, głównie ochotników i chłopców okrętowych, którzy nigdy przedtem nie żeglowali na pełnym morzu. Do nich też należał pastor Fletcher, którego dotychczasowe żeglarskie doświadczenie ograniczało się do przejażdżek łodziami rybackimi - łowiącymi na przybrzeżnych wodach. Teraz wszedł na pokład „Pelicana”, któremu zawierzyło życie blisko pięćdziesięciu ludzi. A ten stateczek miał zaledwie jedną siódmą tonażu „Jesusa”, utraconego pod San Juan de Ulua, jedną trzecią - „Miniona”.

Fletcher patrzył, jak dziób statku ześlizgiwał się w dół po zboczu ogromnej fali, zanurzał w wodnej przepaści, i cudownym sposobem podnosił się ostro do góry, na wierzchołek fali następnej. Słucha! skrzypienia drzewców, wiatru wzdymającego płótna, świstu bosmana, rozkazów by ciągnąć liny, albo luzować żagle. Nocami leżał na swej koi, myśląc o głębi wody pod nim, o bezmiernej pustce otaczającego go, nieubłaganego oceanu, o samotności. A w razie katastrofy - znikąd pomocy! Strach dławił go za gardło, jak dławił nieraz mężnie j-szych od niego ludzi, gdy po raz pierwszy wyprawiali się na morze. Wstawał z koi, klękał, modlił się o ocalenie własne i całej flotylli, Uspokojony, czuł powracającą Odwagę na myśl, ilu to już ludzi przed nim zwyciężyło żywioły. Przeprawiali się przez wielkie rzeki. Hannibal ze słoniami przekroczył niebosiężne Alpy. Ludzie wyzywali niezgłębione wody na małych łodziach z drewna i płótna. A Marco Folo, czyż nie podróżował łądem do dalekiego Kataju, cesarstwa Czyngis Chana? A statek Magellana, czy nie opłynął wokół ziemskiego globu? Fletcher poczuł się dumny z dokonań rodzaju ludzkiego. Jeszcze niejedyn raz będzie go ogarniał strach, będzie przed nim szukał ucieczki w modlitwie, będzie nawet tracił nadzieję zobaczenia Anglii. Będzie się jednak przymuszał do wiary, chwiejnej ale koniecznej, w najwyższą Moc, kierującą i chroniącą choć niewidzialną, na której musieli i on, i jego okrętowi towarzysze. Wzbudził w sobie jakąś na wpół mistyczną ufność do statku, który go wiozł. Dumny był z „Pelicana”, jego konstrukcji, lekkiej a prężnej, jego rozkołysanego, popychanego wiatrem, upartego podążania naprzód. Później, w ciągu podróży, ta ufność zostanie wystawiona na surową próbę. Ale w ostatecznym rozrachunku nie zawiedzie.

Dla Drake'a główne troski, podczas tej skądinąd stosunkowo łatwej przeprawy przez Atlantyk, wiązały się z osobą Thomasa Doughty. Kiedy tylko flota wyszła na pełne morze, Drake oznajmił załogom, że ich celem nie jest Aleksandria, lecz Pacyfik. Wielu

żądnym przygód marynarzy i żołnierzy ta wiadomość zachwyciła; innych zatrwożyła. Gdy zawinęli do przystani na jednej z Wysp Zielonego Przylądka, u zachodnich wybrzeży Afryki, Doughty i kapitan Wynter zabrali na łódź żołnierzy, by mogli zażyć trochę ruchu. Wynter zara-portował później Drake'owi:

- Moim obowiązkiem jest zakomunikować panu, admirale, że pan Doughty chyba świadomie i celowo opowiadał żołnierzom o wielkich niebezpieczeństwach, zagrażających w naszej podróży i dodał, że ci, co by nie chcieli żeglować dalej, winni poprosić o „Benedicta”, na którym wróciliby do Anglii...

Zdawało się, że Drake nie brał sprawy poważnie.

- Doughty jest moim przyjacielem - rzekł. - Pomówię z nim i upomnę, by więcej zważał na własne słowa. Słusznie zrobiłeś, Wynter, informując mnie o tym.

Nie wiadomo, czy po tej rozmowie Drake ostrzegł Doughty'ego. Brak na to dowodów. Wkrótce wzięto bogaty przyz, portugalski statek „Maria” z ładunkiem prowiantu i win. Na Portugalczyka przeniesiono załogę dobrych marynarzy, nominalne dowództwo powierzono Doughty'emu, a Thomas Drake miał statek prowadzić. Pilot zaofiarował się płynąć z ekspedycją, a pozostałym Portugalczykom dano „Benedicta”, zaprowiantowanego i zaopatrzonego w wodę i odesłano ich do domów. Tom Moone przeniósł się na „Pelicana”.

W dwa dni później Francis Drake wszedł na pokład „Marii” podczas zwykłej, regularnej inspekcji wszystkich statków floty. Doughty przywitał go słowami:

- Z żalem muszę poinformować, że twój brat wykrada różne rzeczy z naszego ładunku.

Thomas stał obok. Francis był zaskoczony, ale się opanował.

- Poważny zarzut, Tom - powiedział do brata. - Zajrzymy do twojej kabiny.

- Proszę o to. Przy sposobności zajrzyjcie do innych kabin, może się przekonacie, że jest inaczej, niż raportuje pan Doughty.

Najpierw przywołano paru marynarzy i wypytano ich. Ci, których obowiązkiem było pilnowanie ładunku, potwierdzili, że są braki. Następnie podszedł trębacz okrętowy i wskazując palcem na Doughty'ego, powiedział śmiało:

- To jest ten, który okradł, a nie pan Thomas.

Drake osobiście przeprowadził rewizję w obu kabinach. U brata nie znalazł niczego podejrzanego. Natomiast w kabynie Doughty'ego wykryto kilkanaście przedmiotów z portugalskiego ładunku.

- Co masz do powiedzenia? - pytał gniewnie Drake. Doughty uśmiechał się z pobłażliwą wyższością*.

- Te rzeczy, które znalazłeś, dali mi w prezencie Portugalczycy, nim ich odesłałeś.

- Doprawdy? - burknął szyderczo Drake. - A co z zarzutami przeciw memu bratu, które teraz się okazują wyraźnym fałszem?

- Podtrzymuję je nadal. A gdzie schował to, co zwędził z ładunku, ja nie wiem. Jego zapytaj.

Cała załoga „Marii” opowiedziała się po stronie Thomasa Drake’s; Wydawało się też, że odnosili się z jakąś szczególną niechęcią do swego nominalnego kapitana. Jednakże Doughty mógł mieć słuszość. Więc Drake zdecydował:

- Ty, panie Doughty, przeniesiesz się na „Pelicana” i obejmiesz z powrotem dowództwo nad żołnierzami. Tylko proszę się nie wtrącać w niczym do prowadzenia statku. Mój zastępca będzie tam kapitanem. A ja chwilowo zostanę na „Marii”.

Ubytki w ładunku na „Marii” ustały. Ale dlaczego Drake puścił wolno Doughty’ego, pozwalając mu swobodnie wałęsać się i wtykać nos w każdy kąt „Pelicana”, pozostaje tajemnicą. Wydaje się prawdopodobne, że chciał jeszcze wypróbować jego lojalność. Jeśli tak, nia potrzebował długo czekać na rezultaty.

W osławionym pasie ciszy, tym obszarze stagnacji pod równikiem, gdzie rzadko wieją atlantyckie wiatry, a żaglowce kołyszą się bezsilnie na wodach nie słuchając steru - zdarzało się dość często, że wśród marynarzy, wymęczonych upałem, zdenerwowanych beczynnością, wybuchały kłótnie, nawet bunty. Na „Pelicanie” i innych statkach panowie ochotnicy darli koty z oficerami. Wśród marynarzy szerzyły się zabobonne plotki, a strach przed nieznanym wyparł poprzednią ochotę. Wkrótce Tom Moone przeprawił się z okrętu flagowego na „Marię”, gdzie Drake chodził niecierpliwie po pokładzie, na przemian przeklinając ciszę i modląc się o wiatr.

- Pan Doughty podżega ludzi do buntu, admirale - rzekł stary cieśla. - Opowiada im, że ich zabierasz na pewną śmierć, że nasze statki nigdy nie zdołają się przeprawić przez Cieśninę Magellana, a jeśliby nawet to się udało, to wielkie hiszpańskie okręty wojenne rozprawią się z nami, a my wszyscy wpadniemy w ręce inkwizycji.

O okrętach wojennych - to było świadome, celowe kłamstwo. Doughty dobrze wiedział, że Hiszpanie na wybrzeżach Pacyfiku mieli tylko takie statki, które tam im były potrzebne; pewni, że nikt z Europejczyków nie dotrze na ich własny, prywatny ocean, nie budowali wcale zbrojnych okrętów, tylko transportowce. A do obrony przed atakami łodzi krajowców wystarczały pinasy i małe karaki.

Drake, również podenerwowany tropikalnym upałem i opóźniającą podróż ciszą, wpadł w pasję. Posłał rozkaz Doughty’emu, by natychmiast przybył na „Marię”. Ale nie pozwolono mu wejść na pokład. Zza burty Drake krzyknął do niego:

- Zostań w łodzi, Thomasie Doughty, bo wysłałem cię na „Swana”, gdzie będziesz trzymany pod strażą!

Wysłał Toma Moone drugą łodzią z rozkazem na piśmie do Johna Chestera, dowodzącego „Swanem”. Doughty miał być traktowany jako więzień.

Przy wybrzeżach Brazylii napotkano - nierzadkie na tych morzach, ale nikt z ekspedycji nie był tu nigdy poprzednio - silne sztormy na przemian z paralizującą

mgłą. A pewnego dnia, już blisko brzegu, całą flotę spowily nagle tumany piasku, wywianego wichurą z piaszczystych wydm. Statki straciły łączność. Przez wiele dni sztuka żeglarska była wystawiona na najtrudniejszą próbę.

John Chester, odczuwając jako nieludzkie trzymanie Doughty'ego w ciasnej, dusznej kabinie, pozwolił mu spacerować po pokładzie.

Dalej na południe pogoda się poprawiła i Drako znalazł na wybrzeżach Patagonii przystań, którą przed pięćdziesięciu ośmiu laty Magellan nazwał Portem Św. Juliana. Było to przy pięćdziesiątym równoleżniku, już tylko o jakieś trzysta kilometrów od wejścia do przerażających cieśnin. Łąd tu był niegościnnie: skały, piaszczyste wydmy, uboga roślinność - ale posiadał to, co w danej chwili było flocie najpotrzebniejsze, a mianowicie pod dostatkiem świeżej wody. Statki zgromadziły się razem, prócz „Swana”, którego od czasu burzy piaskowej nie widziano.

- Zaczekamy dwa dni - zdecydował Drake. - Jeśli „Swan” się nie pojawi, trzeba będzie wziąć pinasy i udać się na poszukiwania. - Zwracając się do Moone'a dodał: - Weźmiemy killkunastu ludzi i zejdziemy na łąd, Tomie. Zapolujemy na foki, by mieć świeże mięso, albo na ptactwo.

O fokach bezimienny kronikarz tej wyspy zanotował, że było ich tak wiele:

„...iż moglibyśmy wszystkie nasze statki załadować mięsem... a ptactwa także mnóstwo wielkie, różnych gatunków i nadzwyczaj barwnie upierzonych...”

Znaleźli też złowrogi ślad poprzedniego ludzkiego pobytu - szubienicę. Wielu z załogi poczytało to za zły omen. Pod nią odszukano płytko zakopane szkielety.

Drake stał nad nimi długą chwilę w zamyśleniu, wreszcie powiedział:

- Magellan, jak chyba wiecie, miał na tym szlaku podróży kłopoty z załogą. Część marynarzy pod wodzą jego zastępcy zbuntowała się, nie chcąc przeprować się przez cieśniny i po Pacyfiku żeglować. Rozprawił się z buntownikami bez żadnych względów, jak te drewniane pale i te szkielety świadczą.

Kopnął zmurszały pal i przewrócił go. Wciąż stał, patrzył, w zamyśleniu szarpał brodę.

- Admirale, nie jesteśmy sami - powiedział Moone. Kronikarz zanotował:

„Ludzie schodzili ku brzegowi, nadzy, prócz skór zwierzęcych”, owiniętych wokół pasa, a także zawojów na głowach. Ich twarze były pomalowane różnymi barwami, a niektórzy nosili na głowach rogi dzikich zwierząt... Każdy miał łuk ponad łokciowej długości i kołczan ze strzałami...”

Zanim Drake zdążył ostrzec towarzyszy, by się hamowali od jakichkolwiek wrogich poruszeń - jeden z panów ochotników, James Johnson, strzelił ze swego łuku, wcale nie do tubylców - których Magellan nazwał Patagończykami, czyli ludźmi o dużych stopach *- ale do siedzącego na drzewie ptaka, który spadł skrzecząc i trzępiąc piórami. Zapewne zamierzał pokazać, jak celnie Anglicy strzelają. Ale reakcja

krajowców była natychmiastowa. Johnson padł z przestrzelonym płucem, a jeden z angielskich kanonierów zginął na miejscu, zabity strzałą w oko. Drake chwycił muszkiet zabitego, wystrzelił do najbliższego z krajowców i „trafił go w brzuch, co mu wypruło całe wnętrze, wielkie cierpienie powodując, czemu dał wyraz krzykiem tak okropnym i przeraźliwym, jakby dziesięć byków zarzycało...”

Reszta tubylców uciekła, mniemając zapewne, że człowiek, który na odległość potrafi rozpruć brzuch, musi być demonem. Kanoniera pogrzebano, a Johnsona odniesiono na statek, gdzie zmarł w dwa dni później.

Tymczasem przyżegłował z pomyślnym wiatrem „Swan”, a Chester natychmiast poprosił o rozmowę w cztery oczy z admirałem.

- Nierozważnie, jak teraz widzę - opowiadał - pozwoliłem panu Doughty na pokład wychodzić, by mógł pospacerować trochę. Najpierw zaczął wygadywać na pana, admirała i mnie do nieposłuszeństwa namawiać. Twierdził, że on jest właściwym dowódcą wyprawy, mianowanym przez milorda Burleigha...

- Ach, milord Burleigh! - przerwał Drake. - Zaczynam rozumieć. I to ten właśnie Doughty, którego za przyjaciela miałem, nawet w pewnym sensie protektora. Ale mów dalej, widzę, że masz mi jeszcze wiele do powiedzenia.

- Z kolei pan Doughty usiłował - ciągnął Chester - zastraszyć marynarzy tym, co ich czeka. Kiedy wzruszali ramionami, dał im do zrozumienia, że on sam, za pomocą czarnej magii, wzniesił wichry, które flotę rozegnały, i mgły, które skrywały statki. Powiedział, że mocen jest wcielić diabła w postać niedźwiedzia albo lwa i że tak uczyni, aby cię zmusić, admirała, do zawrócenia z drogi.

Poważna rzecz. Ludzie, którzy śmiało stawiali czoła szalejącym żywiołom i zwyciężali je, śmiertelnie bali się tego, co zwali czarami. Wyraźnie rysowała się ewentualność buntu, takiego samego, z jakim Magellan rozprawił się tak bezwzględnie.

Drake jeszcze na własną rękę przepytał marynarzy z załogi „Swana” i znalazł potwierdzenie relacji Chestera. Ten statek przeznaczono do rozbiórki. Przed przeprawą przez cieśniny Drake chciał mieć flotę mniejszą, a silną i dobrze ludźmi obsadzoną. Zabrał więc Doughty’ego **es** znowu na pokład „Pelicana”. I prawie natychmiast więzień, arogancki, pewien siebie, zaczął siać niepokój w załodze tego statku, jak poprzednio w załodze „Swana”. Wówczas Drake zabrał kapitanów, niektórych ochotników i Toma Moone ze sobą na ląd.

- Stoimy przed wielką przygodą - powiedział do nich. - I przed perspektywą wielkiej fortuny, wielkiej sławy. W naszych szeregach musi zapanować absolutna jedność i wszyscy muszą pokładać we mnie pełne zaufanie.

Wtedy się okazało, że podżegania Doughty’ego nie padły na jałowy grunt i że ulegli im nawet ci, którzy doprawdy powinni byli mieć więcej rozsądku.

- Zaokrętowaliśmy się na podróż do Aleksandrii - łodezwał się jeden z panów ochotników - a nie po to, by nasze życie narażać na nieznanym wodach, gdzie złe duchy i demony władają.

- Mówicie jak dzieci - odparł pogardliwie Drake. - Mamy do czynienia z Wiatrami i falami, i skałami, ule niczym, co nie jest przyrodzone. Czy chcecie się zbuntować, jak poniektórzy marynarze z załogi Magellana tutaj się zbuntowali?

Kopnął zmurszały pień obalonej starej szubienicy - i to przypomnienie wraz ze znaczącym tonem jego głosu, uciszyło wszystkich.

Syn ubożego kaznodziei, wychowany na wraku w Chatham, nie poznał się zrazu na rzeczywistym charakterze Thomasa Doughty, zaślepiony własną dumą z pozornej przyjacielskości kogoś, postawionego tak wysoko na drabinie społecznej i naukowej. Pojmując to, Drake tym bardziej złościł się na podstępnego oszusta.

- Thomas Doughty stanie przed sądem - mówił dalej. - Ja sam będę oskarżycielem. Kapitan Chester, Tom Moone i inni, którzy mają coś do zeznania, będą przeciw niemu świadczyć. A reszta oficerów i panów ochotników będzie sędziami.

Cała grupa wróciła na statek. Doughty stał na pokładzie, a tuż za nim Diego - nagi do pasa, oczy pałające, usta zaciśnięte. Wchodząc na pokład pierwszy, Drake dostrzegł że Murzyn zapanował nad wyrazem swej twarzy, choć z wysiłkiem - i że prawą rękę ukrył za plecami. Admirał podszedł spieszenie do niego, wyrwał lśniące ostrze z jego dłoni i ukradkiem, szybko wsunął je do własnego rękawa.

Nawet jeszcze wówczas, gdyby Doughty okazał skrucę, gdyby się upokorzył - Drake może byłby pofolgował. Cechujący go sentymentalizm i snobizm kazałyby mu - gdyby tylko, miał wymówkę - szukać drogi do pogodzenia. Ale Doughty pozostał wyniosły, pogardliwy, na wpół triumfujący.

I nic już nie złagodziło decyzji Drake'a.

Intencje admirała były w tej chwili zupełnie zgodne z intencjami jego czarnoskórego druha. Ale Drake chciał zachować przynajmniej jakieś pozory wymiaru sprawiedliwości - a zarazem ustalić własny autorytet nad wahającymi się, strwożonymi poszukiwaczami przygód.

Rozdział 10

KONIEC ZDRAJCY

- Różnymi sposobami, jakie tylko ci się nasunęły, próbowałeś podważyć mój autorytet z wielką szkodą i zagrożeniem dla wyprawy... prócz innych zarzutów, które wyłuszczyć po kolei...

Tymi słowy Francis Drake rozpoczął oskarżenie Thomasa Doughty przed sądem, zebrany na lądzie, w Porcie Św. Juliana, w połowie lipca roku 1578. Kapitan Wynter przewodniczył sądowi przysięgłych, złożonemu z około czterdziestu mężczyzn, wśród których wielu było przychylnych do tej pory oskarżonemu. Doughty zachował arogancki spokój i śmiałość bliską bezczelności.

- Ufam, że list ze zleceniem królowej upoważnia do tej parodii procesu - powiedział.

Na to Drake wydobyl dokumenty, według których królowa dała jemu, jako admirałowi wyprawy, władzę życia i śmierci nad wszystkimi, którzy z nim poześlują celem odkrycia Terra Australis. Scenę opisał później portugalski pilot, który przyłączył się do wyprawy na Wyspach Kanaryjskich. Doughty zbladł, jednakże zachował przez cały czas procesu nieustraszony spokój, który mu zyskał respekt a nawet podziw wszystkich, włącznie z jego oskarżycielem.

Zeznania złożyli kapitan Chester, Tom Moone i inni, którzy osobiście słyszeli i mogli zrelacjonować, jak oskarżony przeszkadzał wyprawie, podżegał marynarzy do buntu, namawiał ich do oporu przeciw żeglowaniu na Pacyfik oraz, przez deklarowanie się właściwym dowódcą wyprawy, podważał autorytet admirała. Sprawy te były wszystkim wiadome i sędziowie przysięgli słuchali bez zdziwienia. Dramatyczne napięcie nasiliło się dopiero z chwilą, gdy jeden z ochotników, nazwiskiem Edmund Bright zgłosił się i poprosił o pozwolenie złożenia zeznań, a przysięgłszy na Biblię, oznajmił:

- Posłyszałem przypadkiem, jak oskarżony w ogrodzie naszego admirała w Plymouth spiskował i układał plany, żeby popsuć szyki tej wyprawy.

- Czemu wówczas o tym nie doniosłeś? - zapytał kapitan Wynter.

- Wstyd mi, że tego nie uczyniłem. Ale miałem powody. Mój ojciec stara się o indygenat szlachecki. Wiadomo, że pan Doughty ma wpływy na dworze, więc nie chciałem mu się narażać, by nie pobruździł sprawy mego ojca. We dwie strony mnie ciągnęło: lojalność wobec mojej rodziny i lojalność wobec admirała... a jego wtedy zaledwie osobiście znałem.

- Czy możesz nam podać szczegóły tego, co usłyszałeś? - rozpytywał Wynter.

- Pamiętam, jak pan Doughty mówił, że lord Burleigh, będąc w posiadaniu prawdziwego planu podróży, życzył sobie...

- Nie, nie! Lord kanclerz nie znał prawdziwego planu - przerwał Drake.

Wynter zwrócił się do Doughty'ego:

- Co masz na to do powiedzenia?

- Że lord Burleigh oczywiście znał rzeczywisty cel ekspedycji i dążył do jego udaremnienia.

- Jakim sposobem lord Burleigh mógł wiedzieć? - wykrzyknął Drake.

- Ja mu powiedziałem.

Dlaczego się przyznał, dlaczego nie zaprzeczył temu jedynemu świadkowi - byłoby jego słowo przeciw słowu tamtego - nie zostało nigdy dokładnie wyjaśnione. Może się spodziewał, że Drake się nie ośmieli podnieść ręki na kogoś, kto był pod osobistą protekcją lorda kanclerza; może liczył, że najgorsze, co go spotka, to areszt na resztę podróży, a po powrocie do Anglii Burleigh go wybroni. Jeśli takie przypuszczenia są słuszne, to Doughty, razem z całym swoim wykształceniem, mylnie oceniał Francisca Drake, a nawet i samego Burleigha, który tak samo, jak królowa, gotów był zawsze wyprzeć się tego, kto go kompromitował.

Admirał, jakby ujrzał nad sobą cień szubienicy, na której zawiśli buntownicy z wyprawy Magellana, krzyknął z gwałtownym uniesieniem:

- Więc patrzcie, co ten człowiek uczynił! Bóg chciał, aby jego zdrada ujawniona została oczom wszystkich! Bo najjaśniejsza pani poleciła mi specjalnie, aby nikomu, a już szczególnie lordowi kanclerzowi, nie wyznać intencji żaglowania po Pacyfiku! O tym pan Doughty wiedział, więc własnymi ustami przyznaje się do zdrady!

Oskarżony nadal zachowywał pozory irytującego, uśmiechniętego spokoju. Sędziowie przysięgli zaczęli szeptać między sobą, ale Drake na to nie pozwolił:

- Tu nie ma nad czym się naradzać! Tylko jedno pytanie trzeba zadać i ja je zadaję: Czy ten człowiek jest zdrajcą?

Po krótkiej wymianie spojrzeń między sobą, sędziowie przysięgli zadeklarowali jednogłośnie:

- Tak.

- Miłościwa pani powiedziała mi w tych słowach: „Gdyby ktokolwiek doniósł o sekrecie lordowi Burleigh, ma stracić głowę.” Więc niechaj każdy, kto by się sprzeciwiał śmierci więźnia, podniesie rękę do góry!

Znowu ukradkowe szepty, szuranie nogami, ale nikt ręki nie podniósł. Niektórzy spuszczały wzrok i odwracali twarze od Doughty'ego: liczyli się przecież do jego przyjaciół. A nie żywili już wątpliwości, co zrobi Drake wobec zeznań świadków i przykładu Magellana. I jasne było, że marynarze jego rozkaz wykonają. Co więc stanie się z tymi, którzy by chcieli się przeciwzić? Magellan kazał powiesić nie tylko awego

zastępcę, ale także jego współników. Stronnicy Thomasa Doughty wyparli się go w strachu o własne szyje.

- Ogłaszam więc Thomasa Doughty winnym zdrady - oznajmił głośno i uroczyście Drake. - Jesteś dzieckiem śmierci, a ufam, że tym samym staniesz się sługą bożym.

Mogłoby się zdawać, że zdaniem admirała Bóg przyjmuje do swej służby w nagrodę za zdradę. Ale Drake nie był człowiekiem wykształconym; nie był też zręcznym oratorem. Po prostu wierzył pewno, że szczerza skrucha zaprowadzi grzesznika do nieba.

Doughty'emu nie mieściło się w głowie, by życiu jego naprawdę groziło niebezpieczeństwo. Poprosił, by go wysadzono na ląd, gdy już wyprawa dotrze na wody Pacyfiku, gdzieś na wybrzeżach Peru. Kapitan Wynter, dążąc do wyminięcia tej krwawej ścieżki, na którą sam wkroczył jako przewodniczący sądu przysięgłych, zaproponował, aby więźnia trzymać pod ścisłą strażą aż do chwil powrotu ekspedycji do Anglii, gdzie nowy, bardziej zgodny z procedurą proces mógłby się odbyć. Obie sugestie Drake odrzucił.

- Gdybyśmy go zostawili w Peru, - powiedział - Doughty zdradziłby Hiszpanom, z własnej woli albo pod torturami inkwizycji, cele naszej wyprawy. A wówczas, dokąd byśmy się nie udali, wszędzie czekałby nas opór, najsilniejszy, jaki by się dało przeciw „nam. zmobilizować. A co do trzymania go w areszcie... nawet jego obecność wśród nas budziłaby na nowo obawy co do lojalności, a przede wszystkim strach przed sztuką czarnoksiężką, którą rzekomo, jak sam twierdził, posiadał.

Oddajmy głos anonimowemu członkowi ekspedycji, którego suchy, rzeczowy opis został opublikowany w roku 1598 w słynnym dziele Richarda Hakluyta pt. „Podróże i dokumenty” („Voyages and Documents”):

„Pan Doughty, nie widząc już sposobu ani rady, życzył sobie przed śmiercią przyjąć komunię. Pastor Fletcher mu jej udzielił, a razem z nim i naszemu admirałowi, jako że towarzyszył skazańcowi w tym pobożnym uczynku. A gdy tego obowiązku dokonali, miejsce na egzekucję już przygotowano, skazany objął i uściskał naszego admirała, a pożegnawszy obecną kompanię, pomodlił się jeszcze za najjaśniejszą panią i jej królestwo, i spokojnie głowę na pniu złożył...”

Wydaje się więc, że doszło do jakiejś zgody między skazanym a jego dawnym przyjacielem. Jednakże, gdy głowa spadła, odcięta potężnym ciosem miecza nie wymienionego po nazwisku marynarza, Drake oznajmił, jako ostrzeżenie dla wszystkich:

- Patrzcie, oto jaki kres czeka zdrajcę!

Drake przekonał samego siebie, że ta bezwzględność, choćby i wbrew jego sercu, była konieczna dla osiągnięcia celu misji, zaaprobowanej i uznanej przez królową. Wydaje się, że przez jakiś czas był przygnębiony, wytrącony z równowagi, jakby

chwilowo utracił zwykłą pewność siebie. Zanotowano, iż wkrótce po egzekucji powiedział:

- Podjąłem się, a nie wiem, jak rzecz przeprowadzić. Jednakże był to chwilowy nastrój, z którego Drake się szybko otrząsnął, widząc radę w codziennym spełnianiu zwykłych obowiązków. Nie tracił z oczu wielkiego celu, a bieżące kłopoty rozstrzygał w miarę, jak się nasuwały. Najpilniejszym zadaniem było teraz wymazanie z serc i umysłów żeglarzy ewentualnej niechęci z tego powodu, iż zwerbowano ich i zaokrętowano pod fałszywymi pozorami, a nade wszystko wykorzenienie wszelkich buntowniczych zamysłów przeciw jego autorytetowi. Przed niezwykle trudnym przedsięwzięciem, jakie ich czekało, załoga musiała być przekuta w zwartą jednolitą siłę. Jeszcze był czas na to. Na dalszych szerokościach geograficznych panowała zima, dni były wciąż za krótkie, by wejść w Cieśninę Magellana. Należało przede wszystkim położyć kres niesnaskom, istniejącym między ochotnikami a żeglarzami. Ochotnicy winni okazywać respekt oficerom za ich umiejętności żeglarskie, a oficerowie muszą zaprzestać pogardzania ochotnikami, jako bezużytecznym balastem.

W połowie sierpnia Drake zarządził, aby wyznaczonej niedzieli wszyscy wypowiadali się przed wielebnym Fletcherem i później przystąpili do komunii. Następnie pastor wstał, by rozpocząć kazanie. Drake podniósł rękę:

- Zaczekajcie, wielebny ojcze. Dzisiaj ja wygłoszę kazanie. Stał przez chwilę, surowym wzrokiem mierząc zgromadzonych.

Był skupiony, jakby w głębi swej duszy szukał słów.

- Patrząc, jakżeście się dzisiaj podzielili na grupy, widzę dobrze, dlaczego źle się dzieje w tej naszej wyprawie, dlaczego nam grozi rozkład i klęska.

Panowie ochotnicy zebrali się w jedną grupę, osobno stali oficerowie, a od obu oddzielili się marynarze.

- Przesuńcie się! - rozkazał Drake. - Macie być jedną kompanią! Ludzie każdej rangi mają się zrównać z najprostszymi wśród nas, z których jednym jestem ja, wasz admirał!

Bez sprzeciwu oficerowie i ochotnicy zajęli miejsca pomiędzy marynarzami. Wówczas admirał podjął dalej przemówienie:

- Nigdy nie dowodziłem załogą tak skłóconą, o tylu wrogich sobie frakcjach. Na Boga, zmysły tracę, gdy o tym pomyślę! Takie są

S3 kontrowersje między żeglarzami a szlachtą, taka niechęć jednych do drugich, że złość mnie trierze, gdy na to patrzę! Ale to musi się skończyć, moi panowie, inaczej zguba nas czeka. Każdy winien zrozumieć, że niezależnie od jego funkcji czy rangi, jedno zadanie stoi przed nami i wszyscy musimy dzielić trudy i ponosić odpowiedzialność. W podróży, która nas czeka, a do której wszystko, co się zdarzyło od

chwili, gdy opuściliśmy Anglię, było tylko wstępem, wystawimy się na wielki hazard, tego nie ukrywam. Ale im większy hazard, tym większy ostateczny triumf.

Zamilkł na chwilę. Cała zgromadzona kompania, siedząca na ziemi, milczała również: bez słowa, bez ruchu, nieomal bez drgnienia powieki. Następne słowa Francisa Drake nie tylko przeszły do historii litera po literze, ale stały się po wsze czasy podstawą dyscypliny obowiązującej statki wszystkich państw na morzach i oceanach.

- Panowie ochotnicy muszą holować i liny ciągnąć wspólnie z marynarzami, a marynarze wspólnie z ochotnikami. Będę wiedział o każdym, kto odmówi przyłożenia ręki do liny... - przerwał i dokończył z sarkazmem: - ... ale takich tutaj oczywiście nie ma... Jeżeliby znalazł się ktoś, czyj strach przewyższa jego chęć zdobycia fortuny w służbie dla królowej i ojczyzny, niech podniesie rękę. Dam wam statek „Marigold”, byście nim mogli wrócić do kraju, bo ja nie chcę ani żyć ani umrzeć w kompanii takich ludzi. Tylko pamiętajcie, by wracać prosto do Anglii, bo gdybym się gdzieś natknął na was, to zatopię.

Głębokiej ciszy nic nie przerwało. Niczyja ręka nie uniosła się w górę.

- Zatem idźcie ze mną z własnej woli - powiedział Drake. - Od was będzie zależało, czy podróż sławę zyska, czy się skończy czarną hańbą dla naszego kraju a pośmiewiskiem dla wroga. - Drake odwrócił się do Fletchera: - Ja skończyłem, pastarze. Czekamy teraz, byś błogosławieństwo boże wezwał na nas i nasze przedsięwzięcie.

Po nabożeństwie admirał znowu zwrócił się do zgromadzonych załóg, tym razem szeroko uśmiechnięty-

- A teraz, druhowie, nasi kucharze przygotowują dla nas najlepsze smakołyki, jakimi dysponujemy. Dobędziemy zdobycznych win! Będziemy wspólnie ucztować, tu na brzegu, a ja, moi kapitanowie i panowie ochotnicy podejmiemy się obsługiwanie marynarzy i będziemy jadło nakładać na ich talerze i napełniać kubki winem!

Następnego dnia rozpoczęły się przygotowania do najtrudniejszej części podróży: przejścia przez cieśninę, która podówczas była jedyną znaną drogą wodną z Atlantyku na Pacyfik, a od której zawrócił niejeden już żeglarz, zmuszony katastrofą lub buntem załogi.

Ważna była zwartość i żeglowność flotylli. Mniejsze jednostki powiantowe rozebrano, ludzi i ładunki przeniesiono na trzy pozostałe statki: „Pelican”, „Elizabeth” i „Marigold”.

Drake'a trapiły jeszcze myśli o ewentualnych skutkach egzekucji.

- Doughty był sekretarzem Sir Christphera Hattona - mówił do swego brata Thomasa i do kapitana Wyntera. - Jeżeli za naszym powrotem Hatton będzie nadal w łaskach u królowej, to się na mnie zemści.

- I milord Burleigh także - dorzucił Thomas.

- Jego się nie boję. Nie przyzna się, że spiskował, posługując się Doughtym, jako narzędziem, w celu udaremnienia ekspedycji, żeglującej pod protekcją królowej. Ale Hattona dobrze by było ułagodzić.

- Mam propozycję - wtrącił Wynter. - Drobną to rzecz, ale Hatton bardzo lubi, gdy mu schlebiać. Próżny człowiek. W jego herbie rodowym widnieje złota łania. Gdybyśmy tak nazwali jeden z naszych statków?

Drake trzepnął się po muskularnym udzie.

- Świetny pomysł! Przechrzcimy „Pelicana”.

Jako zadośćuczynienie, wydaje się to doprawdy trywialną drobnostką, według słów Wyntera. Ale dla żeglarzy nazwa ich statku jest rzeczą ważną. Często przyjmowano miana symboliczne. Hiszpanie chrzcili swoje okręty imionami świętych pańskich, Anglicy imionami monarchów, albo takimi podnoszącymi na duchu nazwami, jak „Redoubtable” (Groźny), „Triumph”, „Victory” (Zwycięstwo). Drake’owi bardzo przypadł do serca pomysł, aby żeglować pod patronatem wysoko urodzonego dworzanina, faworyta królowej. Odpowiadało to zarówno jego romantycznym ciągotom, jak i ambicjom towarzyskim. Tak więc dzielny mały „Pelican” został przemianowany na „Golden Hind” - złotą łanię i pod tą nazwą przeszedł do morskiej historii Anglii, jako jeden z jej najślawniejszych statków.

Dnia dwudziestego sierpnia zredukowana flota wpłynęła do wschodniego wejścia do Cieśniny Magellana. Tutaj miał miejsce jeszcze jeden z tych dramatycznych gestów, ulubionych przez ludzi morza. Plenipotencja królowej upoważniała do zajmowania w imieniu korony wszelkich nowych ziem, jakie by ekspedycja odkryła. Drake nakazał więc, aby jego statki „na powitanie tego lądu, a w hołdzie dla jej majestatu, naszej miłościwej pani, opuściły marszżagle...”

Puściwszy wodze wyobraźni, można by opisywać grozę niebezpieczeństw, jakie w Cieśninie Magellana czekały na ludzi z szesnastego wieku, żeglujących na stutonowym, o drewnianym kadłubie statku „Golden Hind” i jego jeszcze mniejszych towarzyszach. Ale uwaga tych ludzi tak bez reszty pochłaniała trudną żegluga i walka z żywiołami, że nie mieli czasu ulegać emocjom. Spójrzmy więc na ich podróż oczyma jednego z nich, który spisał relację beznamietną i lakoniczną, opublikowaną nieco później we wspomnianym, już dziele Hakluyta: „Szerokość cieśniny miejscami milę wynosi, gdzie indziej dwie i trzy, a jeszcze gdzie indziej cztery mile, ale najwęższe miejsce ma poniżej mili szerokości..._ Cieśnina, jak się przekonaaliśmy, rozlicznymi zakrętami się wiała, co i rusz jakby żadnego przejścia nie było widać, a wskutek tego wiatr bywał często przeciwny i gdy jeden statek przylądek albo skarpa nabrzeżna chroniła, inne musiały zawracać i kotwicę rzucać, gdzie by mogły...”

Z innych relacji wiadomo, że często spuszczano łodzie, by szły naprzód wiosłując i sondowały, a na tej podstawie sporządzano prymitywne szkice map, którymi statki się

kierowały: miejscami, tam gdzie kanał był bardzo wąski, a podwodne skały zagrażały, łodzie kosztem olbrzymiego wysiłku wioślarzy holowały trzy statki.

„W tej cieśninie było wiele dogodnych przystani - podaje Ha-kluyt - i pod dostatkiem świeżej wody. Zarazem morze tak głębokie, że trudno kotwicę rzucić, chyba w ujściu strumieni albo w zakątkach, albo między skalami: toteż gdy trafiał się nagły szkwał albo ostry wiatr przeciwny, co w tych okolicach bywało często, niósł ze sobą wielkie niebezpieczeństwo”.

Nawet wyborny kunszt żeglarski Drake'a i jego wielkie doświadczenie nie zawsze mogły sprostać zadaniu. Nigdzie jeszcze ani on, ani nikt z załóg nie spotkał takich hazardów. Groźbie głębin i mielizn, skał i wydm, prądów i szkwałów - stawiano czoła z upartą odwagą, a czasem pomysłowością.

„Łąd po obu stronach wznosi się ogromny i górzysty... Te góry pokrywa śnieg... W cieśninie panuje wielki ziąb, ciągle mrozy i śnieżyce, drzewa zginają się przed wichurami, a jednak są zielone, a wiele bujnych roślin rozrasta się pod nimi...”

Patagończycy, groźni na pozór, pokazywali się chwilami na północnym brzegu, a nocami palili ogniska, które bardziej trwożyły, niż pocieszały żeglarzy:

„Dnia 24 sierpnia przybiliśmy do wysepki na cieśninie, gdzie znaleźliśmy wielkie mnóstwo ptaków, które latać nie mogły [pingwinów] większych nieco od naszych gęsi; zabiliśmy ich jednego dnia ze trzy tysiące sztuk i zaprowiantowaliśmy się obficie... Dnia 6 września weszliśmy na Morze Południowe.”

Przeprawa Magellana przez cieśninę nazwaną jego imieniem, trwała trzydzieści siedem dni. Richard Hawkins i Thomas Cavendish, którzy wyprawili się śladem Drake'a pod koniec szesnastego wieku, potrzebowali: jeden - czterdzieści sześć, drugi - czterdzieści dziewięć dni. Tym trzem statkom, „Golden Hind”, „Elizabeth” i „Marigold”, szczęście bardziej sprzyjało. Napotkali mniej silnych sztormów, wijących tunelami kanału między wysokimi skałami brzegów. Ich przeprawa trwała tylko szesnaście dni.

Kiedy wreszcie ujrzeli przed sobą bezmierną przestrzeń oceanu, który był ich celem, ukłękli wszyscy, kapitanowie, ochotnicy i marynarze, by podziękować Stwórcy za ocalenie.

- Dzięki temu dowodowi łaski Jego - rzekł Drake - wiem, iż wydarzenia w Porcie Świętego Juliana, zyskały aprobatę w obliczu Boga.

Teraz już nie dbał o ułagodzenie Christophera Hattona.

Rozdział 11

„NIE MA TERRA AUSTRALIS”

W Anglii kupcom i armatorom dobrze się podówczas wiodło. Plymouth rozwijał się, wypierał Bristol jako główny port angielski. Wokół miasta, jak gdzie indziej w kraju, wolni chłopci bogacili się, gospodarząc zapobiegliwie i zaopatrując mieszczan w mięso, zboża i produkty mleczarskie. Wykupywali dzierzawione dotąd gospodarki na własność i zaczęli tworzyć nową, nieukształtowaną jeszcze grupę ziemiaństwa, na razie nie uznawanego przez stare rody szlacheckie. *Drake*, za łupy zagrabione Hiszpanom, kupił kilka gospodarstw, złączył je w jedną posiadłość i zainstalował swoją żonę we dworze, ze służbą i ogrodnikami.

Jednakże życie Mary, nadal bezdzietnej, było nie do pozazdroszczenia. Otaczały ją zewnętrzne oznaki bogactwa, nawet komfortu. Ale jej kucharkę irytowało, gdy Mary wtrącała się do kuchni, a wieśniacze pochodzenie nie zaszczyliło jej zamiłowania do ogrodnictwa dekoracyjnego. Stara szlachta okoliczna okazywała jej co najwyżej wyniosłą grzeczność, a społeczność drobnych wieśniaków i handlarzy bydła, z którego ona sama wyrosła, uważała, że Mary od nich odeszła. Gdyby nie stosunkowo bliskie sąsiedztwo ojca i brata, Mary czułaby się doprawdy bardzo osamotniona. Chociaż głęboko kochała swego Francisca, i chociaż przed małżeństwem akceptowała perspektywę jego częstych nieobecności, jednakże można by zrozumieć, gdyby chwilami w głębi serca żałowała, że nie poślubiła zwykłego szczura lądowego, mniej sławnego i nie tak bogatego, jak jej żeglarz, ale więcej zajmującego się domem i małżeńskimi obowiązkami.

Tymczasem Drake, oddany sprawom Anglii i morza, związany z nimi nie przeciętą nigdy pępowiną, rzadko kiedy choćby i pomyślał o żonie. Zapewnił jej bogactwo, zainstalował ją w wygodach, nawet luksusach, jak na owe czasy. Czegóż więcej mogła chcieć? Ile kobiet, poślubionych mężom skromnego pochodzenia, otrzymało tak wiele? Drake był egoistą. W jego naturze nie leżało zrozumienie uczuciowych potrzeb ani rozwiniętych instynktów rodzinnych kobiety. A z pewnością podczas tej wyprawy, najpierw skłopotany aferą Thomasa Doughty, później przeprawą przez groźną cieśninę, nie miał chwili czasu, by wspomnieć pozostawioną w kraju żonę i dom. Teraz, wpływając na bezmiar Pacyfiku, zaprzątnięty był całkowicie żegluga.

Mogłoby się wydawać, że szkwały i wąskie wody, skarpy i przylądki, mielizny i wydmy cieśniny wezwały wielkie morze:

- Nas zwyciężono: ty pomścij!

Anglicy okrążyli przylądek i weszli na Pacyfik, by wzięwszy kurs na północ, wyszukać osłoniętą przystań, gdzie można by odpocząć i sprawdzić kadłuby statków.

Później zamierzali pożeglować na południe, by wywiązać się ze swej oficjalnej misji - poszukiwania Terra Australis. Ale żywioły usłyszały wezwanie pomsty. Sztorm runął na nich od północnego wschodu.

- Zwijąć żagle! - krzyknęli trzej kapitanowie. Musieli ten rozkaz wydać prawie jednocześnie.

Nic nie można było poradzić, jak tylko gnać wraz z wichurą pod nagimi masztami. Posłano pod pokład wszystkich, prócz najbardziej doświadczonych i zahartowanych żeglarzy. Groziło niebezpieczeństwo zmycia za burtę. Statki pędziły naprzód, dygocąc od dzioba do steru. Olbrzymie bałwany uderzały w nie, spienione strumienie rwały po pokładach, tnąc jakby biczem każdego, kto znalazł się na drodze. Tysiące ton wody waliło się na nich, wiatr wył jak ścigająca ich bestia. Nic nie było widać, prócz wirujących fal, tumanów piany i chmur tak niskich, jakby się wspierały na groźnie trzeszczących masztach. Potężne bałwany unosiły statki w górę, jak dłonią olbrzymia, by w następnej chwili strącać je w głąb wodnej przepaści.

Najodważniejsze serca, nawet serca bohaterów, znają trwogę. Było na pokładzie „Golden Hind” wielu, zarówno marynarzy, jak i ochotników, którzy się strachu najedli. Paru ukrywało bojaźń pod maską nerwowej żartobliwości, ale nie każdy się na to zdobywał. Pastor Fletcher ukląkł w swojej kajucie nie tylko po to, by się modlić, ale także dlatego, że kolana się pod nim ugięły.

- Gdybym tylko mógł się szczerze, prawdziwie modlić, mógłbym patrzeć w twarz śmierci ze spokojem, nawet chyba z radością... - bełkotał sam do siebie szcękając zębami. - Ja naprawdę zawsze chciałem dobrze służyć Bogu... nie powinienem tchórzyc, gdy mam stanąć w Jego obliczu... ale być wtrąconym w ten straszliwy odmęt... ciskanym, obijanym jak korek... nie umiem pływać, a zresztą na cóż by się to zdało... nie mogę nawet znieść tej myśli... dławić się, dusić, płuca pełne wody...

Nagle przyszło mu do głowy, że ma obowiązek do wypełnienia. Żeglarze nic nie mogli zrobić. A on mógł.

- Oni wszyscy za chwilę staną wobec Stwórcy. Nie wolno im odchodzić z tego świata, z przekleństwem na ustach... trzeba ich przygotować...

Pastor zwłókł się na dygocące nogi i czepiając się kurczowo wszystkiego po drodze wyszedł na schodnię, a zgromadziwszy kogo się dało, spowiadał ich generalnie, rozgrzeszał i modlił się głośno. I jakoś ten dławiący go za gardło strach - pofolgował. Odniósł niejaki zwycięstwo nad samym sobą. Poczował się wyżej po zejściówce i wytknął głowę na pokład.

Tom Moone, skała, którą burze i wichry szturmowały nadaremno, wparł się w ster jakby z nim zrosnięty. Drake, z gołą głową, przywiązał się do głównego masztu, twarzą do wiatru. Przez współprzymknięte oczy obserwował nadlatujące fale, a gdy przegrzmiały, a „Goldeis Hind”, ten statek wyborny, znowu triumfalnie wznosił dziób

ku górze, otrząsał się i gnał dalej - Drake kiwał głową z satysfakcją a uśmiech występował mu na wargi. Wydawał się szczęśliwy. Dlaczego? W swej znajomości morza? W mistrzostwie swej sztuki żeglarskiej? W opanowaniu żywiołów? Chyba nie. Chyba radował się upartą odpornością swego małego stateczku, opierającego się tak wytrwale żywiołom, wicherze i rozszalałemu morzu. Wciąż wydawało się, że ulegnie, że już już zatonie - ale nie, wyprostowywał się i szedł w górę. I pastor Fletcher, czolgając się z powrotem na dół, zaczął również odczuwać podziw dla tego statku, chociaż tak niedawno żałował, że postawił stopę na jego pokładzie.

Drake'owi nie tyle troski przyczyniała burza, ile to, że gnając bez pamięci na południe, jego statki będą musiały, jak przypuszczał, natknąć się wkrótce na brzegi osławionej Terra Australis. Byle im się udało to przeżyć. Przesuwając się wokół masztu, Drake wypatrywał oczy w spienioną szarugę przed dziobem, za burtami. Nikt nie wiedział, jakiego rodzaju wybrzeża ma ten legendarny kontynent. Każdej chwili wysokie skarpy mogły się wyłonić tuż przed jego statkami, podwodne skały mogły rozszarpać kadłuby, mielizny mogły je sparaliżować w piaszczystych objęciach.

Dzień mijał po dniu, a burza chyba jeszcze potęgowała swą furię. Wydawało się trudne do wiary, że drewniane statki o stu i mniej tonach wyporności mogły to przetrzymać. I istotnie, najmniejszy ze statków - nie przetrzymał. Noc po trzydziestym październiku, jak zapisał później kapitan Wynter, „była najburzliwszą, jakiej w moim życiu zaznałem”. O świcie jednakże sztorm nieco pofolgował. Bracia Drake'owie i Tom Moone przeszukiwali wzrokiem horyzont. „Elizabeth” znalazła się, nawet niezbyt daleko. Ale po „Marigold” nie było ani śladu.

- Zawracać! - rozkazał Drake bosmanowi. - Musimy udać się na poszukiwania.

Ale tak krótka była chwila wytchnienia, że nim zdołano rozwinąć żagle, już znowu uderzyła wicher. Pędziła dwa statki na południe, dalej i dalej, jeszcze przez kilka dni. Nareszcie pogoda się poprawiła i ustaliła. Drake przesygnalizował do Wyntera, by przybył do niego na pokład „Golden Hind”. Razem dokonali starannych obliczeń, sprawdzając jeden drugiego/Znajdowali się na 57 stopniu szerokości południowej, o jakieś pięćset kilometrów poniżej Cieśniny Magellana, a dookoła nich jak okiem sięgnąć rozciągało się morze na wszystkie strony aż po horyzont. Przypuszczano, że tu, gdzie stały statki, miał znajdować się wielki, nie znany jeszcze kontynent.

Thomas podszedł do admirała i jego zastępcy. Drake zwrócił się do nich z uśmiechem i blaskiem w oczach:

- Nie ma Terra Australis! Po prostu nie istnieje. Te wody łączą oba oceany: Atlantyk i Pacyfik, szerokim, ogromnym zlewiskiem. Statek może żeglować swobodnie z jednego oceanu na drugi dookoła południowego krańca Ameryki. Gdybyśmy nic więcej nie przywieźli z naszej wyprawy, jak przetrwanie miesiąca tego niebywałego huraganu i dokonanie takiego odkrycia, zasłużylibyśmy się dobrze naszym rodakom. Ale

przywieziemy więcej, znacznie więcej. Wracaj na swój statek, drogi przyjacielu Wynterze. Huragan nas tu przywiódł - z łagodnym wiatrem wrócimy na północ, by splądrować tajemne zakamarki hiszpańskich grabieżców Peru.

Bezpiecznie dotarli do wybrzeży Chile i rzucili kotwice w szerokiej zatoce. Jednakże wciąż jeszcze żywioty zdawały się bronić dostępu do źródeł hiszpańskich bogactw. Jeszcze raz uderzył gwałtowny wicher od północy. „Golden Hind” zerwał kotwiczną linę. Drake musiał wyjść na pełne morze, gdzie znowu przez blisko cztery tygodnie wichura niosła statek, jak bezsilną zabawkę, na południe. „Golden Hind” znalazł się raz jeszcze koło południowego przylądka Ameryki, na wodach, osławionych później jako najniebezpieczniejsze na świecie, gdzie nawet w dziewiętnastym wieku żaglowce, budowane jako najwyborniejsze pod względem odporności i nawigacji ulegały rozbiciu, traciły maszty, a ich załogi - życie. I nadal ten mały majstersztyk szesnastowiecznej ciesielki trwał - jego maszty, reje i takielunek w opłakanym stanie, ale drewno całe i zdrowe.

Przekonano się, że wyspy otaczały kontynent od południa. Przy bardziej sprzyjającej pogodzie żeglowano przez parę dni między nimi. Na pokładzie panowało powszechne podniecenie. Marynarze i ochotnicy entuzjazmowali się jednakowo tym, że są pierwszymi Europejczykami, jacy oglądają te okolice.

Z relacji opublikowanej przez Hakluyta:

„Weszliśmy do zatoki, gdzie napotkaliśmy ludzi, mężczyzn i kobiety, przeprowadzających się czółnami z jednej wyspy na drugą w poszukiwaniu żywności. Ci nawiązali z nami handel, wymieniając, co mieli...”

Ci tubylcy, którzy nie zaznali jeszcze niewolnictwa i okrucieństw z rąk białych ludzi, chętnie dawali zioła, ryby i ptactwo w zamian za skrawki płótna lub kolorowe paciorki.

Drake zlecił Tomowi Moone i innym cieślom naprawienie szkód, wyrządzonych przez burzę. Sam zabrał swoje instrumenty „na najdalszy przylądek tych ziem”. Z nowych obserwacji i pomiarów, jakich tam dokonał, wywnioskował, że znajduje się na 56 równoleżniku. Wydaje się więc prawdopodobne, że był w pobliżu przylądka Horn, który według dzisiejszych, precyzyjnych pomiarów leży na szerokości 55°59'. Jednego był pewien. Stał na lądzie, którego nie dotknęła jeszcze stopa białego człowieka. Przejęty uniesieniem, w jednym z tych teatralnych gestów, w jakich się lubował, rozwarł ramiona, rzucił się na ziemię:

- Obejmuję cię, najbardziej na południe wysunięty skrawku znanych ziem! I Bogu niechaj będą dzięki, że przywiódł mnie na to miejsce, pierwszego chrześcijanina!

Dopiero w roku 1586 pojawi się pierwsze kartograficzne sprawozdanie, z tego odkrycia, gdy Holendrzy wybiją srebrną plakietę na cześć Drake'a, na której widnieje

zlewisko dwóch oceanów. A z mapy, wydanej w dwanaście lat później w dziele Hakluyta - znikła legendarna Terra Australis.

Gdy przygotowano do dalszej podróży „Golden Hind” i nabrano pod dostatkiem świeżej wody, z przychylną, południową bryzą żeglarze wyprawili się na poszukiwanie „Elizabeth”, a może także i „Marigold”. Huragany, jak się zdaje, wyczerpały swą moc, statek żeglował spokojnie na północ, płótna wypełnione wiatrem, nie skrzypiące od jego gwałtownych porywów. Ale ani w miejscu, gdzie „Golden Hind” zerwał linę kotwiczną - znanym załodze pod nazwą Zatoki Rozstania z Przyjaciółmi - ani u wejścia do Cieśniny Magellana nie dostrzegli żadnych śladów kapitana Wyntera i jego ludzi. Poszukiwania na północ i na południe również okazały się bezowocne. Thomas pytał:

- Co się z nimi mogło stać? Co zrobimy?

- Różne rzeczy, mogły się stać - odparł Francis. - Już miesiąc, od kiedy się rozdzieliliśmy. Możemy tylko ufać, że Wynter poprzedził nas w górę wybrzeża, w nadziei, że tam nas spotka.

- A „Marigold”?

- Mało prawdopodobne, by przetrzymała te huragany... Bolesna sprawa. Trzydziestu ludzi. Ale już nic nie możemy zrobić, jak tylko...

Na życzenie admirała, pastor Fletcher odprawił za nich nabożeństwo żałobne na pokładzie. Wszyscy przyłączyli się do modlitwy za towarzyszy, uznanych za zaginionych. Z kolei Drake postarał się wlać otuchę w serca swej załogi, by ze świeżą energią stawiała czoła nowym przygodom, czekającym ich na wodach, po których jeszcze nigdy żaden Anglik nie żeglował.

- Niczego nie wskóramy wzdychaniami ani obżalowywaniem naszych druhów - powiedział. - Jesteśmy na obcych wodach. Dopełniliśmy już naszego obowiązku wobec geografów. Czas wywiązać się z obowiązków wobec naszej monarchini i jej królestwa, wobec ludzi, którzy zainwestowali fundusze w naszą podróż i - wobec nas samych. Dalej na tych wybrzeżach i na pokładach statków hiszpańskich znajdują się skarby, jakich nawet w najśmielszych snach wyobrazić sobie nie możemy. Ufajcie waszemu admirałowi! Ja was poprowadzę do tych skarbów, a później zawiodę bezpiecznie do kraju.

Może Drake nie był tak pewien siebie, jak by z jego słów wynikało. Ale niewiele wart jest wódz, któryby nie umiał natchnąć swoich zwolenników wiarą w zwycięstwo. Z pewnością byli wśród jego załogi ludzie tchórzem podszyci, którzy woleliby zawrócić na wschód, do domu. Drake zapanował nad nimi swoim optymizmem, ufnością i energią. Jego wyśmienity kunszt żeglarski z ostatnich tygodni sprawił, że teraz wydawał się oczom podwładnych niezniszczalny. Doughty postraszył ich swą rzekomo czarodziejską magią: teraz byli gotowi uwierzyć, że admirała wspiera jakaś

nadprzyrodzona moc. A może również podziało co innego: wspomnienie szubienicy. Bądź co bądź, ani jeden głos protestu się nie podniósł.

Wyszędłszy daleko w morze, o jakieś osiemdziesiąt kilometrów od wybrzeży Chile, „Golden Hind” wziął kurs na północ. W połowie listopada, gdy byli już na 45 równoleżniku, z bocianiego gniazda rozległ się okrzyk:

- Łąd!”

Statek przybił do dużej wyspy, gdzie widać było szałas i czółna tubylców.

- Będziemy tu mogli napęlnić wodą nasze beczułki, a może i zdobyć trochę prowiantu - powiedział Drake.

Do tej pory Cimaroni, czyli dawni murzyńscy niewolnicy i ich potomkowie, oraz Indianie okazywali mu zwykle przychyłność. A potwierdzało to jeszcze niedawne doświadczenie z mieszkańcami wysp na południowym krańcu Ameryki. Drake zapomniał może, że tutejsi wyspiarze byli już w zasięgu wypraw Hiszpanów, którzy nie mieli zwyczaju handlować, lecz brali co im było potrzeba, siłą i mieczem. Ze trzydziestu brunatnoskórych mężczyzn, nagich, owiniętych jedynie w skóry dzikich zwierząt wokół bioder, zbrojnych w łuki i strzały, stało w pewnym oddaleniu od brzegu, przypatrując się bacznie, jak łodzie przybyszów dobijały do piasku. Drake śmiało wyskoczył na brzeg, za nim Moone, Diego i tuzin marynarzy. Prawie równocześnie poleciała na nich chmura strzał. Pierwszy ogniomistrz osunął się na kolana, i jeszcze dwu innych. Na policzku admirała pojawiło się długie, krwawe zadrapanie.

- Do łodzi! - krzyknął Drake.

Tego rozkazu nie trzeba było dwa razy powtarzać. Marynarze chwycili swych towarzyszy, nie sprawdzając, ranni czy zabici, i popędzili ku morzu. Druga chmura strzał zaświstała w powietrzu. Diego chwycił ręką strzałę, która utkwiała mu w boku, usiłując ją wyszarpnąć. Drake’a znowu zraniono w twarz, i znowu niegroźnie. Gdy już wszyscy byli w pinasach, krajowcy wystrzelili po raz trzeci, tym razem w górę. Niektórzy z Anglików jeszcze mogli wiosłować, ale wszyscy byli poranieni. Drake sam chwycił za wiosło.

Każdy wiedział, że strzały indiańskie mogły być zatrute. Z dwóch chirurgów okrętowych, których w Plymouth włączono do ekspedycji - jeden zmarł, a drugi był na pokładzie „Elizabeth”. Jak większość ówczesnych kapitanów, Drake nabył podstawowych umiejętności z zakresu medycyny i chirurgii, opatrywania ran i leczenia. Do pomocy miał młodego praktykanta lekarskiego, chłopca, którego „dobre chęci musiały zastąpić umiejętności” według jednego z kronikarzy wyprawy. Większość odniesionych ran nie była groźna. I najwidoczniej nie użyto żadnej trucizny, Drake nie troszczył się więc w ogóle o własne skaleczenia. Zmarło jednak dwóch ludzi, z których każdego inaczej, ale obu wysoko cenili: pierwszy ogniomistrz -

dostał strzałą w oko - i Diego, któremu strzałę z boku wyciągnięto ostatecznie, ale rana okazała się śmiertelna. Admirał szczerze obżałował czarnoskórego druha. Od czasu napaści na Nombre de Dios, nie rozstawał się z nim prawie; Diego był mu przyjacielem, sługą, strzegł jego osoby. Gdy ciało, zaszyta w stare płótno żaglowe, zsuwano za burtę do oceanu, admirał powiedział:

- Nigdy nie miałem i nigdy mieć nie będę wierniejszego przyjaciela.

Na horyzoncie pokazały się wybrzeża Chile: płynęli dalej na północ wciąż dalej: i nigdzie ani śladu „Elizabeth”. Natomiast admirał zaczął się wywiązywać ze swych obietnic, że każdego marynarza obładuje złotem. Zakotwiczywszy w zatoce w pobliżu Valparaiso, podówczas osady niewiele większej od zwykłej wioski rybackiej, Anglicy natknęli się na Indianina - łowiącego ze swej łódki ryby za pomocą oszczepu. W pierwszej chwili przerażony, Indianin dał się ułagodzić podarunkami i upewniwszy się, że przybysze nie są „donami”, czyli Hiszpanami, wdał się w rozmowę zupełnie znośną hiszpańszczyzną. Od niego dowiedziano się, że do Valparaiso zawiął niedawno wielki statek handlowy. Stoi tam jeszcze.

- Czy wybrzeże jest dostępne? - rozpytywał Drake, który nie miał szczegółowych map tych okolic. - Czy statek może blisko podejść?

- Jeśli mi zawierzycie wasz statek - powiedział Indianin - to przeprowadzę was bezpiecznymi kanałami.

Pilotującego Indianina pastor Fletcher zaczął wypytywać o wierzenia i praktyki religijne jego ziomków. Później zanotował, że czcili oni „Settebos”. „A to się wyklada, że czcili diabła, którego nazywali wielkim panem”. Miłośnicy sztuk Szekspira będą mogli wywnioskować, jakie źródła poeta wykorzystywał w swej twórczości, ponieważ w „Burzy”, napisanej w roku 1611, Kaliban tym samym imieniem nazywa bóstwo swojej matki, czarownicy - „Setebos”; tylko minimalna różnica w pisowni.

Kiedy „Golden Hind” z wolna i ostrożnie wchodził do przystani, ze statku handlowego powitano ich głośno, zapraszając na pokład. Oczywiście, Hiszpanie nie przeczuwali, że na tych wodach mógłby się pojawić jakiś statek, który nie jest przyjacielem.

- Admirale, proszę pozwolić mi przyjąć to zaproszenie! - nalegał Moone.

Z tuzinem ludzi wskoczył do łodzi. Gdy podpłynęli do burty wielkiego statku, na bębnie zagrano marsza powitalnego. Potężnie zbudowany cieśla, w jaskrawej chustce zawiązanej na głowie i z kordelasem zatkniętym za czerwony pas, wpadł na pokład razem z druhami, ciosami pięści zbił gościnne uśmiechy z twarzy dwóch Hiszpanów i ryknął:

- Na dół, psy! Pod pokład! Jesteście naszymi jeńcami, wasz statek naszą przysięgą!

Było tylko ośmiu ludzi na statku i szybko zamknięto im luki nad głowami - prócz jednego, który wyskoczył za burtę i popłynął do miasta. Na pokładzie stała beczulka z

winem, świeżo otwartym na przyjęcie gości. A w Valparaiso, mieszkańcy przerażeni nowiną przyniesioną przez marynarza, który przyплыł wpław do miasta, w popłochu zbierali pośpiesznie dobytek, jaki mogli z sobą unieść i uciekali w okoliczne góry.

„Nasz admirał kazał obsadzić ludźmi dwie łodzie, jedną własną a drugą zabraną ze statku handlowego i razem z nimi udał się do miasta... Splądrowaliśmy je, a z kaplicy zabraliśmy srebrne naczynia i kapy ołtarzowe, które admirał dał pastorowi Fletcherowi do używania przy nabożeństwach, odprawianych na pokładzie »Golden Hind«...”

Mało co tam znaleźli wartościowego, prócz beczulek z winem i drewna cedrowego. Następnie zabrali się do przenoszenia na własny statek ładunku ze statku handlowego: „dwa i pół tysiąca sztuk pesetów bardzo pięknego złota” i znaczne zapasy. Ale najcenniejsze zapewne było znalezienie pilota, Greka, który bał się uciekać razem z mieszkańcami.

- Zostań z nami i pilotuj nas wzdłuż wybrzeży Chile i Peru - zaproponował mu Drake, - a będziesz dobrze traktowany i sownie wynagrodzony.

Pryzę odholowano na pełne morze i zatopiono, ale siedmiu jeńców wysadzono przedtem na ląd.

- Ostrzegą całe wybrzeże, że tu jesteście! - protestował Thomas Drake.

- Będą mieli daleką drogę piechotą, nim by mogli zaalarmować mieszkańców - zaśmiał się jego brat. - Nasz Grek mówi, a i widać to po ubóstwie tego Valparaiso, że bardzo mało statków zapuszcza się tak daleko na południe, a lądem nie ma regularnej łączności. Przepłoszymy hiszpańskie kurniki prędzej, niż zdołają zaalarmować.

Greki wskazał im przystań, gdzie mogli oczyścić i nasmołować „Golden Hind”, sprawdzić bukszpryt i maszty, uporządkować takielunek. Admirał wyprawił się pinasem na ostatnie poszukiwanie „Elizabeth”. Bez skutku. By podnieść na duchu załogę, Drake uczepił się ostatniej, szalonej na pozór nadziei.

- Wynter pewno zawrócił i przeprowił się z powrotem przez cieśniny, a jeśli tak, to już zawinął do Anglii.

Otóż ta nadzieja mniej była szalona, niż się wydawało. Odczekawszy jakiś czas w Zatoce Rozstania, „Elizabeth” wycofała się do ujścia cieśnin. I wciąż nie było żadnego sygnału od admirała. Wynter nie odgadł, że huragan zagnał znowu „Golden Hind” daleko na południowe szerokości. Wiedział natomiast, że Drake planował ewentualnie przeprowić się na zachód przez Pacyfik do Wysp Korzennych, do Archipelagu Malajskiego. I próbował namówić załogę swego statku, by tam się udać w nadziei spotkania. Jego podwładni, oficerowie, ochotnicy i marynarze zjednoczyli się w proteście. A Wynter, człowiek lojalny i zdolny żeglarz, nie miał jednak osobistej energii i autorytetu Drake’a. Ustąpił.

Jeszcze przed powrotem „Elizabeth” do Anglii, król Hiszpanii miał inne troski na głowie, by choćby i pomyśleć o flotyli, która przed rokiem wyszła z Plymouth,

oficjalnie do Aleksandrii. Ambasador hiszpański w Londynie, a więc i jego mocodawca, wiedzieli oczywiście, że Drake dowodził tą flotyllą. Podejrzewali, że zadeklarowany cel wyprawy jest podstępem. Ostrzeżono gubernatorów hiszpańskich na Karaibach, aby się mieli na baczności przed ewentualnymi napaściami. Tymczasem El Draque zniknął. Nikomu nawet do głowy nie przyszło, że angielska ekspedycja zmierzała ku południowemu krańcowi obu Ameryk, i że dlatego po opuszczeniu Wysp Zielonego Przylądka, znikła z okrętowych szlaków na północnym Atlantyku.

Po śmierci generalnego gubernatora Niderlandów, Don Juana z Austrii, król mianował na jego miejsce Aleksandra księcia Parmy, który był znany jako wyborny wódz, zdolny polityk. A od gubernatora Panamy nadeszła relacja, która sprawiła królowi szczególną satysfakcję.

„Schwytiliśmy tutaj angielskiego pirata nazwiskiem John Oxen-ham wraz z całą załogą statku. [Tego samego Johna Oxenhama, który w latach 1572/3 brał udział w napaściach Drake’a na Nombre de Dios, Venta Cruces i na karawanę ze złotem.] Ten heretyk wylądował przed jakimś czasem na wschodnim wybrzeżu, gdzie zostawił swoje statki, które odszukaliśmy i zniszczyliśmy. Ale doszły nas słuchy, że napada na miasta i statki na wybrzeżach Pacyfiku. Przeprowadził się przez Przesmyk przy pomocy bandyckich Cimaronów, oraz zbudował dużą pinasę. Od naszych rodaków, których pojmał w niewolę a później - jako to jest dziwnym obyczajem Anglików - puścił wolno, dowiedzieliśmy się, gdzie przebywa. Jego marynarzy kazałem od razu powiesić wszystkich, co do jednego. Oxenhama i jego oficerów przekazaliśmy w ręce inkwizycji w Limie. Pokorny sługa waszego majestatu otrzymał wiadomość, że zwykłymi metodami nie udało się wydostać od nich żadnych użytecznych informacji. Wyznaczono już dzień na »auto da fe«, kiedy to spotka ich los, wyznaczony przez Boga heretykom...”

Tak więc okazało się, jak słusznie królowa Elżbieta kazała spowijać wyprawę do Terra Australis największą tajemnicą. Nawet poddani „zwykłej metodzie” najstraszliwszych tortur, nieszczęsny Oxen-ham i jego towarzysze nie mieli do wyjawienia nic więcej, prócz własnego zacieklego protestantyzmu.

W Eskurialu król Filip tkwił za biurkiem i władał swoim imperium. Szły w świat memoranda, nagany, upomnienia, pochwały. Filip nigdy nie odwiedził dominiów poza Hiszpanią. Ale wzrokowi tego ideału biurokracji nie uchodził żaden szczegół. Jego żona i dwie córki często były przy nim. Gdy podpisał jakiś dokument zwyczajowym: „Yo, El Rey” - królowa posypywała pergamin piaskiem dla osuszenia inkaustu, a jedna z dziewczynek odnosiła go do starego oficjaKsty, imieniem Santoyo, by zapieczętował. Król często pracował do późna w nocy i oczekiwał od swych pomocników tego samego. Zachowała się relacja, jak to kiedyś, gdy damy poszły już spać, stary Santoyo tak był senny, że ze znużenia pomylił się i zamiast posypać piaskiem, wylał na dokument

inkaust z kałamarza. W takich sytuacjach cierpliwość króla była zaiste nieprzebrana. Filip tylko westchnął, powiedział: „Zaczekaj, będzie jeszcze jeden” i napisał list na nowo.

Wiść o powrocie Wyntera do Anglii, bez Drake’a, gdy zarazem przeniknęła nowina, że Anglicy przeprawiali się przez Cieśninę Magellana, spowodowała domysły, że El Draque zaginął na dobre. Procz tego, nawet jeżeli jakimś cudem żeglarz i jego statek ocaleli, to i tak było za późno, by ostrzec wybrzeża Peru i tamtejsze statki o ewentualnie grożącym im niebezpieczeństwie. Filip wolał więc upierać się przy własnym przekonaniu. Powiedział cło swego wielkiego wezyra:

- Bóg i żywioły uwolniły moje amerykańskie kolonie od tej plagi, dużo groźniejszej niż Oxenham.

Elżbieta angielska mniej przypominała usposobieniem świętą. Ta mądra, często porywcza kobieta wysilała cały swój umysł, by sterować wątlym stateczkiem państwa przez burzliwy ocean polityczny, nie mniej groźny od żywiołów, jakie chciały rozbić „Golden Hind”. Królowa i Burleigh wynegocjowali chwiejne przymierze z Francją, jako dodatkowe zabezpieczenie przed atakiem ze strony potężnej Hiszpanii. Dla tych celów Elżbieta prowadziła jałowe negocjacje matrymonialne z księciem dAlencon, bratem króla Henryka III francuskiego, dawniej przez krótki czas króla polskiego. Alencon był o dwadzieścia lat od Elżbiety młodszy, małego wzrostu i brzydki. Dwór angielski pokpiwał z rzekomego zadurzenia tego francuskiego smarkacza w królowej, która ponoć zachowała swój dziewiczy wianek, chociaż wielu - włącznie z hrabią Leicesterem, Sir Walterem Raleighem i Sir Christopherem Hattonem - marzyło o tym wianku. Kiedy chciała, Elżbieta potrafiła czarować i zwodzić po kobiecemu. Teraz wprzęgła swe uroki w służbę polityki i używała ich bardzo skutecznie aż do chwili, gdy Francja i Hiszpania połączyły się przymierzem - rzecz zrozumiała zważywszy, że obie były mocarstwami katolickimi. Wówczas, z udawanym żalem, Elżbieta odesłała z angielskiego dworu młodzika, którego zwała swoją „żabką”.

Powrót Wyntera bez Drake’a wywołał konsternację w kraju. Kapitan „Elizabeth” opowiedział Johnowi Hawkinsowi i Mary o strasliwym huraganie, który rozłączył dwa statki. Czy możliwe, aby admirał zginął? Wynter ufał, że nie. Drake był wyśmienitym żeglarzem. W Plymouth Wynter nie powiedział nic więcej: nie poważił się ujawnić tajnych planów podróży do wybrzeży Peru i dalej na zachód, na Pacyfik. Ściany mają uszy: hiszpańskie uszy. I tylko pocieszał Mary, by nie traciła nadziei.

Paru żeglarzy, którzy zasłynęli w dalekomorskich wyprawach, ale których sławę przyćmiła gwiazda tego „plcbejusza z Plymouth”, może i spodziewało się w głębi serca, że już go nigdy nie zobaczą. Byli też tacy, którzy gardząc jego zarozumiałymi ambicjami towarzyskimi, szydzili z jego losu. Ale królowa wiedziała, jak cenny był dla niej Francis Drake. Rozkazała admirałowi Wynterowi przywieźć ze sobą syna do

Londynu i pewnego dnia tak ułożyła sprawy, iż obaj Wynterowie towarzyszyli jej w królewskiej barce, wiozącej ją z Whitehall do Hampton Court, w górę Tamizy. Zabrała ze sobą kapitana Wyntera do kabiny, urządzonej dla niej przy sterze, kazała pozaciągać firanki i cichym głosem zaczęła go rozpytywać.

- Powiedz mi całą prawdę, niczego nie tając. Czego się spodziewasz, co przewidujesz w związku z Francisem Drake?

- Myślę, że najjaśniejsza pani usłyszy o nim najpierw z Hiszpanii, która zacznie się skarżyć na wyrządzone przez niego szkody.

- Więc nie sądzisz, iż zginął?

- Najjaśniejsza pani, ja nie mam żadnych powodów, by się czegokolwiek spodziewać. A jednak jestem najgłębiej przekonany, że* on żyje. Czuję to w kościach, najjaśniejsza pani. Dlatego właśnie chciałem żeglować na Wyspy Korzenne od Cieśniny Magellana. Ale moja załoga stanęła okoniem. Pierwszą część misji - dotyczącą Terra Australis - mój admirał wypełnił, wbrew wszystkiemu, co na wpół zbuntowana załoga i najgorsze ataki żywiołów mu przeciwstawiły. To jest człowiek, który, o ile go Bóg nie opuści, nie zawiedzie w dalszych zadaniach, jakie mu miłościwa pani zlecić raczyła, albo jakie sam przed sobą postawił. On wróci! Jeśli trzeba będzie, wróci płynąc wpław, z workami złota przywiązanymi do pasa!

- Nawet twoja przesada przynosi mi pociechę - powiedziała królowa. - Chciałabym, by mu się powiodło, nawet kosztem moich stosunków z Hiszpanią... Chciałabym dla sławy mego królestwa, dla poratowania mego skarbu, a także dlatego, ponieważ osobiście polubiłam tego żeglarzyka. Może i jest wulgarny, jak na moim dworze mówią, ale ma odwagę, determinację, lojalność wobec Anglii i protestantyzmu..

Odtąd głębokie przekonanie, że ani srogie żywioły, ani Hiszpanie nie zwyciężą Francisca Drake, dzieliły z Wynterem jeszcze dwie kobiety: królowa Anglii i córka skromnego wieśniaka z hrabstwa Devonu.

Rozdział 12

ŁADOWNIA PEŁNA SKARBÓW

- Obiecuję gruby złoty łańcuch, tak długi, by zawieszony na szyi sięgał aż do brzucha, temu, kto pierwszy okrzyknie „Cacafuego”. Zdobędziemy ten statek, choćbyśmy go mieli zerwać z liny cumowniczej w samej Panamie!

Niedzielne poranne nabożeństwo na pokładzie „Golden Hind” było zakończone. Jeszcze odśpiewano hymny. Statek szedł szybko pod pełnymi żaglami kursem północ-północ-zachód, w pościgu za hiszpanem, o którym Drake dowiedział się od marynarzy wziętych przysłów, że wiezie ładunek złota, wysłany z wybrzeży Peru do Panamy. Korzystając z tego, że cała załoga była zgromadzona, admirał obiecał ów złoty łańcuch.

Właściwa nazwa hiszpańskiego okrętu skarbowego brzmiała: „Nuestro Senora de Conception”. Hiszpańscy marynarze nadali mu wulgarne przydomki „Cacafuego” - wydalający ogień - ponieważ był silniej uzbrojony od innych statków na Pacyfiku. Drake dowiedział się o nim w Limie. Ten port, który nigdy nie zaznał ataków wroga, padł łatwo łupem Anglików. Zrabowano kilka statków, przycumowanych do nabrzeża: „skrzynia napełniona złotymi monetami i zastawą stołową, także zapasy jedwabiu i płótna”. Po czym poprzecinano liny cumownicze i puszczono statki na morze. Właśnie gdy na „Golden Hind” rozwijano żagle, by wyjść z portu, pojawił się duży hiszpański statek handlowy i rzucił kotwicę. Z pokładu obwołano:

- Co za statek i skąd?

- Z Chile. Kapitan Michał Anioł! - odparł Drake, parszkając śmiechem.

Nowo przybyły miał już spuszczać łódź, gdy zauważył armaty na obcym żaglowcu. Uciekł więc z powrotem na morze, a „Golden Hind” puścił się w pogoń. Jedna boczna salwa wystarczyła: ścigana ofiara, praktycznie biorąc nie uzbrojona, poddała się od razu. Nie znaleziono w ładowniach nic cennego, ale kapitan handlowca, widząc się jeńcem osławionego „El Draque” oszołomiony i wystraszony, wykrztusił informację o „Cacafuego”. Śmiejąc się z przerażenia kapitana, Drake puścił i jego, i jego statek wolno, a sam, postawiwszy wszystkie żagle, puścił się w pogoń za cenniejszą przyzą.

Z początku wydawało się, że fortuna nie sprzyja Anglikom. Wiatr ustał. Ale wkrótce wzmógł się znowu, a „Golden Hind” pokazał co potrafi. Dośćgnięto parę mniejszych statków, od każdego zasięgając informacji. Wszyscy widzieli skarbowy okręt - jedni mówili, że oddalony o cztery dni żeglugi, inni, że o trzy. Załoga statku, zatrzymanego w pobliżu Paita, na szerokości 5°, zakomunikowała, że „Cacafuego” zawinął do tego portu, ale opuścił go przed dwoma dniami.

Rozwinięto każdy skrawek żagla. „Golden Hind” mknął naprzód. O jakieś pięćset kilometrów na północ od Paity, minąwszy równik, młody bratanek admirała, John

Drake, obwołał triumfalnie z bocianiego gniazda:

- Żagiel na horyzoncie, admirale!

- Brawo, chłopcze! Złoty łańcuch dla ciebie! Gdzie ten żagiel: na nawietrznej czy zawietrznej?

- Prosto przed nami, admirale!

- Bosmanie, postawić dzielnego majtka za sterem! W pogoń!

- I znowu młody John:

- Trzyma odległość... nie daje się...

- Ale trochę później:

- Zbliżamy się, admirale!

Nie wywieszono flag, żadnej oznaki, iż ścigający mógł mieć nieprzyjazne zamiary. Marynarzy ogarnęło podniecenie. Nawet pastor Fletcher podskakiwał z nogi na nogę, wypatrując oczy. Według zasięgniętych informacji ta pryza powinna była dać im łupy ponad wszelkie wyobrażenie, ponad wszystko, co im obiecano.

Już poprzednio, wzdłuż wybrzeży Chile i Peru, los im sprzyjał, a zdarzały się też zabawne incydenty. W ciągu tej żeglugi Drake kazał paru ochotnikom, znajdującym się trochę na tym, rysować mapy wybrzeży - pierwsze, jakie znalazły się w posiadaniu Anglików. Były one, oczywiście, dość prymitywne i nie precyzyjne, ale i tak - bezcenne. By ułatwić tę pracę, Drake nieraz brał kurs blisko wybrzeży, tak blisko, że „można było wyraźnie dostrzec ludzi na lądzie”.

Hiszpanie, pewni, iż są jedynymi panami na Pacyfiku, nie mieli tu okrętów wojennych, a broń, w jaką uzbrajali statki handlowe i okręty skarbowe, przeznaczona była jedynie dla odstraszenia indiańskich czółen. Na lądzie także było mało wojska, nie było zupełnie artylerii, a porty i miasta nie były fortyfikowane. „Hiszpański kurnik” stał otworem, bezbronny, na łasce „angielskiego lisa”.

Koło Tarapaza, u północnego krańca Chile, Tom Moone z grupą marynarzy udał się na łąd po wodę. Znaleźli Hiszpana, śpiącego przy plaży, a obok trzynaście sztab srebra, powiązanych do niesienia. Moone położył na ustach swój wielki, stwardniały i pokryty odciskami palec, i kiwnięciem wezwał ludzi, by podeszli bezszelestnie i zabrali łup. Uciekli, nie obudzwszy śpiącego, a młody John chichotał:

- Chciałbym widzieć jego twarz, gdy się obudzi! Pewno skoczy na równe nogi i zwieje w popłochu, myśląc, że to sam szatan go obrabował, i może teraz jeszcze czyha na jego duszę!

O półtora kilometra dalej na północ, „Golden Hind” zawinął do małego portu Arica, zastał tam trzy niewielkie barki i ani żywego ducha na żadnym pokładzie. Zagarnięto „57 sztab srebra, każda wagi około dwudziestu funtów”.

Ale pogłoski o obecności „heretyckich żeglarzy” na tych wodach zaczęły już krążyć. Niektóre hiszpańskie statki wyrzucały swój ładunek za burtę, byle tylko nie dostał się w

ręce Drake'a. A „heretycy żeglarze” radowali się całą duszą. Indianie zwiedzieli się, że ci przybysze są im przychylni i wypływali czołnami, by prowadzić handel wymienny, więc na statku nie brakowało świeżego mięsa i innej żywności. W pewnym miejscu Drake sam zszedł na ląd w kompanii ochotników i marynarzy. Idąc w górę strumienia, natknęli się na „Hiszpana i indiańskiego chłopca, prowadzących osiem lam, czyli peruwiańskich owiec [tak nazywanych ponieważ Indianie strzygli je i uzyskiwali wełnę bardzo pięknego gatunku], które są tak duże, jak osły; a każda była obładowana dwoma skórzanymi workami, a w każdym worku czyste srebro”. Drake zwrócił się do sparaliżowanego ze strachu Hiszpana:

- Zacny panie, nie możemy ścierpieć, aby szlachcic tak się trudził. Pozwolę sobie ofiarować usługi moich ludzi jako poganiaczy a pan będzie wskazywał drogę”.

Anglicy byli uzbrojeni. Hiszpan rozejrzał się bezradnie i usłuchał. Ale, według relacji jednego z uczestników: „Jego wskazówki nie na wiele się zdały, bośmy szli tam, gdzie sami chcieliśmy.” Zapędzono lamy do brzegu i przeładowano worki na łódzie, zostawiając Hiszpana w bezsilnej złości, wymachującego rękoma.

Trzymały się ich żarty. Drake przyłączał się do nich, jak uczeń na wagarach, a nawet zachęcał, bo utrzymywały dobry humor załogi, a nagłe pojawienie się i znikanie Anglików wpajało w Hiszpanów przekonanie, że mają do czynienia z czarownikami.

Gdy zawinęli do Limy, głównego portu Peru, skąd transportowano złoto do Panamy, miejscowy wicekról wpadł w panikę. Zawezwał wszystkie oddziały wojsk z prowincji na wybrzeże, kazał dzwony z kościołów przetopić na armaty. Ale było za późno. Drake już nie bawił się w napaści na miasta: ścigał „Cacafuego”.

Gdy młody John Drake obwołał okręt skarbowy z bocianiego gniazda, była godzina trzecia po południu. Wkrótce John ześlizgnął się w dół, na pokład, by otrzymać przyrzeczoną nagrodę, a inny marynarz wspiął się na jego miejsce. W trzy godziny później zrównano się ze ściganym okrętem.

- Zawraca, admirale! Idzie nam na spotkanie!

- A więc kapitan nic nie podejrzewa - powiedział admirał do brata. - Oczekuje miłego spotkania towarzyskiego z rodakiem. - Zwracając się do bosmana, rozkazał: - Zwijać żagle, zostawić bojowe: fokżagiel, grotżagiel, kliwer. Kanonierzy do'dział, zapalać długie lonty. Admirał nie ryzykował niczego. Zmniejszył ożaglowanie, by zapobiec zbędnym uszkodzeniom żagli w razie bitwy, a także umożliwić szybsze manewrowanie. W rzeczywistości, ofiara niczego nie podejrzewała. Zabrzmiało zwyczajowe zapytanie:

- Kto jesteście i skąd pływacie?

Odpowiedź, jak zwykle: prawdziwa, a jednak podstępna:

- Płyniemy z Chile.

- Statek kupiecki, czy skarbowy?

- Jesteśmy żeglarzami. Każ zwiąć żagle, senior Juan de Anton, o ile nie chcesz posmakować słonej wody i spać na dnie oceanu!

Od poprzednio wziętych Drake dowiedział się nazwiska kapitana „Cacafuego”. Hiszpanie mieli tylko lekką broń. Działa nie były nabite. Don Anton oczekiwał spotkania ze starymi przyjaciółmi, a w każdym razie z rodakami. Ale okazał się człowiekiem odważnym.

- To wejdźcie na pokład, psy, i spróbujcie nas wzięć! - krzyknął, teraz dostrzegając, że statek jest wrogiem.

Tom Moone powiedział:

- Szykuje się do walki. Stawia osłony przy burtach, by kryć ludzi przed ogniem.

- Spuścić topsel do salut - wydawał rozkazy Drake. - Niech trębacze zagrają!

- Niech żyje król Hiszpanii! - krzyknął don Anton. Oczywiście, trudno było o wezwanie bardziej podrywające do walki Francis Drake'a i jego ludzi.

- Zmienić hals! - zawołał admirał. - Szybko, tam przy sterze! Lawirować kolejno długimi i krótkimi halsami! Do strzału gotować działa dziobowe i burtowe! Salwa z łuków i z muszkietów!

Działa na „Golden Hind”. przemówiły, arkebuzy zaterkotały, strzały z łuków zaświstały w powietrzu. „Cacafuego” nie był ani skonstruowany ani uzbrojony do odparcia takiego ataku. Kiedy wiatr zwiął dymy, okazało się, że jego bezanmaszt, trafiony tą pierwszą salwą boczną z dział „Golden Hind”, zламаł się i poleciał w morze.

- Haki do abordażu! Ostro skrócić, by zerwać mu nadburcie.

I z powrotem! Skakać na dziób i na śródokręcie!

Hiszpanie puciekali na dół, gdy ten walczący kogut Drake i olbrzym Tom Moone wpadli na pokład razem z czterdziestką wrzeszczących zabijaków. Don Anton został sam na mostku kapitańskim. Nie miał innego wyboru, jak wręczyć zdobywcy swoją szpadę, trzymając ją poziomo na dłoniach. Drake zdjął swój hełm, a potem poklepał jeńca po ramieniu gestem pocieszenia.

- Głowa do góry, don Antonie! Przyjmuj cierpliwie wojenne obyczaje.

Ale Hiszpan wiedział, jaki los spotkał Oxenhama i dlatego - bał się.

Drake zaprowadził jeńca na „Golden Hind”, do swojej własnej kabiny, a na „Cacafuego” wyznaczona załoga objęła rządy, pozamykawszy luki nad hiszpańskimi marynarzami pod pokładem. Jeńca traktowano z najwyższą kurtuazją. Admirał odstąpił mu własną koję, kazał podać obiad na srebrnej zastawie stołowej, muzykantom przygrywać przy jedzeniu, a panom ochotnikom obsługiwać go, jak honorowego gościa. Sam przystroił się w najwspanialsze jedwabie, włożył na szyję złoty łańcuch z ogromnym brylantem, a wielkie perły w charakterze guzików przy podwiązkach i spinek do mankietów. Postanowił, że don Anton musi sam się

przekonać na własne oczy, a później opowiedzieć swym rodakom, że „El Draque” nie po piracku żyje, ale jak wicekról w podróży.

Tak trzeba było, twierdził Drake, dla honoru Anglii. I zapewne w to wierzył. Ale czy syn ubogiego kaznodziei, wzbogaciwszy się dzięki własnym umiejętnościom i brawurowej odwadze, nie wspominał dzieciństwa na wraku w Chatham i czy nie rozkoszował się goszczeniem arystokraty chociażby i hiszpańskiego? Cóż, taka próżność była dość zrozumiała, ludzka, trochę zabawna. A w sprawie, z której rzeczywiście miał prawo być dumny - odkrycia, że nie tylko przez Cieśninę Magellana wiedzie szlak wodny z Atlantyku na Pacyfik - Drake przezornie zachował dyskretne milczenie. Im dłużej Hiszpanie o tym nie wiedzieli, tym lepiej.

Po pierwszym posiłku, gdy stół uprzątnięto ze wszystkiego, prócz srebrnych pucharów, a Thomas i paru panów ochotników nadal siedziało wraz z gościem, Hiszpan powiedział z odcieniem pogardy:

- Dobrze tu sobie żyjecie... jak na piratów. Drake’a ubodła ta nazwa.
- Piratów? Posiadam admiralski list zlecający od jej majestatu, królowej Anglii. Don Anton uniósł w górę brwi z wyrazem powątpiewania.
- Chciałbym w to uwierzyć.

Drake zmierzył swego jeńca gniewnym spojrzeniem, wstał i otworzył dużą szkatułkę z brązu. Przed oczy Hiszpana podsunął dokument, ale złożony tak, iż można było tylko odczytać słowa: „Naszemu zaufanemu i ulubionemu Francisowi Drake”, a później zakończenie: „Spełnij zlecenie z całą pilnością, odwagą i lojalnością”. I podpis: „Elizabeth” - ze zwykłymi zakrętasami przy niektórych literach.

- Teraz wierzysz? - spytał ostro Drake.

Kapitan „Cacafuego” pochylił lekko głowę potakującym ruchem. Później, gdy wytworzył się przyjaźniejszy nastrój, zapytał:

- Co działo się w Anglii, gdyście ją opuszczali? Nie byłem w Europie od kilku dobrych lat, chociaż z Hiszpanii, oczywiście, otrzymuję wiadomości od moich przyjaciół w Eskurialu. Więc wiem też o stosunkach między naszymi krajami.

Jeden z ochotników odparł prędko, tonem dość uroczystym:

- Anglia jest najwspanialszym krajem na świecie, wzrastającym w moc i dobrobyt...
- ...kosztem Hiszpanii - mruknął don Anton z krzywym uśmiechem. - Sądząc z tego, co widzę teraz i co słyszałem o niedawnych operacjach waszego... hm... admirała na Przesmyku Panamskim i na Karaibach.

Drake wcale nie poczuł się dotknięty. Takie słowa świadczyły, że ciosy, jakie zadał, mocno zabolowały. Później w rozmowie Hiszpan poruszał jeszcze ogólniejsze kwestie polityczne i zauważył:

- Wasza królowa ściąga niebezpieczeństwo i na siebie, i na swoje królestwo, konflikty z moim suwerenem wywołując.

- O ile wiem - odparł Drake - najjaśniejsza pani nie zamierza wywoływać żadnych konfliktów, a przynajmniej nie czyniła tego, gdy opuszczałem Anglię. W każdym razie najjaśniejsza pani wie, co robi, i na jakie ryzyko się naraża.

- Ale w sprawie królowej Szkotów, w sprawie Niderlandów... zawsze i wszędzie można was znaleźć po stronie przeciwnej memu suwerenowi. A przecież król Filip mógłby dwoma palcami skruszyć i ją i jej małą wysepkę... ot, tak! - Don Anton pstryknął palcami. - Ma pieniądze, ma okręty, ma ludzi.

Teraz Drake z kolei odezwał się z pewną wzgardą:

- Na razie wasz król nie może się rozprawić nawet z Holendrami. A co do jego okrętów i żołnierzy, ja osobiście chciałbym bardzo, aby je wysłał przeciw najjaśniejszej pani. Zobaczylibyśmy wtedy, czyje siły i umiejętności wyszłyby z takiej próby zwycięsko. Tymczasem nasza królowa postępuje ze zwykłą sobie rozwagą, korzystając z porad ludzi mądrych, chociaż mało który jej mądrością dorównuje, i z każdym dniem cieszy się coraz serdeczniejszym przywiązaniem swoich protestanckich poddanych...

- I wielu katolików także - wtrącił jeden z panów ochotników.

- Czegóż więcej może sobie życzyć suweren? - mówił dalej Drake. - Jakież może być lepsze świadectwo umiejętności władcy, prowadzącego nawę swego państwa? Czegóż nie potrafi osiągnąć ten, który posiadał taką miłość i takie zaufanie swoich poddanych, chociażby najpotężniejsi nawet wrogowie przeciw niemu spiskowali?

Na wzmiankę o spiskach, don Anton umilkł. Nie chciał przyznać, a nie mógł zaprzeczyć, że król Filip spiskował przeciw Elżbiecie. Za wiele było na to dowodów - bezspornych faktów, o których wiedzieli nawet Hiszpanie w Nowym Świecie...

Przez dwa dni „Cacafuego” i „Golden Hind” żeglowały z wolna na północ, szczipione razem, a wysyłani kolejno grupami marynarze i ochotnicy przenosili cenny ładunek z jednego statku na drugi: osiemdziesiąt funtów złota w sztabach, trzynaście skrzyń ze złotymi monetami, prócz tego starannie opakowane klejnoty, perły, złota zastawa stołowa. Oddzielnie dwadzieścia sześć ton srebra. Wszystko to zostało przeniesione do ładowni angielskiego statku, który aż zanurzył się głębiej pod ciężarem skarbów i wreszcie Tom Moone zakomunikował admirałowi, że jeśliby więcej ładować, to on nie ręczy, czy „Golden Hind” wytrzyma ostrzejszy sztorm.

- Czy nie obiecałem, że obładuję was skarbami? - pytał chełpliwie Drake, zwracając się do swojej załogi. Miał prawo się chełpić.

Pełnej warty skarbów, zagarniętych z „Cacafuego”, nigdy nie obliczono. Złoto i srebro łatwo było oszacować, ale niektóre klejnoty i perły były bezcenne. Tylko jedno wiadomo z pewnością, a mianowicie, że ich wartość przewyższała wielokrotnie wartość łupów, poprzednio zrabowanych z juków na grzbietach mułów, wędrujących po Złotym Gościńcu na Przesmyku Panamskim.

Wreszcie oznajmiłom hiszpańskiemu kapitanowi:

- Może pan wrócić na swój statek, don Antonie. Wszyscy z waszej załogi są cali i zdrowi. Naprawili bezanmaszt. Możecie żeglować, gdzie wola, lub gdzie wiatry zanoszą.'

Kapitan zdawał już sobie sprawę, że nie spotka go los Oxenhama. Ale w zaskoczeniu wykrztusił:

- Wicekról wypłaciłby za mnie znaczny okup. Wyobrażałem sobie, że lepiej dbacie o własne interesy.

- Nie mam takiego zwyczaju - odparł Drake. - Nie handluję ludźmi, ani białymi, ani czarnymi.

Było to prawdą. Prawdą też było, że Drake nie zaufałyby żadnemu Hiszpanowi w pertraktacjach o wypłacenie okupu, a już najmniej wicekrólowi Meksyku, temu samemu don Martinowi Enriquezowi, który przed laty nikczemnie zdradził zaufanie Johna Hawkinsa w aferze w San Juan de Ulua.

Ochłonawszy ze zdumienia, don Anton potwierdził rozsądek swego zwycięzcy własnymi słowami:

- Mówisz otwarcie. I ja powiem otwarcie. W Panamie zbiorę flotę i będę cię szukać. A wicekról nie będzie was podejmował taką manierą, jak wy mnie.

- Wiem o tym doskonale! - wybuchnął gniewnie Drake. - John Oxenham, jego oficerowie i jego załoga...

- Więc wiedziałeś, co się z nimi stało? - przerwał don Anton - i jednak puszczasz nas wolno?

- Dowiedziałem się tutaj od waszych rodaków, gdy byli moimi jeńcami. I mogłem, jak sugerujesz, wyrzucić zemstę na was. Ja będę każdemu nieprzyjacielowi stawiać czoła w uczciwej walce. I będę zabierał złoto z każdego waszego statku, jaki mi się pod rękę nawinie. I będę napadał na wasze miasta. Uważam to za obowiązek Anglika i protestanta. Ale zabijanie z zimną krwią bezbronnych jeńców pod pozorem, że wypełniam w ten sposób wolę Boga - nie jest moim obyczajem. A ty, don Antonie, możesz mnie szukać, ale mnie nie znajdziesz. A jeśli znajdziesz, uprzedzam, że za naszym następnym spotkaniem zatopię ciebie i twój statek.

Drake miał jeszcze nadzieję, choć słabą, że Wynter przebywa gdzieś u wybrzeży Pacyfiku. Mogło się też zdarzyć, że dawny zastępca admirała sam mógłby również zaatakować „Cacafuego”. Toteż Drake wręczył don Antonowi list do kapitana Wyntera, by mu donieść o przetrwaniu „Golden Hind”:

„...błagając Boga, Zbawcę całego świata by Cię miał w Swej opiece, a żywiąc zawsze nadzieję, że Cię ocali i ze wszelkich niebezpieczeństw wyprowadzi... Twój stroskany Admirał, który w swym sercu nie przestał trapić się o Ciebie...”

Tuż przed przejściem z pokładu „Golden Hind” na jeszcze szczęśliwie z nim własny statek, „Nuestra Señora de la Concepcion”, czyli „Cacafuego” - don Anton nie mógł się

powstrzymać od złośliwości na pożegnanie:

- Dzięki wam składam, gospodarzu, za możliwość używania waszej srebrnej zastawy stołowej.

- Może też za nasze mięsiva i wina - burknął Drake, trochę urażony.

- Och, za to chyba wy powinniście podziękować mnie, jako przedstawicielowi Hiszpanii. Bo wasze wszelkie wykwintne prowianty pochodziły z naszych okrętów i naszych miast, czyż nie?

Drake na chwilę zapomniał języka w gębie, co mu się bardzo rzadko zdarzało. Ale poczucie humoru przyszło z pomocą. Wybuchnął śmiechem i jednak miał ostatnie słowo. Krzyknął za odchodzącym:

- Jeśli już o to chodzi, to srebrna zastawa należała przed paru laty do komendanta garnizonu w Venta Cruces!

Na „Cacafuego” żagle wybiegały w górę do wtóru hałaśliwego śmiechu całej załogi „Golden Hind”.

Minie jeszcze sporo tygodni, nim król Hiszpanii odczyta raport, napisany przez jego kapitana, byłego jeńca Drake’a, a przekazany za pośrednictwem don Enriqueza, wicekróla Meksyku. W raporcie tym mieszała się pogarda dla najwyraźniej plebejskiego pochodzenia Anglika z niechętnym podziwem dla jego talentów żeglarza i wodza. Ogółem biorąc, Francis Drake byłby zadowolony.

„Pozwolono mi swobodnie po ich statku chodzić... Załoga, licząca blisko stu ludzi, bardzo wprawna w żeglarstwie i doskonale zdyscyplinowana... ten, co przybrał sobie tytuł admirała, dowodzi nimi bez surowości, traktując marynarzy jak synów raczej, niż podwładnych, oni zaś bez zastrzeżeń wszelkie jego rozkazy wykonują. Żołd im wypłaca nie tylko po zakończeniu wyprawy - jak my naszym marynarzom, by ich do buntów zniechęcić - ale regularnie, a jedynie udział w łupach po powrocie. Kiedy mój okręt musiał się poddać, zaobserwowałem, że żaden z Anglików nie ośmielił się tknąć niczego na pokładzie bez wyraźnego rozkazu Drake’a. Sporo synów szlacheckich rodzin żegluje z nim jako jego przyboczna rada, a, chociaż on z dużo skromniejszej rodziny pochodzi i nigdy by nie był ich zwierzchnikiem na żadnym statku hiszpańskim, oni na jego słowo wykonują wszelkie czynności, nawet służebne... Nie ulega wątpliwości, że Drake jest jednym z najbardziej wytrawnych i śmiałych żeglarzy i że dopóki nia zostanie wzięty lub zatopiony, będzie coraz groźniejszym niebezpie* czeństwem dla Hiszpanii na oceanach i w Nowym Świecie.

Niebawem Drake zagrozi Hiszpanii bliżej jej własnych wybrzeży nie tylko w Nowym Świecie.

Rozdział 13

KORONACJA POD PRZYMUSEM

Straszliwy „El Draque”! Na całym zachodnim wybrzeżu Południowej Ameryki i Panamy wiedziano już o jego obecności: trwał nieustający alarm. Naradziwszy się z najbliższymi druhami, admirał zwołał załogę na pokład:

- Za zniewagi, wyrządzone przez króla Hiszpanii naszej miłościwej pani i naszemu królestwu - powiedział - pomściliśmy się tak, jak to było w naszej mocy. Wypłaciliśmy się też, przynajmniej w części, za osobiste krzywdy jakich moi przyjaciele i ja zaznaliśmy z rąk Hiszpanów pod San Juan de Ulua. Możemy słusznie oczekiwać, że po naszym powrocie do kraju jej królewska mość będzie rada z naszych służb, a również zadowoleni będą ci, którzy w naszą wyprawę znaczne fundusze zainwestowali. Dlatego też proponuję, abyśmy dłużej przy tych wybrzeżach nie zwłóczyli, ale wspólnie rozważyli, jak by najszybciej do kraju powrócić...

Rozległ się ogólny pomruk aprobaty. Każdy marynarz i ochotnik, pewien słusznego podziału łupów, czuł się już stosunkowo bogatym człowiekiem. Po co zwlekać, gdy statek pękał w „Szwach od skarbów”?

- Widzę, że jesteśmy jednej myśli - mówił dalej Drake - czego sobie' zawsze życzę. A więc kwestia, którą również chciałbym rozwiązać we wspólnej z wami naradzie. Jaką trasą udamy się do Anglii? Możemy wracać ku południowi, by przepłynąć się na wschód przez Cieśninę Magellana. Ale wystawimy się na hazard, bo tam z pewnością będą na nas czekać Hiszpanie ze wszelkimi okrętami, jakie zebrać zdołają. Możemy pożeglować dookoła południowego krańca Ameryki, gdzie - jak wiemy tylko my i załoga „Elizabeth”, niech ją Bóg ma w swojej opiece - zlewają się wody obu oceanów, Atlantyku i Pacyfiku. Tam jednakże możemy napotkać takie sztormy, że nie wiadomo, czy po raz drugi je przetrwamy. Dlatego też moja propozycja, podjęta wspólnie z moją radą przyboczną, jest taka: weźmy kurs na zachód, blisko hiszpańskich szlaków handlowych, a później mniej więcej trasą Magellana. W takim wypadku możemy odkryć nowe lądy, zawierać przymierza w imieniu jej królewskiej mości i nawiązać stosunki handlowe dla naszych kupców.

Słusznie Drake przewidywał, że Hiszpanie będą na nich czekali u wejścia do Cieśniny Magellana. Właśnie tam, w nadziei przychwycenia heretyckich korsarzy, don Martin de Enriquez i wicekról Peru posłali wszystkie okręty, jakie mogli, uzbroiwszy je po zęby.

Kiedy Drake skończył mówić, załoga bardzo krótko naradzała się szeptem i zaraz bosman wykrzyknął:

- Niechaj admirał zadecyduje! My z nim pożeglujemy, dokąd nas poprowadzi!

Zrozumiałe, że chociaż wymagał dyscypliny, jego marynarze byli do niego przywiązani i ufali mu bez zastrzeżeń. Przewycięzył rzekomą czarną magię Thomasa Doughty, w którą na wpół wierzyli. Przeprowadził ich cało, dzięki wybornemu kunsztowi żeglarskiemu i osobistej odwadze, przez przerażającą grozę na południowych morzach. Przekonał proste umysły, że jest pod szczególną protekcją boską. Przyrzekł im ładunek złota i słowa dotrzymał.

Odtąd „Golden Hind” musiał żeglować na ślepo. Drake nie miał żadnych map tych mórz i ziem, ku którym zdążał. Hiszpanie trzymali je dla siebie, nikomu ich nie dali. Wiedział tylko, że najpierw musi wziąć kurs jeszcze dalej na północ, by później wykorzystać wiatry, które niosły na zachód statki Hiszpanów i Portugalczyków.

W Guatulco, na wybrzeżach Gwatemali, sędzia wraz z trzema hiszpańskimi oficerami, zasiadł do uroczystej rozprawy. Miał wydać wyrok w sprawie grupy Murzynów, oskarżonych o próbę podpalenia miasta. Nagłe hałasy na korytarzu... tupot wielu nóg... groźny brzęk broni... głos, wołający po hiszpańsku, ale z obcym akcentem:

- Mam sprawę do sądu!

- I inny głos, szorstki:

- Precz z drogi, psie!

Drzwi otworzyły się z trzaskiem. Niski mężczyzna w hełmie i półpancerzu wmaszerował energicznym krokiem, nakazując pozostać przed wejściem całemu oddziałowi po piracku wyglądających ludzi. Sędzia i oficerowie, siedzący na podwyższeniu, porwali się na równe nogi. Strażnicy więźniów nastavili halabardy, zarazem spoglądając na swoich zwierzchników, jakby czekali rozkazu. Niski mężczyzna zignorował ich i zamasyście podszedł prosto do podwyższenia.

- Pójdziecie ze mną - rzekł. - Wasi więźniowie także. I jeden ze strażników. Do innych - gestem ręki wskazał świadków i publiczność na ławkach - nie mam żadnej sprawy.

- Co za bezczelność! - krzyknął jeden z oficerów. - Kto ty jesteś? Skąd się tu wzięłeś?

Drugi mu zawtórował:

- Jak śmiesz?

- Bez gadania! - odparł intruz ostro. - Robić, co kazałem. Nie macie wyboru. Włos wam z głowy nie spadnie, daję słowo Anglika.

Sędzia wytrzeszczył oczy:

- Anglik! Matko Boska! El Draque!

Gdy niewielka kawalkada maszerowała z powrotem do wybrzeża, ulice były puste, jak wymiół, tylko parę bezpieczeństwa psów włóczyło się po bruku. Zza uchylonych okien ukradkiem wyglądały przerażone oczy. Na pokładzie „Golden Hind” postawiono przed sędzią materiały do pisania i kazano mu:

- ...napisać list do mieszczan: niechaj opuszczą miasto i nie powracają aż do chwili, gdy was z powrotem na ląd wysadzimy, a statek, na którym się teraz znajdujecie, odpłynie. Napisz, że jeżeli nie posłuchają rozkazu, zginięsz ty i ci dwaj oficerowie.

Jeńcom Drake'a nic złego się nigdy nie stało, ale trzeba było zagrozić. Zabranego strażnika posłano z listem na ląd. Z pokładu widać było mieszczan, uciekających w góry z brzemieniem dobytku, jaki zdołali unieść. Anglicy złupili miasteczko, ale znaleźli tylko trochę prowiantu i mieszek srebrnych monet.

Później, kiedy Drake już miał odesłać jeńców - prócz Murzynów, których dla ich własnego bezpieczeństwa zamierzał wysadzić na ląd daleko od miasta - przyszedł do niego portugalski pilot, wzięty jeszcze koło Wysp Zielonego Przylądka i powiedział:

- Admirale, na nic więcej już się wam nie przydam. Proszę mi jeszcze jedną łaskę wyświadczyć, prócz tych, których już zaznałem. Puśćcie mnie razem z sędzią do Guatulco, gdzie będę mógł wsiąść na jakiś statek do Panamy, i stamtąd do Europy. Moja rodzina tam pewno zamartwia się o mnie...

Drake hojnie obdarował pilota i odesłał go razem z sędzią i oficerami. Los szybko wynagrodził jego wielkoduszność. W parę dni później wzięto statek, na którego pokładzie znaleziono mapy wysp i lądów, położonych na zachód od obu Ameryk. Statek puszczono wolno razem z załogą, ale mapy spoczęły w oprawnej w mosiądz szkatułce w kajucie Drake'a. Posiadł jeden z najściślejsz strzeżonych sekretów Hiszpanii - szczegóły nawigacji po szlakach handlowych Pacyfiku.

Wkrótce „Golden Hind” żeglował na północ od hiszpańskich kolonii, wzdłuż wybrzeży nie zbadanych jeszcze przez białego człowieka.

- Tego kursu będziemy się przez jakiś czas trzymać - mówił Drake do swego brata. - Może odnajdziemy owo osławione przejście północno-zachodnie, łączące Pacyfik z Atlantykiem na północy - o ile tym razem geografowie się nie mylą i takie przejście naprawdę istnieje, leżelibyśmy je znaleźli, to i tak trzeba by>jeszcze rozważyć, czy z niego skorzystać w nadziei najszybszego powrotu do domu, czy też pozostać przy wcześniejszej koncepcji żeglowania na zachód.

Przez sześć tygodni żeglowali po wodach, nie oznaczonych na żadnych mapach, aż pewnego dnia, jak opisuje jeden z załogi:

„znalazszy się na 43° szerokości w kierunku Arktyki, zobaczyliśmy, że nasz takielunek zamarzł na sztywno, cały oblodzony; a powietrze było tak mroźne, iż ludzie się skarżyć na ziąb zaczęli, a im dalej płynęliśmy, tym było zimniej.” Admirał nadal kazał trzymać kurs na północ, aż gdzieś na szerokości 48° - to znaczy mniej więcej na tej linii, gdzie dziś się znajduje Vancouver - „trafiliśmy na okropne, gęste mgły”. Musiała to być raczej wyjątkowa pogoda w tej części świata w połowie lata, ale o mrozie i mgłach wspomina paru kronikarzy wyprawy. Kiedy widzialność się poprawiła, „Golden Hind” podszedł bliżej wybrzeży. Przekonano się, że wbrew temu, co

przypuszczali geografowie, linia wybrzeży nie skręcała na wschód, ale nadal szła na północny zachód.

- Jeśli przejście na Atlantyk istnieje - to musi się znajdować o wiele dalej na północ, niż dotąd przypuszczano - orzekł Drake. - Więc możemy wprowadzić jeszcze jedną, chociaż niekompletną, poprawkę do znajomości naszego globu.

Żeglarze poowijali się w każdy skrawek odzieży, jaki posiadali, a gdy nie wspinali się wśród lodowatego takielunku i zeszywniałych żagli, narzucali sobie koce na ramiona. I nadal trzęśli się z zimna.

- Admirale, oni nie chcą, byśmy się dalej na północ zapuszczali - ostrzegł Moone.

- I mają rację - odparł Drake. - Nie dla nas ten klimat! Nie będziemy dłużej wystawiać na hazard naszego życia i świeżo zdobytych bogactw dla jeszcze jednego odkrycia, które i tak może się nam wymknąć. Powiedz bosmanowi, niech zawraca! Na południe, na łaskawsze morza!

Z powrotem pod 38° szerokości, u wybrzeży Kalifornii, „spodobało się Bogu zaprowadzić nas do stosownej zatoki, z przychylnym wiatrem, który nas tam zaniósł”. Przypuszcza się, że zatoka leżała nieco na północ od dzisiejszego San Francisco. Wzrok żeglarzy na „Golden Hind” przyciągały wysokie, białe skarpy, które im przypominały brzegi ojczyźnej wyspy.

Prawie natychmiast na wybrzeżu zebrali się Indianie. Mężczyźni nadzy, ale zbrojni w łuki i strzały, kobiety w spódnicach sporządzonych z konopi i w skórach zwierzęcych, narzucanych na ramiona. Drake, wsiadłszy do małej łodzi, początkowo nie przybliżał się przezornie, lecz witał ich gestami. Wydawało się, że Indianie zrozumieli, iż obcy przybywają w pokojowych zamiarach, bo złożyli łuki na ziemi. Wylądowawszy, Anglicy rozdali w podarunku płótno, wskazując, by się nim owinęli. Mówiąc coś w podnieceniu, ale niezrozumiale, krajowcy pośpieszyli w głąb lądu i zaraz wrócili w większej liczbie, niosąc wzajemne dary: barwne pióra i rodzaj koszy. Zdumiewali się białą skórą przybyszy, próbowali ich dotykać, a w zapiskach żeglarzy są wzmianki, że i mężczyźni, i kobiety szczególnie interesowali się najmłodszym z załogi, Johnem Drake.

Statek przeciekał i potrzebował naprawy. Z pomocą krajowców, marynarze wybudowali solidną palisadę, znieśli na ląd swój ładunek skarbów, a „Golden Hind” wciągnęli na piasek wybrzeża. Podczas tych prac spotykano się wciąż z krajowcami, których wodzowie, wygłaszając przy każdej okazji długie, niezrozumiałe mowy, okazali się równie zakochani w dźwięku własnego głosu, jak ludzie naszej cywilizacji.

Pastor Fletcher, rad, że przynajmniej teraz ma ziemię pod stopami, spisywał z zapalem swoje obserwacje. Zanotował, że Indianie często odprawiali ceremonie i zabijali zwierzęta składając je w ofierze jakiemś nieznanemu bóstwu, a kobiety wówczas „lamentowały głośno i rozdrapywały sobie twarze”. Drake próbował

wytłumaczyć na migi, że mu się te praktyki nie podobają. On sam odprawiał osobiście modlitwy i czytał Biblię swojej załodze, zaś marynarze, podnosząc ręce i oczy do góry, usiłowali pokazać, że istnieje tylko jeden Bóg, którego należy czcić. Z większą tolerancją, niż ją podówczas okazywali Europejczycy, krajowcy wydawali się gotowi respektować owe czary przybyszów. Przypatrywali się nabożeństwom i modłom z wielką ciekawością, ale brać udziału nie mieli ochoty. O wiele lepiej rozumieli i doceniali prymitywną umiejętność leczenia, jaką demonstrował Drake. Przykładał „napary, maści i plastry” na podrapane twarze kobiet, na różne skaleczenia mężczyzn, wracających z łowów.

Pewnego dnia dwaj Indianie, sądząc po kościanych naszyjnikach - dygnitarze, przyszli do Drake'a i uprzedzili go o bliskim nadejściu ich króla, którego zwali Hioh; widocznie był to raczej tytuł, niż imię. Admirał przesłał za ich pośrednictwem dary wielkiemu wodzowi. Jednakże nie zamierzał niczego ryzykować.

- Wszyscy mężczyźni mają się zebrać za palisadą - wydawał polecenia Thomasowi.
- Niech się uzbroją, by wiedziano, że potrafimy się obronić w razie potrzeby. Z doświadczenia wiemy, że krajowcy bywają jednego dnia przyjaźni, a następnego dnia nagle wrogo usposobieni. Tak naprawdę, to my w ogóle nie wiemy, co ten ich Hioh zamierza. Może mniej mu przypadniemy do gustu, niż jego poddanym.

Może z powodu tej bojowej gotowości, a może według z góry ułożonego ceremoniału - wojownicy króla, wszyscy prócz dwudziestu jego przybocznej świty, nim bliżej podeszli, złożyli swoje łuki i oszczepy na szczycie niewielkiego wzgórza.

„Na czele szedł mężczyzna wysoki i postawny, niosąc przed królem laskę czy też berło, na którym zawieszono dwie korony, mniejszą i większą oraz trzy łańcuchy niezwyklej długości: korony były kunsztownie uplecione i przyozdobione różnobarwnymi piórami: łańcuchy wyrzezano z kości, a tylko niewielu spośród Indian miało prawo takowe nosić... Zaraz za tym, co niósł berło, kroczył sam król w otoczeniu przybocznej gwardii, wszyscy przyodziani w skóry dzikich zwierząt: dalej szli tłumnie nadzy mężczyźni, każdy z twarzą umalowaną białymi krechami, albo czarnymi, albo innego koloru: i każdy ceremonialnie niósł w ręku jakiś podarunek...”

Cały tłum zaczął obrzędowe tańce: mężczyźni śpiewali przy tym, ale kobiety tańczyły milcząco. Wpuszczono za palisadę tylu, ilu tylko się pomieściło: reszta zgromadziła się na zewnątrz.

„Dosyć długo tańczyli i śpiewali. Kiedy mieli tego dość, pokazali na migi naszemu admirałowi, by usiadł, a przed nim król i różni, star.-; i wiekiem dygnitarze, wygłaszali wielkie oracje... dając nam znakami do zrozumienia, że rezygnują na rzecz admirała ze swoich praw do tych ziem, i ze wszelkich tytułów, i że stają się jego poddanymi. [Ten domniemany wiernopoddańczy hołd należy uważać za domysł Fletchera i Drake'a.] By to udowodnić król i inni, zgodnie a z wielkim respektem, pieśń jakowąś śpiewając,

włożyli koronę na głowę naszego admirała, a na szyję wszystkie kościane łańcuchy i wiele mu darów ofiarowali, zaszczycając go mianem „Hioh”. [Druga korona pozostała na głowie króla, więc zamierzano co najmniej wspólnymi „prawami i tytułami” uhonorować białych przybyszów.]

Po owej koronacji panowie ochotnicy pokpiwali sobie z cicha:

- Król Francis Pierwszy... z podwórka na Wydmuchowie...

- Najśmieszniejszy widok, ta korona z piór na jego głowie i jedwabne obcisłe spodnie na nogach...

- Widowisko, jak z teatru...

Żarty rodziły się po części z uczucia ulgi, że wszystko się dobrze skończyło. Mało kto z Anglików nie zdawał sobie sprawy, że ich admirał odważnie odegrał wyznaczoną mu rolę, mając właściwie miecz zawieszony nad głową. W wiele lat później Drake opowie swemu bratankowi, również nazwanemu imieniem Francis:

- Różni głupcy w Anglii, posłyszawszy, jakoby przyjął coś w rodzaju korony, wyśmiewali się z tego i powiadali, że to mojej pychy dowodzi. A naprawdę, to wtedy jedyny raz w moim żeglarskim życiu działałem pod przymusem. Wyobraź sobie moje położenie. Tylko mała część Indian weszła do wewnątrz naszej palisady. Nie było miejsca dla wszystkich, dla kilkuset. Ci, co zostali na zewnątrz, otoczyli nas wielkim kręgiem, a nas było siedemdziesięciu. Prawda, większość Indian nie miała broni. Ale przyboczni wojownicy Hioha mieli łuki i dzidy. Ja nic nie wiedziałem o zamierzonej ceremonii koronacji. Przypuśćmy, że wzdragałbym się przed przyjęciem korony. Zapewne wszyscy Indianie czuliby się obrażeni, a zwłaszcza sam Hioh. Co wtedy? Jego poddani na ogół słuchali go, ale dyscypliny w naszym rozumieniu - nie znali. Byli samowolni. Nawet bez żadnego rozkazu Hioha, jeden z tych jego przybocznych wojowników mógł się na mnie zamierzyć. Moone byłby go zapewne obalił. I od razu wybuchnęłaby bójka, zamieszanie, prawdopodobnie polałaby się krew. Nie mogłem narażać życia ani jednego z naszych ludzi, ani też nie chciałem wystawiać na szwank życia tych ludzi, którzy nas tak gościnnie podejmowali. Znikłaby od razu cała dobra wola, istniejąca do tej pory między nimi i nami, a jej miejsce zajęłaby wrogość nie do naprawienia. Nasi rodacy, którzy by później zawinęli do tych brzegów, zostaliby powitani wrogo. Więc widzisz, że ja musiałem zgodzić się na tę ceremonię, nie miałem wyboru. Ale gdy ci ktokolwiek powie, że mi to sprawiało satysfakcję, zaprzecz, a jeśli trzeba dołoż pięścią na poparcie słów...

Kiedy „Golden Hind” był już gotów i nic nie stało na przeszkodzie dalszej żegludze, admirał przyjął zaproszenie Hioha, by wybrać się w głąb kraju i zwiedzić wsie. Fletcher, który wziął udział w podróży, pisał:

„Domy ich okopane są wkoło rowami i obłożone ziemią; od wewnętrznej strony koła umieszczono pasy, zebrane ciasno razem u szczytu, jak wierzchołek wieżycy: a

dzięki temu są bardzo ciepłe. Legowiska moszczą sobie z naciętych szuwarów, a pośrodku jest ognisko na kamieniach...” Narrator dodaje z wyraźną aprobatą, może wspomniawszy na niepokorne żony angielskie: „Ich kobiety usługują mężom, są im bardzo posłuszne i łagodne”.

Pisze też o zwierzynie:

„Napotykał się stada jeleni, po tysiąc sztuk i więcej, bardzo wielkie i tłuste na ciele... Cała okolica roi się od dziwnych skoczków, podobnych do tych w Barbarii rozmiarami, a łby mają takie, jak nasze... ogon bardzo długi i gruby: pod policzkami jakby torby, do których zbierają pokarm. Tutejsi mieszkańcy jadają te skoczki i bardzo cenią ich skóry, bo nawet król nosi płaszcz z takiego futra...”

Te „skoczki” to gryzonie z rodziny Heteromyidae, należące do gatunku Dipodomys, których ojczyzną jest Kalifornia.

Powróciwszy z tej wycieczki, Drake zawiadomił gościnnych gospodarzy, że odjazd jest już bliski. Indianie okazywali wszelkie oznaki żalu, „lamentując bardzo żałośnie i płacząc, ręce załamując i twarze drapiąc”. Skarb przeładowano z powrotem na spuszczone już na wodę „Golden Hind”. Zabrano świeżą wodę i prowiant, włącznie z soloną dziczyzną i mięsem skoczków, wszystko zapłacono płótnem i różnymi drobiazgami. Na cześć swoich gości Indianie rozpalili ogniska na wszystkich okolicznych wzgórzach. Z pokładu obserwowano ich jeszcze, jak wymachiwali ramionami, jakby naśladowali ruchy wzlatających ptaków. Przyjęto, iż w ten sposób imitowali stawianie żagli.

Obładowany skarbami statek, z załogą wypoczętą i żądną nowych przygód, zmierzał ku Molukom, czyli Wyspom Korzennym, przez tysiące mil oceanu, po którym jeszcze żaden Anglik nie żeglował. Minie ponad rok, zaznają wielu przygód i niebezpieczeństw, nim żeglarze ujrzą znowu nabrzeże w Plymouth. Ale białe skarpy, na których pozostawili przyjaznych Indian, przywołały przed ich oczy wspomnienie ojczyzny.

Na tych białych skarpach pozostawili widomy ślad swego pobytu. Na kilka dni przed odpłynięciem, admirał powiedział:

- Słuchaj, Moone, przygotuj mocny słup i mosiężną tablicę, na której napis wyryjesz. Podyktuję ci. Kto by nie wylądował tutaj później, winien wiedzieć, żeśmy tu byli, i żeśmy ten ląd w imieniu jej królewskiej mości zajęli.

- Czy myślisz, że pewnego dnia zechciałbyś tu kolonię założyć? - pytał Thomas.

- O tym królowa zadecyduje - odparł Drake. - Ale w każdym bądź razie ta zatoka może w przyszłości naszym rodakom posłużyć jako miejsce do zaprowiantowania i nabrania świeżej wody. - Pomil-czał chwilę w zamyśleniu, i jeszcze dodał: - Może nawet nadejdzie dzień, kiedy zasoby tego kraju, jakie by się okazały, będą wywożone z korzyścią dla królestwa i poddanych miłościwej pani.

Przyszłość nie potwierdziła pretensji Drake'a do zajęcia Kalifornii w imieniu jego królowej. Ten kraj nigdy nie będzie należał do angielskich kolonii w Ameryce. Jego pierwszymi europejskimi władcami będą Hiszpanie z Meksyku. I dopiero w roku 1848 ziemie te zostaną włączone do Stanów Zjednoczonych. Ale i tak, chociaż sam nie był kolonizatorem, Drake jako jeden z pierwszych Anglików wyraził słowami późniejsze miraż imperialne: nie tylko handlowanie z nowo odkrytymi ziemiami, ale, według wzoru hiszpańskiego, wzbogacanie własnego państwa ich kosztem. Takie ambicje w naszych czasach zostały potępione jako niehumanitarne i w ostatecznym rozrachunku nieopłacalne, a przyczyniające wojen, zatargów, śmierci niezliczonych istnień ludzkich, zarówno wśród kolonizatorów, jak i kolonizowanych. Ale w szesnastym wieku cała Europa zawistnym okiem spoglądała na słabo zaludnione, bogate krainy Nowego Świata.

W roku 1937, w pobliżu zatoki nieco na północ od San Francisco, ponoć wykopano miedzianą tablicę, bardzo zardzewiałą, z wyrytym na niej, ledwie czytelnym napisem. Istniały podejrzenia, że było to archeologiczne fałszerstwo, ale specjaliści od metalurgii stwierdzili, że miedź pochodził na pewno z szesnastego wieku. Wiadomo też, że Drake miał ze sobą zręcznych rzemieślników. Jeden z nich mógł posiadać dość umiejętności, by wyryć napis, który po dokładnym oczyszczeniu dał się odczytać.

Bądź co bądź, fałsz czy prawdziwe znalezisko archeologiczne, ostatniego dnia pobytu „Golden Hind” wśród Indian, miedziana tablica została umocowana na wbitym przez Toma Moone słupie. Drake osobiście odczytał głośno tekst napisu, a pastor Fletcher z obowiązku kronikarza zanotował:

„Czynimy wiadome wszem wobec, iż dnia dzisiejszego, to jest 17 czerwca roku pańskiego 1579, w imieniu miłościwie nam panującej królowej Elżbiety angielskiej i jej następców obejmując w wieczne posiadanie to królestwo, którego król i lud z własnej woli przekazują na rzecz Jej Majestatu swoje tytuły i prawa, nadają tej ziemi nazwę, by odtąd znana była wszystkim - Nowy Albion.

Francis Drake.”

Rozdział 14

DOOKOŁA GLOBU

- Nie wiem, jak ty to robisz - powiedział Thomas Drake. - Ja sypiam przynajmniej jakąś godzinkę lub dwie na dobę. A ty nie spałeś od pięciu dni ani przez chwilę, chyba że umiesz spać na stojąco.

- W porządku... - zamruczał Francis. - W żadnym razie ni" mogę zejść z mostku. Te wszystkie wyspy... bez map. Gorzej, niż w Cieśninie Magellana. Jedna omyłka w pilotażu i pójdziemy na dno: my, statek i skarb.

Trzymając się nieco na północ od zwykłego hiszpańskiego szlaku handlowego, „Golden Hind” żeglował z Nowego Albionu przez sześćdziesiąt osiem dni, nie ujrzawszy lądu ani żadnego innego statku. Na ósmym równoleżniku szerokości północnej dostrzeżono na horyzoncie szereg wysepek, przypuszczalnie archipelagu Palau. Krajowcy otoczyli statek czółnami i zdradzali wrogie zamiary. By się ich pozbyć, Drji rozkazał oddać salwę burtową z dział.

Brakowało słodkiej wody, a i zapasy prowiantu się kończyły. Ale jeszcze minęły dwa tygodnie, nim dotarli do Wysp Filipińskich. Z tych tylko Mindanao, na południowym końcu archipelagu, opierała się dotąd ciąglemu naciskowi kolonizacji hiszpańskiej. Zamieszkiwała ją ludność muzułmańska, nienawidząca Hiszpanii za prześladowania jej współwyznawców na Półwyspie Iberyjskim, za wojny w północnej Afryce. Wiedząc o tym, Drake zaryzykował lądowanie. Trzeba było koniecznie napelnić baryłki świeżą wodą. Krajowcy okazali się przyjaźnie usposobieni, ale Drake nie zamierzał zwłóczyć w okolicach gdzie każdej chwili mogły się pojawić hiszpańskie okręty.

Właśnie po opuszczeniu Mindanao, skąd wzięli kurs na południe by się dostać na północno-wschodni kraniec Celebes, admirał przetrwał tyle bezsennych nocy. Każdej chwili mogła zająć potrzeba wykorzystania jego niezrównanego kunsztu żeglarskiego. W tym nikt nie potrafiłby go zastąpić. Wreszcie, z początkiem roku 1579, osiągnięto najbliższy cel: wyspy Moluki, leżące w strefie wpływów i kolonizacji Portugalczyków, którzy, okrążywszy Przylądek Dobrej Nadziej południowym cyplu Afryki, już od stulecia parli coraz dalej i dalej na wschód, do Indii i ku archipelagom, znanym jako Indie Wschodnie. Szczególne znaczenie Moluków stawało się jasne, gdy się wspomni ich alternatywną nazwę: Wyspy Korzenne. Europa podówczas bardzo potrzebowała przypraw, zwłaszcza goździków, gałki muszkatułowej, imbiru, nie tylko ze względu na smak, ale również do konserwowania mięs. Władza Portugalczyków na Molukach⁷ była dość problematyczna i nieustannie wybuchały przeciw nim bunt.

Gdy „Golden Hind” żeglował wśród wysp archipelagu, a załoga rozważała możliwości i ryzyko lądowania, od brzegu odbiło czółno. Stojący w nim mężczyzna dawał znać na migi, że chce wejść na pokład. Znał kilkanaście portugalskich słów, ale nie na wiele to się zdało, bo znowuż Anglicy tego języka nie znali. Przydała się łacina pastora Fletchera i hiszpańszczyzna Drake’a i kilku innych z załogi. W każdym razie żeglarze nabyli już umiejętności komunikowania się z ludźmi, mówiącymi rozmaitymi językami. Dorozumiano się, że gość był bratem króla Ternate i kilku mniejszych wysepek, i że król był na stopie wojennej z Portugalczykami.

Ternate była największą z Wysp Korzennych, a Drake’a zapewniano, że król ucieszy się z jego przybycia i że słowu królewskiemu można wierzyć. Natomiast, o ile by przybysze udali się na którąkolwiek z wysp pod władzą Portugalczyków, król Ternate nie będzie chciał mieć nic z nimi do czynienia. Odpowiadało to Drake’owi, który nie miał wcale chęci na kontakty z Portugalczykami. Wysłannik, który sporo wiedział, jak się okazało, o królowej Anglii i jej znaczeniu w świecie, opuścił statek z naszymi perłami aksamitnym płaszczem w darze dla króla i zapewnieniem, że Drake życzy sobie tylko nawiązania stosunków handlowych, a na wymianę posiada różne wyroby europejskie.

Wkrótce ze statku dostrzeżono, według słów Fletchera, „cztery wielkie łodzie, a w każdej kilku ważnych królewskich dygnitarzy, pod baldachimem cienkich, perfumowanych mat, rozpiętych na rusztowaniu z wysokich trzcin... Prócz nich urodziwi młodzi mężczyźni, przybrani na biało, oraz wojownicy, ustawieni szeregiem przy burtach, wreszcie wioślarze. W łodziach mnóstwo broni wszelakiego rodzaju, każdy miał miecz i tarczę, a także sztylet, prócz tego widać było dzidy, arkebuzy, łuki i kołczany ze strzałami...”

Ta flotylla przybyła, by przeprowadzić „Golden Hind” na inne, lepsze i bezpieczniejsze kotwicowisko. Gdy to zostało dokonane, Anglicy otrzymali od króla i jego poddanych „wszelkie wiktuały, jakie nam były potrzebne: kaszę, zwaną sago, wyrabianą z wierzchołków pewnych drzew, która smakowała w pierwszej chwili jak twaróg, lecz rozpływała się jak cukier. Z niej krajowcy wypiekali placki, które można przechowywać przez dziesiątki lat i więcej, a zawsze wyborne. Dostaliśmy też zapas ryżu, płynny cukier, trzcinę cukrową, dużo kur, również owoce, zwane figami, no i goździki...”

Z kolei rozpoczęły się dyplomatyczne manewry. Król obiecał osobiście odwiedzić angielski statek, potem zmienił zdanie i przysłał znowu swego brata, by zaprosić angielskiego admirała na ląd. Na to Drake tylko się uśmiechnął, a cała załoga zakrzyknęła jak jeden mąż, że nie pozwolą. Książęcy wysłannik, trochę speszony, zaofiarował się zostać na statku jako zakładnik aż do powrotu Drake’a. Propozycja była zapewne uczyniona w dobrej wierze, ale źle ją przyjęto.

- Nie zgodzimy się, by nasz admirał pojechał, o ile król tu pierwszy nie przyjedzie, nawet za stu zakładników najwyższej rangi - powiedział Moone.

Drake uciszył starego cieślę, ufając w duchu, że wysłannik nie zrozumiał jego słów. Po czym zwrócił się do Johna Chestera:

- Nie chcę obrazić tego króla, bo przewiduję, że z przyjaznych z nim stosunków mogą dla naszego kraju znaczne korzyści wyniknąć. Czy jesteś gotów zejść na ląd, zabierając ze sobą dwóch panów ochotników, Willoughby i Tindalla oraz oddział marynarzy pod dowództwem Toma Moone? A ja, oczywiście, królewskiego brata zatrzymam, póki nie wrócicie.

- Wiesz, admirale, że każdy twój rozkaz chętnie wypełnię - odparł Chester.

„Deputację przyjął inny jeszcze z królewskich braci i z wielkimi honorami poprowadził do zamku... wielkiej i pięknej budowli, gdzie zebrało się przynajmniej z tysiąc osób... wreszcie nadszedł sam król, poprzedzany przez dwunastu zbrojnych w dzidy wojowników, pod bogatym baldachimem całym wyłaczanym... od pasa w dół owinięty był w złotolity brokat, a na szyi nosił łańcuch z najczystsze go złota, o grubych ogniwach, owinięty podwójnie. Na palcach miał sześć pięknych pierścieni, a gdy zasiadł na tronowym krześle, po jego prawej ręce stanął paź z wachlarzem, w który wprawione były wielkie szafiry w liczbie ośmiu...”

Barwne spotkanie miało charakter wyłącznie ceremonialny. Przez ten czas Drake i jego zakładnik dobijali interesu. Traktat zawarty między nimi, a później zatwierdzony przez króla, nadawał Anglii monopol na handel korzeniami z wyspą Ternate. Pierwsza transakcja była tylko zapowiedzią, drobnym upominkiem. „Golden Hind” z pełnymi ładowniami nie mógł zabrać żadnych poważniejszych ilości towarów. Ale Drake według traktatu załadował sześć ton goździków i gałki muszka-tułowej, za co zapłacił belami materiałów. Nie zachował się żaden dokument ani kopia tego traktatu: być może w ogóle spisanego dokumentu nigdy nie było. Cokolwiek by zapisano w języku angielskim, byłoby równie niezrozumiałe dla Molukan, jak ich język byłby niezrozumiały dla ministrów królowej Elżbiety. Jednakże o znaczeniu, jakie Elżbieta przywiązywała do zawartego w jej imieniu traktatu, może świadczyć srebrny puchar, który później ofiarowała Drake’owi, a na którym kazała wyrzeźbić nie przylądek Horn albo Nowy Albion, lecz wizytę u króla Ternate. Co więcej, ów traktat przez sto lat później stanowił podstawę negocjacji angielskich z Portugalczykami, a później z Holendrami, w sprawie stosunków handlowych ze Wschodnimi Indiami.

Kiedy Chester z kompanią wrócili na pokład, „Golden Hind” rozwinął żagle i wziął kurs na południe, znowu trudnym, krętym szlakiem między licznymi wyspami, aż w pobliżu Celebes znaleziono plażę odpowiednią do oczyszczenia i oskrobania statku. Tu ekspedycja pozostała przez blisko miesiąc, odpoczywając w przyjemnym klimacie - był grudzień, panowała piękna, słoneczna, a nie zanedo upalna pogoda. Wyspa nie była

zamieszkała, ale „co nocy wśród drzew na całej wyspie pojawiały się nieprzeliczone chmary lecących robaczek świętojańskich, a ciała ich, nie większe od zwykłej angielskiej muchy, tyle światła rozsiewały, jakby na każdej gałęzi świecę zapalić. W tych okolicach widzieliśmy też cudowne nietoperze, tak wielkie jak kury. pod dostatkiem krabów, nadzwyczaj wielkich, tak, że jeden starczał na zaspokojenie czterech głodnych mężczyzn, a bardzo to pożywne i smaczne jedzenie, znaleźliśmy je już z doświadczenia: a wykopują sobie jamy w ziemi”.

Gdy jeszcze przebywali na tej wyspie, nazwanej przez Anglików Wyspą Homarów, Thomas powiedział z uśmiechem do swego brata:

- Więc korsarze przedzierzgnęli się w kupców i traktaty handlowe zawierają. Czy tak i później będzie?

- O, to zależy od okoliczności - odparł wymijająco Francis. - Ale głupio robić sobie wrogów, jak to czynią Hiszpanie i Portugalczycy, z ludów, które być może zaważą na rozwoju dalekomorskiego handlu naszego kraju.

Słuszniejsza to była maksyma od wcześniejszych jego „snów o imperium”; będzie też decydowała o angielskiej polityce w Azji aż do chwili, kiedy w osiemnastym wieku Kompania Wschodnioindyjska porzuci negocjacje i stosunki handlowe z tubylczymi ludami na rzecz podbojów z bronią w rękę.

- Z drugiej strony - ciągnął Drake - dopóki Hiszpania nie zaprzestanie porywać naszych statków, a naszych rodaków w ręce inkwizycji wydawać, to i my, a w każdym razie ja będę nadal, gdzie tylko sposobność się nadarzy, najeżdżać jej miasta w Nowym Świecie, a nawet i w Starym, atakować i opróżniać jej okręty skarbowe.

Wśród archipelagów Wschodnich Indii wiatry bywały zdradzieckie. „Golden Hind” po opuszczeniu Wyspy Homarów, zniosło najpierw na północ, później na południe. Nawigacja przez cały czas przysparzała ogromnych trudności. Admirał znowu dniami i nocami obywatł się bez snu, doglądał prymitywnych kalkulacji szybkości statku, sondowania, wydawał zwięzłe rozkazy bosmanowi i sternikowi. Dnia 9 stycznia 1780 roku, Tom Moone dostrzegł, jak ciężkie powieki opadają admirałowi na oczy, jak głowa osuwa mu się na piersi, chociaż dłonie nadal trzymały mocno parapet. Statek szedł szybko naprzód. Stary cieśla dotknął ramienia śmiertelnie znużonego żeglarza:

- Lepiej zejść na dół, admirale.

I w tym samym momencie, „Golden Hind” zadygotał od dziobu do rufy. Podwodna rafa. Nawet Moone nie miał orlego wzroku Drake’a, który, umiał wypatrzeć każdą przeszkodę.. Admirał ocknął się w jednym mgnieniu oka:

- Jezu Chryste. I niech mnie za tę śpiączkę... Forsować wszystkimi żaglami!

Ale statek utknął na dobre.

- Spuścić pinas, Tomie, jeśli jest dość głęboko. Zbierz ludzi i próbujcie holować wstecz. Wiosłujcie ze wszystkich sił!

Obładowany skarbem statek był w najstraszniejszym niebezpieczeństwie. Jeśli nie da się go ściągnąć z rafy, rozłamie się pod naporem atakujących fal, a jego załoga znikąd nie znajdzie pomocy. Wszyscy pracowali gorączkowo - wszyscy prócz jednego. Pastor Fletcher biegał po pokładzie tam i z powrotem, załamując ręce, belkocząc pacierze i wzywając Boga, by sprawił cud. Obłędne przerażenie, któremu raz uległ na morzach południowych, ogarnęło go teraz z dziesięciokrotną siłą. Zaczął krzyczeć do załogi:

- Nieszczęśni grzesznicy, gotujcie się na śmierć! Nie traćcie drogocennych chwil na liny, takielunek, żagle! Za chwilę w obliczu Waszego Stwórcy staniecie!

Drake w pasji podbiegł do niego:

- Milcz, idioto!

Ale Fletcherem owładnęła taka histeria, że już na nic nie zważał:

- Błóżnierco! - darł się jak w obłąkaniu. - Nazywasz mnie idiotą, bo głoszę słowo boże, wzywam grzeszników do skruchy, gdy jeszcze jest czas!

- Jak nie zaprzestaniesz tego wariactwa, każę cię zakuć w kajdany! - zagroził Drake. Fletcher wciąż wrzeszczał:

- Wszyscy zginiemy za karę, boś zamordował Thomasa Doughty! Kilku marynarzy i ochotników zebrało się dookoła.

- Zabierzcie go na dół - rozkazał Drake, odwracając się. - Później się nim zajmę.

Wyrywającego się i kapiącego, zaciągnięto Fletchera do schodni.

Wioślarze na pinasie, zmagający się z całych sił, nie dali rady. Kotwicę zawoźną rzucono na głęboką wodę za prawą burtę w nadziei uwolnienia statku tym sposobem. Na nic. Próbowano wszystkiego. Marynarze skłaniali się już do zdania pastora - że nie ma nadziei. Ale nie Drake.

- Pozbyć się wszelkiego zbytecznego ciężaru - rozkazał bratu Thomasowi i Johnowi Chesterowi.

- Działa? - pytał Thomas.

- Ciepła odzież? - proponował Chester.

- Osiem dział - zgodził się Drake. - Odzież, oczywiście. Także goździki z Ternate. Wszystko, co nie konieczne. Gdybyśmy nie byli tak przekłęcie sentymentalni, to byśmy również tego pastora wyrzucili za burtę.

Około godziny czwartej po południu wiatr nagle zmienił kierunek. Statek przechylił się na prawą burtę, ku głębokiej wodzie.

- Bosmanie, wszystkie żagle, każdy kawałek płótna! - wołał Drake.

„Golden Hind” leciutko, łagodnie, ześlizgnął się z rafy, spłynął na głęboką, bezpieczną wodę. Moone popędził na dół, by zbadać stan kadłuba. Metoda podwójnej warstwy pokrycia, innowacja wprowadzona przez Johna Hawkinsa, dobrze się

przysłużyła. Nie było przecieku wody ani poważniejszych szkód. Rafa musiała mieć gładką powierzchnię.

Pastora Fletchera przyprowadzono na pokład. Jego histeryczny strach przed zatonięciem ustąpił miejsca równie histerycznemu przerażeniu w obliczu Drake'a.

- Błagam... o wybaczenie... admirale! - wyjąkał.

- Przykuć mu nogę łańcuchem do pokrywy luku - rozkazał Drake Moonowi.

Cała załoga zebrała się dookoła. Ci na górze wychylali się przez reje i przypatrywali się z rozbawieniem temu sądowi nad ich duchowym przewodnikiem. Pastor nie był lubiany. Zasiadłszy ze skrzyżowanymi nogami na skrzyni, Drake ogłaszał swój wyrok, parodiując niosłych biskupów.

- Francis Fletcher! Oto rzucam na ciebie klątwę i wykluczam z łona naszego Kościoła i wszelkich jego korzyści i łask, a oddaję cię diabłu i jego sługom.

Pastor skrzyżował ręce na piersi, głowę schylił.

- Admirale, ja wyznałem moją winę.

- Pod karą powieszenia na najwyższej rei - ciągnął Drake - zakazuję ci pokazywać się na przednim pokładzie „Golden Hind”. I jeżeli zdejmiesz to, co ci zaraz Tom Moone przymocuje do ramion każę cię przeciągnąć pod kilem. Opaska na ramię miała napis.

- Odczytaj napis głośno, twoim najdonioślejszym głosem, tym od kazań! - zlecił Drake.

Biedny pastor przełknął z trudem ślinę, obejrzał się wokół nerwowo, wreszcie przeczytał:

„Francis Fletcher najnikczemniejszy tchórz pod słońcem”. Niektórzy chichotali, inni odwracali wzrok, uważając że admirał posunął się za daleko. Poznać strach, to nie zbrodnia, to nieszczęście to ludzka słabość, przeszkadzająca w chwilach, kiedy którymś onna została oszczędzona, mogą zaznać podniecającego uniesienia. Schwytani w kleszcze strachu czasem go opanowują, jeśli nie, trzeba im raczej okazywać litość, zrozumienie i zachętę. Może i Drake, gdy ochłonął z gniewu, zaczął pojmować. Ledwie statek szedł po kursie przez parę godzin, kazał uwolnić Fletchera i zdjąć mu z ramienia opaskę z napisem.

- Wybaczcie mi, pastorze. Byłem w pośpiechu, bardzo znużony, wściekły na siebie, bo się zdrzemnąłem i przez to omal wszyscy nie zginęliśmy. Jestem tylko człowiekiem i dla mego gniewu szukałem ujścia. Twoje zachowanie uczyniło cię nieuniknionym celem.

Pastor również był w ugodowym nastroju. Zdał sobie sprawę, że kiedy Drake wpada w pasję, on sam mógłby łatwo podzielić los Thomasa Doughty.

- Ani słowa o tym, admirale...

- To wielkodusznie z twojej strony - powiedział Drake. Ale jednak musiał mieć ostatnie słowo:

- Teraz, kiedy jesteśmy z powrotem przyjaciółmi, pojmujesz chyba, że w takiej wyprawie, gdy stajemy wobec tylu niebezpieczeństw, mój autorytet musi być silny, czasem bezwzględny. Inaczej dowódca nie miałby szacunku, a bez szacunku nie może być dyscypliny.

Te słowa również były wypowiedziane w obliczu całej załogi, która im przyklasnęła na podstawie własnego doświadczenia.

Na wyspie Timor Anglików przyjmowano ze wszelkimi oznakami przyjaźni. Fletcher zapisał, że „Mężczyźni chodzą nadzy, prócz opasek na biodrach, a także głowy zakryte i każdy ma coś zawieszane w uszach. Kobiety owijają się w spódnice od pasa w dół aż do stóp i noszą wielkie ilości bransolet, niektóre po osiem sztuk na każdym ramieniu, sporządzonych z kości, z rogu, z mosiądzu; najłżejsze ważyły pewno po dwie uncje...”

Drake, którego więcej interesowały perspektywy handlowe, zaobserwował, że wyspa obfitowała w złoto, srebro, miedź i siarkę, że pod dostatkiem było korzeni, owoców cytrusowych, fig i orzechów kokosowych - tych ostatnich Anglicy próbowali po raz pierwszy. Wszystko to wyspiarze chętnie wymieniali za bele płócien, „z których robili sobie turbany na głowę i przepaski na biodra.”

Z kolei zawinęli na Jawę, której mieszkańcy osiągnęli dość wysoki poziom cywilizacji. „Wyspą włada pięciu królów zwanych radżami” (zapewne wpływy kontaktów handlowych z Indiami) „którzy tak rządzą, jakby ich jeden umysł i jeden duch ożywiał. Razu jednego mieliśmy na pokładzie aż czterech z nich.” Radżowie szczególnie się radowali muzyką, na ich cześć graną przez kapelę Drake’a. Marynarze, schodzący na ląd, opowiadali o obyczaju wspólnych posiłków: „W każdej wiosce jest jeden dom, przeznaczony na wspólny użytek: tam dwa razy dziennie zbierają się mężczyźni, kobiety i dzieci, a każdy ze sobą wiktuały przynosi, jedni gotowany ryż, inni owoce albo pieczone kuraki, albo sago. Stawiają wszystko na długim stole, wysokości trzech stóp nad ziemią i każdy zasiada, by jeść ciesząc się wspólną kompanią...” Jawajczycy piekli z ryżu „bardzo smaczny chleb, z którego później, z dodatkiem oleju, masła, cukru i korzeni, przyrządzali przeróżne potrawy, przyjemne w smaku i pożywne”.

Drake wkrótce przywołał swoich ludzi z powrotem na statek, gdy dowiedział się od wielce zgorzonego i wstrząśniętego Fletchera, że w przeciwieństwie do mieszkańców innych wysp, jakie odwiedzili, Jawa jczycy - „nawet sami radżowie!” - proponowali swoje kobiety marynarzom, a najpowszechniejszą chorobą na wyspie była choroba weneryczna. Admirał zresztą i tak życzył sobie spieszego odjazdu, bo dowiedział się od jednego z radżów, że w pobliżu kręcą się wielkie i zbrojne statki portugalskie.

Z przychylnym wiatrem a bez przygód ekspedycja przepłynęła się przez Ocean Indyjski. Nie zatrzymano się koło Przylądka Dobrej Nadziei, ale tam właśnie, przy

pięknej pogodzie i spokojnym morzu, podczas obiadu Drake powiedział do zebranych przy stole:

- Portugalczycy zawsze głosili wszem i wobec, że to najniebezpieczniejszy przylądek na świecie, że tu zawsze wieją wichry, szaleją burze i nie sposób żeglować. Takie określenia raczej odpowiadają przylądkowi Horn, ale tutaj przekonaliśmy się na własne oczy, że te baśnie rozprowadano tylko po to, by innych od portugalskiej strefy na wschodzie odstraszyć. Niech nie wtrącają nosa w te morza i lądy, które Portugalczycy za swoją wyłączną domenę na wschodzie uważają! Co do mnie, mniemam, że najpogodniejszy to przylądek, jaki w ciągu całej podróży dookoła świata napotkałem.

Nikt, kto odwiedzał południową Afrykę, nie zechce mu przeczyć.

Po krótkim pobycie w Sierra Leone, gdzie nabrano świeżej wody, prowiantu i owoców, załoga statku, który pod nazwą „Pelican” wyruszył z Plymouth przed trzema blisko laty, niecierpliwiła się ostatnim etapem żeglugi. Żeglarze przetrwali przerażające sztormy, przeprawili się przez nieznanne morza, przeżyli ugrzęźnięcie na rafie - a zawdzięczali swój triumf zarówno trwałej konstrukcji statku, wybornemu kunsztowi żeglarskiemu ich admirała, jak i zgodnej determinacji całej załogi, którą to jedność, po trudnych początkach i poświęceniu życia Thomasa Doughty, Drake zdołał stworzyć z marynarzy i panów ochotników razem.

W tych ostatnich dniach każdy prawie z załogi przeżywał niemałe emocje. Pięćdziesięciu sześciu - w tym wszyscy trzej, noszący nazwisko Drake'ow - z osiemdziesięciu, którzy opuścili Plymouth, zwycięsko oparło się hiszpańskim kulom, strzałom wrogich krajowców i wyniszczającym chorobom. Wspólnie osiągnęli niebywały sukces: jako pierwsi Anglicy opłynęli dookoła kulę ziemską. Był to dopiero drugi taki wyczyn na świecie. Nie wiedzieli nic prawie, co podczas ich nieobecności zdarzyło się w ich ojczyźnie, co w Europie. Rozprawiali, spekulowali, zgadywali: z podnieceniem, nerwowością, a czasem zastanawiali się w milczeniu, nocą w swoich hamakach, albo za dnia wysoko na rejach:

- Czy królowa żyje jeszcze?...

- Czy uniknęła sztyletu mordercy albo trucizny, podanej w winie?

- Czy Anglia i Hiszpania są formalnie w stanie pokoju czy wojny?

- Czy Wynter i jego ludzie dotarli do kraju?

- Czy moi rodzice?...

- Moja dziewczyna... czy mi dochowała wiary?

- Kto mnie będzie witać? Kto żyje? Kto zmarł?

Francis Drake, w napięciu trudnym do zniesienia, stał się milczkiem. Tyle osiągnął - a jednak wszystko może się obrócić na złe. Jeszcze teraz burza może rozbić dzielny, ale oczywiście mocno osłabiony statek. Może ich zatopić hiszpański okręt wojenny.

Admirał przepatrywał bez przerwy horyzont i zastanawiał się nad tym, jak król Filip przyjął wieści, które już musiały do niego dotrzeć, o działalności angielskich korsarzy u zachodnich wybrzeży Południowej Ameryki: i nad tym, że sytuacja polityczna może być taka, iż jego powrót z ładunkiem skarbów hiszpańskich będzie nie na rękę królowej. W rzeczywistości sytuacja polityczna, chociaż niedogodna dla Elżbiety, układała się fortunnie dla Drake'a.

W Hiszpanii istotnie otrzymano wieści o najazdach Drake'a, o zdobyciu „Cacafuego” i o jego zniknięciu. Ale zmarł król Portugalii, a Filip, mając niejakię prawa do tronu, poparł je z powodzeniem, wysyłając silne wojska do tego kraju.

- Sama Portugalia nie jest może szczególnie wartościowym nabytkiem - mówił król Filip. - Ale mamy jedną granicę bezpieczną. A handel Portugalii, zwłaszcza z Indiami i Wschodnimi Indiami, niemałe zyski przynosi. A nade wszystko, Portugalczycy mają więcej i nawet większych statków, niż my. Nasze połączone siły, morskie i lądowe, pozwolą nam, gdy nadejdzie odpowiednia chwila, zwyciężyć i podbić Anglię, a na jej nieprawej królowej wykonać wolę papieża.

Tak więc wieści z Nowego Świata obeszły Filipa mniej, niż to by się stało w innych okolicznościach. Cóż mógł zaważyć pojedynczy korsarz, który zresztą już leżał pewno na dnie oceanu, przeciwko takiemu wzmocnieniu bogactw i potęgi imperium hiszpańskiego?

W tym czasie, gdy „Golden Hind” zbliżał się do południowo-wschodniego krańca Anglii, król Filip wysłał do Irlandii, nie po raz pierwszy zresztą, wojska na pomoc tamtejszym katolikom, zbuntowanym przeciw okrutnemu uciskowi Anglików. Nie dlatego, iżby króla Filipa obchodziły udreki Irlandczyków. Ale wiedział o znaczeniu Irlandii. Powszechnie krążyło po Europie powiedzonko: „Kto chce podbić Anglię, musi zacząć w Irlandii.”

Jej królewska mość złościła się więc na Hiszpanię, a zarazem niepokoiły ją bardzo wiadomości, że w hiszpańskich i portugalskich portach przygotowuje się niepoliczone ilości okrętów. Zapytany, ambasador hiszpański dowodził, że armadę miano wysłać celem pognębienia północnoafrykańskich sił morskich muzułmanów, oraz oswobodzenia od piratów Morza Śródziemnego. Tę odpowiedź przyjęto jako wybieg dyplomatyczny, czym oczywiście była. Wielka Armada miała najpierw zgnieść ostatecznie protestanckich buntowników w Niderlandach, a później zwrócić się przeciw temu gniazdu heretyków - Anglii.

Wziąwszy wszystko razem, w takiej sytuacji królowa była gotowa spojrzeć przychylnie na powrót ekspedycji, która zadała królowi Filipowi ciosy - zważywszy jej rozmiary i uzbrojenie - bolesne zarówno dla jego dumy jak i dla jego kieszeni. Co prawda, byli i tacy, którzy sądzili, że nie należy drażnić gniazda os, bo to

niebezpiecznie. A Drake, o niczym jeszcze nie wiedząc, zbliżał się do Plymouth, ufny w siłę argumentów, spoczywających w ładowniach „Golden Hind”.

Rozdział 15

HERB DLA RYCERZA

- Czy zasługujesz na to, by ci ściąć głowę, mój piracie? - Było to powiedziane surowo, ale z błyskiem rozbawienia w królewskich oczach.

- Jeśli to słuszna nagroda za lojalną służbę i najgłębszą miłość, w takim razie zasługuję, najjaśniejsza pani!

Drake - z gołą głową, ale w półpancerzu, zardzewiałym od słonych morskich wiatrów, w kaftanie spłowiałym i spodniach reperowanych grubymi męskimi palcami - przykląkł na jedno kolano na deskach pokładu „Golden Hind”, nisko chyląc głowę i ogorzałą twarz.

- Król Hiszpanii sądzi, że zasługujesz... piracie!

Elżbieta z satysfakcją bawiła się tym słowem, sugerującym niezależność.

- On ma swoje powody, najjaśniejsza pani. Gdyby twój pokorny sługa znajdował się w jego ręku, oczekiwałby topora i gorzej jeszcze.

- Az tych rąk - wyciągnęła je przed siebie szeroko, dumna ze smukłych kształtów i aksamitnej bieli tych upierścienionych palców - a z tych rąk czego mój pirat się spodziewa?

- Sprawiedliwości, najjaśniejsza pani, jakiej zaznaje nawet najskromniejszy z twoich poddanych.

- Dobrze powiedziane. Sprawiedliwość piękne słowo, ale wbrew twoim gładkim deklamacjom nie zawsze tak wymierzana przez moich sędziów, jakbym sobie życzyła. A więc, jeżeli sprawiedliwość, to... Sir Walterze - zwracając się do ciemnowłosego, eleganckiego i urodziwego jak Lucyfer mężczyzny, strojnego w czerwono-czarny kaftan - twoja szpada!

Sir Walter Raleigh wydobyl jasne, wygrawerowane ostrze z pochwy i przyklękając na jedno kolano, podał bogato zdobioną rękojeść Elżbiecie. Do niej pisał kiedyś diamentem na szkle oprawnej w ołów szyby: „Pragnę dążyć w górę, lecz boję się upaść”. A później znalazł dopisane pod spodem na szkle ręką swej monarchini słowa: „Nie próbuj wcale, jeśli by serce miało cię zawieść.” Teraz królowa poprawia go:

- Nie, nie mnie. Słabej kobiecie nie przystoi włączyć krwawą broń. - Ta najbardziej apodyktyczna spośród kobiet, o sile ramienia której mogłaby zaświadczyć niejedna służebna, paż, a nawet dworzanin, lubowała się wzmiankami o „słabości”. Może chciała się wydać bardziej kobieca? - Podaj ją - ciągnęła - jego ekscelencji ambasadorowi króla Francji, który zechce zamiast mnie dokonać pasowania.

Mądrze. W ten sposób Elżbieta wplątała Francję w ceremoniał, który musiał obudzić sprzeciw w Eskurialu. Ambasador nie mógł się wykręcić, nie obrażając

królowej. Ujął błyszczącą od klejnotów rękonoż i dotknął ostrzem szpady ramienia klęczącego żeglarza.

- Wstań, Sir Francisie Drake - rzecze królowa. - Niechaj cały świat wie, że wbrew wszelkim siłom, jakie Hiszpania czy inne mocarstwa lub koalicje mocarstw mogą przeciw nam wystawić, nie wstrzyma to nas nigdy od słusznego wynagrodzenia wiernej służby naszej osobie i naszemu królestwu.

Oczywiście, Drake'a nie zwiodła poprzednia udawana srogość królowej. Nie trzeba było wielkiej przenikliwości, by odgadnąć, że jeśli Elżbieta przybywa w dół Tamizy, gęstej od masztów, do Deptfordu, w otoczeniu całego dworu, wraz z lordem Burleighem, Walsinghamem, lordem Howardem of Effingham, Raleighem i wielu innymi, to nie po to, by udzielać nagan. Twarze wokół niej były pogodne, uśmiechnięte, a nie surowe. Najjaśniejsza pani lubiła, jak i sam Drake, zabawiać się płataniami figli.

Król Hiszpanii istotnie zażądał, jak można było oczekiwać, aby Drake został surowo ukarany, a skarby z „Cacafuego” zwrócone „prawemu właścicielowi”. Elżbieta przeciągała pertraktacje z hiszpańskim ambasadorem, życzyła sobie przedstawienia dowodów „prawowitej własności” tylko po to, by zyskać na czasie, by podniecone umysły ochłonęły. Co więcej, wiedziała, że w obecnej chwili król Filip nie posiada dość sił, by wystąpić z otwartą wojną przeciw Anglii. Za głęboko dał się wciągnąć w kłopoty z niderlandzkimi buntownikami i z Portugalczykami, którzy niechętnym okiem spoglądali na nowego suwerena. A tymczasem, pod kontrolą urzędnika korony, Edwarda Tremayne, rozdzielano skarby między inwestorów - z których królowa była najpoważniejszym - oraz pozostałych przy życiu uczestników wyprawy. Wyznaczenie urzędnika nie było uwłaczające dla Drake'a. przeciwnie, osłaniało go przed zarzutem samowolnego piractwa i uprzedzało ewentualne skargi o niesprawiedliwy podział. Inwestorzy otrzymali tysiąc czterysta procent włożonego kapitału. Część tych pieniędzy obrócono na założenie konsorcjum, które z początkiem następnego stulecia przekształci się w Kompanię Wschodnioindyjską, działającą z królewskiego upoważnienia. Czym bardziej się zagłębiać w sprawy rezultatów osiągnięć Drake'a, tym wyraźniejszy staje się jego olbrzymi wpływ na rozwój angielskiej polityki handlowej i kolonialnej. Osobisty udział Drake'a wyniósł około dziesięciu tysięcy funtów szterlingów, co według dzisiejszych przeliczeń wyniosłoby blisko milion. Nie zapomniano też o tych, którzy wrócili z kapitanem Wynterem - on sam **był** obecny podczas ceremonii pasowania Drake'a na rycerza.

„Golden Hind” przyprawiono do ujścia Tamizy na osobiste życzenie królowej. Królewskiej wizyty statek oczekiwał mniej więcej w takim samym stanie, w jakim zawiązał do Plymouth: drewno zjedzone przez korniki, obrośnięty muszlami kadłub, takielunek poszarpany i nadgniły, płótna żagli spopielałe od słońca i soli.

- Wszystko ma lśnić czystością, ni jednej plamki - zarządził Drake - ale nie kryć naszych blizn, które są zaszczyciejsze od nowej farby i świeżych lin.

- Pod pokładem za to dokonano wielkich zmian: kajuty i ładownie przerobiono na jedną wielką salę bankietową, własna kajuta Drake'a została oddana na garderobę dla królowej, druga dla dam dworu. Thomas Drake z powątpiewaniem popatrzył na własną i brata połataną odzież i na resztę załogi, w jeszcze gorszym stanie.

- Przecież powinniśmy się przybrać odpowiednio do takiej uroczystości - powiedział.

- Właśnie, że nie - odparł admirał. - To jest czas, kiedyśmy się winni przedstawić, czym jesteśmy: żeglarze, którzy opłynęli dookoła świat! A nie fircyki dworskie.

Tak więc żeglarze w swym roboczym, łatanym odzieniu stanęli twarz w twarz z dworzanami i damami w bogatych futrach i aksamitach, kolorowych kaftanach i jedwabnych sukniach, złotych łańcuchach i klejnotach, ozdobionych drogocennymi kamieniami podwiązkach i kapeluszach.

Szpada zwrócona Raleighowi, świeży rycerz wstaje z klęczek a królowa życzy sobie osobiście przywitać każdego z tych, których, jak powiada:

...jego hiszpański majestat przeżywa krwawymi rzeżymieszkami, choć z tego, co słyszę, traktują jego ludzi o wiele bardziej po rycersku, niż Hiszpanie naszych, gdy im wpadną w ręce.

- Są twymi sługami, najjaśniejsza pani, a moimi szlachetnymi i dzielnymi przyjaciółmi, każdy z nich - odparł Drake.

- Szlachetni i dzielni, każdy z nich! - Królowa podniosła głos, by wszyscy, a zwłaszcza zagraniczni dyplomaci, mogli ją usłyszeć. - Powtarzam słowa waszego admirała, moi zwycięscy żeglarze!

Przeszła przed szeregiem, pytając tego, jak dostał bliznę na policzku, drugiego, czy żonaty, jak ich witały rodziny w Plymouth, czy wszyscy zdrowi? Odstąpiła o krok, by tym lepiej przyjrzeć się olbrzymowi, którego potężną postać zwieńczała głowa już szpakowata.

- Tom Moone, najjaśniejsza pani, cieśla okrętowy, szyper, wszystko, czego się odeń potrzebuje - objaśniał Drake. - Aw walce woli posługiwać się pięściami, niż kordelasem!

Królowa zwróciła się do Toma Moone:

- Dawno już żeglujesz ze swoim admirałem?

- Tak, miłościwa pani, miałem ten honor - jąkał się Moone, bardziej zdenerwowany, niż w obliczu dwudziestu Hiszpanów.

- Gdybyś rzekł, iż miałeś tę odwagę, też by ci nikt nie zaprzeczył - potwierdziła królowa, oceniając pełnym uznania spojrzeniem dorodną postać. Odwróciła się, by

rzucić strojnej i lśniącej kompanii za sobą jedną z tych złośliwych uwag, graniczących z wulgarnością, których im nie szczędziła, nie tracąc jednak ich przywiązania:

- Gdyby znalazł się choć jeden taki jak on - uderzyła pięścią w olbrzymią jak dębowa skrzynia klatkę piersiową Toma Moone - między książętami Europy albo moimi własnymi dworakami, to mój tron może nie czekałby jałowo na prawowitego dziedzica!

Żeglarze hamowali śmiech. Ogorzałe oblicze Toma Moone poczerwieniało tak, jakby krew z niego miała trysnąć. Dworzanie odwracali wzrok, a damy kryły pełne zrozumienia i sympatii uśmiechy.

Podczas uczty, na którą złożyły się ciężkie mięsiva splekiwane wybornymi hiszpańskimi winami, Drake poprosił miłościwą panią, by zechciała przyjąć w darze od niego: srebrną, cudnie rzeźbioną szkatułkę, żabkę po mistrzowsku uczynioną z samych diamentów, pięć ogromnych szmaragdów oraz dziennik pokładowy „Golden Hind”. Gdybyż królowa zdawała sobie sprawę z bezcennej wartości tego ostatniego podarunku! Może by lepiej zadbała o niego, może by został w puściźnie następnym pokoleniom. Dziennika okrętowego nikt nigdy na oczy nie widział od chwili, gdy go ujęły te białe palce. Może jakiś królewski szambelan albo nadgorliwa służebna wyrzucili go przy okazji wielkich porządków; może go zjadły z apetytem myszy na poddaszach Hampton Court.

Lord Burleigh również otrzymał troskliwie dobrane prezenty. Wielki kanclerz rozpywał się w uśmiechach i gratulacjach, od niedawna sam doszedłszy do przekonania, że Drake miał słuszość, że Hiszpanii należy szkodzić na każdym kroku, byle nie dopuścić do jawnej wojny. Burleigh nie zakwestionował losu, jaki spotkał Thomasa Doughty. Zdziwiło to nieco Drake’a chociaż był dobrze przygotowany do bronienia swego postępu. Nie miał jeszcze dość eksperjencji w stosunkach z politykami, by wiedzieć, że nie posiadają pamięci, gdy im z tym wygodnie.

W całej Anglii tej nocy ucztowano i pito zdrowie bohaterów podróży dookoła świata. Królowa kazała na własny koszt fundować piwo lon-dyńczykom. Na wsiach i w miastach podobnie robili burmistrzowie i szeryfowie. Następnego ranka, jak Anglia długa i szeroka, mężczyźni obejmowali dłońmi bolące głowy i gasili pragnienie chłodną wodą, podczas gdy matki podejrzliwie obserwowały niezamężne córki i obmyślały, jakich młodzianów najłatwiej by zaciągnąć do ołtarza - w razie pilnej potrzeby.

Kiedy Drake zszedł na ląd ze swego starganego burzami statku na nabrzeże w Plymouth, zapytał Williama Hawkinsa, który razem z Mary biegł go uściskać:

- A cóż to dzwony nie dzwonią dzisiaj, niedzielnym rankiem?

- Przecież dziś jest poniedziałek - odparł zdziwiony William. W ciągu całej podróży „Golden Hind” żeglowała na zachód, ale, w spisanych datach nikt nie wniósł

poprawki. Zgubiono dzień!

Nie było porannych dzienników, by rozniosły wiadomość po kraju. Ale jednak wieść o powrocie Drake'a rozniosła się jak pożar na suchym wrzosowisku, na północ i południe, na wschód i na zachód. Domokrążni handlarze, przekupnie, żebracy, włóczędzy, nawet wędrowni kaznodzieje powtarzali nowinę, zapewne z upiększeniami. Ci, co opłynęli glob dookoła, stali się pierwszymi bohaterami narodowymi spośród angielskich żeglarzy. Ich przedsięwzięcie wydawało się klechdą ludową, fantastyczną baśnią o tym, jak genialny bohater przechytrzył, poranił i zatriumfował nad ciężkim i powolnym olbrzymem. We własnym żywiole, na morzu, dowodząc załogą, Drake bez wątplenia był swego rodzaju geniuszem. I nie zabrakło mu tego łutu szczęścia, koniecznego do rozwinięcia skrzydeł nawet geniuszowi. Urodził się w epoce, kiedy Anglia na nowo odkrywała własną narodowość, jej młodzież paliła się do przygód, jej kupcy wychylali się w świat po fortuny. Był nie tyle wodzem narodu, ile przykładem, a miał jeszcze to szczęście, że włądała wówczas monarchini, której instynkty - patriotyczne, protestanckie, ekspansjonistyczne i nie nazbyt skrupulatne - odpowiadały jego własnym.

Król Filip posłał do Anglii emisariusza, zaopatrzonego w wielką sumę pieniędzy do wypłacenia temu, który by spowodował śmierć grabieżcy Chile i Peru. Emisariusz skontaktował się z bratem Thomasa Doughty, Johnem, który otwarcie nazywał Drake'a mordercą. Uknuto spisek, ale jeden z jego uczestników wpadł i wydał współników. Johna Doughty aresztowano i nie wiadomo, co się później z nim stało - historia milczy na jego temat. Od tej pory król Filip coraz wyraźniej umacnia się w postanowieniu inwazji na Anglię, gdy tylko pozwolą mu na to jego kłopotliwe powikłania.

Otrzymaawszy rozkaz królowej przyprowadzenia „Golden Hind” do Deptford, Francis Drake namawiał żonę:

- Musisz pojechać z nami.

- Niemożliwe. Nawet strojów takich nie mam, w jakich trzeba by się pokazać.

Francis rzucił garść złotych monet na stół.

- Więc zamów je natychmiast! U Hawkinsów w magazynach znajdziesz najpiękniejsze materie, a w Plymouth dość chyba jest szwaczek, które potrafią uszyć coś odpowiedniego.

- Nie, nie, nigdy. Nie umiałabym się zachować. Głupio bym wyglądała, głupio bym się czuła. Każda z tych dam gapiłaby się na mnie, pudrując nos i podśmiewała się ze mnie.

- Więc upudruj własny nos i podśmiewaj się z nich! A sama królowa wcale się górnienie nie nosi, ma przyjemne maniere, łatwe, bezceremonialne, może tylko fircyków i sykofantów odtrąca...

- Nie nosi się górnio wobec ciebie. Jesteś sławny. Tyle osiągnąłeś! Ale czemu by królowa i jej dwór mieli się przyjemnie zachowywać wobec córki wieśniaka?

- Kiedy objędzą swoje królestwo, co jak wiesz, robi bardzo często, miłościwa pani często przyzywa osoby z tłumów, by z nimi porozmawiać. Zaprasza ich do swej karocy, wypytuje o to, jakie mają traktowanie ze strony burmistrzów i szeryfów, dziedziców i urzędników, a jeśli usłyszy skargi, to biada winowajcom! Co do ciebie - kobiety w całej Anglii zazdroszczą żonie Francisa Drake!

- Zgadzam się na twoją sławę - powiedziała Mary. - Przeczuwałam ją na długo przed tym, zanim na dworze usłyszano twoje nazwisko. Ty, oczywiście, musisz posłuchać wezwania królowej. Ale ja jestem, czym jestem. Tego zmienić nie możesz. I nie namówisz mnie...

- A jeśli ci rozkażę?...

- Będziesz mnie musiał związać i zanieść...

Francis odwrócił się z gniewem i odszedł, mówiąc jeszcze:

- Więc nic ciebie nie obchodzi!

A Mary zawołała za nim głosem drgającym od łez:

- Kocham ciebie... wiesz o tym. Ale nie mogę się zmienić...

W dniach po ceremonii pasowania na rycerza, królowa życzyła sobie mieć Drake'a wciąż przy sobie. Zamykała się z nim całymi godzinami, dzień po dniu i rozpytywała go dokładnie, ze szczegółami, o całą podróż. Jego opowiadanie brzmiało w jej uszach najpiękniejszą muzyką. Zwyczajowe dochody skarbu - opłaty celne, monopolowe, podatki, dodatkowe opłaty, ściągane od możniejszych poddanych - nigdy nie wystarczały na pokrycie potrzeb rządu i wcale nie skąpego dworu, który uważała za konieczny dla swego prestiżu, na subsydia, regularnie wypłacane dla poparcia protestantyzmu w Europie. A tutaj jej pirat oszałamiał ją opowieściami o wielkim hiszpańskim ogrodzie w Nowym Świecie, gdzie owoce i kwiaty były złotem, srebrem i klejnotami - i i które będzie zrywał dla niej, na jej skinienie.

Jej królewska mość zarządziła, że sławny teraz statek zostanie zachowany, jako pamiątka narodowa. Przez wiele lat „Golden Hind” stał w suchym doku, aż wreszcie, nieodpowiednio konserwowany, rozpadł się. Jedyłą znaną dziś pozostałością „Golden Hind” jest zrobione z jego drewna krzesło, stojące w Bibliotece Bodlejańskiej w Oksfordzie.

Popularność Drake'a w stolicy doszła zenitu. Miał on jakiś osobisty magnetyzm, a także talent zyskiwania sobie sympatii. Na ulicach, w zajazdach, wszędzie rozbrzmiewało jego nazwisko, tłumy się gromadziły kiedy tylko się pokazał. Pisano i śpiewano o nim prymitywne ballady.

Inna atmosfera panowała na dworze. Chociaż widelców jeszcze nie znano, strojni kawalerowie i damy wpychali sobie mięso palcami do ust, a psy włóczyły się pod

stołami, chrupiąc w zębach odrzucane kości, jednakże ten dwór, z jego wykwintnymi, bogatymi strojami, jego dość powierzchowną rycerskością, miał swój własny styl, jaki zwykle wytwarza się w ekskluzywnym, otoczonym zawiścią środowisku. Drake do tego stylu nie umiał się dostosować. Imitował sztukę prawienia komplementów, ale niezdarnie i rażąco. Nie zabawiał się wytwornymi flirtami - pojedynki płci był mu obcy, nie dbał o płeć piękną. Nie umiał, jak to było w zwyczaju na dworze, wyrażać swych uczuć zgrabnymi sonetami. Paradował, przesadnie wystrojony i bez gustu obwieszony klejnotami, po pałacu, chełpiąc się łaską królowej. Nosił płaszcz, na którym, gdy go rozpostarto, widniała wyhaftowana scena na pokładzie „Golden Hind”, kiedy to królowa patrzyła, jak ambasador francuski pasował Drake’a na rycerza. Żadna nieśmiałość lub niezręczność Mary nie wzbudziłyby tylu szyderstw i ledwie ukrywanego pogardliwego śmiechu, ile wywoływała chełpliwość jej zarozumiałego małżonka. Kapitan Wynter, obserwując wyczyny swego dawnego admirała, z żalem porównywał je z jego zachowaniem na morzu. Tam - żadnej arogancji, chełpliwości, ostentacji. Stanowił jedno ze statkiem, załogą i morzem.

Drake próbował kosztownymi podarunkami wkupić się w środowisko arystokracji. Odtrącali i jego, i jego podarunki. Dla nich był wulgarnym parweniusem, rozpanoszoną dzięki zyskom z piractwa. Niejaki Sir Bernard Drake, potomek starego rodu tego nazwiska, o herbie przedstawiającym trzy jaszczury, wyparł się wszelkiego pokrewieństwa z żeglarzem. Ale Francis przyjął ten sam herb. Sir Bernard, stary już człowiek, wpadł w pasję, a spotkawszy Sir Francisca na ulicy, stanął i zatrzymał go:

- Jakim prawem śmiesz, ty plebejusz, przywłaszczać sobie herb mojego rodu? - zapytał i zadał łaską cios w ucho admirała.

Sir Francis, zaskoczony, pohamował się jednak i szanując siwe włosy starca, nie odwzajemnił ciosu. Odpowiedział spokojnie:

- Przyjąłem za herb trzy jaszczury, jako należny wszystkim, którzy noszą nazwisko Drake.

- Tylko ja mam prawo do tego herbu! - wykrzyknął z uniesieniem Sir Bernard. - Nie pozwolę, by syn jakiegoś ubogiego pastora dzielił go ze mną, bo jest bezczelnym głupcem, że pretenduje w ogóle do herbu!

Sir Francis nadal wstrzymywał się od rękoczynów, ale język wymykał mu się spod kontroli:

- Ja nie pretenduję do herbu. Ja na niego zasłużyłem, zdobyłem go z chwilą pasowania mnie na rycerza. Ale cóż pan może wiedzieć o zdobywaniu? Pan i ludzie pańskiego pokroju żądają respektu za nic, przyodziewają się w wyimaginowaną chwałę nazwiska, jakby to było nadzwyczajnym osiągnięciem po prostu urodzić się w

jakiejś rodzinie. A ja i moi towarzysze, tak, synowie ubogich rodziców, my wam wszystkim napełniamy szkatuły! Zdobywamy skarby i zaszczyty.

Sir Bernard spuścił głowę i jakby się skulił. Nagle widać było, że jest bardzo stary. Odwrócił się i odszedł bez jednego więcej słowa czy gestu. Sir Francis, któremu uniesienie prędko minęło, patrzył za nim, żałując swoich słów, choćby i słusznych.

Królowa, dowiedziawszy się o incydencie, potraktowała go jako żart i uwieńczyła własnym, okrutnym żartem:

- Z naszej woli i łaski będziesz miał herb lepszy od tego, jaki nosili Sir Bernard i jego przodkowie.

Na bardzo ozdobnej i skomplikowanej tarczy herbowej, jaką kazała nadać świeżemu rycerzowi, widniał okręt, a na rei okrętu, powieszony do góry nogami - jaszczur!

Po powrocie Drake'a do Plymouth mie'szczanie wybrali go burmistrzem, w której to roli rozwijał działalność równie skuteczną i energiczną, jak na pokładzie swego statku. Lokalne samorządy dawały pod dostatkiem sposobności tak dynamicznemu człowiekowi. Zapewne blisko połowa ludności Anglii - licząca wszystkiego około pięć milionów - żyła w nędzy, łagodzonej tylko sporadycznymi jałmużnami pobożnych chrześcijan. Ustawa, uprawniająca lokalne władze do ściągania dodatkowego podatku od właścicieli nieruchomości na cele zapomóg dla ubogich, rzadko gdzie była stosowana. Drake doprowadził do ścisłego przestrzegania ustawy w Plymouth i w całym hrabstwie Devon. - Jeśli w epoce elżbietańskiej dużo było nędzy, dużo było też zabaw. Nawet biedni lubili rozrywki. Powszechne było muzykowanie, tańce. Żonglerzy, akrobaci, kłowni, treserzy niedźwiedzi, trupy aktorskie - wszyscy oni wędrowali po kraju, zabawiając mieszkańców wsi i miast. Popularna była też gra w piłkę nożną, opisywana przez współczesnego kronikarza jako „przyjacielska bójka”. Wszyscy mężczyźni i chłopcy jednej wsi grywali przeciw męskiej ludności drugiej; za boisko służył gościniec. Łamano ręce i nogi, nierzadko nawet głowy rozbijano w tej cotygodniowej bijatyce. Jeden z obserwatorów zauważa: „Jeśli to ma być tylko naszą zabawą, chciałbym, żeby Hiszpanie się temu przyjrzeni; ogarnąłby ich na pewno strach przed naszą wojaczką.”

Szczucia zwierząt i ptaków do walki nie uważano jeszcze za okrucieństwo. Na specjalnie urządanych arenach w pobliżu miast, szczuto psami byki lub niedźwiedzie. Walki kogutów rozpowszechnione były wszędzie. Namiętnie uprawiano myślistwo. Wielkie lasy, obfitujące w jelenie, były w teorii zarezerwowane dla monarchy i arystokracji, ale kłusownicy kpili sobie z zakazów i ryzykowali okrutne kary, ze śmiercią włącznie, by się pożywić wyborną dżiczyzną. Zające i króliki, znajduwane poza obrębem prywatnych posiadłości, dostarczały pożywienia dla głodnych rodzin a zarazem sportu dla polujących z psami, z łukiem i strzałami.

Drake poświęcił dużo uwagi problemowi włóczęgostwa, szerzącemu się w całym kraju. Niewiele mógł wskórać, gdy chodziło o wędrownych biedaków, którzy sypiali pod żywoplotem albo w stodole, wyżebrali pajdę chleba z mlekiem od gospodyni, a odwzajemniali się kradnąc kurę lub jagnię. Ale w samym Plymouth zdołano pohamować szerzącą się plagę włóczęgów, nękającą wszystkie większe miasta, zebrzących a nierzadko napadających i rabujących. Drake w swoim okręgu zredukował ich liczbę, zorganizowawszy straż z byłych marynarzy. Autentycznych żebraków żywno i odprawiano z małym datkiem: dla rozbójników nie było łaski.

Stanowisko burmistrza i energiczna działalność sprawiały dużo satysfakcji Sir Francisowi: znajdował również przyjemność w kompanii zamożnych mieszczan, którzy nie zadzierali nosa i chętnie zgadzali się na przewodnictwo młodszego od nich żeglarsza, choćby dlatego, że sława jego nazwiska ułatwiała ściąganie lokalnych podatków i utrzymywanie ładu. Ale Drake rad był dopomagać innym tak długo, dopóki go słuchali i zgadzali się na jego plany. Niestety Mary należała do tych, których nie dało się uszczęśliwić na siłę. Francis zakupił jeszcze jedną posiadłość dawniej należącą do klasztoru zlikwidowanego przez Henryka VIII w okresie reformacji. W tym tak zwanym Opactwie Buck-land, Mary czuła się jeszcze bardziej skrępowana i nieszczęśliwa, niż w poprzednim ich domu. Francis wyjeżdżał na całe dnie, a jeśli do Londynu, to i na całe tygodnie. Czas ani przyzwyczajenie nie pogodziły jej z pozycją żony sławnego i wpływowego człowieka.

Damy z okolicznych dworów musiały się pogodzić z obecnością Mary wśród nich, kiedy siadywała w kolatorskiej ławce w miejscowym kościele. Ale traktowały ją z wyniosłą łaskawością, jaką mogłyby okazywać własnej kucharce, która wyszła za ziemianina. Jej mąż zarzucał Mary zbytnią skromność, niechęć do kosztownych strojów, niepotrzebną oszczędność. Ludzie będą myśleć, mówił, że moje podróże wcale nie były tak wielkim sukcesem, jak to rozgłaszano. Istotnie, tak było.

Zimą roku 1583, Francis postanowił wydać wielkie przyjęcie dla znajomych z Plymouth i dla okolicznej szlachty. Nie wyrzekł się jeszcze nadziei wdarcia się do ekskluzywnych kół towarzyskich. Wierzył w wartość zasług, a nie był wcale skromny w ocenie własnych. Nikt jeszcze nie myślał o równaniu w dół. Czemu służyłyby ambicje, jeśliby degradować tych, którym chciano dorównać? Marzeniem Drake'a, nigdy nie zrealizowanym, było, aby szlachta i arystokracja przyjmowały go na równej stopie.

Do wielkiego przyjęcia przygotowywano się też na wielką skalę: najwyborniejsze wina, wyszukane potrawy, orkiestra przygrywająca do uczyty i do tańca. Ciężkie platformy zwoziły nowe, kosztowne meble i urządzenia do Opactwa Buckland.

Mary protestowała:

- Marnotrawstwo i próżność - mówiła. - Ci, których zaprosisz, przyjdą, objedzą się i będą ci w oczy schlebiać, a później nas wykpią i wyszydzą.

Wiedziała, że jej słowa na nic się nie zdadzą, ale miała słuszość. Wiele kobiet radowałoby się zbytkiem, jaki im przypadł w udziale, wcisnęłoby się siłą do kompanii wytwornych dam, traktując ich wyniosłość i szyderstwa jako objawy zawiści. Ale Mary nie z takiej była gliny ulepiona. Mogła być szczęśliwą żyjąc skromnie w małym dworku, ale nie w pałacu. Wyrrywające się jej od czasu do czasu skargi więcej martwiły ją samą, niż Francis. Nie miała dość siły woli, by na niego wpłynąć. Onieśmielał ją. O wiele lepiej się czuła w kompanii Toma Moone, który odnosił się do niej z opiekuńczym respektem, podobnie jak do swego admirała, na morzu czy na lądzie. Moone był prostoduszny i uczciwy, toteż widział jasno brak harmonii między tymi dwojgiem, do których był szczerze przywiązany.

Na krótko przed wielkim przyjęciem, Moone zebrał się na odwagę i powiedział do Drake'a, taktownie, jak mniemał:

- Twoja żona nie gustuje, jak się zdaje, w zbytkownym życiu.

- Ona tego nie pojmuje, a w każdym razie nie jest posłuszna woli męża, która winna być dla niej prawem - odparł Drake.

Rzeczywiście, taki był obyczaj epoki.

- A jej własna wola?... - nalegał Moone.

- Dość tego, Tomie. Byliśmy zawsze dobrymi przyjaciółmi, ty i ja, i ufam, że nimi pozostaniemy.

Moone znał dobrze swego zwierzchnika. Po tonie głosu Drake'a zorientował się, że nic dobrego dla nikogo nie wyniknie z tego, gdyby próbował kontynuować rozmowę. Skończone. Nad wszystko inne Tom cenił sobie przychylność i dobrą opinię admirała. A co do Drake'a - nie mógł zmienić swej natury tak samo, jak swojej natury nie mogła zmienić Mary.

Przed laty Mary miała nieszczęście zakochać się w człowieku, który był jej przeciwieństwem pod względem temperamentu, dynamiki usposobienia i ambicji. Francis, którego wyjątkowa energia i aktywność po części może wpływały z ograniczeń jego potrzeb seksualnych, dał się zaprowadzić w to małżeństwo z powodu okoliczności i konwencji społecznych. Żona i mąż, oboje padli ofiarą ślepych sił, nad którymi nie mieli kontroli.

Wielkie przyjęcie się odbyło. Mary nienawidziła każdej jego chwili, jak się tego spodziewała. Jedna czy druga z żon notablów miejskich podchodziła do niej przyjaźnie i z dobrocią. Ale większość całego bardzo licznego zgromadzenia zwyczajnie ją ignorowała, po pobieżnym, obowiązkowym powitaniu. Ani też Mary ze swojej strony nie czyniła żadnych wysiłków, by zyskać czyjąkolwiek sympatię. Wylewny, hałaśliwy Francis narzucał gościom swoją osobę, a ci liczyli się z nim, ponieważ mieli nadzieję sprzedać mu ziemie albo zainwestować w jego następnym morskim przedsięwzięciu.

Mężczyźni - prócz pana domu - pili za dużo, pod wpływem alkoholu pozwalali sobie na zbytnią swobodę.

Parę kobiet zachęcało ich, ale większość siedziała z zaciśniętymi w dezaprobie ustami, czekając świtu, kiedy to słudzy przyjdą i pomogą swym panom dostać się do pojazdów, albo nawet dosiąść koni, na których lepiej się czasem trzymali, niż na własnych nogach.

Podczas przyjęcia Mary w pewnej chwili poszukała wytchnienia, wymknąwszy się na taras. Noc była chłodna, mglista. Następnego dnia

Mary leżała w łóżku z wysoką gorączką. Wezwano miejscowych lekarzy, którzy puszczali jej krew i zapewniali, że niedługo będzie zdrowa. Mylili się. Gorączka nie ustępowała, a chora z każdym dniem słabła. Królowa podówczas przebywała z wizytą w wiejskiej siedzibie jednego z magnatów, o 80 km w głąb lądu. Drake posłał na najszybszym wierzchowcu specjalnego gońca do Sir Francisa Walsinghama, należącego do otoczenia królowej. Elżbieta, dowiedziawszy się o chorobie Mary, posłała swego osobistego lekarza. Ale i on nie poradził lepiej od jego skromnych kolegów po fachu. Mąż siedział dniami i nocami przy łóżku chorej żony, pielęgnował ją, obserwował każdą zmianę, trzymał ją za rękę. Nie wciągał jej żaden wir, nie traciła przytomności. Wydawało się, że nareszcie znalazła uspokojenie. Zwyczajnie zanurzała się w głębinę, której objęcia chętnie witała.

Francis Drake był przyzwyczajony do śmierci. Na morzu obcował z nią na co dzień. Widział śmierć braci i druhów okrętowych, sam wciąż walczył o ich życie i swoje własne. Robił wszystko, co było w jego mocy, by uratować Mary. Ale ona nie chciała żyć. W pewnym sensie była to może jego wina. Tylko, że gdyby stał się człowiekiem, jakim Mary chciała go widzieć, gdyby po podróży do Nombre de Dios został w kraju, usatkwował się i siedział w domu - dzieje Anglii nie znałyby genialnego żeglarza, a na kartach historii zabrakłoby jednej z największych i najbarwniejszych postaci.

Część trzecia

ADMIRAŁ

Rozdział 16

Ślub - i spóźniony rozkaz

Szafirowe lub szkarłatne płaszcze, wykończone futrem, wyszyte złotą nicią, spodnie wypchane jak bufy, obuwie z długimi szpiczastymi nosami, też kolorowe i też obszyte futrem. W takich strojach Sir Francis Drake, wdowiec paradował po Londynie z początkiem roku 1584. Chciał pozostać na widowni, zachować popularność, a nade wszystko zyskać poparcie królowej dla swojej następnej ekspedycji. Wybierał się do Indii Wschodnich. Musiał zgromadzić tak silną flotę, by zaanektować dawniejsze portugalskie wyspy, obecnie teoretycznie hiszpańskie. Elżbieta, przewidując, że może będą jej potrzebne okręty i żeglarze do obrony granic własnego królestwa, nie zgadzała się na to, by najślawniejszy i najdzielniejszy z jej wilków morskich przedsięwziął właśnie teraz daleką, długą, ryzykowną eskapadę. Więc Drake zmienił plany i przedstawił propozycję, która nie odciągnęłaby statków daleko od Anglii: najazd na hiszpańskie posiadłości na Karaibach.

- Statki najjaśniejszej pani mogą żeglować, gdzie i kiedy zechcą - nalegał i usłyszał żartobliwą odpowiedź:

- Mogą, byle im pozwoliła flota króla Hiszpanii!

- Niechby popróbował! Zatopimy jego okręty - zapewniał Drake. - A za powrotem przywieziemy skarby, dorównujące dochodom najjaśniejszej pani za kilka lat. Błagam o pozwolenie rozmów z inwestorami, gromadzenia zapasów, szykowania statków...

Kusząca propozycja. Ale, jak zwykle, Elżbieta widziała dwie strony każdej sprawy. Nie była tak pewna, jak jej pirat - zawsze skłonny do przesady - wyższości swoich statków nad połączonymi siłami Hiszpanii i Portugalii. Hamowana własną przezornością, nie mogąc się zdecydować na to, ku czemu ją serce ciągnęło, odparła ostro:

- Nie tak szybko, mały człowieczku! Twój plan, choćby nawet na pierwszy rzut oka niezły, musi być jeszcze rozważony, obgadany z lordem Burleighem, Walsinghamem i innymi. A ostateczna decyzja zależeć będzie od... - Tu królowa przerwała i uniosła w górę brwi.

- Od... czego, najjaśniejsza pani?

- Od naszych stosunków z królem Filipem. Jeśli się pogorszą - tak, może dostaniesz permisję, której pragniesz, razem z okrętami, ekwipunkiem i amunicją. Ale jeżeli będą lepsze, może trzeba będzie skrócić cię o głowę za propozycje na szkodę cennego alianta naszego królestwa! - Oczy Elżbiety zamrugały porozumiewawczo. - Przyjdź za miesiąc, powiem ci, czy masz czekać jeszcze pół roku.

Drake wycofał się i powędrował szukać poparcia u królewskich doradców. Walsingham palił się do działania. Ale Burleigh, jak królowa ważył wszystko na dwie strony. Rozmawiano o różnych portach na Karaibach, a nawet na wybrzeżach Hiszpanii. Burleigh słuchał, notował, rozważał.

- Trzeba czekać na rozwój wydarzeń - powiedział - i na decyzję królowej.

Elżbieta i Burleigh przerzucali odpowiedzialność wzajemnie na siebie, jak piłeczkę w grze.

Ale czekanie nie oznaczało bezczynności. John Hawkins był głównym administratorem królewskiej marynarki. W rzeczywistości, chociaż królowa posiadała kilka okrętów, nie istniała jeszcze zorganizowana, państwowa flota wojenna. Hawkins zachęcał armatorów do budowania statków o pojemności pięciuset i siedmiuset ton. Naradzając się nieustannie z Drakiem w sprawie ich konstrukcji upewniał, że można je będzie łatwo przekształcić w okręty bojowe i uzbroić w działa. Dawny model statków, nadal stosowany w Hiszpanii opierał się na teorii, że wojny morskie polegają na abordażu i miniaturowych bitwach na pokładach. Przeznaczone do tego okręty miały wysokie forkasztele, z których żołnierze mogli strzelać i zrzucać kamienie w dół na wroga. Musiało też być pod dostatkiem przestrzeni do walki wręcz. Hawkins i Drake zaprojektowali statki, którymi można było łatwo i zręcznie manewrować. Według nich o wyniku bitwy na morzu decydowały działa i obsługujący je kanonierzy, a nie żołnierze. Ich statki były niskie, węższe od dawniejszych i wyposażone w znaczną liczbę stanowisk dla dział.

Ambasador hiszpański, de Mendoza, pisał do swego monarchy:

„Budują statki bardzo liczne... to podnieca ich dumę narodową, bo sobie wyobrażają, że nikt na świecie im się nie będzie mógł przeciwstawić...”

W tym ostatnim zdaniu było zapewne wiele przesady, ale Anglia rzeczywiście czyniła powszechne przygotowania.

Jednocześnie toczyła się dość nikiemna kampania. Lord Burleigh już dawniej oznajmił w parlamencie, że papież „ostatnio przysłał tu do nas całą bandę wędrownych mnichów, zwących się jezuitami, którzy szukają po świecie, gdzie by przysporzyć mogli kłopotów kościołowi Boga.” Bez wątpienia jezuita wywoływali niepokoje w łonie kościoła anglikańskiego, osiągając niemałe sukcesy w ponownym nawracaniu na katolicyzm. „Wędrowni mnisi” byli fanatyczni i gotowi do męczeństwa za wiarę, nawet tego męczeństwa pożąдали. W tym również osiągnęli sukces.

Papież rzucił ekskomunikę na królową i jej protestanckich poddanych, toteż powrót poszczególnych osób na łono kościoła rzymskiego uznany został za zdradę stanu. Burleigh nawoływał, „by służyć Bogu służyć królowej, bo wszelka inna służba jest niewolą u szatana”. Grzywnę za nieuczestniczenie w anglikańskich nabożeństwach podwyższono do dwudziestu funtów szterlingów na miesiąc; więcej,

niż wielu zarabiał przez rok. Chwiejni wyznawcy katolicyzmu przyjmowali pieniądze w zamian za wyjawienie kryjówek jezuitów, którzy często rezydowali w charakterze gubernatorów w siedzibach arystokracji, wiernej dawnej religii. Gdy pojmani księża nie chcieli rewokować, wieszano ich, łamano kołem, ćwiartowano. Istniała niejedna inkwizycja. Jej hiszpańska wersja była potężniejsza i miała większy zasięg, obejmując Anglików, Holendrów, Francuzów, Maurów, Indian i Murzynów. Wersja Burleigha ograniczała się do tych w Anglii, którzy głosili się wrogami kościoła; monarcha był oficjalnie jego głową. Zyskała też uzasadnienie, gdy najęty przez króla Filipa zbir zamordował księcia Wilhelma Orańskiego, przywódcę kalwinistów w Niderlandach. Czy suwerenowi Anglii nie groził taki sam los? Ale pod względem okrucieństwa wersja angielska nie ustępowała hiszpańskiej.

Drake, chociaż zażarty protestant, potępiał torturowania schwytanych jezuitów.

- Jesteś nadto tolerancyjny - powiedział mu Burleigh.

- Wcale nie - odparł Sir Francis. - Tylko nie lubię metod hiszpańskich naśladować.

Nie wszyscy katolicy są wrogami królowej i Anglii, jak się jeszcze król Filip pewnego dnia może przekonać.

- Co więc robiłbyś z księżmi i rewokantami?

- Deportować księży, nakładać wysokie paraliżujące grzywny na każdego, kto ich ukrywa. Moim zwyczajem na morzu jest uwalniać wziętych jeńców.

- Ale twoi jeńcy nie nastają na życie najjaśniejszej pani.

- Nie wiadomo, czy twoi więźniowie, jako jednostki, grożą jej życiu.

- Dobrze, że udziału w rządach nie masz - odparł Burleigh. - Gdybyś miał wolną rękę, toby cały kraj niebawem zaroił się od naszych wrogów. Deportowani do Hiszpanii, Francji czy Niderlandów, wracaliby tutaj i dalej swoją zdradziecką robotę prowadzili.

Drake miał tylko nadzieję, że żadnego zdradzonego i zaaresztowanego księdza nie przyprowadzą do niego, jako najwyższego urzędnika państwowego w hrabstwie Devonu. Tak się złożyło, że żadnego nie przyprowadzono. Wróciwszy do Plymouth, Drake zabrał się do innego rodzaju polowania.

Stary ród szlachecki Sydenhamów z hrabstwa Devonu zubożał mocno. Jego ostatni potomek, Sir George Sydenham ledwie wiązał koniec z końcem. Miał córkę, Elżbietę, która, chociaż dobiegała trzydziestki, pozostała niezamężną. Wysoka, postawna, dumnie się nosiła i zawsze zachowywała pewną sztywność. Przez krótki czas była damą dworu królowej. Miejscowy pastor miał o niej wysokie mniemanie. Elżbieta Sydenham wiele czasu poświęcała na działalność dobroczynną.

Drake dostrzegł sposobność łatwiejszego wejścia w koła szlachty i arystokracji. Sir George gotów był oddać córkę zięciowi, który w zamian hojnie zabezpieczy nie tylko ją samą, ale i jej rodziców. Przyszła panna młoda nie miała zastrzeżeń. Była

inteligentna, chłodna i konwencjonalna. Wiedziała, że setki kobiet będą jej zazdrościć, chociaż nawet Sir Francis nie pochodził ze szlachty, był świeżo nobilitowany i często niezdarny w swoich próbach dorównania manierami wyższym sferom. Elżbieta Sydenham nie oczekiwała miłości. Jej droga do małżeństwa była taka, na jaką wstępowało wiele młodych kobiet. Piękny dom, komfort, zamożność: Opactwo Buckland i inne wiejskie posiadłości Drake'a zostały jej zapisane w chwili ślubu. Według ówczesnych pojęć było to małżeństwo dla obu stron nader korzystne.

Wesele, wyprawione przez Sir George'a na koszt jego zięcia, tym bardziej przekonało Francisca, że trafnie wybrał przyzę. Na przyjęcie przybyło mnóstwo gości z różnych sfer społecznych, arystokracja, szlachta, aż do bogatszych mieszczan w Plymouth. Tom Moone ani żaden ze zwykłych marynarzy z „Golden Hind” nie dostał zaproszenia - ani go nie oczekiwał. Byliby nie na miejscu w tej świetnej kompanii. Walsingham i inni dygnitarze z królewskiego dworu przyjechali, jedli, pili i tańczyli: także kapitanowie Wynter i Chester, bracia Hawkinso-wie i co grubsze szyszki z zachodniego hrabstwa. Wszelkie ewentualne szyderstwa z owego przetargu Sydenham-Drake cichły i zamierały na widok stojącego na honorowym miejscu wśród ślubnych prezentów modelu „Golden Hind”, wykonanego ze srebra, a obok karty, na której życzenia dla nowożeńców wypisane były osobiście ręką królowej.

Od tej chwili w Opactwie Buckland bezbłędnie rządziła równie doświadczona i wyborna pani domu, jak jej mąż był doświadczonym i wybornym wodzem na statku. Elżbieta Drake przywykła do zarządzania służbą. Zmieniła wiele w urządzeniu wnętrza, dowiodła wykwintnego gustu w dekoracjach, meblach i dywanach; nie dawała Francisowi powodów do narzekania na nadmierną oszczędność. On sam tak był rad, jakby znalazł doskonałego szypra dla jednego ze swych statków.

Kompania z pirackich wypraw nie zaglądała więcej do Opactwa Buckland, jak za czasów Mary. Oni sami wiedzieli, że ich admirał wzniósł się na szczyty w swoim zawodzie i w estymie narodu, a zatem należy mu się żyć i mieszkać, jak przystało takiej osobie. W głębi serc nawet się trochę bali tej nowej jego żony, ale ich przywiązanie do admirała wcale nie ucierpiało. Jego zasada: „wszyscy za każdego i każdy za wszystkich” nadal obowiązując na morzu, nie mogła znaleźć łaski w konwenansach tradycyjnego ładu na lądzie. Skądinąd żeglarze nie czuli się całkowicie odcięci od swego przywódcy i bohatera, bo ten odwiedzał ich często w ich domach i zabawiał się z nimi w karczmach w Plymouth. Bez żony, oczywiście.

Zdarzenia, na które Burleigh kazał czekać ambicjom Drake'a, potoczyły się nagle wartkim nurtem. Król Filip, czując się podwójnie pewien swych sił od chwili włączenia floty portugalskiej, postanowił dać nauczkę angielskim heretykom. Rok 1585 był w Hiszpanii rokiem takiego nieurodzaju, że krajowi zagroził powszechny głód. Angielskich farmerów, hurtowników i armatorów uradowała oferta Hiszpanii, która

zamierzała zakupić blisko dwa razy więcej ziarna, niż zazwyczaj. Królowa i lord Burleigh uznali, iż bardzo słusznie przyhamowali szalone plany Drake'a. A jeśli król Filip żywił plany mniej uczciwe, to uspokajał sumienie - jeżeli w ogóle było ono zaniepokojone - przypomnieniem, że sam Ojciec Święty rozgrzeszył swoich wiernych z góry na wypadek, gdyby złamali słowo, dane heretykom.

W miesiąc po wypłynięciu angielskich statków ze zbożem do Hiszpanii, po zachodnich hrabstwach jąła się szerzyć, najpierw po cichu, okropna wieść. Niebawem statek Hawkinsów, „Primrose” pod kapitanem Whitfieldem, który należał do floty zbożowej i wioził ziarno z majątności, między innymi Sir Francis Drake, wrócił do Plymouth. Kapitan Whitfield żeglował wraz z Hawkinsem do San Juan de Ulua i od tej pory żywił w sercu pragnienie pomsty. Sposobność się znalazła, ale z jego opowieści powiało grozą.

- Skierowano nas do różnych portów hiszpańskich, a „Primrose” i dwa inne statki do Bilbao. Stałem w zewnętrznym porcie i bacznie obserwując dostrzegłem, że idą ku nam nie barki po towar, jakich oczekiwałem, lecz duże galery wiosłowe, silnie uzbrojone. Jedna przybiła do naszej burty, a żołnierze na pokładzie się wyroili. Oficer, który okazał się corregidorem (szeryfem) Biskajów, podszedł do mnie ze szpadą w ręku. „W imieniu króla Hiszpanii, powiedział, aresztuję pański statek. Ładunek jest skonfiskowany, a pan i pańscy ludzie udadzą się ze mną na ląd.” - „Chyba martwi, wykrzyknąłem, bo nigdy za życia!” Dobyłem szpady i zaświstałem na gwizdki. Moi ludzie, którzy mieli tylko kordelasy, rzucili się na żołnierzy, przeważnie z gołymi pięściami. Corregidor i ja walczyliśmy na szpady. Byliśmy rozjuszeni, ja i moja załoga, i w parę minut trzech Hiszpanów padło zaszytetylowanych, inni pod ciosami pięści, niejeden z rozbitym nosem lub szczęką złamaną. Zapędziliśmy ich do schodni i luki nad nimi zatrzasnęli. Corregidora pokonałem i do oddania mi szpady zmusiłem. Gdyśmy odbijali, widzieliśmy, jak tamte dwa statki do wewnętrznego portu w Bilbao holowano. Taki sam los spotkał wszystkie statki ze zbożem, które do innych portów skierowano. Hiszpanie zagarnęli ładunki, a załogi do więzienia wtrącili.

- I tylko twój statek, jeden jedyny, zdołał się im wymknąć'

- Tylko jeden.

Sir Francis trzepnął Whitfielda po ramieniu:

- Można polegać na kapitanie z Plymouth!

- I na załodze z Plymouth - dodał Whitfield.

- Byłeś już w Londynie? - pytał William Hawkins.

- Pożeglowaliśmy prosto do Londynu, naszych jeńców pod straż oddaliśmy i raport twojemu bratu złożyliśmy. On mnie zaraz zaprowadził do Sir Francis Walsinghama...

- Który oczywiście powtórzył całą opowieść miłościwej pani - wtrącił Drake. - Co królowa na to? Wiecie, już czuję w nozdrzach zapach dalekiego oceanu, widzę palmy

na Karaibach!

- Królowa, jak mi mówiono, pofolgowała sobie takimi przekleństwami - powiedział Whitfield - jakich jeszcze z jej ust nie słyszano, a to ponoć jest nie byle co! Z pewnością miała powód do gniewu. Przy osobie corregidora znalazłem rozkaz, podpisany osobiście przez króla Filipa, nakazujący konfiskatę wszystkich naszych statków zbożowych, ładunków i załóg.

- Bezczelny zdrajca! - wykrzyknął Drake i zaraz zapytał: - Ilu Hiszpanów wzięłeś do niewoli?

- Włącznie z corregidorem czterdziestu. Siedzą wszyscy teraz w kazamatach i tam zostaną tak długo, mówi mi Walsingham, dopóki Hiszpanie naszych statków i naszych załóg nie uwolnią.

- Może byśmy tak mogli trochę przynaglić jego hiszpański majestat, by się prędzej namyślił?! - powiedział Drake, a William Hawkins zwrócił się do kapitana:

- Dobrze się sprawiłeś, Whitfield, dumni z ciebie jesteśmy. Odpocznij teraz, zasłużyłeś sobie na to.

- A ja śpieszę do Londynu - zawołał Drake. - Miłościwa pani będzie w takim humorze, w jakim chcę ją widzieć!

Opowieść o hiszpańskim gwałcie obiegła cały kraj. Nawet bogaci kupcy, zwykle w trwodze przed czymś, co mogłoby urazić ich do tej pory najlepszego klienta, wybuchnęli oburzeniem i żądaniami represji. Walsingham i inni na dworze nalegali na odwet. Również Burleigh zrozumiał, że nadeszła pora by coś przedsięwziąć. Cała Anglia żądała pomsty. Królowa nie utrzymałaby teraz swego pirata-admirała na smyczy nawet, gdyby tego chciała; ale już nie chciała.

- Flota! - wołała. - Zbieraj w Plymouth największą, jaką zdołasz. John Hawkins ma już nasze instrukcje. Będzie ci we wszystkim szedł na rękę. Odda też do twojej dyspozycji dwa okręty z floty królewskiej. Nasze zlecenie na piśmie szykują w kancelarii. Upoważnia cię ono do wszelkich działań, jakie sam uznasz za stosowne, by uwolnić zagarnięte statki i ich załogi. Odesłaliśmy precz Mendozę z poleceniem, by powtórzył swemu zdradzieckiemu panu, że za każdego angielskiego żeglarza zabitego, albo choćby rannego, jeden Hiszpan w naszych rękach straci życie.

- Czy wasza królewska mość wypowie wojnę?

- Nie. Król Hiszpanii podejmuje wojenne działania bez wypowiedzenia wojny. Więc i my takiej potrzeby nie widzimy. Ty i twoi dzielni żeglarze pouczą go, jakie obyczaje w stosunkach między narodami winny panować, A kapitan Whitfield otrzyma hojną nagrodę.

Drake kłaniał się radośnie i wycofywał tyłem, według ceremoniału. Utworzono spółkę partnerską celem sfinansowania przedsięwzięcia. Oprócz dwóch statków - sześćsettonowego „Elizabeth Bonaventure”, który Drake wziął jako swój okręt flagowy

oraz dwustupięćdziesięcio-tonowego „Aid” - królowa dołożyła jeszcze kilka tysięcy funtów gotówką. Inwestorzy cisnęli się jeden przez drugiego, by dostarczyć statki i fundusze.

Nie tylko nie sprzeciwiając się, Elżbieta Drake jeszcze zachęcała swego męża. Ona lubiła pławić się w blasku jego sławy i używać fortuny, jaką jeszcze by zdobył. Zbyła pogardą wyrażone przez Sir George’a Sydenhama obawy, iż ta wyprawa może jej przynieść nie tyle zaszczyty i dodatkową fortunę, ile wdowieństwo.

- Francis już dowiódł, że go się kule nie mają - powiedziała. - Prócz tego, iluż to ludzi ginie codziennie na lądzie, w wypadkach przy konnej jeździe albo od zarazy. Bóg i tak swoją wolę przeprowadzi, choćbyśmy chcieli naszymi wątłymi siłami coś inaczej przerobić.

Prócz tego, zapisany na jej nazwisko majątek zabezpieczał ją całkowicie.

Pani na Buckland interesowała się i osobiście brała udział w przygotowaniach do wyprawy. Przychodziła na narady z kapitanami, zapraszała tych spoza Plymouth, by zatrzymali się w jej domu. Jej mąż cieszył się szczerze, gdy przy śniadaniu za własnym stołem spotkał rankiem swego kapitana flagowego, Thomasa Fennera; swego wiceadmirała Martina Frobishera, który miał żeglować na sławnym już dwustutonowym „Primrose”, poprzednio dowodzonym przez kapitana Whit-fielda; kuzyna królowej, kontradmirała Francisa Knollysa, dowodzącego czterystutonowym „Galleon Leicester”, dołączonym do ekspedycji przez hrabiego Leicestera, tego samego, o którym niegdyś krążyły plotki, że zostanie małżonkiem królowej Elżbiety; kapitana Edwarda Wyntera, dowódcę „Aid” i kuzyna tego Johna Wyntera, który dwakroć się przeprawił przez Cieśninę Magellana. Do kapitanów devonskich zaliczali się Thomas Drake, Richard, syn Johna Hawkinsa, i Tom Moone.

Marynarze i żołnierze, poszukiwacze przygód zgłaszali się ochotniczo tysiącami. Z całej Anglii wędrowali do Plymouth, z tobołkiem na plecach i mocnym kijem w rękę. Jednym palił się w oczach blask protestanckiego fanatyzmu, inni żądni byli przygód albo dukatów i złota, jeszcze inni chcieli po prostu móc powiedzieć swym dzieciom i wnukom, że żeglowali pod komendą wielkiego Sir Francisa Drake. Wybrano ostatecznie jakieś dwa tysiące trzystu ludzi, nad którymi Drake sprawował najwyższą władzę, jako admirał i generał. Flota, złożona z dwudziestu dziewięciu jednostek, włącznie z pięcioma dwu-stutonowymi zbrojnymi statkami handlowymi, była największą prywatną - oficjalnie - siłą morską, zamustrowaną na wybrzeżach Anglii.

W Londynie ten i ów powątpiewał o umiejętnościach Drake’a zorganizowania tak znacznej ekspedycji, z olbrzymią masą zapasów, broni, amunicji, nawet towarów na handel wymienny. Te ostatnie załadowano w dużej ilości, bo chociaż wybrzeża Hiszpanii były celem bezpośrednim, jednakże jak się spodziewano, inne możliwości mogą się wyłonić, albo też powstaną dzięki inicjatywie pomyslowego admirała. Talenty

organizacyjne Drake'a przekreśliły wszelkie wątpliwości. Był równie zdolnym organizatorem, jak żeglarzem i wodzem. Do codziennej musztry i ćwiczeń żołnierzy uformowanych w dziesięć kompanii, Drake zaangażował jako swego zastępcę, generała-lejtnanta Christophera Carleilla. Razem z nim, z wiceadmirałem, kontradmirałem i kapitanami, Drake planował każdy szczegół. Potrafił powierzyć zadania właściwym ludziom.

Osobiście kontrolował ich działalność. Był nieznużony od świtu do zmroku, a nocami przy świecach i często przy pomocy żony, jeszcze sprawdzał spisy, badał rachunki, ślęczał nad mapami.

Wiele osób mocno się zdziwiło, że Martin Frobisher zgłosił się na ochotnika i że Drake przyjął go z otwartymi ramionami. Frobisher, szlacheckiego pochodzenia, zaczynał karierę jako pirat na Morzu Północnym. Miał jednak ambicje odkrywcy i trzykrotnie wyprawiał się - po raz ostatni w 1578 roku - celem odnalezienia domniemanego północno-zachodniego przejścia z Atlantyku na Pacyfik. Niewiele osiągnął. Żeglował wzdłuż brzegów Labradoru, znanych już poprzednio, potem przez blisko sto kilometrów płynął Cieśniną Hudsonską. Nie ma przejścia północno-zachodniego. Jeszcze wiele lat minie, zanim podróżnicy wymanewrują na północ od Kanady, między arktycznymi wyspami na Morze Beauforta i ostatecznie do Cieśniny Beringa. Frobisher, odnosząc się z pogardą do skromnego pochodzenia Drake'a, a z zawiścią do opłynięcia przez niego kuli ziemskiej, był tym, który podjudził Sir Bernarda do kłótni w sprawie herbu.

Wszystko to nie zapowiadało przyjaznego współdziałania dwóch najslawniejszych angielskich dowódców morskich. Frobisher był rygo-rystą, którego marynarze szanowali za jego niewątpliwe umiejętności, ale nie darzyli przywiązaniem. Zawsze sztywny i oficjalny, ściśle przestrzegał regulaminów i instrukcji; natomiast Drake, w głębi serca zawsze samowolny korsarz, nie dbał o instrukcje zwierzchników, ani o tradycyjne regulaminy, zwłaszcza o dawny priorytet na morzu żołnierzy i szlachty nad żeglarzami. Sam był twórcą nowych autorytetów.

Ale admirał uznawał we Frobisherze wybornego fachowca.

- Martin Frobisher! - wykrzyknął. Takich mi ludzi potrzeba! Zdolnych nawigatorów, odważnych żołnierzy, którzy na swoim statku będą walczyć do ostatniej kuli armatniej, ostatniego strzału muszkietowego, ostatniego pchnięcia dzidą!

Może Frobisher dał się ująć pochlebstwem, może spodziewał się, że tak ambitnemu przedsięwzięciu Drake nie sprosta, a wówczas trafi się okazja by go zastąpić. A z pewnością chciał uszczknąć i dla siebie sławy, jeśli ta ekspedycja sławę ma zyskać. Dla tych czy innych powodów odrzekł kordialnie:

- Od dawna pańskie talenty i osiągnięcia podziwiałem. - Z większą szczerością dodał: - Będę służył pod pańskim dowództwem najlepiej jak potrafię, a niemało

potrafię. Ale proszę mi powiedzieć: odzyskanie statków zbożowych jest chyba tylko pierwszym krokiem, tylko pretekstem do dalszych najazdów na Hiszpanię?

- Oczywiście, oczywiście! Czytasz w moich myślach, i w myślach innych jeszcze osób, o większym znaczeniu i pozycji. Co teraz panu powiem, jako memu wiceadmirałowi, musi na razie pozostać ściśle między nami. Naszym ostatecznym celem jest główne źródło potęgi króla Filipa: bogactwa kolonialne. Więc na Karaiby! Na hiszpańskie okręty i miasta Nowego Świata! Tam im zaleziemy za skórę! Taka jest myśl ogólna, a o szczegółach będziemy decydować w zależności od tego, eo nam w ręce wpadnie i jak nam się uda!

Pod koniec lata roku 1585 wszystko było gotowe.

- Potrzeba nam tylko ostatecznego rozkazu królowej, by rozwijać żagle! - powiedział Drake.

Rozkaz nie nadszedł. Drake nie doceniał jeszcze w pełni usposobienia Elżbiety. Ale Burleigh znał ją nie od dziś. Kurier przywiózł od niego list do Plymouth:

„Nie zwlekaj. Masz pełnomocnictwo. Nie czekaj dalszych rozkazów. Królowa jeszcze rozmyślić się może. Opuszczaj nasze wody natychmiast. Jeśli ci się uda, królowa będzie zachwycona i oczywiście podzieli się z tobą zasługą. A jeśli ci się nie uda - w co osobiście nie wierzę - to będzie mogła się wszystkiego wyprzeć. Niechaj Bóg ci zsyła protestanckie wiatry i z łaski swojej da ci bezpieczny i szczęśliwy powrót”. I jeszcze ostatnie napomnienie: „Spal ten list.”

Burleigh z dawna życzył sobie lepszych stosunków z Hiszpanią. Ale też wiedział, że król Filip będzie gardził Anglią i jej monarchią, jeśli nie spotka się z ostrym odwetem za zagarnięcie statków zbożowych.

- Jego hiszpański majestat - mówił Burleigh do Walsinghama - powinien zrozumieć, że my mamy ostre zęby i wiemy jak gryźć.

Drake'owi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Pośpiesznie ładowano resztę prowiantu, napełniano beczki wodą. I 14 września, z przychylnym wiatrem, dwadzieścia dziewięć statków w pięknym szyku wypłynęło na Atlantyk, ścigane znanym już wołaniem:

- Drake wychodzi na morze!

Szpiedzy hiszpańscy wiedzieli oczywiście o przygotowaniach. Nie czyniono też tajemnicy - umyślnie - z pierwszego, bezpośredniego celu ekspedycji. W dwa dni po wyjściu floty z Plymouth, angielskie załogi wypuszczono z hiszpańskich więzień. Cali i zdrowi, ludzie wrócili na swoje statki, które otrzymały zezwolenie opuszczenia biskajskich portów. A Burleigh odesłał corregidora i innych jeńców hiszpańskich do kraju drogą przez Niderlandy. Królowa zaś nakazała, aby szybki kuter odwołał Sir Francisa. Ten kuter, razem z kurierem królewskim i całą załogą, przyłączył się do

ekspedycji - czy z własnej woli, czy też za pomocą jakiejś perswazji, to nigdy nie zostało ustalone. Drake nie dał się zawrócić z drogi.

Rozdział 17

„NA ŁASCE TEGO KORSARZA”

- Wobec uwolnienia statków zbożowych jaki teraz cel ma nasza ekspedycja? - zapytał kontradmirał Knollys.

- Ten sam co zawsze - odparł Drake. - Szarpać Hiszpanów! Takie ciosy zadawać, żeby król Filip je poczuł!

- Zgoda na to. Ale gdzie i jak, jeśli wolno pytać?

Wyżsi oficerowie zebrali się na pokładzie okrętu flagowego „Elizabeth Bonaventure”. Flota minęła Zatokę Biskajską i wzięła kurs na przylądek Finisterre, na północno-zachodnim krańcu Półwyspu Iberyjskiego. Starszych spośród kapitanów przeraził i oszołomił bezczelną śmiałością plan, jaki Drake im właśnie przedstawił. Jedną rzecz wdrzeć się na wybrzeża Hiszpanii, by uwolnić skonfiskowane statki zbożowe i ich załogi: ale ten plan to już zupełnie inna sprawa. W słowach, które przypominały dawne wezwanie przed atakiem na karawanę ze skarbami na Przesmyku Panamskim, Drake oznajmił:

- Poprowadzę was, by sławę wyrwać z paszczy lwa w jego jamie! Na wasze statki, panowie, niechaj każdy przyniesie zaszczyt naszej królowej, naszej ojczyźnie i naszej protestanckiej religii!

Gdy kapitanowie odchodzili, rozlegały się tu i ówdzie pomruki niesubordynacji. Ale Drake wiedział, co robi. Wprowadził flotę do Zatoki Vigo, rzucił kotwice wśród rozrzuconych tam małych wyseppek, zwanych Bajońskimi i posłał na ląd silny oddział żołnierzy pod wodzą Carleilla z żądaniem prowiantu i słodkiej wody. Gubernator, jękając się, próbował protestować:

- Nie wiem, jakim prawem tu jesteście? Angielskie statki zbożowe wypuszczono, już odpłynęły...

Carleill przerwał mu ostro:

- Prawem silnej floty i wprawnych kanonierów, którzy obrócą wasze miasto w kupę gruzów, o ile bez żadnej zwłoki nie zaspokoicie żądań naszego admirała!

Wkrótce ulicami miasta szły do wybrzeża ładowne wozy z wiktuałami i beczkami wody. Angielscy żołnierze, którzy je eskortowali, zaglądając do bram i dziedzińców, dostrzegli mieszkańców, jak ładowali na muły, co cenniejszy dobytek. Zabrali więc muły wraz z jukami, a Hiszpanie pouciekali do piwnic, gdzie wygrzebywali doły pod kamieniami, by tam schować skarby, które im jeszcze pozostały.

Gubernator tej nocy wysłał kuriera z prośbą o spieszny odsiecz. Ale nawet jedna kompania wojska nie mogła ruszyć z miejsca bez wyraźnego rozkazu najwyższego

biurokraty w Eskurialu, a to musiało potrwać. Tymczasem Anglicy splądrowali statki w porcie, przeważnie małe, załadowane tylko produktami wiejskimi.

Zaraz po powrocie Carleilla rozszalała się burza.-Flota schroniła się na głęboką wodę, by uniknąć rozbicia o brzeg! Przez trzy dni sztorm nie ustępował. Gdy w końcu zaciął, angielskie statki znajdowały się na północ od Vigo. Znalaziono w małej zatoczce flotyllę łodzi, które wymknęły się z portu z uciekającymi mieszkańcami i z ich dobytkiem. Uciekinierzy byli w tragicznej sytuacji. Drake kazał im dać suchą odzież i żywność, ale zabrać rzeczy wartościowe. Nie było tego wiele, znaleziono jednak, według diariusza jednego z żeglarzy „przedmioty z kościoła w Vigo, włącznie z wielkim krzyżem ze srebra, pięknie wyrobionym i podwójnie pozłacanym, wielkiej ceny.”

- No, to będzie odpowiedni podarunek dla miłościwej pani - uznał Drake. - Dowód, że jej wilki morskie potrafią chwytać zdobycz w samej Hiszpanii!

Flota wróciła do portu. Gubernator przesłał list z zaproszeniem na brzeg „przesławnego »E1 Draque«, którego nieustraszoną śmiałość mogę tylko admirować”. Zdrowy rozsądek kazał przypuszczać, że tymczasem jakaś odsiecz przybyła do Vigo, toteż Drake, za stary wróbel, by się dać wziąć na takie plewy, przesłał odpowiedź:

„Z przyjemnością spotkam waszą ekscelencję, ale na środku portu, każdy z nas pojedynczo w małej łodzi.”

Tak się też spotkanie odbyło: gubernator i admirał, każdy stojąc w swojej łódce, wymieniali komplementy.

- Wasza ekscelencja cieszy się tak pięknym portem...

- W którym nasi angielscy goście mogą pozostać, dopóki zechcą...

- Albo dopóki nie przybędą hiszpańskie czy portugalskie okręty z Porto - dokończył Drake.

- Nie docenia pan hiszpańskiego honoru...

- Od którego nie ma już ucierpialem. Ale dziękuję waszej ekscelencji za prowiant i wodę. Nasze potrzeby zaspokojone. A co do waszego suwerena, to proszę mu doradzić, by na przyszłość lepiej strzegł swego kraju.

Nie można się było spodziewać, aby ta rada została przekazana. Drake wiedział dobrze, że gubernator złoży tylko raport o własnej niemocy w obliczu przeważających sił. A chociaż było to prawdą, gubernator nie uniknął gniewu króla Filipa. Angielskie statki odpłynęły, unosząc ze sobą łupy wartości trzydziestu tysięcy dukatów. Zawezwany przed królewski sąd w skalistym gnieździe w górach Guadarrama, w Eskurialu, gubernator nie dojechał tam. W zajeździe, gdzie zatrzymał się po drodze, poderżnął sobie gardło.

Król Hiszpanii miał powody do mściwego gniewu. Haftując na kanwie skromniejszej prawdy, trubadurzy w balladach i pieśniach roznosili po wszystkich

krajach Europy opowieść o bezczelnym najeździe. Przywódcy buntowników - niderlandzkich, przygnębieni zabójstwem Wilhelma Orańskiego, letargiczni w obliczu przytłaczającej potęgi katolickiego olbrzyma, nabierali ducha słuchając, ostrzyli broń, na nowo zbierali siły. Ich wróg był do pokonania! Ich wroga zwyciężył sprzymierzeniec, który wiedział, gdzie i kiedy uderzyć. Od Zatoki Biskajskiej i Morza Północnego aż do wschodnich rubieży Europy, imię „El Draque” stało się legendą.

Markiz de Santa Cruz, pierwszy admirał hiszpański, ostrzegł swego suwerena, że „nie tylko wyspy przy wybrzeżach afrykańskich, ale wszystkie posiadłości waszej królewskiej mości na Karaibach są wydane na łaskę tego korsarza. Ośmielam się nalegać, aby czterdzieści żaglowców, największych i najsilniej zbrojnych, bez zwłoki wyekwipować i w pościg wyprowadzić.” Ale ciężka biurokratyczna machina obracała się zbyt powoli, by doścignąć napastników.

Angielska flota wzięła kurs na południe, zmierzając do portugalskich Wysp Zielonego Przylądka.

- Czy one warte naszej uwagi? - pytał Frobisher. - Zważywszy, że należą teraz do króla Hiszpanii, ostrzeżono je już zapewne o możliwości ataku.

- Kiedy indziej zgodziłbym się z panem - odpowiedział Drake.

- Ale ja mam rachunek do zapłacenia na tych wyspach.

- Jacyś Portugalczycy dopiekli admirałowi w jednej z wcześniejszych wypraw? - odgadywał Frobisher.

- Nie mnie osobiście. Jednemu z synów Williama Hawkinsa, przed trzema laty. W Santiago. Incydent dość częsty, tym niemniej haniebny. Po pertraktacjach z kupcami, młody Hawkins wylądował towary na brzeg. Ale zamiast zapłacić umówioną cenę, gubernator sprowadził wojsko, zagarnął towary i odpędził naszych, trzech zabijając. Taka zdrada nie może ująć bezkarnie, a teraz nadarza się sposobność.

Anglicy byli podnieceni, zadzierzyści. Nawet starsi, przezorniejsi kapitanowie nie wnieśli zastrzeżeń na radzie do projektu Drake'a. W Santiago wysłano na ląd Carleilla z tysiącem ludzi i instrukcjami, by spalił składy towarowe kupców, dom gubernatora i koszar wojskowe.

- Zabieraj prowiant i wartościowe rzeczy, jakie ci wleżą w ręce - pouczał Drake. - Ale nie krzywdź nikogo ze zwykłych mieszkańców ani niewolników. To nie oni dopuścili się zdrady.

W rzeczywistości mieszkańcy nie mieli ochoty ryzykować. Uciekli w góry.

Przez kilka dni marynarze, zostawieni na statkach, obserwowali tańczące płomienie, lecące wysoko iskry nad pożarami. Carleill odszukał szpital, wszedł i zapewnił zakonnicę, że ani im, ani chorym nie złego się stanie. Zerwał się ostry wiatr. Ogień szerzył się gwałtownie, wkrótce prawie całe miasto stanęło w płomieniach. Drewniane, wysuszone domy paliły się jak chrust. Kiedy Carleill wrócił na

morze, jedynym ocalałym budynkiem był szpital. Żołnierze otoczyli go kręgiem, toporami rozbili najbliższe zabudowania, pozostawiając wokół pustą, nietkniętą ogniem przestrzeń.

- Żałuję, że mieszkańcy musieli ponieść straty - mówił Drake do Carleilla. - Nie twoja wina. Bóg miał widać swoje powody, gdy zesłał wiatr, który rozniósł pożar.

Bóg, jak się zdaje, nie sprzyjał też tym, którzy ogień zażegli. Santiago roiło się od szczurów, roznosicieli wszelkiej zarazy. W kilka godzin po odpłynięciu na zachód, ludzie, którzy przebywali na łądzie, zaczęli chorować. „Zła gorączka ich się miała.” Medycy byli bezradni. Pod pokładami, gdzie sypiali żołnierze i marynarze, powietrze było duszne, smrodliwe. Wynoszono chorych na pokład, układano na matach i kocach. Nadaremnie. Marli wciąż, marli tak szybko, że pastory nie mogli nadażyć do nich z ostatnią posługą, a pozostali przy życiu nie mogli nadażyć zaszywać ciała w płótno i wrzucać do morza tak szybko zwłoki się rozkładały. Trzystu ludzi pochłonęły fale.

Z każdą śmiercią podupadała na duchu załoga.

- Dzisiaj mój stary kamrat. Jutro pewno ja!

- Ktoś przeklął tę wyprawę...

- Admirał powinien wydać rozkaz powrotu.

Admirałowi taka myśl nie powstała w głowie. Straty - bezsensowne, nic nie dające - przysnęły i jego. Ale zmagął się z przysnęciem, panował nad sobą. Musiał zachować równowagę między wyraźną troską, która by się udzielała jak febra, a nadmierną wesołością, która by raziła brakiem współczucia. Gdy zaraza szalała, Drake pinasem przejeżdżał od jednego okrętu do drugiego.

- Ilu macie chorych?

- Pięciu, admirale.

- Ilu zmarło?

- Na razie trzech. Boję się, że jeszcze jeden do wieczora nie dociągnie.

- Wezwij załogę, chcę im coś powiedzieć.

Na każdym statku Sir Francis przemawiał do załogi z ojcowską troską:

- Martwię się razem z wami. Boleję nad waszymi zmarłymi towarzyszami. Ale nie traćcie ducha. Zbliżamy się już do Wysp Zawietrznych. Jeszcze parę dni, a zejdziemy wszyscy na ląd, odetchniemy czystym powietrzem, będziemy jeść świeży prowiant, dymem wykadzimy nasze zakażone statki. Boleść przeminie a chociaż nie zapomnimy, jednak zobaczymy wszystko we właściwych proporcjach. Nabierzemy zdrowia i sił, w gotowości do służby królowej. A mamy jeszcze wiele do zrobienia!

Wyspy Zawietrzne były już rzeczywiście blisko. Drake wziął kurs na Wyspę Św. Krzysztofa (St. Kitts), o której wiedział, że jest nie zamieszkana, o klimacie suchym i zdrowym. Gdy statki podchodziły, setki oczu wpatrywały się w piaszczyste wybrzeża, łagodną zieleń wzgórz, wznoszących się ku najwyższemu szczytowi, ukrytemu w

chmurach. Opróżniono statki, powynoszono wszystko: ładunek, zapasy, broń, żagle i liny złożono na brzegu. Wewnątrz wydezynfekowano dymem każde pomieszczenie. Kadłuby oskrobano i Żołnierze i marynarze odzyskiwali siły, opalając się i kąpiąc w ciepłych falach. Pracy było dość. Febrę wiatry wywiały. Świątowano Boże Narodzenie w pogodzie ducha, o ile to było możliwe bez rodzin, jedząc i pijąc. Z kolei spuszczone statki na wodę, ustawiono z powrotem żagle, wniesiono ładunki. Drake zwołał naradę:

- Prosto do serca hiszpańskiego imperium - powiedział. - Santo Domingo na wyspie Espaniola. Ten klejnocik wyrwiemy z korony króla Filipa!

(Dawniejsza Espaniola dzieli się dziś na dwa państwa: Dominikanę i Haiti: Santo Domingo nazywa się obecnie Ciudad Trujillo). Frobisher znowu zaprotestował:

- Ogólnie się mniema, że to bardzo silna forteca. Nikt tam atakować nie próbował.

- Lubię być pierwszym - uśmiechnął się Drake. - Sam fakt, że miasta nigdy nie napadano, musiał garnizon rozleniwzić, a gubernatora wpędzić w nadmierne zaufanie. A klimat tam osłabia, wszelkie siły z ludzi wypija. Przekonacie się, że obrona będzie słabsza, niż myślicie.

Na wziętej po drodze fregacie był miejscowy pilot. Do portu Santo Domingo wejście trudne, mówił, ale o dziesięć kilometrów na zachód od miasta znajduje się doskonale, słabo bronione kotwicowisko. Gdy flota podeszła już blisko, ze statków dojrzano na przylądku u ujścia rzeki Omaza potężną fortecę z czerwonego kamienia. Najwyżej wznosiła się wielka kwadratowa wieża, poniżej platforma otoczona blankami murów z wyzywającymi strzelnicami. Ten zamek istnieje do dziś. Poniżej rozłożyły się piękne kamienne domy z balkonami, zakratowanymi oknami i zielonymi okiennicami. Otaczający miasto mur był wysoki, gruby i wzmocniony bastionami. Wielu obserwatorów ze statków podzielało wątpliwości Frobishera. Jak zdobyć takie umocnienia? Ani atakiem frontalnym ani flankowym. Ale Drake nie wątpił ani na chwilę.

Na zamku wszczął się ruch... ludzie biegali... działa wytaczano i umieszczano na pozycjach, kule układano obok nich w stosy... najwyraźniej pośpieszne przygotowania do obrony.

Drake wsiadł do małej łodzi, by obejrzeć kotwicowisko, wskazane przez pilota. Osłonięta lasem, mała zatoka nie była widoczna z miasta. Gdy wylądował, prawie natychmiast pojawiła się dość liczna grupa Murzynów i Mulatów, dobrze choć niejednocie uzbrojonych. Drake od razu nawiązał z nimi przyjacielski kontakt. Stanowili oni lokalną wersję Cimaronów i jak tamci, nienawidzili hiszpańskich kolonizatorów. A trudno się temu dziwić.

Po zajęciu Espanioli przez Kolumba w roku 1493 rządy hiszpańskie były tutaj, jak i wszędzie w Nowym Świecie, brutalne i okrutne. Jeden z biografów Kolumba, Filson Young, pisze: „Chciwość i krwawe okrucieństwo na skalę, której normalni ludzie nie

mogą sobie wyobrazić, zalały grozą tę niegdyś szczęśliwą wyspę...” Krajowcy z Indii Zachodnich nie dali się przymusić do pracy dla Hiszpanów, więc: „przez całe Antyle krzyż i miecz, batog i Biblia razem szły naprzód... aż cały naród, niegdyś zamieszkujący ten ziemski ogród szczęśliwości, został wycięty w pień, a jego miano wymazane z powierzchni ziemi.”

Jako siłę roboczą w miejsce eksterminowanych mieszkańców, Hiszpanie, jak gdzie indziej tak i tu przywozili statkami niewolników murzyńskich z Zachodniej Afryki. Wielu z nich, jak też i Mulatów, spłodzonych przez białych panów z murzyńskimi kobietami, pouciekało w góry, skąd prowadzili partyzancką wojnę przeciw swym ciemieżcom. Fakt, że partyzanci na Espanioli odważyli się podejść blisko miasta, był dla Drake’a dowodem ich odwagi. Opowiedzieli admirałowi, gdzie stoją straże hiszpańskie, a gdy posłyszeli, że Anglicy zamierzają zaatakować miasto, założywszy bazę w małej zatoce, zaofiarowali się zlikwidować wartowników. Z myślą o ewentualnym napotkaniu przyjaznych krajowców, Drake kazał załadować do pinasa drobne upominki, które porozdzielał między swych nowych sprzymierzeńców.

Gdy już odjeżdżał, jeden z Murzynów przyprowadził mu chłopca, silnego i wysokiego, chociaż liczył dopiero piętnaście lat. Łamaną hisz-pańszczyzną mężczyzna powiedział:

- Weźcie mego syna ze sobą. Na tej wyspie, on zawsze będzie wyrzutkiem. Bądźcie dobrzy dla niego. On marzy dniami i nocami o żeglowaniu na statkach. Pozwól, żeby był twoim sługą.

Chłopiec naprawdę palił się do tego, jak było widać, a Drake wspomniawszy Diego, ulubionego sługę i przyjaciela, zgodził się chętnie.

Następnej nocy, pod osłoną ciemności, Drake z Carleillem i silnym oddziałem żołnierzy wylądowali w zatoce. Admirał pierwszy wyskoczył na brzeg i czujnie obserwował, aż wszyscy zeszli na ląd: ani śladu Hiszpanów. Partyzanci przyszli powiadomić, że droga do miasta jest wolna. Pozabijali wszystkich wartowników tak, że nikt nie uszedł z życiem by wszcząć alarm.

Następnego ranka, cała flotylla lawirując podeszła tuż do ujścia portu naprzeciwko zamku. Działa okrętowe z wielkim hukiem rozpoczęły bombardowanie. Jednocześnie żeglarze zeskakiwali do łodzi, ostentacyjnie ładowali broń, podawali sobie arkebuzy, łuki, strzały - wszystko, by sprawić wrażenie, że szykują się do natychmiastowego, decydującego szturm na port i zamek. Garnizon skoncentrował się na odparciu ataku od morza. Jazda, złożona wyłącznie z hidalgów, ustawiła się do obrony flanki od lądu, zapewne dlatego, że gubernator obawiał się, by partyzanci nie wykorzystali sposobności dla własnych mściwych celów. Działa forteczne ostrzeliwały statki, sporadycznie i nieskutecznie.

Drake wyteżął wzrok i słuch w kierunku zachodnim, czekając nadejścia żołnierzy. Gubernator Santo Domingo był zajęty wyłącznie zagrożeniem ze strony stojącej przed nim floty. Carleill nie maskował swego nadejścia. Wierzył w demoralizujący skutek potężnego hałasu. Dźwięki trąb i bębnow doleciały uszu admirała i gubernatora prawie w tej samej chwili. Późniejszego przebiegu wydarzeń ci ze statku nie mogli dokładnie obserwować. Widzieli tylko jak hiszpańska jazda, półpancerze i szable połyskujące w słońcu, pogalopowała na zachód. Wystrzały. Jacyś wieśniacy biegli w popłochu ku miastu, popychając jeden drugiego. A potem hiszpańscy jeźdźcy galopowali z powrotem, roztrzaskując i tratując pieszych. I za nimi, z nastawionymi pikami, atakujący Anglicy. Żeglarze na statkach wydali wielki okrzyk triumfu.

Z bastionów przy murach miejskich przemówiły działa... dzwony biły na alarm... krzyki... szybki, ostry rytm wystrzałów arkebuzjerów... kobiety krzyczące w panice w wyższych oknach kamienic...

Admirał, wiceadmirał, kontradmirał, kapitanowie i załogi - wszyscy zaznali pełnych napięcia chwil wyczekiwania. Na statkach zapanowała cisza. Mówili do siebie tylko szeptem, jak ludzie, którzy spodziewają się decydującego rozstrzygnięcia, ale sami nic poradzić nie mogą. Dłonie zaciskały się w pięści. Na pokładzie „Elizabeth Bonaventure” Drake chodził tam i z powrotem, jak zwierzę w klatce. Nagle stanął, przechylił się przez burtę i wykrzyknął:

- Brawo! Niech żyje Carleill! Niech żyją dzielni chłopcy!

Chorągiew angielska ze świętym Jerzym załopotowała na wieży kościoła. Widać było żołnierzy hiszpańskich jak wskakiwali do łodzi, aż się zanurzały po burty, i przeprawiali się w poprzek portu do wątpliwego schronienia lasów po wschodniej stronie. W mieście zabłysły płomienie, jak gdyby od ognisk biwakowych.

Wczesnym rankiem następnego dnia, przy pomocy wziętego do niewoli pilota, Drake wprowadził flotę do portu wewnętrznego. Stał tam duży statek handlowy, parę galer i kilka mniejszych żaglowców kursujących zwykle wzdłuż wybrzeży. Zajęto je szybko i bez oporu. Niewolników z galer uwolniono: Murzynów, Anglików, Francuzów. Biali spośród nich przyłączyli się do ekspedycji. Murzynom, razem z innymi niewolnikami, znalezionymi później w mieście, dano broń i puszczono do lasów, do partyzantów.

Carleill, wyściskany przez admirała, złapał tchu w piersi i złożył raport:

- ...poprowadziłem forpocztę. Jednocześnie wzięliśmy szturmem obie bramy do miasta... na skrzyżowaniu dróg tłumy rozproszyły się na nasz widok, uciekając na oslep... słyszeliśmy w kamienicach mieszkańców, barykadujących wejścia, zatraskujących okiennice... Zebraliśmy wozy i różne rupiecie na placu przed katedrą, rozległym i pięknym bardzo, i wznieśliśmy barykady na wypadek, gdyby Hiszpanie zawrócili i zaatakowali, zanim nasze główne siły nadciągną... Nikt nas nie ruszył. A

kiedy główne siły nadeszły, zdobyliśmy prowiant w różnych domach, ogniska rozpaliliśmy i przyrządzili sobie bardzo przyzwoity posiłek... Po zapadnięciu zmroku całą siłą ruszyliśmy do szturm na zamek. Strzelaliśmy, waliliśmy belkami w bramy... nikt się nie odezwał, ani głosu, ani strzału... i wtedy się okazało, że cały garnizon umknął.

- A gubernator? - pytał Drake. - Co z nim?

- Niewolnicy powiadają, że skrył się w lasach razem z żołnierzami i większością Hiszpanów.

Działa z zamku i z bastionów przeniesiono na statki, razem z bardzo niezbędnymi zapasami prowiantu. Ale nie znaleziono prawie wcale złota, srebra, ani klejnotów.

- Jakoś zdołali swoje skarby do lasów zabrać - powiedział Drake. - Pewno mieli dość czasu od chwili, gdy nas dostrzegli, do momentu szturm. Nie szkodzi. Popróbowujemy, może co nieco z powrotem przydzwigają!

Kilku mieszczan, wyciągniętych z ukrycia, posłano do gubernatora z listem, w którym żądano okupu w wysokości:

„...pół miliona dukatów. Jeżeli suma rychło uiszczona zostanie, odpłyniemy stąd i zostawimy was w spokoju. O ile nie, obrócę wasze miasto w kupę gruzów i zgliszcz.”

Posłującym mieszczanom powiedziano, że mogą nie wracać, chyba, żeby gubernator wyznaczył jednego z nich do przyniesienia odpowiedzi. Zdumieni mieszczanie spieszyli się, by przypadkiem Drake nie zmienił zdania. Gubernator odpowiedział, że żądanie jest absurdalne.

- Gdybym nawet każdego z mieszkańców kazał za pięty powiesić, to i tak nie uzbieraliby takich sum. Będę się jednak starał zebrać jedną dziesiątą wymienionej kwoty.

- Nędzny okup - burknął Drake. - Będzie musiał dać więcej, dużo więcej!

W rzeczywistości Santo Domingo nie było podówczas tak zamożne, jak fama głosiła, ani też, jak było dawniej. Jego znaczenie polegało obecnie tylko na tym, że było ośrodkiem władzy administracyjnej na całe Karaiby.

Pertraktacje wlokły się i nic z nich nie wynikało. Drake się zniecierpliwił i wydał polecenie Carleillovi:

- Weź dwustu ludzi i zacznij palić budynki na przedmieściach.

Niszczenie miasta szło powoli. Kronikarz zanotował, że „domy, budowane bardzo porządnie z kamienia, z wysokimi stromymi dachami, przyczyniały nam niemało roboty przy burzeniu, a ogień się ich nie imał”.

„Sześćdziesiąt tysięcy dukatów - targował się Drake - a reszta Santo Domingo ocaleje”.

Pod naciskiem co zamożniejszych kupców, którzy mu towarzyszyli, a pragnęli ocalić swoje siedziby, gubernator zaofiarował dwadzieścia tysięcy. Podpalanie, z

różnymi trudnościami, posuwało się naprzód. Drake, targując się jak przekupka na rynku, opuścił żądany okup do połowy pierwotnej sumy. Wkrótce ujrano hiszpańskiego oficera, zbliżającego się pod białą flagą celem pertraktacji. Murzyński chłopiec powiedział:

- Pozwólcie mi iść, panie. Powiem wam, czego on chce.

- Lepiej nie puszczaj go, admirale - odezwał się kapitan Fenner, mówiąc po angielsku, aby go chłopak nie zrozumiał. - Hiszpanie pogardzają Murzynami.

- Nawet Hiszpan nic złego nie zrobi bezbronnemu chłopcu z flagą pokoju! - odparł Drake.

Mylił się. Hiszpański oficer, uważając się za znieważonego, przebił Murzyna dzidą, zawrócił i odjechał. Chłopiec doczołgał się do nóg swego pana, jak wierny pies, i skonał.

Drake dostał jednego z tych napadów wściekłości, kiedy to przerażał nawet przyjaciół.

- Wśród jeńców jest paru zakonników! - pienił się. - Sprowadzić mi tutaj te golone pałki!

Nieszczęśników zaprowadzono na miejsce, w którym Murzyn otrzymał śmiertelny cios. Rycerskość, humanitarne traktowanie jeńców, czym Drake tak się lubił szczycić - zostały na ten raz zapomniane. Frobisher próbował go powstrzymać, nie potępiając zresztą okrutnej intencji, lecz argumentując:

- Najcenniejszy nawet Murzyn nie wart życia dwóch białych. Drake odtrącił go słowami Starego Testamentu:

- Chłopiec był mój i pomsta jest moja. Zostaw mnie. Wzniesiono naprędce szubienicę, dwóch zakonników powieszono.

Trzeciego wysłano do gubernatora z listem tak obelżywym, że słowa powinny były spalić papier, na którym były pisane, a zakończonym groźbą:

„Co ranka każę dwóch następnych jeńców wieszać, dopóki waszego zbójckiego wysłannika nie przyprowadzicie na miejsce jego zbrodni, aby go tu powiesić z waszego rozkazu i rękoma waszych żołnierzy.”

Później Drake przerzucał winę za swoją wściekłą pasję na brutalność hiszpańskiego oficera. Ale prócz tego zdawał sobie sprawę, że sam po części był winien śmierci murzyńskiego chłopca. I miał już dość przedłużających się targów.

Gubernator z najwyższym pośpiechem wypełnił żądanie: życie za życie. Przesłał również pokorne przeprosiny. Tak, na czwartej ofercie, skończyła się sprawa, która nikomu chluby nie przyniosła.

Gdy mu gniew ochłodził, Drake, z niespokojnym sumieniem, powiedział do Frobishera:

- Dosyc tego. Bierzemy dwadzieścia tysięcy dukatów i podnosimy kotwice.

Hiszpanie zapłacili. Ekspedycja ruszyła dalej w głąb Karaibów, zostawiając za sobą w porcie Santo Domingo olbrzymi pożar. Wszystkie hiszpańskie statki w tym porcie, prócz czterech galer, holowanych przez angielską flotę, podpalono. Frobisher znajdował się na okręcie flagowym admirała.

- Zebrane sumy, - zauważył - nie zaspokoją naszych inwestorów.

Uśmiechnął się. Nie był wcale nierad, że w sprawie okupu Dra-ke'owi się nie powiodło. Ale i tak, wypłacone dukaty warte byłyby ćwierć miliona dzisiejszych funtów szterlingów. Prócz tego marynarze i żołnierze opływali we wszystko przez dwa miesiące i zaprowiantowali się na dłuższy czas. Jednakże Santo Domingo było tylko połowicznym sukcesem, a Drake'owi pozostawiło drażliwe wspomnienie, z powodu jego własnego nieopanowanego wybuchu. Ale głównym celem ekspedycji było udowodnienie królowi Filipowi i Europie, że Anglia jest potęgą morską, z którą należy się liczyć. A do tego Santo Domingo poważnie się przyczyniło.

Drake niełatwo ustępował. Teraz, z oczyma utkwionymi w płonące w porcie statki, odpowiedział Frobisherowi:

- Jesteśmy dopiero na początku naszej wyprawy, nie przy końcu. Mamy czas - i mamy wszystkie hiszpańskie dominia na naszej łasce i niełasce.

Rozdział 18

„WIELKI WYŁOM UCZYNIONY”

Cartagena była tak usytuowana na wybrzeżu kolumbijskim, że kto by nią zawładnął i utrzymał, mógł zablokować dostęp do Panamy, o pięćset kilometrów dalej na zachód. Hiszpańskie okręty skarbowe musiałyby wówczas żeglować do Europy okrężną, daleką i niebezpieczną trasą przez Pacyfik i Ocean Indyjski. I chociaż nigdy dotąd większa nieprzyjacielska flota nie weszła na Karaiby, to jednak podróż Drake’a w latach 1572/73, kiedy to wśliznął się do portu w Cartagenie i bezkarnie stamtąd wymknął, powinna była posłużyć Hiszpanom jako ostrzeżenie. Ale król Filip i jego siły zbrojne czym innym byli zajęci, a wyczyny Drake’a traktowano jako zwykłe pirackie napaści. Nie wymachuje się maczugą, by rozgnieść dokuczliwą muchę. Zresztą uważano, że Cartagena, jako potężna twierdza, obronna po części z natury, po części sztucznie umocniona, a potężniejsza jeszcze od Santo Domingo, oprze się wszelkim szturmom. Taki pogląd dowodził braku wyobraźni, ale utwierdziły go długie lata nienaruszalności. Aż do roku 1586 Hiszpania, jak się wydaje, nie dostrzegąca rzeczy oczywistej - że prędzej czy później inne państwa europejskie upomną się, i to z bronią w ręku, o swój udział w Nowym Świecie.

Podczas owej wcześniejszej wyprawy Drake zapoznał się z portem Cartageny tak, iż mógłby służyć za pilota. Postanowił też sobie zdobyć pewnego dnia tę najpotężniejszą twierdzę hiszpańskich dominiów. Dobrze to świadczyło o autorytecie, jakim się cieszył u swoich oficerów, doświadczonych żeglarzy, iż żaden z nich, nawet Frobisher, nie zakwestionował jego zamiaru urzeczywistnienia tego ambitnego projektu sprzed trzynastu lat.

Miasto prawie dookoła opływały i zamykały fale morskie. Skały wzdłuż brzegu i silny przybój uniemożliwiały podejście wprost od morza; trzeba było się najpierw dostać do wnętrza wielkiej laguny, leżącej na południu. Z dwóch wejść do laguny jedno, Boca Grande, bliższe miasta, było tak płytkie, iż dostępne jedynie dla płaskodennych statków. Między tym wejściem a miastem ciągnął się długi, wąski skrawek lądu, później nazwany imieniem Drake’a, a na południe od niego wyspa, długości jakichś pięciu kilometrów, zwana Terra Bomba. Poniżej wyspy znajdowało się drugie wejście do laguny, żeglowne dla większych statków, Boca Chica.

Laguna, długości około dwunastu kilometrów, dzieliła się na trzy porty: zewnętrzny, z półwyspami i wysepkami, porośniętymi kępami palm, obejmował trzy czwarte całej laguny; środkowy, od zachodu ograniczony owym wspomnianym już wąskim przesmykiem - kamienista plaża, zarośła mangrowii i palmy kokosowe - z

dojściem w postaci cieśniny; i wreszcie port wewnętrzny, mały i płytki, tuż przy mieście.

Całą Cartagenę otaczał potężny mur, wzmocniony bastionami i przyporami, wieżami strażniczymi i blankami. Wieści o trwającej dwa miesiące okupacji Espanioli przywiozły tu już małe, szybkie żaglowce, kursujące po Karaibach. Więc kiedy pewnego popołudnia o godzinie czwartej, angielska flota wpłynęła przez Boca Chica do portu zewnętrznego, wielu mieszczan mniej ufnych niż król, oddalony o tysiące mil, wołało nie ryzykować. Zabierali najcenniejszy dobytek i wynosili się w głąb lądu.

- Zasadnicza taktyka podobna, jak w Santo Domingo - oznajmił Drake na radzie wojennej. - Dywersja i atak od lądu. Szczegóły, kiedy sobie dokładnie ich pozycje obejrzymy.

Rozkazawszy statkom lawirować, dopóki jeszcze było jasno, admirał uważnie przypatrywał się miastu i umocnieniom. Następnie udał się łodzią na statek Frobishera, „Primrose”:

- Wprowadzisz swoją eskadrę do portu średniego. Otworzyć ogień działowy na fort, chroniący port wewnętrzny. Wysadzić na ląd parę oddziałów. Ściągnąć na siebie uwagę nieprzyjacielskich kanonierów i żołnierzy. I wreszcie popróbuj szturmować.

Frobisherowi nie przypadły do gustu takie apodyktyczne rozkazy.

- Chcę stwierdzić, tu, w przytomności moich oficerów, że wyznaczoną mi misję uważam za skazaną z góry na niepowodzenie.

- Jeżeli się przyczyni do ostatecznego zwycięstwa - odparł ostro Drake - to wystarczy. Nie żądam od nikogo więcej, niż wypełniania obowiązku, bez oszczędzania się i chowania za innych.

W takich momentach Drake bywał bezwzględny i szorstki. Nie przywykł do tego, by mieć pod swymi rozkazami ludzi pokroju Frobishera. Nie zastanawiał się też, że urażony podwładny kiedyś później może mu zaszkodzić na królewskim dworze. Drake'a zawsze pochłaniała bez reszty sprawa bezpośredniego sukcesu. Jutro pomyśli o jutrze. Mylił się jednak. Z dzisiejszych jajek miały się jutro wykluć złowieszcze ptaki.

Statek Thomasa Drake'a należał do eskadry Frobishera, który, chociaż czuł się upokorzony i urażony, poświęcił całe swoje nieblahe umiejętności wypełnieniu zadania. A Sir Francis, ledwie ciemności zapadły, przystąpił do szykowania głównego ataku. Lekkie łodzie przewoziły żołnierzy na przesmyk na zachód od środkowego portu. Tym razem bez bębnow i trąb: obowiązywała cisza. Carleill poprowadził ich przez zarośla na piaszczyste wybrzeże od strony morza. Tędy doszli aż pod same mury, unikając ewentualnego zdziśiatkowania ogniem działowym dwóch galeonów, niewielkich ale dobrze uzbrojonych, przycumowanych w porcie wewnętrznym.

Carleill i jego ludzie, brodząc przez fale, podeszli tuż pod umocnienia. Tam, jak zapisał kronikarz: „nasze dzidy okazały się dłuższe od nieprzyjacielskich, a nasze ciała

lepiej osłonięte, bo z tamtych mało kto półpancerze nosił: a nasze szable ostrzejsze. Wyparliśmy wroga.” Lakoniczny opis niesłychanie krwawej i zaciętej walki, w czasie której Carleill sam zabił chorążego i wziął chorągiew. Hiszpanie bronili się zawzięcie, ale w końcu Anglicy przeszli po ciałach zabitych.

„Nie daliśmy im wytchnienia...” Do miasta prowadziła wielka brama, pod pięknym łukiem, dla karawan mułów i mała furtka dla pieszych. Na rynek, położony w samym środku, Anglicy wdarli się szybko, ale tu się okazało, że i Hiszpanie nie próżnowali, kiedy flota Drake’a lawirowała tam i z powrotem w świetle dnia. Każdą ulicę od strony placu zablokowali barykadami, umocnionymi nasypami ziemnymi. Miały one bronić dostępu atakującym, ale teraz przeszkadzały w ucieczce obrońcom, którzy przelazili przez nie w panice, a ludzie Carleilla gnali za nimi. Wywiązała się walka wręcz na ulicach, w której do żołnierzy dołączali się mieszkańcy. Hiszpańskie muszkiety grzmiały zza otworów w bramach; z balkonów wrzeszczące kobiety lały wrzątek, rzucały garnki; postacie w bieliźnie biegały z krzykiem w ciemnościach. Ogólną wrzawę powiększało bicie dzwonów, walenie w bębny i ujadanie setek psów. Komendanta garnizonu raniono i wzięto do niewoli. Niedobitki jego żołnierzy puciekwały z miasta wraz z częścią mieszkańców. Bitwa była skończona.

W szturmie na Cartagena zlekceważono wszelkie uświęcone reguły oblężenia. Należało przecież otoczyć miasto okopami, przewieźć ciężkie działa ze statków. Regularne wojska brytyjskie w osiemnastym wieku tak właśnie postąpiły, straciły połowę ludzi w żarze tropików i od febry, a w końcu musiały odstąpić ze wstydem. Drake był bardziej niecierpliwy i zarazem chytrzejszy. Jego plan ataku, oparty na dokładnej znajomości terenu, został przeprowadzony przez Carleilla z jego zwykłą brawurą. Rzekomo niezdojta Cartagena padła w ciągu paru godzin.

Hiszpanie nie stchórzyli, chociaż ich pokonano. Gdy Carleill policzył straty, okazało się, że miał ponad setkę zabitych i ciężko rannych. Śmierć tylu żołnierzy przyczyniła się może do tego, że sławna subordynacja zawiodła tym razem: rozpaleni walką i chęcią zemsty żołnierze przez resztę nocy mordowali i rabowali. Oddziały, wysadzone na ląd przez Frobishera pod wodzą Thomasa Drake, zostały odparte ze sporymi stratami, ale spełniły wyznaczone im zadanie: dywersję.

Wylądowawszy, admirał radośnie witał dziwnie posepnego Carleilla:

- Na Boga, wspaniale się spisałeś! - winał mu. - Co ci jest? Wyglądasz, jakbyś nie rozumiał, czego dokonałeś!

- Rozumiem, aż nadto dobrze! - mruknął Carleill.

- Ja bym na twoim miejscu skakał i tańczył! - wołał Drake. - O, tak!

I wykonał kilka zabawnych podskoków.

- Przestań, admirał! - wstrzymał go Carleill. - Mam złe wieści dla ciebie. A na dobitkę to moja wina! I tylko powiedzieć mogę, że twój żal mego nie przewyższy. W

walce straty być muszą, ale czemu ich ofiarą padają najzaciejsi? On pierwszy przedarł się przez bramę, kiedy nagle jakiś ranny Hiszpan zwłókł się na nogi i zadał mu dzidą cios w plecy.

Carleill odwrócił się do noszy, naprędce sporządzonych z drzwi i przykrytych prześcieradłem, zabranym z czyjegoś domu. Uchylił prześcieradła. Drake'owi oczy wyszły na wierzch, szczeka mu opadła. Zapanował nad rysami twarzy, ale niepowstrzymane łzy pociekły po policzkach. Ukłąkł przy zwłokach.

- Tomie, Tomie, drogi stary druhu! Ileż to razy w walce staliśmy ramię przy ramieniu!: Nombre de Dios, Venta Cruces, Valparaiso! Ile mórz wspólnie przepłynęliśmy: Atlantyk, Cieśnina Magellana, Pacyfik, Ocean Indyjski... Ile razy twoja odwaga i zręczna dłoń nas ocaliły, ile podstępów wspólnie wymyśliliśmy i przeprowadziliśmy! Tom!

Drake przerwał nagle swoje lamentacje i zmarszczywszy czoło, spojrział pytająco na Carleilla, który, odgadując pytanie, spuścił wzrok. Admirał zerwał się na nogi.

- Jakim sposobem Tom Moone był z wami? Przecież „Francis”, jego statek, do eskadry Frobishera należał?

Ciemny rumieniec zalał twarz Carleilla aż po czołg, aż po jego rude włosy. Nie podniósł oczu, wbitych w ziemię.

- Tom prosił, żeby mógł pójść ze mną. Zaklął mnie, żebym ci o tym nie mówił. Bo dawniej to ponoć był razem z tobą w każdej bitwie czy utarczce. Ale teraz, kiedy ty musisz czasami dowodzić z dala...

Gniew, już wzbierający w sercu Drake'a, ustąpił. Te słowa tak dobrze charakteryzowały starego, dzielnego Thomasa Moone. Lubił walkę.

- Tak być musiało. To już nie czasy „Swana”, którego załoga liczyła raptem siedemdziesięciu ludzi.

- Powinienem być mu odmówić! - rozpacział Carleill. - Tylko, że on wart był tyle, co dodatkowy pluton żołnierzy!

- Kto potrafił odmówić, kiedy Tom się uparł? - Drake poklepał Carleilla po ramieniu. - Stało się, przyjacielu. Pozostaje nam tylko pochować go ze wszelkimi honorami. Na morzu, oczywiście. On by tego sobie życzył.

Rada wojenna miała zadecydować o losie Cartageny.

- Można zająć miasto na stałe - mówił Drake - polegając na posiłkach, nadesłanych z Anglii, co by nam pozwoliło odciąć dopływ złota z Ameryki Południowej do Hiszpanii; albo też ściągnąć okup i odejść. Co robić?

- Jeśli wybierzemy drugą ewentualność, to dokąd się udamy? - zapytał Knollys.

- Moim ostatecznym celem, po opuszczeniu wybrzeży Hiszpanii, było zdobycie Przesmyku Panamskiego. Tam też można zakorkować przepływ złota do Hiszpanii.

- Chyba do takiego przedsięwzięcia ludzi za mało mamy - zauważył Carleill.

Jego opinia należała do tych bardzo nielicznych, które Drake brał czasem pod uwagę.

- Skłonny jestem przyznać słuszność Carleillowi - powiedział. - A jeśli tak, to żadnych konkretnych planów nie mam.

- Co do mnie - wtrącił Frobisher - chętnie bym popróbował zająć Cartagenę na stałe, o ile możemy być pewni nadesłania posiłków.

- Zgodziłbym się z tym - powiedział Knollys - ale bez posiłków, a licząc się z ubytkiem naszych sił, nie moglibyśmy tu utrzymać się dłużej, zwłaszcza, gdyby Hiszpanie zmobilizowali przeciw nam wszystkie siły, jakimi dysponują na Karaibach i w Panamie.

Drake kiwnął głową na znak zgody, a jego brat pytał:

- Czy miłościwa pani naprawdę zechce nam przysłać poważne, liczące się posiłki? I jak długo to potrwa, nim one by tutaj dotarły?

- I mnie nachodzą takie same wątpliwości - powiedział Sir Francis, a gdy mówił dalej, wydawało się, że z dawna już wszystko przemyślał i postanowił, chociaż tym razem zapytał oficerów o opinię i radę. - Musielibyśmy najpierw posłać do Anglii parę szybkich żaglowców, więcej niż jeden, bo jeden mógłby zaginać w sztormie po drodze. To by pomniejszyło naszą flotę tutaj. A prędzej czy później Hiszpanie się opamiętają i zbiorą siły przeciw nam, jak powiada Knollys. Zaś znając najjaśniejszą panią przypuszczam, że niezbyt chętnie zdecydowałaby się osłabiać siły obronne Anglii w momencie, gdy jej stosunki z królem Filipem są napięte, a w wyniku naszych poczynań tu i w Santo Domingo jeszcze się pogorszą.

- Tylko pan, admirale, mógłbyś ją naMonic - zauważył Knollys. - Ale ty jeden właśnie nie możesz opuścić naszej floty.

Frobisher zmarszczył się, bo te słowa sugerowały brak zaufania do jego umiejętności. Nierad był także z domniemania, że tylko Drake ma wpływ na królową.

- I ja znam osobiście sposób myślenia miłościwej pani - rzekł - i jestem pewien, że nie pozwoli, by jeszcze więcej statków wyszło z portów w królestwie. I zupełnie słusznie. Król Filip z pewnością podchwyciłby taką sposobność inwazji na naszą ojczyznę.

- Więc się wszyscy zgadzamy! - oznajmił Drake. - Żądamy okupu. Ale winniśmy pamiętać, że ten okup pewno nie wystarczy naszym inwestorom, którzy dali nam na ekspedycję więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek dotąd w Anglii. Co do mnie, nie tylko o nich się martwię - ostatecznie, wiedzieli, że ryzykują i że profit nie był tym razem głównym celem naszej ekspedycji - ile o wynagrodzenie naszych marynarzy i żołnierzy, którzy sobie na nie zasłużyli. Tu odezwał się Edward Wynter:

- Ja z chęcią zrzeknę się mego udziału w okupie na rzecz mojej załogi.

- Toś powiedział, jak prawdziwy wilk morski! - W ustach Drake'a to była wielka pochwała. - Zrobię to samo!

Jego brat Thomas, Richard Hawkins i Fenner zawtórowali:

- Ja też! I ja'.

- Możemy wszyscy na to przystać - powiedział Frobisher, dodając po namyśle: - Chociaż oni zebrali już niemało zdobyczy.

- I tym razem zatrzymują ją dla siebie - dokończył stanowczym głosem Drake.

Rozpoczęły się targi o wysokość okupu. Okupacja Cartageny trwała sześć tygodni. Sporo mieszkańców zostało w mieście, z początku zabarykadowanych w swych domach. Wkrótce wyleźli z ukrycia i handel zaczął się na dobre. Na rynku kramy zakwitły barwnymi materiałami i jedwabiami, rzemieślnicy wykładali ozdobne naczynia, kute i rzeźbione puzdra, wieśniacy przywozili owoce. Za rozstawionymi stołami popijano wino, nalewane z pękatych baryłek.

Wąskie uliczki, nierówne i wyboiste, zasłane śmieciami, wyrzucanymi z balkonów, były cieniste i chłodne tylko wieczorami i rano, a rozżarzały się upałem, kiedy słońce stało nad głowami. Nieustanny tupot przechodzących mułów - jedyne prawie środka transportu - i dzwonki ich uprzęży łączyły się ze śmiechem urodziwych kobiet, wychylających się z balkonów i cienistych werand, często pięknie rzeźbionych, z głosem dzwonów kościelnych, czasem z pobrzękiwaniem jakiegoś instrumentu. Dzielnice Murzynów, Indian i Mulatów były nędzną kupą ruder, ale inne części miasta chępiły się masywnymi bramami, solidnie zaryglowanymi, prowadzącymi na piękne dziedzińce i ogrody. Cartagena z licznymi kościołami i klasztorami, z katedrą o sławnym wspianiałym ołtarzu, nie najgorzej reprezentowała bogactwa i dumę Hiszpanii.

Drake i jego oficerowie gościnnie podejmowali na swoich okrętach co bogatszych mieszczan, z których wielu powróciło do swych domów, chociaż cenniejszy dobytek zostawili w lasach, pod strażą zaufanej służby.

Któregoś dnia Carleill przyszedł do Drake'a:

- Wiem, że co najmniej jedna Mulatka burdel prowadzi... tubylcze dziewczyny, dzieci prawie... Nasi ludzie już się zwiedzieli, oczywiście. Moich żołnierzy w ryzach utrzymam, ale na marynarzy trzeba twojego autorytetu, admirała.

Bez zwłoki Drake udał się za Carleillem. Ciemnoskóre, nagie dziewczyny tańczyły przed klaskającymi Anglikami, którzy wymknęli się od razu, zobaczywszy admirała. Ten potraktował właścicielkę i dziewczęta - pospiesznie okryte - z poważną kurtuazją i zostawił sporą sumę pieniędzy tytułem kompensaty za stratę obecnych i przyszłych klientów. Z pokładu „Elizabeth Bonaventure” wydał rozkaz, że każdy, kogo by znaleziono w przyszłości w domu publicznym, zostanie przeciągnięty pod kilem.

Wynterowi kazał wybrać ludzi do specjalnych oddziałów, pilnujących wykonania rozkazu. W ten sposób zażegnano jedno niebezpieczeństwo dla zdrowia.

Drugie niebawem nadeszło i wyrządziło więcej szkód, niż obrońcy Cartageny. Współczesny kronikarz, jak zwykle, nazwał epidemię febrą. Tym razem była to zapewne malaria, roznoszona przez moskity z pobliskich mokradeł. Ta sama choroba atakowała regularnie Hiszpanów i być może przyczyniła się do tego, że nie walczyli z taką odwagą i za-żartością, jak w Europie, gdzie słynęli z bohaterstwa. Anglicy umierali szybciej i w większej liczbie, niż wtedy, gdy flota wychodziła z Wysp Zielonego Przylądka.

Kronikarz zanotował, że w tej ciężkiej próbie „admirał przykładem nam świecił. Zarażenia wcale się nie lękając, spędzał długie godziny przy chorych, własnoręcznie im leki podawał, pocieszał ich i zachęcał... W ciągu całej wyprawy wykazywał tak czujną troskę o dobrą/ład we flocie, a towarzyszyła temu taka nieustająca pracowitość jego osoby, że gdyby nawet był najskromniejszym spośród nas, zamiast być pierwszym, i tak by zasłużył na honorowe miejsce”.

Nie było to pisane dla Drake'a, ani przeznaczone dla jego oczu. Znalezioną i opublikowaną znacznie później kronikę jej autor spisał wyłącznie dla swojej rodziny. Tym większego znaczenia nabiera jego świadectwo o Drake'u, jako zwierzchniku.

Najwyższy czas odjechać. Z dwóch tysięcy trzystu ludzi, zaokrętowanych w Anglii, tylko tysiąc zostało, a i z tych prawie jedna trzecia tak była wymęczona chorobą, że ledwo nogami powłóczyła. Przyjęto zaproponowaną ostatnio wysokość okupu: sto dziesięć tysięcy dukatów. Zaprowiantowano statki, przygotowano się do żeglugi. Dnia 31 marca 1586 roku, w wilię odjazdu, admirał i jego oficerowie wyprawili na okręcie ucztę dla gubernatora i biskupa Cartageny.

Opuszczając miasto, Drake utkwiał wzrok w kierunku Panamy. Mniej niż przedtem mógł myśleć o jej zaatakowaniu. Żaden statek nie miał pełnej załogi, natomiast wszystkie były ciężko załadowane prowiantem, łupami i dwustu czterdziestoma zdobycznymi armatami. W sensie finansowym, koszty ekspedycji będą przewyższać zysk. Inwestorom ich wkład się nie zwrócił. Trzeba im przyznać, że wcale się na to nie uskarżali, prócz jednego z nich - królowej.

Bądź co bądź, największe straty poniósł król Filip. Pod Santo Domingo, a jeszcze bardziej w Cartagenie ujawniona została słabość sił morskich i lądowych jego imperium w Nowym Świecie, tego kolosa na glinianych nogach, który nie oparł się ani szybkim najazdom pirackim, ani zorganizowanej akcji wojskowej. Do przyszłej obrony król będzie musiał wysłać okręty, broń i ludzi, których potrzebował w Niderlandach i do ostatecznej rozgrywki z Anglią. W Hiszpanii nie odlewano dział. Trzeba było kupować je we Włoszech, albo za trzykrotną ceną przemycać z Anglii, gdzie nie po raz ostatni znaleźli się ludzie, gotowi zbijać fortuny na uzbrojeniu potencjalnego wroga

własnej ojczyzny. Tak więc hiszpańskie projekty trzeba było pozmienić, co dało więcej czasu wyspiarskiemu królestwu na przygotowanie do wojny, której konieczność dobrze widziała Elżbieta, wbrew wszystkim swoim dyplomatycznym staraniom i wybiegom.

Minął blisko miesiąc, zanim ekspedycja zdołała przepłynąć się przez Karaiby, na zachodni kraniec Kuby. Opóźniły ją przeciwne wiatry i sztormy. Dotarli w końcu na wybrzeża Florydy, spalili hiszpańskie miasto St. Augustine i wylądowali w Wirginii, gdzie Sir Walter Raleigh próbował założyć kolonię. Drake zastał tam stu trzech osadników, beznadziejnie usiłujących wyżyć wśród puszczy i wrogich tubylców. Z zachwytem przyjęli propozycję powrotu do Anglii.

Ci osadnicy zadziwili marynarzy i żołnierzy, dobywając fajek, a zapchawszy je jakimiś wysuszonymi, żółtawymi liśćmi, zapalali je modą indiańską i dymem pykali. Chętnie też uczyli innych nowego obyczaju, o którym mówili, że uwesela i umysł rozjaśnia. Sporo było przy tym kasłania i gorzej jeszcze, ale później zabrano się do sporządzania prymitywnych fajek. Zwyczaj się przyjął. Tak więc, według Williama Camdena, jednego z ojców angielskiej historii, piszącego z początkiem XVII wieku, na statkach Drake'a „przywieziono ową indiańską roślinę, zwaną tytoniem lub nicotina... I od tej pory wielkie jest na nią zapotrzebowanie, a mężczyźni wszędzie zaczęli wdychać śmierdzący dym, który ustami, a czasem nosem wypuszczają: i teraz sklepy tytoniowe spotyka się po miastach tak powszechnie, jak piwiarnie.”

Pod koniec lipca Drake posłał z Plymouth do lorda Burleigha relację z wyprawy i oznajmił o gotowości swojej floty do działania w każdym kierunku, który by królowa zechciała wyznaczyć. „Wielki wyłom uczyniony został, wcale nie do smaku dotychczasowym panom i władcom Nowego Świata”. Odczytując raport, Burleigh zauważył:

- Zaiste, Sir Francis Drake strasznym jest człowiekiem dla króla Hiszpanii.

Do pomniejszych, a nieoczekiwanych sukcesów tej wyprawy należy zaliczyć zdumiewający fakt, że Drake i Frobisher, chociaż dogryzali sobie często, uniknęli jakoś poważniejszej kłótni. Nie było to zasługą Drake'a. Frobisher starał się panować nad sobą, wiedząc, że admirał przełamie opozycję i że każdy, kto choćby logicznie i rozsądnie przeciwstawi się działaniom, uwieńczonym sukcesem, nie może spodziewać się znikąd przychylności, a już najmniej od samej królowej.

Hiszpania ukazała się teraz oczom Europy w odmiennym świetle. W ciągu swych poprzednich, na małą skalę wypraw, Drake zanurzył wiadro w źródle bogactw hiszpańskich i wydobył je napełnione złotem. Teraz, zuchwale okupując Santo Domingo i Cartagenę dowiódł, że szeroki strumień bogactw, płynący do Hiszpanii, mógłby być zatamowany, kraj zubożony, floty i armie okaleczone brakiem funduszy. Kupcy hiszpańscy ulegli panice. Masowo podejmowali swoje pieniądze z Banku

Sewilskiego, który ogłosił bankructwo. Filip, chwilowo bez gotówki, zwrócił się do Banku Weneckiego o pożyczkę marnej ąmy pół miliona dukatów na opłacenie swoich wojsk w Niderlandach - i odmówiono mu. Oczywiście, były to tylko chwilowe kłopoty: flota skarbowa, której nadejścia niezadługo oczekiwano, zaradzi wszystkiemu. Ale gorsze było coraz powszechniejsze, zwłaszcza w Anglii, przeświadczenie, że pierwsze państwo, które skutecznie zawładnie morzami, będzie mogło opanować świat. A przez cały ten czas John Hawkins stale i systematycznie budował nowe, zwrotne i szybkie statki, silnie uzbrojone.

Jednakże król Hiszpanii posiadał jeszcze inną broń - tajną, podstępną, śmiertelną. W tym samym mniej więcej czasie, kiedy ekspedycja z Indii Zachodnich wracała do kraju, szpiedzy Walsinghama wykryli, że Maria Stuart, uwięziona, choć z wszelkimi komfortami, otrzymywała tajną korespondencję za pośrednictwem hiszpańskiego ambasadora. Rażąco nadużycie dyplomatycznych przywilejów. Skomplikowaną drogą listy ostatecznie docierały do królewskiej adresatki w beczkach z piwem. Piwowar, opłacany przez Marię Stuart, przyjął również od Walsinghama pieniądze za wypożyczenie mu listów. Kod był łatwy do odcyfrowania. Następnie listy zwracano piwowarowi, by je doręczył adresatce. Anthony Babington, należący do organizacji jezuickiej, pisał do królowej Szkotów, że sześciu szlachciców podjęło się zamordować Elżbietę. Jednocześnie Maria zostanie uwolniona z więzienia, a obce wojska wylądują na wybrzeżu, by ją osadzić na tronie. Ten list odczytano. I wciąż jeszcze Walsingham czekał i czaił się, nim skoczył. Fanatyk, nienawidzący pięknej Stuartki, zawziął się, by tym razem i ona mu nie umknęła. Istotnie, wkrótce odcyfrował list od Marii, pochwalający spisek i projektowane zamordowanie Elżbiety.

Babingtona i jeszcze trzynastu spiskowców pojmano, wieszano, łamano kołem i ćwiartowano. Na zamku, gdzie przebywała Maria, nakazano surowszy rygor więzienny, a wszystkie jej dokumenty i papiery zagarnięto. Był wśród nich list od króla Filipa, wyrażający radość ze spisku Babingtona, także inne listy, kompromitujące niektórych angielskich katolików, ale te Elżbieta, mrużąc: „Video et taceo” - widzę i milczę - zabrała i nikomu nie pokazała. Nie upłynie wiele czasu, a ci sami katolicy wywdzięczą się za jej mądrą powściągliwość. I początkowo odtrącała nalegania swoich ministrów, by skazać Marię na śmierć. Nie chciała dawać przykładu egzekucji monarchy. Ale obie izby parlamentu naciskały ostro i w lutym roku 1587 Elżbieta się zgodziła.

Królowa Anglii ocalała. Królowa Szkotów nie żyła.

Ale Filip nie zmienił swego planu inwazji na Anglię. Pojął wagę panowania nad morzami, a w tym poważnie rywalizować z Hiszpanią mogli tylko Anglicy. W Londynie otrzymano informację-dokument, skradziony przez szpiega w Watykanie - że w każdym hiszpańskim! i portugalskim porcie na gwałt budowano wielkie okręty. Miały

one wypędzić z oceanów flotę Elżbiety i przewieźć na heretycką wyspę wojska: armie księcia Parmy z Niderlandów wraz z posiłkami z Włoch. Królowa i jej ministrowie wiedzieli, że wojna jest nieunikniona[^] Chcieli tylko zyskać jeszcze na czasie. Poślano po Drake'a.

- Gdybym tak znowu mego pirata spuściła ze smyczy, dokąd byś się udał?

Odpowiedź zabrzmiała tak szybko i stanowczo, że musiała być zawczasu przygotowana:

- Tam, gdzie mogę osmalić brodę samemu królowi Hiszpanii, najjaśniejsza pani.

Rozdział 19

SPRAWA WIELKIEJ WAGI

Po kilku posłańców dziennie wbijało ostrogi w końskie boki, wspinając się po zboczach Guadarramy, jałowych i skalistych, do Eskurialu.

„Kadyks, dnia 20 kwietnia roku pańskiego 1587.

Ledwieśmy dostrzegli tuż przed zachodem słońca ich statki, kilkanaście ich było, a już ten, co był na czele, pięćset - lub sześćsettonowy, wszystkie żagle postawił i przy wieczornej bryzie, wiejącej w stronę lądu, poszedł prosto na port. Okrążyły północny przylądek. Port zewnętrzny zapełniony był statkami waszego majestatu: przeważnie bezradne, bez żagli, bez takielunku, jedne na wyładunek czekały, inne właśnie brały towary, jeszcze inne oczekiwały przywiezienia dział. Nasze załogi odcięły kotwice, parę spróbowało wyjść na pełne morze, inne przez zatokę do portu wewnętrznego. Dziesięć naszych galeonów ruszyło do strefy osłoniętej armatami miejskimi. Dwie zaraz ugodziła salwa boczna pierwszego atakującego statku, bo oni armaty mają o dalszym zasięgu od naszych... Ogień działowy trwał. Jeden nasz galeon trzeba było wyciągnąć na płyciznę, inaczej by zatonął. Dwa, mocno uszkodzone i przeciekające, weszły do portu wewnętrznego. Reszta uciekła pod osłonę baterii nabrzeżnych. Najeźdźcy rzucili się na stłoczoną masę statków, które nie miały jak się bronić... rabowali, podpalali, zatapiali... te, które ocalały, trzeba będzie reperować miesiącami.” przepadło sześćdziesiąt okrętów, przygotowanych do Przedsięwzięcia Angielskiego.”

„Osmalić brodę samemu królowi Hiszpanii” - powiedział Drake królowej. Raport gubernatora Kadyksu, który Filip czytał, stanowił początek realizacji owej zapowiedzi.

Miłościwa pani wydała swemu admirałowi instrukcje, aby posuwając się wzdłuż wybrzeży Hiszpanii - molestował gromadzenie okrętów dla Wielkiej Armady, niszczył jednostki w portach, przejmował transportowce, przywoząc budulec. Miał dawać baczenie, czy nie podąża flota do Anglii lub Irlandii, atakować jej odwody, zapobiec, jeśli możliwe, lądowaniu. Wreszcie, miał atakować, zatapiać lub brać wszelkie jednostki lub konwoje, zmierzające do Indii Wschodnich czy Zachodnich lub stamtąd wracające.

Drake aż ręce zatarł z radości w obliczu takich instrukcji. Wypowiedzenia wojny nie było. Ekspedycja, o charakterze prewencyjnym, miała opóźnić godzinę formalnej konfrontacji, jakby to określono w dwudziestym wieku.

Wychodząc z Plymouth i przez Zatokę Biskajską, Drake prowadził na okręcie flagowym „Elizabeth Bonaventure”. Wiceadmirałem był William Borough na 550-tonowym „Golden Lion”; dalej kapitan Henryk Bellingham na nowiutkim 500-tonowym „Rainbow” i Thomas Fen-ner na 400-tonowym „Dreadnought”. Te jednostki

należały do marynarki królewskiej. Prócz nich w skład floty weszły cztery wielkie żaglowce handlowe, zwykle kursujące do Turcji, a teraz tak uzbrojone, że były równie groźne, jak okręty wojenne; pewna ilość statków prywatnych, galeon należący do lorda admirała Sir Williama Wyntera i kilka małych szybkich jednostek do zdobywania prowiantu i przesyłania wiadomości.

Żołnierzy i marynarzy było razem około dwóch tysięcy. Drake chciał, by nad wojskiem objął dowództwo Carleill, ale ten dzielny generał od wyprawy na Indie Zachodnie nie mógł się wyleczyć z wciąż nawracających ataków febry. Fundusze, jak zwykle, napływały obficie, od magnatów, dworzan, kupców i żeglarzy. Byli patriotami, oczywiście, ale też zerkali jednym okiem na ostatni paragraf instrukcji, jakie otrzymał Drake.

W Anglii wszczęto dość poważną kampanię przeciwko projektowi wyprawy. Frobisher, wbrew własnym doświadczeniom z Karaibów, szydził z pomysłu, że Drake potrafi wejść do portu w Kadyksie i wyjść z niego bez paraliżujących strat. Inni, rutynowani starzy oficerowie marynarki wojennej byli tego samego zdania. Galeony, stojące w portach hiszpańskich, łatwo manewrowały i ich zdaniem na wodach przybrzeżnych, częściowo otoczonych lądem, zawsze mogły pokonać żaglowce, zależne wyłącznie od wiatru. Drake, oczywiście, nie dbał o ich obiekcje, znając siłę salw bocznych swoich statków i celność angielskich ka-nonierów. Jednakże próbowano wyperswadować królowej, iż powinna odwołać swoje rozkazy, a co najmniej je zmodyfikować. Teraz nie czas, mówiono, na ogałacanie własnych wybrzeży, na wysyłanie floty daleko od kraju. Przytaczano - pogróżki księcia Parmy, zapowiadającego, że najedzie Anglię płaskodennymi transportowcami, a nawet propozycje pokoju od tegoż księcia Parmy. Kiedy Elżbieta, wprawdzie z wahaniem, jednak się nie dała nakłonić, ci sami ludzie spróbowali zniechęcić w Plymouth rekrutów, by nie zaciągali się na tę wyprawę. Wszystko na nic. Pół Anglii gotowe było żeglować pod wodzą Drake'a.

Był jednakże we flocie człowiek poważny wiekiem i rangą, który, chociaż nie sprzeciwiał się ekspedycji jako takiej, jednakże z racji samej swojej natury hamował każdą operację. Wiceadmirał William Borough był weteranem wielu bitew morskich i zyskał uznanie jako dobry teoretyk. Ale Drake o teorię nie dbał. Williama Borough wręcz oburzył pomysł wejścia do portu w Kadyksie. Posłał do Drake'a po instrukcje i informacje, a otrzymał zwięzły rozkaz:

- Iść w ślad za moim okrętem flagowym.

Później Borough będzie się skarżył, że narady u Drake'a polegały na podejmowaniu oficerów obfitym posiłkiem, wybornymi winami, zakomunikowaniu im, co zamierza i odesłaniu, nim ktokolwiek' mógł wnieść zastrzeżenia albo zaproponować jakąś

wariację. Zarzuty były na pewno słuszne, ale sukcesy w sprawie narodowej wymazują wiele win.

Pod Kadyksem wszelkie pozory wskazywały na słuszność wiceadmirała Borougha. Przez port zewnętrzny, usiany skałami i mieliznami, prowadził jedyny żeglowny kanał w zasięgu baterii dział nabrzeżnych. Miasto wznosiło się na skalistej wyspie o stromych wysokich brzegach, a długi, wąski przesmyk, tworzący naturalny falochron, osłaniał port wewnętrzny, gdzie po drugiej stronie, dostępny tylko wąskim ujściem leżał Port Royal. Wszelkie teorie, zasady i podręczniki zabraniały kategorycznie żaglowcom prób wkraczania na tak doskonale bronione wody, idealne do operacji poruszanych wiosłami galeonów. Ale Drake pisał w swojej pierwszej relacji do lorda Burleigha:

„Hiszpanie szczytą się swoimi świetnymi urządzeniami obronnymi, ale ja się przekonałem, że na ogół mniej są straszne, niż się głosi. A prócz tego zaskoczenie, atak na coś, co jest uważane za nie do zdobycia, zawsze przewagę daje. Bezpośredni, frontalny szturm, prowadzony z determinacją, odbiera ducha obrońcom.” Tak się też stało, a Drake zakonkludował: „Napadliśmy na stado tłustych baranów. Można by pomyśleć, że je tu spędzono specjalnie na rzeź, której też dokonaliśmy.”

Złupiwszy i podpaliwszy statki, większa część floty angielskiej zebrała się w porcie zewnętrznym, odpowiadając ogniem na ogień, - mało skuteczny - baterii nabrzeżnych i przypatrując się wszczętemu przez nich wielkiemu pożarowi. „Elizabeth Bonaventure” i inne okręty królewskiej marynarki stanęły w szyku obronnym, by się przeciwstawić galeonom. Borough zanotował w swoim diariuszu:

„Dalszych rozkazów od admirała nie otrzymałem. Powinniśmy już uciekać na pełne morze. Zapewne uczynimy to rankiem. Ale proszę Boga, by wiatr nie ustał w ciągu nocy, bo jeżeli ustanie, znajdziemy się w pułapce.”

Nie bez słusznych powodów Borough uważał, że go traktowano bez wielkiego respektu. Chciał też pewno spisać we własnych notatkach dowody swojej dezaprobaty poczynań Drake'a i jego sposobu dowodzenia wyprawą.

Admirał nie miał najmniejszego zamiaru uciekać na pełne morze. Zaobserwował w porcie wewnętrznym dalsze zbiorowisko żaglowców, a zwłaszcza jeden wielki statek handlowy.

- Akurat dla nas! - zauważył do kapitana okrętu flagowego. - Potrzeba nam bogatszych łupów.

Z pierwszym brzaskiem Borough ze zdumieniem zobaczył, że „Elizabeth Bonaventure” idzie na port wewnętrzny. Dwa galeony czekały, by odeprzeć ten nieprawdopodobny atak. Drake ściągnął pewną ilość łodzi ze statków najbliższej stojących. Wiceadmirał osobiście kazał się zawieźć szalupą na okręt flagowy, po to tylko, by usłyszeć:

- Admirala tu nie ma. Jest w jednej z łodzi na czele.

Dalszy przebieg wypadków tak opisano w raporcie, zawieszony!^ królowi Filipowi przez dalszych kurierów, pędzących rozstawnymi końmi:

„El Draque osobiście, w hełmie i półpancerzu, wyraźnie widoczny, stał na dziobie łodzi idącej na czele, wymachiwał szpadą i zachęcał wioślarzy.¹ Sceny z poprzedniego wieczoru w porcie zewnętrznym powtórzyły się teraz tuż przy Port Royal... Kilka łodzi, zbrojnych w działa, zaatakowało i odpędziło nasze galeony, a El Draque poszedł prosto na nowy, tysiącdwustutonowy statek markiza de Santa Cruz, mianowanego przez waszą królewską dostojność wodzem Przedsięwzięcia Angielskiego... i jeszcze stało tam pięć innych tysiąctonowych jednostek, z ładunkiem wiktuałów, żelaznych ostrzy, gwoździ, obręczy, podków i innego sprzętu potrzebnego do przygotowań do Przedsięwzięcia... Cokolwiek było wartościowego lub użytecznego, załadowano na angielskie łodzie tak, iż się zanurzały prawie równo z burtą... wielkie ilości innych materiałów wrzucono w morze, a potem statki podpalamo... Parę jednostek odholowano... Wszystkiego ponad trzydzieści statków o łącznym tonażu blisko dziesięciu tysięcy ton spalono, zatopiono lub zabrano... Rozkazałem zwozić dalsze działa na nabrzeże portu... tam nasze galeony usiłowały wziąć odwet za wczorajszą klęskę, ale ponownie je odparto, zadając wiele szkód i ofiar w ludziach... Tylko jeden duży angielski okręt wojenny nie miał, jak się zdawało, ducha do walki i wylawirował na pełne morze...”

Tym dezercerem był „Golden Lion” Williama Brougha.

„Stało się najgorsze, co przewidywałem” pisał wiceadmiral. „Kiedy łodzie powróciły, wiatr ustał...”

Dla Drake’a nie miały znaczenia ani dezercja okrętu Brougha, ani brak wiatru. Wiceadmiralowi nie wyznaczył żadnej określonej roli. Jego ogólne zamierzenia wydawały mu się oczywiste i jasne, a w szczegółach Drake oczekiwał, że podwładni będą mu pomagali, okazując własną inicjatywę. W taki sposób nie postępuje kompetentny dowódca licznej floty. Ale w taki właśnie sposób postępował Drake.

- Co pocniemy teraz, admirale; w tej ciszy? - pytał kapitan okrętu flagowego, kiedy jego wódz, roześmiany i triumfujący, chociaż z osmaloną twarzą, poparzonymi rękoma, odzieniem w strzępach, wdrapał się z powrotem na pokład. - Czy poprobujemy wylawirować z portu?

185-

- Na kości Marcina Lutera, nie! Pokażemy, jak tymi Hiszpanami gardzimy. Stoimy tutaj, dopóki Bóg nam nie ześle wiatru.

Wszystkie statki, prócz - jednego jedyne „Golden Lion”^ stawily czoła tej ciężkiej próbie charakteru. Przez dwanaście godzin stały w porcie.

„Trudna to była rzecz - wspominał kronikarz - ponieważ ostrzeliwano nas nieustannie i to zewsząd: z galeonów, z fortec i z nabrzeży: prócz tego musieliśmy wciąż walczyć z branderami, jakie na nas nasyłano... Z boską pomocą i przy nieznużonej energii naszego admirała, cała ta szczęśliwa a niebywała operacja została przeprowadzona w ciągu jednego dnia i dwóch nocy, ku wielkiemu zdumieniu króla Hiszpanii, a takiej trosce markiza Santa Cruz, iż nie zaznał już później żadnej dobrej chwili, jeno w parę miesięcy zmarł z żalu i upokorzenia...”

Do „żalu i upokorzenia” najwięcej przyczynił się król Filip, obarczając swego pierwszego admirała winą za niedostateczną obronność hiszpańskich wybrzeży ujawnioną najazdem Drake’a.

Kiedy wreszcie wstał wiatr” flota wyszła na morze, ale nie oddaliła się: Drake posłał wyzwanie hiszpańskim galeonom, by stanęły do bitwy. Wyzwanie zignorowano. Więc następnego ranka angielska flota wzięła kurs na zachód, a wiceadmirał, zły i w niełasce, zamykał szyk na „Golden Lion”.

Król Filip chciał pomniejszyć znaczenie klęski:

- Straty są duże, ale dadzą się nadrobić. Tylko opóźnienie naszych planów, to wszystko.

Tymi słowami udowodnił, że atak osiągnął zamierzony cel.

- Najjaśniejszy panie, czy wypowiemy... - zaczął wielki wezyr. Filip dokończył za niego:

- ...wojnę? Kiedy będę gotów, nie wcześniej.

- Ale, najjaśniejszy panie, Anglicy też zyskają na czasie.

- Ja mogę sprawić, by czas mi służył. Anglicy nie mogą. Moje rezerwy są nieograniczone. Ich - bardzo skąpe.

Król kalkulował w dukatach i tonażu okrętów. Wyspiarze liczyli na jakość swoich statków, na doświadczenie żeglarzy i kanonierów.

Nie tylko wszędzie w Europie, ale nawet w samej Hiszpanii entuzjazmowano się wyczynem Drake’a. Pewien obiektywny arystokrata hiszpański pisał do markiza Santa Cruz:

„Tego Anglika pod niebiosa wychwalają, a też i na pochwały zasługuje. Jest najwyborniejszym żeglarzem, panem morza, nieprześcig-nionym w zuchwałości i wykonaniu ataków. Nie sposób nie podziwiać jego energii i zaufania we własne siły. Co do nas, wyszliśmy na nieudolnych głupców. Galeony, z armatami tak ustawionymi, że mogą tylko do przodu salwy oddawać, okazały się bezużyteczne, nawet na zamkniętych wodach, przeciwko salwom bocznym. A nasza organizacja tak jest ciężka i powolna, że nie potrafiła nawet w porę zebrać okrętów, by ruszyć w pościg za napastnikami, kiedy opuścili Kadyks.”

„Troska i upokorzenie” dla Filipa, zarówno jak dla markiza Santa Cruz. Ale król nie ugiął się pod jej ciężarem.

Borough także pisał - długi protest do Drake'a:

„Żadnych prawidłowych narad wojennych nie zwołujesz, nawet nie konsultujesz oficerów przed powzięciem decyzji... instrukcje jej królewskiej mości zostały przekroczone... traktujesz wiceadmirała, nie mówiąc o innych doświadczonych oficerach, jak chłopców okrętowych...”

Drake nie zareagował na pismo wcale. Uniesiony zwycięstwem, pewien entuzjastycznego poparcia swoich żołnierzy i zachwyków rodaków, mógł sobie pozwolić, przynajmniej na razie, by zignorować skargi starego formalisty.

Pióra skrzypiały. Pisał gubernator Kadyksu, kronikarz wypraw żeglarskich, pisali hiszpańscy dygnitarze, pisał Borough. Drake także przygotowywał relację dla lorda Burleigha:

„nie mniej ważne od spalenia i zatopienia... mam tu w mojej kabinie, zabrane z jednego okrętu w porcie, cały plan króla Filipa przygotowań do tego, co oni nazwali Przedsięwzięciem Angielskim. Posiłki nadciągają z Włoch, z Sycylii i Andaluzji do Lizbony, gdzie Santa Cruz wszystkim zarządza. Szykowana armada, która ma być większa od jakiegokolwiek, wysłanej na morze do tej pory, pożegluje wzdłuż Kanału (La Manche) by dotrzeć do księcia Parmy, który dołączy swoje wojska dla celów inwazji... To jednakże plany na przyszłość, które obecnie muszą być opóźnione. Mnie teraz interesują statki, idące z Morza Śródziemnego. Koło Przylądka Św. Wincentego czekają one na przychylne wiatry, by żeglować na północ. Tam więc prowadzę moją flotę w nadziei dokonania rzezi na następnym stadzie utuczonych baranów...” Depesza kończyła się słowami, których przestrzegało od tej pory wielu, zajętych wielkimi przedsięwzięciami, a wielu, ku ich ostatecznej zgubie, ignorowało: „Jest początek każdej dobrej sprawy, ale dopiero doprowadzenie jej do końca przynosi w rezultacie prawdziwy triumf i chwałę.”

Te słowa mogłyby posłużyć za epitafium Drake'a.

Wkrótce galopujący jeźdźcy na rozstawnych koniach pędzili do skalnego zamczyska w górach Guadarramy od południowo-zachodniego krańca Portugalii, od Lagos i Faro:

„...Tuż pod twierdzą Sagres (na wysokiej skale koło Przylądka św. Wincentego) El Draque wylądował z ośmiuset żołnierzami i osobiście poprowadził ich do szturm na strome zbocze. Garnizon otworzył ogień do atakujących i przez jakiś czas trwała ostra strzelanina. Nagle wydało się, że nieprzyjacielowi zabrakło amunicji. Część rozproszyła się, szukając osłony za karłowatymi drzewami i wśród zarośli, innych posłano w dół po chrust, drewno i smołę. Stosy poukładano pod zewnętrzną bramą twierdzy, a El Draque harował jak każdy prosty żeglarz. Garnizon po kilkakroć

odpędzał podpalaczy i rozrzucał płonące gałęzie. Ale fortuna nie sprzyjała naszym wysiłkom. El Draque zuchwale zażądał, byśmy się poddali. Komendant twierdzy wyszedł na mury, by mu ze wzgardą odpowiedzieć. Anglicy trafili go strzałą. Komendant padł, śmiertelnie raniony. Straciwszy ducha, jego ludzie poddali się. Ich śladem poszli żołnierze zamku i klasztoru św. Wincentego. Wszystkie działa wrzucono do morza...”

Nietrudno sobie wyobrazić, co William Borough myślał o tak ryzykownym szturmie na twierdzę Sagres, a zwłaszcza co sądził o tym, że admirał sam zszedł na ląd i zhańbił się „harując jak prosty żeglarz”. Ale Drake wiedział, jak olbrzymi wpływ na ludzi wywiera jego obecność: musieli wtedy rywalizować z nim samym o odwagę i zapamiętałość.

Król Filip dobrze pojął znaczenie tego ciosu:

„Może to mieć jeszcze gorszy wynik, jeśli chodzi o nasze przygotowania wojenne, niż Kadyks. Ten El Draque, ten ścinek z czarciego kopyta, ma teraz do dyspozycji kotwicowisko, gdzie może naprawiać statki i zaopatrywać się w wodę. Będzie panował nad trasami, którymi zdążają nasze dostawy...”

Prawdy jego spostrzeżeń dowiodły angielskie statki bardzo szybko. Kiedy Drake wrócił do floty, zagarnięto od razu kilka karaweli i mniejszych barek z ładunkiem budulca dla doków w Lizbonie i Kadyksie. Pracowali tak przez tydzień: brano wszystkie statki, także hiszpańskie i portugalskie kutry rybackie, z sieciami, rozciągniętymi na milę. Łowiły one tuńczyka, mającego duże znaczenie w gospodarce Portugalii. Jeszcze ważniejsze było wzięcie wielkich ładunków drewna na wiosła do galeonów, maszty do żaglowców i deszczułki do beczek, w których przewożono świeżą wodę, suszone ryby i inny prowiant dla floty.

Świece paliły się do późna w komnacie króla w Eskurialu. Najdoskonalszy z biurokratów pisał rozkazy, spóźnione oczywiście, do oficerów i urzędników. Do markiza Santa Cruz: uWyjść na morze jak najspieszniej. Ścigać tych heretyków, których stopy plamią ziemię naszego półwyspu...”

Do księcia Mediny Sidonii, wojskowego komendanta Kadyksu:’

„Ruszyć na Lizbonę i objąć naczelne dowództwo wojsk, które skieruję tam celem obrony miasta...”

Do kapitanów statków, przybywających z Italii:

„Zawinąć do Gartageny * i tam zostawić ładunki do dalszej przeprawy lądem...”

Ale markiz Santa Cruz nie mógł wyprawić ani jednego statku. Flota, stojąca w Lizbonie, była bez załóg. A wojska, którymi miał dowodzić Medina Sidonia, maszerowały tam i z powrotem przez Półwysep, według wieści, przeważnie fałszywych, że protestanckiego smoka widziano lądującego w tym czy innym miejscu wybrzeża.

* Na południowo-zachodnim wybrzeżu Hiszpanii. Nie mylić z Cartagena na Karaibach.

Kronikarz wyprawy notuje:

„Pożeglowaliśmy do Lizbony, ale nasz admirał uznał, że jest zbyt silnie broniona.” Drake nie był tak szalony, jak Borough sądził. Umiał wyczuć groźącą porażkę równie dobrze, jak wyczuwał szanse zwycięstwa. „Posłał do markiza Santa Cruz zaproszenie, by wyszedł i przyjął bitwę. Markiz odpowiedział, że nie dostał takiego polecenia od swego króla. Zagarniając więc po drodze statki z dostawami, jakieśmy napotkali, wróciliśmy na Przylądek św. Wincentego, gdzie jeszcze dziewięć dni spędziliśmy. Załogi kolejno na ląd wysyłano, dla zdrowia. Zaopatrzyliśmy się w świeżą wodę i prowiant. A przez cały czas zagarnialiśmy nadchodzące statki, aż już więcej się nie pokazywało. Wtedy podnieśliśmy kotwice i wzięliśmy kurs na Azory.”

W Hiszpanii i Portugalii sądzono powszechnie, że Drake ponownie wyprawił się na Karaiby. Wprawdzie rzeczywiście chciał teraz zdobyć skarby, by zaspokoić inwestorów, ale nie wybierał się tak daleko. Od szypra pewnego pryza miał informację, że wielki, budowany w Portugalii okręt, przy sprzyjających wiatrach będzie niebawem z Indii Wschodnich zdążył do Lizbony.

- To własność króla i po nim nazwany „San Felipe” - mówił szyper. - Największy we flocie i uprzedzam: silnie uzbrojony.

Potężny sztorm rozproszył flotę Drake'a, a gdy wreszcie ustał, tylko dziesięć statków się wokół niego zebrało. Reszta, włącznie z „Golden Lion” wiceadmirala Borougha, skierowała się do domów. Ale tych dziesięć wystarczyło, aż nadto wystarczyło. W pobliżu Azorów dostrzeżono „San Felipe”, zeganego z kursu przez tę samą burzę, która rozpędziła flotę angielską. Jego kapitan, jak niegdyś dowódca „Cacafue-go” na Pacyfiku, ani się spodziewał, że na tych wodach może spotkać groźnego wroga. Żeglował ku oczekiwany przyjacielom.

„Pobiegły w górę nasze flagi i chorągwie, aby Hiszpan nie wątpił, z kim ma do czynienia. I powitaliśmy go salwą armatnią; a chociaż przestrzeliliśmy mu kadłub parokrotnie, odpowiadał wet za wet. Spuściliśmy więc szalupę i pinasy, które stanęły mu w poprzek przed dziobem, a do których strzelali i żegli ogniem, ale nic ich nie uszkodzili, ich armaty ustawiono za wysoko, kule górą przelatywały. W obawie, by nie utracić pryza i ładunku, szykowaliśmy się już do abordażu, kiedy nasz admirał krzyknął:

- Poddajcie się! Inaczej wasze żony wdowami uczynimy! Wielki żaglowiec poddał się...”

Drake skrzętnie zbierał informacje, ale też miał szczęście. Gdyby nie burza, może nigdy by nie odszukał „San Felipe”. Tak rzadki był to traf, że później opowiadano w Hiszpanii, iż - ten heretycki żeglarz ma w kabinie swego okrętu flagowego

czarodziejskie zwierciadło, w którym widzi, co się dzieje poza horyzontem, obserwuje statki na wielką odległość, liczy ich załogi i armaty.

Sir Francis, przekroczywszy czterdziestkę, odniósł już w swym życiu niemało triumfów. Uwieńczeniem ich wszystkich była wyprawa do Kadyksu. Stawił czoła w Europie hiszpańskim żołnierzom i marynarzom na ich własnych wodach i na ich własnej ziemi, zwyciężając w brawurowych atakach pozornie niezdobyte.

„Tyle szkód na wybrzeżach Hiszpanii poczynił” pisał ambasador Wenecji w Londynie „iż chociażby teraz jeszcze król walne zwycięstwo nad nim odniósł, nie odzyskałby ani połowy strat poniesionych”.

Zmniejszona liczebnie flota wpłynęła do Plymouth wraz z „San Felipe”, załadowana jedwabiami, korzeniami, cenną porcelaną z Chin, perłami, aksamitem, wschodnimi meblami, klejnotami i szlachetnymi kamieniami, szlifowanymi i nieoszlifowanymi. Wartość oceniono łącznie na ponad dziesięć milionów dzisiejszych funtów szterlingów.

W pełni zadowolilo to inwestorów. Królowa starała się nie okazywać zbyt wielkiej satysfakcji: prowadziła właśnie pertraktacje - podstępne - z księciem Parmy, do którego napisała, że Sir Francis Drake poczynił sobie bez formalnego pełnomocnictwa. „Nie będzie mi miał za złe, jeżeli go się wyprę...”

William Borough, dotarłszy do Anglii po sztormie na Atlantyku, wniósł oficjalnie skargę na swego admirała. Sir Francis teraz wniósł skargę przeciw niemu, zarzucając mu między innymi dezercję w obliczu nieprzyjaciela pod Kadyksem. Borougha postawiono przed sąd wojenny, ale wyżsi oficerowie, wchodzący w skład sądu, starzy weterani wielu bitew i rutyniarze, tak samo nie mogli zrozumieć metod Drake'a, jak i oskarżony. Uwolniono go od winy i kary. Ale jednocześnie nie ośmielili się udzielić nagany człowiekowi, którego cała Anglia obwołała bohaterem. Jednakże Borough, Frobisher i inni nieustannie kopali pod nim dołki, szkalując go przed królową. Elżbieta nie chciała ich słuchać - na razie.

„Przedsięwzięcie Angielskie” zostało w Hiszpanii okaleczone. Ale król Filip nie zboczył z wytyczonej sobie drogi, nie dał się odwieść od swych planów ani przez czarownika, ani ścinka z czarciego kopyta, ani po prostu żeglarza. Cała katolicka Europa wyglądała jego zwycięstwa. Wycofanie się byłoby oznaką fatalnej słabości. Papież Sykstus V ogłosił „Przedsięwzięcie Angielskie” wyprawą krzyżową, przydzielił królestwo Anglii monarsze hiszpańskiemu i wyłożył okrągły milion w złocie na cele inwazji.

Elżbieta wiedziała, że musi wszystkie swoje wilki morskie trzymać teraz w gotowości i w bojowym humorze do ostatecznej walki, którą wyprawa do Kadyksu wprawdzie opóźniła, ale tylko o rok. Zgarnęła swój udział w łupach. Ze wschodnich jedwabii, wiezionych na „San Felipe” kazała sobie szyć suknie, a perły i klejnoty z tego

samego źródła zawiesiła na szyi lub wpięła w swe rude włosy - teraz farbowane. W rozmowie z damami dworu żartowała:

- Jeśli jest prawdą, jako powiadają, że diabły się śmieją, gdy jeden rozbójnik rabuje drugiego, to sam Belzebub musi się za boki brać, patrząc na wyczyny mojego pirata.

Rozdział 20

„...I PRAWDZIWA CHWAŁA”

Kapitan Thomas Fleming wyteńczył wzrok na zachód. Jego mały stateczek należał do flotyli zwiadowczej, krążącej wokół przylądka Lizard, najbardziej na południe wysuniętego punktu zachodnich wybrzeży Anglii. Wypatrzył wyniosłe maszty, kasztele potężne jak wieże, ciemne kadłuby. Wiał silny wiatr od południowego zachodu. Stateczek wykręcił i pomknął do Plymouth.

- Wielka Armada, milordzie, w pobliżu Wysp Scilly... takie szyki potężne, jakich oko ludzkie jeszcze nie widziało...

Lord Howard of Effingham, Sir Francis Drake, John Hawkins i inni grali w kule na murawie nad przystanią w Plymouth Hoe.

- Nareszcie! - powiedział Howard. - Teraz ważą się losy naszego kraju. Miłościwa pani wzywa nas, byśmy zwyciężyli lub poległi. Panowie, na okręty!

Ale Drake przerwał mu:

- Mamy czas, milordzie! Zdążymy i partię rozegrać i pobić Hiszpanów też.

Tak brzmi opowieść, której uczy się w szkole każdy angielski chłopiec, o początku bitwy z Wielką Armadą, w dniu 19 lipca 1588 roku. Czy ściśle zgodna z prawdą, czy też nie, w każdym razie dobrze charakteryzuje wielkiego elżbietańskiego „pirata-admirała”. W rzeczy samej, główni dowódcy obrony niewiele jeszcze mogli zrobić. Południo-wo-zachodni wiatr, z którym szła Wielka Armada, oraz przyptyw zablokowały chwilowo w porcie flotę, przygotowaną do obrony Anglii. Młodzi oficerowie i bosmani nie potrzebowali pomocy admirałów, by trzymać statki w gotowości. Można było dalej grać w kule. I grano.

Tej nocy zapłonęły ogniska od przylądka do przylądka, ostrzegając całą Anglię. Milicja stanęła z bronią u nogi. Królowa, jak zwykle, gdy już wreszcie podjęła decyzję, była spokojna. Postanowiła dać przykład determinacji, ufna, że poddani potrafią obronić jej królestwo.

Kraj od dawna szykował się do tego dnia i tej godziny. Opóźniając ostateczną konfrontację wszelkimi dyplomatycznymi wybiegami, Elżbieta i lord Burleigh przez cały ten czas pracowali nad przygotowaniem do obrony. Wspomagano w całym królestwie budowanie statków, organizowano ćwiczenia żeglarzy i kanonierów. Rejsy przybrzeżne zastrzeżono wyłącznie dla statków angielskich. Wstrzymano wyrąb dębów na cele chciwie pożerających drewno hut żelaza. Zabroniono wywozu armat. Gromadzono ogromne zapasy ekwipunku dla marynarki wojennej. Marynarzy wyłączono z obowiązku służby wojskowej, ćwiczano w żeglarstwie, głównie na wielkich transportowcach dostarczających węgiel z Newcastle na północy do Londynu.

Powiększono flotę rybacką. Kościół anglikański nie narzucał postów, ale Burleigh wydał dekret: „Niechaj rybolówstwo się rozwija dzięki ścisłemu przestrzeganiu dni bezmięsnych, aby wybrzeża roily się od statków i ludzi z morzem obeznanych.”

Sprawność marynarki wojennej wzrosła ogromnie od chwili nominacji Johna Hawkinsa na stanowisko Skarbnika Admiralicji. Wykorzenił on korupcję, do tej pory nagminnie szerzącą się wśród oficerów i dostawców. Zaoszczędził tysiące funtów szterlingów, przywłaszczanych pod pozorem kosztów budowy okrętów. Odkąd abordaż przestał być główną taktyką bitew morskich, Hawkins zmniejszył liczebność załóg, co w konsekwencji pozwoliło polepszyć warunki życia na statkach i podwyższyć żołd.

Howard i Drake, Frobisher i Hawkins, Raleigh i Fenner - oto nazwiska, które zwykle łączy się z tą ostateczną walną batalią przeciwko Hiszpanii. Ale to lord Burleigh, mając w ręku szczegółowy plan króla Filipa inwazji na Anglię - zdobyty przez Drake'a pod Kadyksem - sporządził listę okrętów do obrony wyspy, zgromadził ekwipunek i amunicję, wydał rozkazy mobilizacyjne. To Burleigh przygotował całość obrony i Burleigh powiedział do admirałów i kapitanów:

- Zwierz, na którego zapolujemy, jest duży, a łowy będą zażarte.

O hiszpańskich przygotowaniach do Przedsięwzięcia Angielskiego wiadomo wszystko dokładnie, ponieważ król Filip własną ręką spisał niesłychanie szczegółowe instrukcje. Po śmierci markiza Santa Cruz mianował głównodowodzącym Wielkiej Armady księcia Medinę Sido-nię, żołnierza dobrego, ale bez wielkiego doświadczenia żeglarskiego, zarazem człowieka, na którym można było polegać, że - chociaż wzdragał się przed przyjęciem tej godności - jednakże przyjmąwszy ją, będzie wypełniał każdą instrukcję co do litery. Król Filip wierzył tylko we własne plany, a nie miał żadnego zaufania do oficerów, którzy wykazywali się inicjatywą.

Był to oczywiście plan inwazji wojskowej. Flota służyła tylko do przetransportowania żołnierzy przez kanał La Manche oraz, po przybyciu na Morze Północne, zaokrętowania dodatkowych wojsk z Niderlandów. Lądowanie miało się odbyć w Dover. Król Filip nigdy w swych rozważaniach nie brał pod uwagę możliwości, że Anglicy mogliby zgromadzić siłę morską tak wielką, iżby na serio zagroziła jego ponoć niezwyciężonej armadzie, liczącej sto sześćdziesiąt okrętów. W tym galeonów o rzeczywistej wartości bojowej szło niewiele ponad czterdzieści, ale wszystkie statki były nowocześniejsze, niż Drake przewidywał: tylko cztery galery wiosłowe, reszta poruszana głównie żaglami, wyposażona w stosunkowo dużo armat dalekiego zasięgu. Nadal utrzymani) kasztele wysokie jak wieże, co czyniło z okrętów niezdarne monstra.

Razem z armadą udali się na wyprawę do Anglii: wielki wikariusz świętej inkwizycji, jezuita, księża, dominikanie i bracia z zakonów zebrzących. Wieźli ze sobą wielkie ilości świętych obrazów, dla przyozdobienia nagich ścian angielskich

kościółów, oraz narzędzia tortur, by nimi nakłonić heretyków do nawrócenia. Co prawda, nie potrzebowali wieść ze sobą narzędzi tortur. Było ich pod dostatkiem w Anglii.

Medina Sidonia nadciągał od Wysp Scilly w imponującym ładzie. Zgodnie z królewskimi instrukcjami, szyk miał kształt półksiężyca, a pośrodku łuku szły na czele pod wodzą pierwszego admirała najpotężniejsze okręty. Dalsze bojowe jednostki osłaniały flanki i dwa krańce półksiężyca, pod dowództwem wiceadmirała, Juana Martineza de Recalde. Za nimi, wewnątrz ochronnego półksiężyca, szły zmasowane statki transportowe, prowiantowe i pomocnicze w łącznej ilości stu dwudziestu. Pogłoski, które dochodziły do Anglii, o tym, jakoby hiszpańscy marynarze byli przeważnie szczurami lądowymi, nie znającymi się na sztuce żeglarskiej, okazały się fałszywe. Już nawet utrzymanie tej formacji - a szła w idealnym szyku - z galerami zmieniającymi tempo wiosłowania, żaglowcami z wojskową precyzją stawiającymi lub opuszczającymi żagle, dowodziło nie lada umiejętności.

Angielskich jednostek bojowych było na początku mniej, niż hiszpańskich. Królowa dostarczyła dwadzieścia siedem okrętów, kompania handlu z Turcją kilka dobrze zbrojnych statków, pojedynczy magnaci i korsarze przyprowadzili jeszcze kilka jednostek o wartości bojowej. Resztę floty lorda Howarda stanowiły małe statki, z paroma mosiężnymi armatkami na pokładzie oraz pinasy. Natomiast lepiej prezentowała się siła ogniowa okrętów angielskich.

„Nasz sześćsettonowy okręt - zapisał Sir Walter Raleigh - tyle posiadał artylerii, co gdzie indziej okręt tysiącdwustutonowy; a nawet te większe, uzbrojone w podwójną liczbę dział, oddawały salwę jednokrotnie w tym samym czasie, kiedy nasze zawróciły po dwakroć i dwukrotnie oddały salwy burtowe.”

Lord Burleigh określał okręty Howarda jako „pod względem żeglowności, manewrowania, siły ognia i wprawy kapitanów potężniejsze od wszystkiego, co istniało za ludzkiej pamięci”. A sam Howard o załogach:

„Tak umiejętna i zahartowana kompania, jaka tylko być może”. Odliczając co nieco na patriotyczną hiperbolę, te deklaracje nie odbiegały jednak zbyt od rzeczywistości. Dowiodła tego jedna z najzaciętszych i najdłużej trwających bitew morskich wszech czasów.

- ...czemu wodzem naszej floty nie wyznaczono Sir Francis Drake?
- ...przecież dowiodł, że jest najwyborniejszym żeglarzem...
- ...a lord Howard niewiele posiada eksperyencji wojennej...
- ...ale jest arystokratą...

Wielu żeglarzy, a i zwykłej ludności w kraju, kwestionowało nominację Drake'a na zastępcę wodza naczelnego floty. Weszło w zwyczaj odpowiadać, że „Howard był arystokratą”. W całej Europie książęta i arystokracja nadal korzystali ze

średnowiecznych praw do dowodzenia w wojnie, niezależnie od własnych lub ich podwładnych umiejętności. Jednakże w przypadku lorda Howarda owo tradycyjne prawo nie było jedynym powodem. Własny kuzyn królowej, Francis Knollys, służył przecież jako podkomendny Drake'a w wyprawie do Indii Zachodnich. Po aferze z najazdem na Kadyks Burleigh rozumiał, co zawadzało Drake'owi jako dowódcy i zwierzchnikowi. Jego samowola i ignorowanie opinii podkomendnych, chociaż starszych wiekiem, uwłaczały godności niejednego wybitnego oficera. Mogło się nawet zdarzyć, że ten i ów odmówiłby służenia pod dowództwem Drake'a w tak krytycznym momencie, jak obrona brzegów Anglii przed Wielką Armadą. Mianowano więc arystokratę, któremu, zgodnie z tradycją wojskową i społeczną, wszyscy podporządkują się bez kwestii.

Howard pochodził z rodu od dawna służącego na morzu swym su-werenom. Znał się na administracji marynarki wojennej, był człowiekiem skromnym, miłego usposobienia, taktownym, gotowym wysłuchać cudzej rady, a stanowczym w przeprowadzaniu uzgodnionej zasady czy taktyki. Wszystkich tych cech charakteru potrzebował. Pod jego komendą znalazły się prawdziwe primadonny, rywalizujące o sławę i o własną koncepcję, jak pokierować bitwą: Drake na „Revenge”, Frobisher na „Triumph”, John Hawkins na „Victory”, Thomas Fenner i jeszcze dwaj jego bracia, również wybitni żeglarze. Lord Henry Seymour, wysłany z niewielką flotyllą, by strzegł cieśniny Dover przed ewentualnym niebezpieczeństwem ze strony księcia Parmy, czuł się odsunięty z głównej sceny przyszłego dramatu i prawdopodobnie nie posłuchałby takiego rozkazu z ust pirackiego parweniusza. Howard popełnił w ciągu tej bitwy jeden błąd, ale na ogół będzie dowodził swoimi kapryśnymi primadonnami bez zarzutu. Drake byłby zapewne ignorował kapitanów, zostawiłby ich jako pojedynczych, choćby nawet i świetnych improwizatorów, zamiast wykuć z nich, jak to uczynił Howard, jednolity, skoordynowany zespół, w którym poszczególne indywidualności i talenty stopiły się w imię wspólnej sprawy. Jeden ogar z dobrym węchem na czele sfory może być nieoceniony, ale pół tuzina psów, rywalizujących o pierwsze miejsce w pogoni, tylko się pogryzie między sobą i zgubi ślad.

Żona Drake'a poskarżyła się:

- Powinni byli tobie dać naczelne dowództwo!

Ale Francis przerwał jej, zanim zdążyła wymienić swoje racje:

- Nie, moja droga. Lord Howard zostawi mi swobodę działania. Będę chętnie pod nim służył. Prawdziwie go szanuję.

Prócz tego, respektował również wysokie urodzenie. A w żyłach mianowanego wodza, którego drzewo genealogiczne sięgało dziesiątego wieku, płynęła krew najbłękitniejsza z błękitnych.

Z zapadnięciem zmierzchu dnia 19 lipca wiatr ścichł nieco. Współniała formacja Wielkiej Armady szła wolniej, a angielskie statki, wspomagane odpływem, wysuwały się jeden po drugim na pełne ujrzę. Niektóre nie wykorzystały tego pierwszego odpływu, więc dopiero po południu 20 lipca cała flota wyszła z Plymouth. I zaraz marynarze wysoko na rejach okrzyknęli, że widzą już Hiszpanów, nieodparcie podążających naprzód.

Na lądzie sprawnie szykowano wojska, aby odeprzeć najeźdźców w razie, gdyby flota Howarda nie sprostała zadaniu. Wezwano pod broń milicję. Wodzem naczelnym wszystkich sił lądowych mianowano hrabiego Leicestera, a Sir Walterowi Raleighowi poruczono szczególną odpowiedzialność za obronę południowych, krytycznych wybrzeży. Królowa chciała iść z wojskiem Raleigha, by dodawać ducha i zachęcać ludzi. Na to jednak jej ministrowie, admirałowie i generałowie się nie zgodzili. Południowe wybrzeża wystawione były na zbyt wielkie niebezpieczeństwo. Pojechała więc do Tilbury, u ujścia Tamizy, gdzie zebrano szesnastotysięczną armię do obrony Londynu. W stalowym półpancerzu i w hełmie z białymi piórami, przejechała przed stojącymi na baczność szeregami żołnierzy. Hrabia Leicester prowadził za uzdę jej wierzchowca, a hrabia Ormonde niósł przed nią miecz stanu.

- Przyjechałam, by razem z wami żyć lub umrzeć - przemówiła głosem, który zabrzmiał jak wyzwanie. - Wiem, że moje ciało jest ciałem słabej kobiety, ale mam serce króla, i to króla Anglii. Ze wzdrgną odtrącam myśl, iż Parma z Hiszpanii albo jaki inny europejski książę mógłby najechać granice mojego królestwa.

Żołnierze wiwatowali, krzyczeli, że chętnie za nią życie oddadzą. Wielkiego rzeczywiście przywiązania, jakim ludność darzyła Elżbietę, w niczym nie umniejszył, może nawet jeszcze pomnożył manifest, wydany w Rzymie przez angielskiego kardynała Allena, określający Elżbietę, jako: „haniebną, zdeprawowaną, wyklętą heretyczkę i bękarta, przynoszącą wstyd jej płci i królewskiemu tytułowi... truciznę, zgubę i nieszczęście naszego świętego kościoła i szlachtetnego kraju...” Takie słowa rozpały płomień lojalnego patriotyzmu nie tylko w piersiach protestantów. Sir John Arundel i grupa najwybitniejszych katolików podpisała deklarację, zobowiązując się do ofiarowania życia w obronie osoby jej królewskiej mości i kraju. Walsingham napisze później:

„Nic tak nie rozgniewało króla Hiszpanii, jak lojalność katolików wobec ich królowej w czasie Przedsięwzięcia Angielskiego.”

Na kanale La Manche rozpadał się deszcz zmniejszając widoczność i zasłaniając jedną flotę przed drugą. Korzystali na tym Anglicy, którzy na swoich wodach znali każdą mieliznę i prąd, głębiny i skałę. W ciągu nocy Howard z częścią okrętów trzymał się w defensywie blisko wybrzeży, a Drake'a posłano z innymi jednostkami, by lawirował przez Kanał ku Francji. Kiedy wstał świt dnia dwudziestego pierwszego,

Medina Sidonia odkrył więc, że dość silna flota znajduje się po nawietrznej od niego, doskonale usytuowana do ataku. Takiego manewru nie mogłyby dokonać ciężkie i powolne okręty Hiszpanów. Spotkała ich druga jeszcze niemiła niespodzianka. Poprzednio otrzymali informacje, że tylko połowa angielskiej floty znajduje się w Plymouth, pod wodzą Drake'a, a druga połowa, pod Howardem, czeka u wschodniego wejścia na Kanał. W rzeczywistości na wschód, do cieśniny Dover, posłano tylko małą eskadrę pod dowództwem lorda Henryka Seymoura.

Ale i lord Howard omylił się w swych wyliczeniach. Przypuszczał, że Wielka Armada zaatakuje Plymouth. Istotnie, wiceadmirał hiszpański Recalde nalegał na takie właśnie posunięcie. Jednakże inne były instrukcje króla Filipa. Jego Wielka Armada miała żeglować wzdłuż całej długości kanału La Manche, nigdzie lądu nie tykając, aż do chwili spotkania z księciem Parmą na północnym wybrzeżu Europy. Medina Sidonia nie był Francisem Drake. Chociaż atak na Plymouth był bardzo kuszącą propozycją, wódz naczelny ani na jotę nie zmienił ściślego przestrzegania wydanych mu instrukcji.

Drake poprowadził okręty szykiem torowym dookoła południowej flanki Armady: każdy okręt kolejno oddawał salwę burtową. Potem przesygnalizował:

„Postawić wszystkie żagle. Idziemy na bliższy brzegu kraniec hiszpańskiego szyku.”

Howard na „Ark Royal” zaatakował ostatni w szyku okręt hiszpański, „Rata Coronada”, zmuszając Hiszpanów, by mu pośpieszyli z pomocą. Niektóre jednostki hiszpańskie musiały się też zatrzymać, żeby pośpiesznie załatać w kadłubach dziury od kul armatnich. Drake, Hawkins i Frobisher przypuścili atak na okręt flagowy Recalde'a, idący na południowym krańcu półksiężycowego szyku. Tak potężnie zbudowany był ten hiszpański galeon, iż przez pełną godzinę wytrzymał kanonadę Anglików pod wodzą Sir Francisa. Dopiero gdy Medina Sidonia na „San Martin de Portugal” z kilkoma wielkimi okrętami bojowymi od czoła formacji przyszedł na pomoc osaczonemu wiceadmirałowi, Anglicy wycofali się i wylawirowali na tyły Armady, by się złączyć ze swoim wodzem naczelnym. Drake z niechętnym podziwem powiedział do swego kapitana flagowego:

- Słyszałem, jak te ich okręty zwano pływającymi fortecami. Ale na kałdun zacnego króla Hala, cała ta armada jest jedną pływającą fortecą! Idzie w takim ładzie i tak jest potężna, że nigdzie nie możemy się włamać, by rozedrzeć formację. Nasze salwy burtowe mało co im szkody czynią. Możemy tylko wisieć im u pięt, albo u boków, dogryzając jak psy, szczujące byka.

A na pokładach hiszpańskich okrętów grandowie podobnie wyrażali niechętny podziw i troskę - z powodu zwrotności angielskich statków, po mistrzowsku prowadzonych przez kapitanów i załogi.

Zapadł zmierzch, a Anglicy niczego nie wskórali. I Hiszpanom nie udało się zadać większych szkód, ale swój cel przeprowadzali: naprzód, wciąż naprzód, nieubłaganie naprzód, w idealnie utrzymanym, nie zwyciężonym szyku. Na „San Salvador”, ze skarbnikiem króla Filipa na pokładzie, nastąpił jakiś zagadkowy wybuch, który zniósł część rufy. Medina Sidonia kazał nieco zwolnić i udał się na pomoc.

Lord Howard wszedł do pinasa i pojechał na „Revenge”, do Drake’s.

- Proszę, żebyś zechciał nas prowadzić w ciągu tej nocy - powiedział. - Wywieszisz, oczywiście, światło rufowe, a ja pójdę następny, za tobą. Pozostaje nam tylko iść w ślad za nieprzyjacielem, czekając światła dziennego i sposobności do ataku.

Wiatr wiał od lądu, zachodnio-północno-zachodni. Chmurne niebo pogłębiało ciemności. Potężny hiszpański byk ociężałe szedł naprzód. Psy za nim. Około północy chmury rozstały się na krótko, zrobiło się nieco widniej. Młody księżyc błysnął na chwilę. Drake, przechylony przez burtę, wypatrując czujnie, powiedział nagle:

- Statki. Ledwie cię widać, ale idą na zachód. Hiszpanie chcą nas okrążyć, jak my ich ubiegłej nocy. Część ich floty odłączyła, by nas zająć od tyłu.

- Wątpię, czy zdecydowaliby się tak podzielić swoje siły - zauważył kapitan flagowy.

- W takim razie, co to za statki? Rankiem może się okazać, że z tuzin najpotężniejszych galeonów ruszy na nas od tyłu, a cała armada zawróciła, by nas zaatakować od przodu. Wezmą nas w dwa ognie!

Wiceadmirał Drake, wiodący w ciemnościach największą flotę, jaką Anglia dotąd wysłała na morze, nagle przeobraził się w młodego kapitana spod Nombre de Dios - impulsywnego, rwącego się do walki.

Księżyc znowu schował się za chmury. „Ark Royal” stracił przed oczu tylne światło „Revenge”. Przypuszczając, że Drake szybciej poszedł naprzód, Howard kazał stawiać żagle, a gdy rankiem pojaśniało, odkrył, że znajduje się na odległość strzału od ostatnich okrętów armady. Tylko dwóm czy trzem statkom angielskim udało się utrzymać z nim łączność. „Revenge” znikł bez śladu. Ale Medina Sidonia nie rozzerwał formacji, nie cofnął galeonów z powrotem by się rozprawiły z prawie osamotnionym „Ark Royal”, Wielka Armada szła naprzód. Howard, kazawszy oddać defensywne salwy, czekał na resztę floty, która na razie nic nie wiedziała o zniknięciu wiceadmirała.

To, co uczynił Drake, było w danych okolicznościach niewybaczalne: zgasił tylne światło, skręcił na sterburtę i pomknął za tajemniczymi statkami. Dopadł ich. Wystraszony oficer wszedł na jego pokład.

- Jesteśmy niemieckim statkiem handlowym - tłumaczył. - Kurs na Morze Śródziemne.

Drake wybuchnął mu śmiechem w twarz.

- Wracajcie na wasz statek! I pomyślnych wiatrów! Ja mam co innego do roboty.

Robota była nieoczekiwana. Spiesząc z powrotem do floty, „Revenge” natknął się na galeon hiszpański „Nuestra Senora de Rosario”, który poprzedniego dnia stracił przedni maszt oraz bukszpryt, i został daleko z tyłu za Armadą. Jego załoga z gorączkowym pośpiechem naprawiała szkody. Kapitan, don Pedro de Valdes, udzielił ostrej, kategorycznej odpowiedzi na wezwanie Drake’a, by się poddał:

- Mamy dział pod dostatkiem i czterystu pięćdziesięciu ludzi. Spróbuj tylko nas wziąć!

Drake zapytał swego oficera, który był u Hiszpana z posłaniem:

- Czy powiedziałeś temu don Pedrowi, kto żąda, by się poddał?

- Oznajmiłem mu to, admirale, w imieniu królowej Anglii.

- Bardzo dobrze. Teraz udaj się do niego jeszcze raz i powiedz mu, że Sir Francis Drake nie ma czasu na gawędy. Jeśli don Pedro się nie podda, to się przekona, że nie darmo jego rodacy przewali mnie smokiem mórz.

Tym razem hiszpański grand osobiście powrócił razem z parlamentariuszem. Przyjęty z wielką kurtuazją, wręczył szpadę i rzekł:

- Ja i moja załoga byliśmy gotowi drogo sprzedać nasze życie. Ale gdy ludzie usłyszeli twoje nazwisko, zachwiali się w sercach. Twoje zwycięstwa były tak wielkie, iż zaiste i Mars i Neptun muszą ci sprzyjać. Prócz tego panie, twoja wielkoduszność wobec zwyciężonych stała się już przysłowiowa.

Drake gładko przelknął pochlebstwa i uprzejmie odpowiedział. Po rozbrojeniu odesłano „Rosario” z przyzwoną załogą do Weymouth, by tam czekał na okup. Don Pedra zatrzymano na pokładzie „Revenge”, umieszczając go we własnej kajucie wiceadmirała. Draka powrócił do swego wodza naczelnego. Frobisher będzie później zarzucać Drake’owi, że świadomie opuścił swoje stanowisko, by pochwycić bogaty przyz, który za dnia w duchu zarezerwował dla siebie. Druga część oskarżenia była nieprawdą. Ale chociaż lord Howard ani wtedy, ani później, jak się zdaje, nie upomniał swego zastępcy ani się na niego nie skarżył, to jednak dawne nałogi pirackie wiceadmirała wystawiły na ryzyko całą flotę angielską. Już co najmniej powinien był zawiadomić o swoich zamierzeniach, aby na „Ark Royal” wiedziano, że od wroga nie dzieli go przyjacielski okręt.

Tego dnia załoga opuściła „San Salvador” mocno uszkodzony eksplozją z poprzedniego dnia. Lord Howard kazał go zaholować do portu temu samemu kapitanowi Flemingowi, który przerwał grę w kule nad nabrzeżem w Plymouth. W Anglii zapanowała radość:

- ...dwa wielkie okręty już zdobyte!

- ...a będzie ich więcej, nie bójcie się!

- ...Sir Francis już tego dopilnuje!

- ...wygrywamy!

Ale też i słowa przestrogi:

- ...nie ciągnąć za ogon byka, póki nie zabity...

Trzeciego dnia' wiatr skręcił: powiało od wschodu. Wykorzystując trudności, z jakimi wskutek tego musiała się zmagać Wielka Armada, Howard znowu spróbował się wślizgnąć pomiędzy Hiszpanów a wybrzeże. Wywiązała się walka na armaty, ale Armada nie zatrzymała. Hiszpańskie działa były ustawione tak wysoko, że często kule pi siły górą i leciały ponad masztami angielskich statków. Kapitanowie Howarda nadal prowadzili swoją grę z poprzedniego dnia, koncentrując się na większych jednostkach nieprzyjacielskich, wślizgując się pomiędzy nie, oddając salwy burtowe, wymykając się z powrotem poza zasięg ich dział, próbując je wciągnąć do bitwy. Nowy to był rodzaj walki na morzu, który Hiszpanów irytował.

Pięć angielskich okrętów, w tym „Triumph” Frobishera, znalazło się przypartych do wybrzeża, odciętych od własnej floty przez okręt flagowy Recalde'a i trzy wielkie galeony. Howard i Drake pośpieszyli na pomoc. Drake tak mocno uszkodził „San Juan” Recalde'a, iż okręt musiał się chwilowo wycofać, liżąc rany. Medina Sidonia przyłączył się do walki. Howard osłaniał „Triumph”, a przez ten czas Drake słał jedną za drugą salwy boczne prosto w „San Martina”, który wkrótce był cały podziurawiony, żagle i takielunek w strzępach, a papieska flaga wyprawy krzyżowej na głównym maszcie przedarta na połowę.

- Niech lichy porwie jego potężny kadłub! - klął Drake. - Jak on się jeszcze na powierzchni utrzymuje?

A „San Martin” utrzymał się na wodzie. Medina Sidonia zwarł szyki swego wielkiego półksiężycy. Armada otrząsnęła z siebie ujadające psy i żeglowała dalej naprzód, wciąż naprzód.

Frobisher walczył umiejętnie i zażarcie, a z pomocą Howarda i Drake'a wydostał się z trudnego położenia. Ale obie floty zaczęły odczuwać brak amunicji. Anglicy posłali na pobliskie wybrzeża z nagłym żądaniem nowych dostaw. Hiszpanie mogli słać tylko na wybrzeża niderlandzkie, wciąż jeszcze odległe.

W pobliżu wyspy Wight obie floty natknęły się na pas ciszy. Galeon portugalski „San Mateo” musiał się wycofać z powodu uszkodzeń. Gdy wstał znowu wiatr, początkowo gnał Armadę w stronę mielizn i skał, zwanych Owers, ale skręcił i Hiszpanie ocalili, przynajmniej na razie. Jeszcze jeden z ich statków kulejąc, udał się ku wybrzeżom Francji: Anglicy nie mogli temu zapobiec z powodu braku kul armatnich.

Howard wykorzystał przerwę w walkach, by na pokładzie „Ark Royal” pasować na rycerzy Frobishera, Hawkinsa, Thomasa Fennera i innych kapitanów, którzy wyróżnili się męstwem. Drake irytował się z powodu tak wielkiego ekspensu prochu i kul bez

widocznych rezultatów. Najwyborniejsza żręczność żeglarska, największa celność artyleryjska nic nie mogły wskórać przeciw pływającej fortecy.

Dnia 27 lipca Medina Sidonia kazał rzucać kotwice koło Calais. Z determinacją przeprowadził Wielką Armadę przez całą długość Kanału, nie ucierpiawszy wiele. Teraz doznał ciosu większego, niż byłaby dla niego strata pół tuzina bojowych okrętów. Dumny książę Parmy był bezsilny. Nie mógł wydostać swoich wojsk z Niderlandów. Holendrzy wywdzięczali się Anglikom za popieranie pieniędzmi i ludźmi, ich sprawy. Płaskodennymi barkami zablokowali wszystkie ujścia na morze. I dokonali tego ze skuteczną sprawnością.

Medina Sidonia nie wiedział, co począć. Najdoskonalszy biurokrata w Eskurialu nie przewidział żadnej instrukcji na taką sytuację. O milę na nawietrzną stały na kotwicach okręty angielskie, przyjmując na pokłady amunicję i posiłki, przywiezione przez eskadrę spod Dover pod dowództwem lorda Henryka Seymoura. Jedyna droga, jaka pozostała teraz przed Hiszpanami, wiodła na Morze Północne. Tamtędy można było dotrzeć do Szkocji i jeszcze spróbować lądowania - ale nie bez pomocy uwięzionych w tej chwili wojsk księcia Parmy.

Drake nalegał na Howarda, który posłał do Anglii po brandery:

- Nie możemy dać tyle czasu Hiszpanom! Milordzie, musimy zaimprovizować brandery, teraz, zaraz! Ja chętnie poświęcę jeden z moich własnych statków. Inni też to zrobią!

- Ja sam pójde za tym przykładem - zgodził się od razu Howard.

Dalszych siedem statków ofiarowano. Załadowano je materiałami palnymi i wybuchowymi. O północy Wielka Armada wiedziała, że jej los się rozstrzygnął. Brandery pędziły na nich z przyrywem i lekką bryzą w żaglach. Docierając do hiszpańskiej floty, ci „wysłańcy piekiel” eksplodowali jeden po drugim. Panika! Podnoszono kotwice, odcinano kable. Tylko Medina Sidonia zachował spokój, przynajmniej na zewnątrz. „San Martin” wyszedł niedaleko w morze i znowu rzucił kotwicę. Ale nienaruszona do tej pory, idealna dyscyplina jego floty przestała istnieć. Szyki złamano w popłochu. „San Lorenzo” uciekł ku wybrzeżu, inne okręty na pełne morze, każdy na własną rękę, nawet uderzając jeden o drugi.

Świt zastał Wielką Armadę przy wybrzeżach Gravelines (dziś Dunkierki) na wschód od Calais, bez ładu i składu, niezdolną do ataku, ani też do zorganizowanej obrony. Na próżno Medina Sidonia usiłował zebrać razem rozproszone okręty.

- Oto nasza szansa! - wołał Drake. - Możemy zniszczyć wszystkie te hiszpańskie diabły!, z długimi ogonami czy też krótkimi!

Ale najwyższe dowództwo nie należało do niego. A człowiek, który je sprawował, popełnił błąd - jedyny poważny błąd w ciągu całej tej długiej bitwy, codziennie zawieszanej i codziennie rozpoczynanej na nowo. „San Lorenzo”, chłoszcząc

niewolników u wiosł, aż nieszczęśni wrzeszczeli z bólu, zmagali się rozpaczliwie z falami, by uniknąć rozbicia o groźny brzeg. Howard nie mógł się oprzeć: poprowadził za sobą eskadrę, by dobić wroga. Drake'owi w takich okolicznościach przysługiwało prawo przejścia dowodzenia.

- W ślad za „Revenge”! - przesygnalizował.

Ruszył na zdezorientowane, bezładne zbiorowisko nieprzyjacielskich statków, usiłujących ustawić się ponownie w formację wokół swego pierwszego admirała.

- Nie strzelać, dopóki nie dam rozkazu...

„Revenge” był już o odległość strzału z pistoletu od „San Martina”, nim jego działa przemówiły, najpierw dziobowe, potem, gdy skręcał tuż przed okrętem flagowym Medyny Sidonii, boczne. Hawkins, Frobisher i inni szli za nim w kłębach dymu. „Revenge” rwał naprzód, śląc mordercze salwy działowe, a także muszkietowe i z łuków na dalsze galeony. Lord Henry Seymour oraz trzej bracia Fennerowie pojęli myśl wiceadmirała i naśladowali jego przykład. Ale trzeba było, żeby cała flota angielska lawirując - na co im pozwalała ich wielka zwrotność - między rozproszonymi w nieładzie, oszołomionymi Hiszpanami, oddawała salwę za salwą, druzgotała, niszczyła, zapobiegała ich ponownemu sformowaniu w szyk. Jednakże Frobisher, Hawkins i paru innych ulegli obsesji zatopienia przede wszystkim okrętu flagowego Wielkiej Armady i zgromadzili się wokół „San Martina”. Więc zamiast całej floty prowadzącej ten najkorzystniejszy w danym momencie atak, tylko kilka okrętów to czyniło.

Bitwa trwała przez trzy godziny. Kanonierzy, obnażeni do połowy, klęli i pracowali. Marynarze na rejach strzelali z arkebuzów, z łuków, ciskali kamienie na hiszpańskie pokłady. Huk dział, trzask druz-gotanego drewna, krzyki rannych i umierających składały się na nieprzerwaną kakofonię bitwy. Dym przesłaniał walczących, aż okręty dotykały się prawie, burta przy burcie. Większość wielkich galeonów była już podziurawiona. Na pokładach transportowców rozgrywała się okropna masakra. Lżejsze statki prowiantowe i zwiadowcze Armady pouciekały wzdłuż wybrzeży flamandzkich.

Lord Howard nareszcie zostawił „San Lorenzo” jego losowi i ze swoją eskadrą włączył się do bitwy. Frobisherowi i Hawkinsowi nie udało się zatopić „San Martina”, który walczył wspaniale. Jednakże Wielka Armada utraciła jedenaście okrętów - zatopionych, wziętych do niewoli albo zapędzonych na brzeg. Kadłuby innych były podziurawione jak rzeszoto, połamane maszty zwisały za burty, aż je odcinano toporami. Takielunek i żagle poszarpane, leżały w strzępach, okrywając zabitych jak całunem na pokładach, śliskich od krwi.

Obie floty dryfowały z wolna ale stale ku Flandrii.

- Dobry Boże! - błagał Drake. - Ześlij nam wiatr, byśmy ich mogli zapędzić na brzegi Zelandii!

Jeszcze z czasów swej praktyki u starego Taggarta, jako młody chłopak, znał dobrze tamtejsze niebezpieczne wody: mielizny usiane podwodnymi skałami. Ale o zachodzie słońca bitwę trzeba było przerwać. Jeden po drugim okaleczone galeony zbierały się wokół pierwszego admirała króla Filipa. Udało im się nawet odtworzyć coś na kształt dawnej, półksiężycowej formacji. Drake musiał podziwiać swych nieprzyjaciół. Powiedział do swego jeńca, don Pedro de Valdesa, stojącego na pokładzie obok niego:

- Proszę przyjąć dla swych rodaków gratulacje od człowieka, który zna się co nieco na sprawach morskich. Myśmy nie doceniali hiszpańskiej umiejętności żeglarskiej. To był błąd. Nic innego, jak najwyższy talent żeglarski, eksperyencja i determinacja mogły sformować resztki waszej floty raz jeszcze w szyk bojowy. Tylko, że wasze okręty, chociaż niezwyklej mocy, są za wysokie, przedstawiają sobą cel zbyt łatwy do trafienia a wasze działa nie dadzą się obniżyć, by skutecznie druzgotać nasze szybkie i zwrotne statki. W tym wasi szkutnicy źle się wam przysłużyli.

- Nie sądzę - odparł don Pedro posępnie lecz szczerze - aby jakiegokolwiek statki mogły się oprzeć branderom, waszemu męstwu, i, niech mi wolno będzie powiedzieć, pańskiemu żeglarskiemu geniuszowi..

Nocą Anglicy utracili chwilowo łączność z dzielnym i upartym Medina Sidonią, ślepo związanym własnym posłuszeństwem wobec instrukcji króla, który nie rozumiał morza i nie miał pojęcia o nowej taktyce bitew morskich, stosowanej przez „wilki morskie” Elżbiety.

W bitwie pod Gravelines Anglicy odnieśli decydujące zwycięstwo. W karierze morskiej Sir Francisa Drake’a bitwa ta zajmuje miejsce obok jego najazdu na port w Kadyksie jako najlepsze świadectwo owego geniuszu, któremu złożył hołd don Pedro. „Doprowadzenie sprawy do skutecznego zakończenia przynosi prawdziwą chwałę”. Pod nieobecność wodza naczelnego - Drake wskazał drogę, schematyzmowi przeciwstawił płomienną oryginalność, stworzył wzór ataku morskiego, naśladowany później przez wielkich angielskich admirałów, od Blake’a w XVII wieku, Rodneya w XVIII i Nelsona w XIX, aż po admirała Beatty w pierwszej wojnie światowej.

Howard, któremu brakowało poczucia dramatycznego gestu i fantazji Drake’a, wysłał skromną depezę do Burleigha:

„Ścigaliśmy ich w walce aż do późnego wieczora i poszarpaliśmy mocno, ale ich flota składa się z potężnych okrętów.”

Jeszcze ani on, ani nawet Drake nie zdawali sobie w pełni sprawy, jak wielkie i decydujące zwycięstwo odnieśli.

Kiedy znowu wstał dzień, Bóg zesłał wiatr - ale nie taki, który by zagnał Armadę na wybrzeża Zelandii. Z tym wiatrem Medina Sidonią i resztki jego floty pozęgłowały na

Morze Północne. Howard szedł w ślad za nimi przez jakiś czas. Drake pisał w swej kabinie:

„Z łaską boską będziemy mogli niebawem tak dogodzić księciu Medina Sidonia, iż zapragnie tylko znaleźć się jak najprędzej z powrotem w swych pomarańczowych sadach w Hiszpanii.”

Pierwszy admirał króla Filipa na pewno tego sobie szczerze życzył. Ale to nie angielscy żeglarze i kanonierzy dokończyli dzieła zniszczenia hiszpańskiej floty, lecz wiatry. Nie próbowano lądować w Szkocji. Na pokładach galeonów poniesiono w żołnierzach straty rozmiarów przerażających, a wiadomo było, że silna armia angielska broni północnych rubieży królestwa Elżbiety. Resztki armady musiały okrążyć niebezpieczne północne wybrzeża Szkocji i zachodnie Irlandii. Howard przerwał pościg.

- Bóg, wiatry, morze i skały zrobią za nas robotę - zgodził się Drake.

Anglicy nie stracili ani jednego okrętu, nawet żadnego pinasa czy statku zwiadowczego, a w ludziach straty nie przekroczyły setki.

Burze i sztormy rozproszyły resztki wspaniałej Wielkiej Armady. Statki żeglowały małymi grupami, pojedynczo. Niektóre zatonięły wskutek uszkodzeń poniesionych od angielskich salw armatnich. Inne po prostu zniknęły z powierzchni burzliwych wód. Wiele rozbiło się o brzeg Szkocji. Jeszcze inne kontynuowały swoją krzyżową drogę wzdłuż atlantyckich wybrzeży Irlandii, gdzie współwynawcy Hiszpanów łupili rozbite o ich wybrzeża statki i dobijali żywych. Z Wielkiej Armady, która żeglowała na podbój Anglii, na zgubę królowej i osadzenie na tronie Filipa - mniej niż połowa zawinęła w końcu z powrotem do Hiszpanii.

Nazwisko El Draque, niczyje inne, rozbrzmiewało wzdłuż i wszerz Europy. Powracający Hiszpanie mówili tylko o nim, jako o jakiejś nadprzyrodzonej sile, nie o człowieku. To on poprowadził najgorsze ataki na szyk Wielkiej Armady, to on nalegał na natychmiastowy, zaimprovizowany szturm branderów: to on był twórcą zwycięstwa pod Gravelines. Nawet papież przyznał:

- Słyszeliście, jak Drake ze swoją flotą wydał bitwę Armadzie? Co za bezczelna odwaga! To jednak wielki kapitan.

G. J. Marcus pisał w roku 1961, w swojej „Historii wojen morskich Anglii”:

„Kłęska »niepokonanej« Armady jest jednym ze zwrotnych punktów w dziejach. Była największą katastrofą panowania króla Filipa, pierwszą złowieszczą zapowiedzią przemijania złotego wieku Hiszpanii; wstrzymała postęp kontrreformacji i rozwiąła legendę o niezwyciężoności Hiszpanów; raz na zawsze położyła kres wszelkim średniowiecznym pretensjom papieżstwa; sprawiła, że hiszpańska moc w Niderlandach osłabła w krytycznym momencie, co doprowadziło do niepodległości i późniejszego morskiego, handlowego i kolonialnego rozwoju północnych Niderlandów; zwiastowała

powstawanie potęgi Anglii na morzu i umożliwiła w następnej dekadzie jej ekspansję na wschód... Wyznaczyła, jako pierwsza wielka wiktoria żaglowców, początek nowej ery w wojnach morskich.”

Drake przed wielu laty rozpoczął swoją „dobrą sprawę”. W ciągu wypraw do Indii Zachodnich, opłynięcia dookoła globu, najazdu na Kadyks i bitwy pod Gravelines kontynuował i „skutecznie dokończył” swego dzieła, zbierając „prawdziwą chwałę”. Jego nazwisko jest jedynym, które Anglicy do dziś dnia stawiają na równi z bohaterem największym - Nelsonem.

Medinę Sidonię z powrotem w gajach pomarańczowych, jesienią roku 1588, prześladowały szydercze krzyki przebiegających łobuzów

- El Draque wychodzi na morze! El Draque wychodzi na miff^jj

BIBLIOGRAFIA

Benson E. F., Sir Francis Drake, London

Bradford E. Drake, London

British Naval Biography, London

Burton Elizabeth: Elizabethan Homes, London

Corbett J.: Drake, London

Dodd A. H.: Life in Elizabethan England, London

Encyklopaedia Britannica, Chicago

Falls C.: Elizabeth's Irish Wars, London

Hakluyt R.: Voyages and Documents, London

Irwin M.: Sir Walter Raleigh, London

Jenkins E.: Elizabeth the Great, London

Jones F.: Life of Frobisher, London

Marcus G. J.: A Naval History of England, London

Mattingley G.: Defeat of the Spanish Armada, London

Neale J. E.: Queen Elizabeth I, London

Petrie Sir Charles: Philip II of Spain, London

Rowse A. L.: Expansion of Elizabethan England, London

Smith A. C.: William Cecil, London

Traill H. D. i Mann J. S.: Social England vol. III, London

Treves Sir F.: Cradle of the Deep, London

Unwin Rayner: Defeat of John Hawkins, London

Williamson J. A.: Sir Francis Drake, London

Williamson J. A.: The Tudor Age, London

Williamson J. A.: The Ocean in English History, London

Wood W.: Elizabethan Sea Dogs, London



Sir Francis Drake. Według miniatury miliarda, 1581. Muzeum w Wiedniu





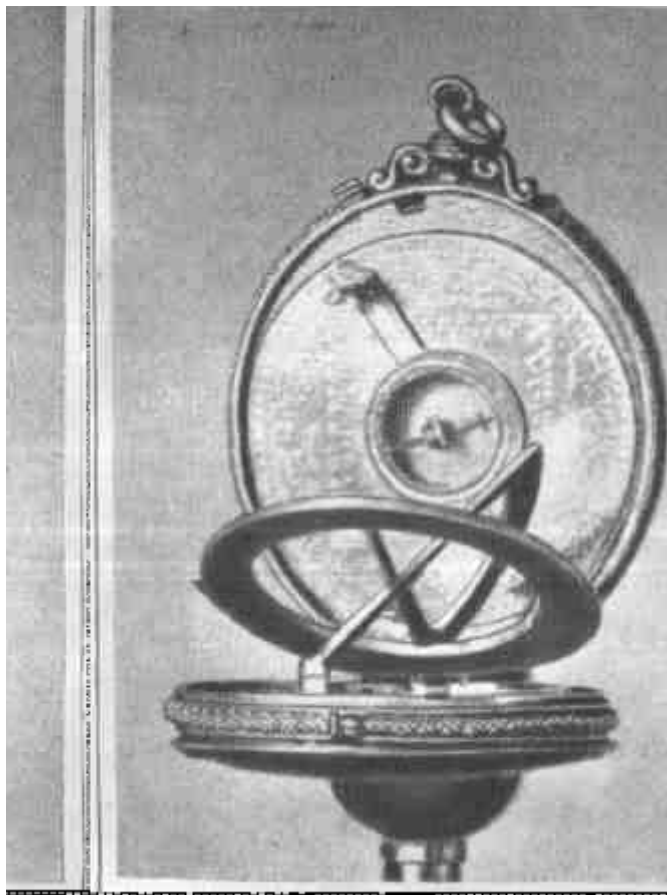
Król Filip II
Malował Juan Pantoja
Biblioteka w Eskurialu, 1589



Lord Burleigh Narodowa Galeria Portretów, Londyn



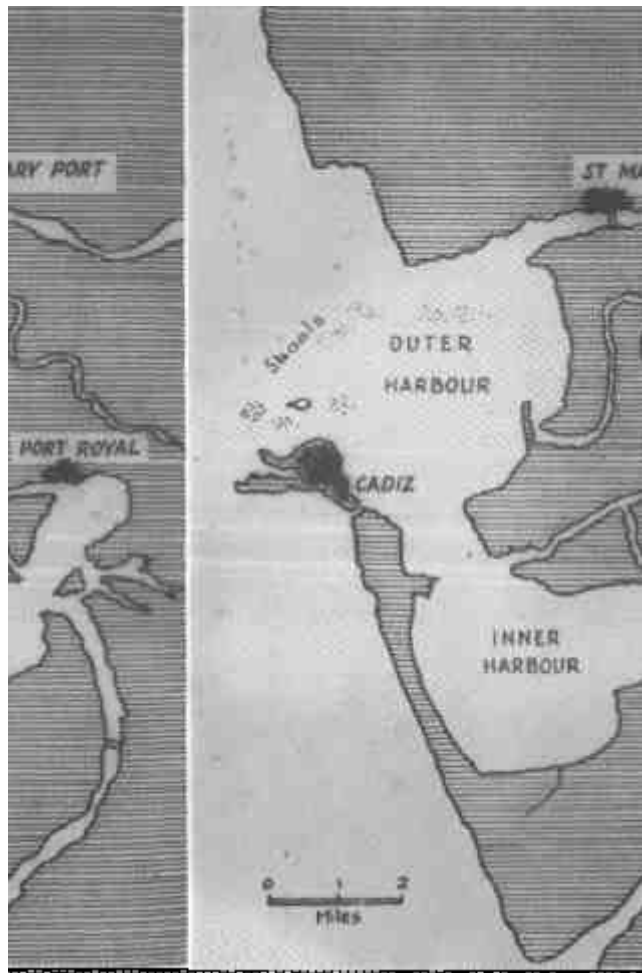
Hiszpańskie imperium w Nowym Świecie



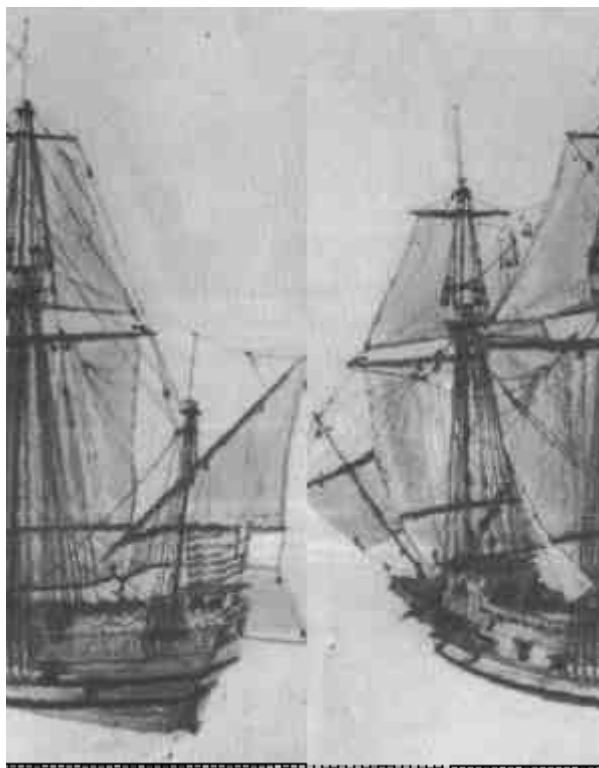
Astrolabium. Muzeum Morskie w Greenwich



Martin Frobisher Biblioteka Bodlejańska, Oksford



Port Kadyks



Model „Golden Hind” Galeria Sztuki w Plymouth



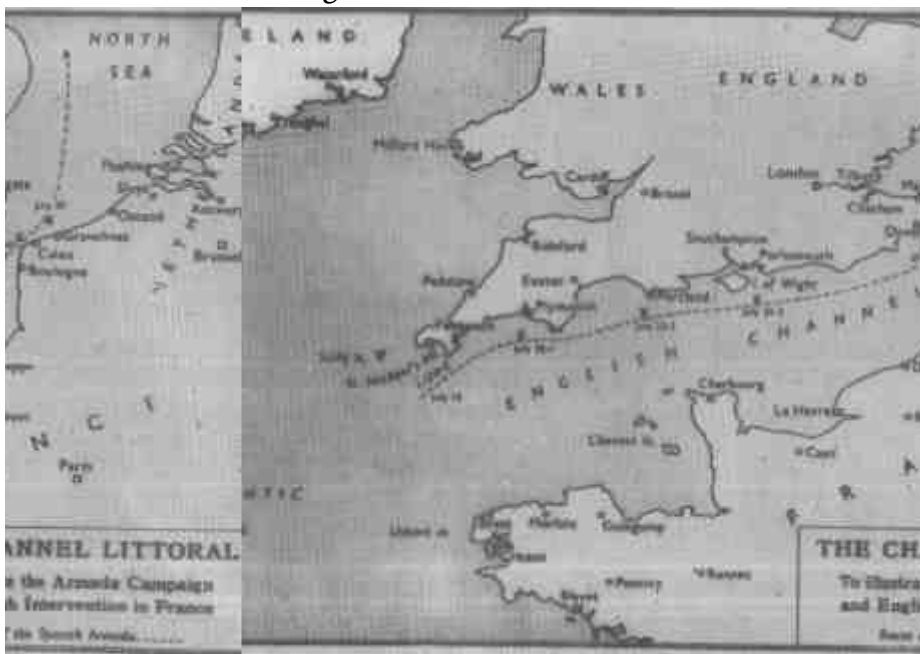
Łoże z epoki elżbietańskiej Muzeum Wiktorii i Alberta



Ubiory kobiet z epoki elżbietańskiej



Lord Howard of Effingham. Greenwich



Trasa Wielkiej Armady od Atlantyku na Morze Północne



Angielskie okręty atakują Wielką Armadę. Szytych Moranta i Pine'a

Część pierwsza KORSARZ 2

Rozdział 1 „CHCĘ ZOSTAĆ ŻEGLARZEM” 2

Rozdział 2 „NIE BĘDĘ ŻYŁ W NĘDZY” 10

Rozdział 3 NAJCZARNIEJSZA ZDRADA 19

Rozdział 4 PO SKARBY ŚWIATA 32

Rozdział 5 PIRAT PRZY ROBOCIE 40

Rozdział 6 KRZYŻOWA DROGA 50

Rozdział 7 „NIGDY NIE BYŁO PIRATA O TAK CZUŁYM SERCU” 58

Część druga ŻEGLARZ 70

Rozdział 8 „HANIEBNA SPRAWA” 70

Rozdział 9 BUNTOWNIK W ZAŁODZE 79

Rozdział 10 KONIEC ZDRAJCY 90

Rozdział 11 „NIE MA TERRA AUSTRALIS” 97

Rozdział 12 ŁADOWNIA PEŁNA SKARBÓW 108

Rozdział 13 KORONACJA POD PRZYMUSEM 117

Rozdział 14 DOKOŁA GLOBU 125

Rozdział 15 HERB DLA RYCERZA 134

Część trzecia ADMIRAŁ 146

Rozdział 16 Ślub - i spóźniony rozkaz 146

Rozdział 17 „NA ŁASCE TEGO KORSARZA” 155

Rozdział 18 „WIELKI WYŁOM UCZYNIONY” 165

Rozdział 19 SPRAWA WIELKIEJ WAGI 175

Rozdział 20 „...I PRAWDZIWA CHWAŁA” 184